

Autor bestsellera CHEMIA ŚMIERCI



**SIMON BECKETT**

**SZEPTY**



**ZWARZYCH**



**BECKETT SIMON**

**David Hunter #3 Szepty**

**Zmarlych**

# BECKETT SIMON

## Tom 3

### Rozdział I

Okóra.

Największy ludzki organ i najbardziej niedoceniany. Zajmując jedną ósmą całkowitej masy ludzkiego ciała, u przeciętnego dorosłego pokrywa powierzchnię mniej więcej dwóch metrów kwadratowych. Konstrukcyjnie skóra jest dziełem sztuki, gniazdem naczyń włosowatych, gruczołów i nerwów. Reguluje temperaturę i chroni. To łącznik naszych zmysłów ze światem zewnętrznym, bariera, na której kończy się nasza indywidualność, nasze ja. I nawet po śmierci coś z tej indywidualności pozostaje. Kiedy ciało umiera, enzymy utrzymywane przez życie w ryzach rozbiegają się w amoku. Pożerają ściany komórek, uwalniając ich płynną zawartość. Płyny wznoszą się ku powierzchni, zbierając się pod warstwami skóry i rozluźniając je. Skóra i ciało, do tej pory dwie integralne części, zaczynają się rozdzielać. Powstają pęcherze. Całe płyty odpadają, zsuwając się z ciała jak niechciany płaszcz w letni dzień.

Ale nawet martwa i odrzucona, skóra nadal zachowuje ślady swojego dawnego ja. Nawet teraz może mieć swoją historię do opowiedzenia i tajemnice do ukrycia.

Jeśli tylko umiesz patrzeć.

Earl Bateman leżał na wznak, z twarzą zwróconą ku słońcu. Nad nim ptaki zataczały koła na błękitnym niebie Tennessee, bezchmurnym, zabrudzonym tylko smugą z odrzutowca. Earl zawsze kochał słońce. Lubił, jak szczypie go skóra po długim dniu wędkowania; lubił, jak jaskrawe promienie nadają nowy wygląd wszystkiemu, czego dotkną. W Tennessee nie brakowało słońca, ale Earl pochodził z Chicago i mroźne zimy na zawsze zapisały w jego kościach pamięć chłodu.

Kiedy w latach siedemdziesiątych przeprowadził się do Memphis, przekonał się, że woli bagienną wilgotność od wietrznych ulic swojego rodzinnego miasta. Oczywiście, jako dentysta z n/eduzym gabinetem, młodą żoną i dwójką małych dzieci na utrzymaniu, nie spędzał poza domem tyle czasu, ile by chciał. Ale słońce tam było, mimo wszystko. Lubił nawet parny upał lata w Tennessee, kiedy powiew wiatru odczuwało się jak dotknięcie gorącej flaneli, a wieczorami w ciasnym mieszkanku, które zajmował z Kate i chłopcami, panowała duszna wilgoć.

Od tamtej pory dużo się zmieniło. Jego praktyka dentystyczna kwitła, a mieszkanie

dawno zamienił na lepsze i większe. Dwa lata temu przeprowadzili się z Kate do nowego domu z pięcioma sypialniami, w dobrej dzielnicy, z rozległym, soczyście zielonym trawnikiem, na którym mogło się bawić coraz liczniejsze stadko wnucząt i gdzie poranne promienie rozszczepiały się na miniaturowe tęcze w wodnym pyłe ze spryskiwaczy.

I to właśnie na trawniku, kiedy pocąc się i klnąc, odpiłowywał uschniętą gałąź z wielkiego starego złotokapu, dostał zawału. Zostawił piłę w gałęzi i zdołał zrobić kilka niepewnych kroków w stronę domu, zanim porwalił go ból.

W karetce, z maską tlenową na twarzy, mocno trzymał dłoń Kate i próbował się uśmiechnąć, by ją pocieszyć. W szpitalu jak zwykle: pospieszny balet personelu medycznego, gorączkowe rozpakowywanie igieł, popiskiwanie aparatury. W końcu wszystko ucichło. Co za ulga. Trochę później, kiedy już podpisano niezbędne papiery i dopełniono nieuniknionych formalności, towarzyszących nam od urodzenia, Earl został wypuszczony.

Teraz leżał nago na wiosennym słońcu, na drewnianej ramie nad dywanem trawy i liści. Był tu ponad tydzień, wystarczająco długo, aby ciało rozpuściło się, odsłaniając kości i ścięgna pod zmumifikowaną skórą. Kosmyki włosów wciąż oblepiały łyl czaszki, której puste oczodoły wpały w modre niebo.

Skończyłem pomiary i wyszedłem z drucianej klatki, chroniącej zwłoki dentysty przed ptakami i gryzoniami. Otarłem pot z czoła. Było późne popołudnie, upalne mimo wczesnej pory roku. Tego roku wiosna nie spieżyła się, paki czekały, nabrzmiałe i ciężkie. Za tydzień lub dwa widok będzie wspaniały, ale na razie brzozy i klony w lasach Tennessee wciąż tuliły do siebie młode pędy, jakby nie chciały ich wypuścić.

Wzgórze, na którym stałem, było zupełnie zwyczajne. Niemal malownicze, ale mniej dramatyczne niż piętrzące się w oddali imponujące granie Smoky Mountains. Jednak każdemu, kto odwiedzał to miejsce, rzucał się w oczy inny aspekt otoczenia. Wszędzie wokół leżały ludzkie ciała w różnym stadium rozkładu. W zaroślach, w pełnym słońcu i w cieniu – stosunkowo świeże, wciąż nabrzmiałe od gazów gnilnych, i starsze, wysuszone, niemal wygarbowane. Część z nich była niewidoczna – zakopana lub schowana w bagażnikach samochodów. Inne, jak to, które ważyłem, osłonięto ekranami z siatki i wystawiono jak eksponaty makabrycznej instalacji. Tyle tylko, że to miejsce było dużo poważniejsze. I zdecydowanie mniej publiczne.

Schowałem do torby sprzęt i notes. Poruszałem rękami, aby pozbyć się sztywności. Przez moją dłoń biegła cienka, biała linia, dzieląc równo na pół linię życia i zaznaczając miejsce, gdzie ciało zostało rozcięte aż do kości. Symboliczny ślad, przypomnienie, że nóż, który w ubiegłym roku niemal zakończył moje życie, również

**je odmienił.**

**Zarzuciłem torbę na ramię i wyprostowałem się. Jej ciężar wywołał tylko słabe ukłucia w brzuchu. Blizna pod żebrami całkowicie się zagoiła, a za miesiąc lub dwa odstawię antybiotyki, które brałem przez ostatnich dziewięć miesięcy. Do końca życia będę podatny na infekcje, ale i tak uznałem się za szczęściarza, bo straciłem tylko fragment jelita i śledzionę.**

**Trudniej mi było pogodzić się z czymś innym, co utraciłem.**

**Pozostawiając dentystę wolnemu rozkładowi, obszedłem ciało częściowo ukryte w krzakach, poczerniałe i opuchnięte, a potem ruszyłem wąską ścieżką między drzewami. Młoda Murzynka w szarej chirurgicznej bluzie i spodniach kucała koło zwłok w połowie zasłoniętych powalonym pnem. Pincetami zdejmowała z nich wijące się larwy i wrzucała je do oddzielnych słoiczków.**

**–Cześć, Alana – powiedziałem. Podniosła głowę i uśmiechnęła się.**

**–Hej, Davidzie.**

**–Jest tu gdzieś Tom?**

**–Ostatnio widziałam go przy podkładkach. I uważaj, jak chodzisz – zawołała za mną.**

**– W trawie leży prokurator okręgowy.**

**Uniosłem rękę, dziękując za przestrożę, i poszedłem dalej. Ścieżka biegła wzdłuż wysokiego ogrodzenia z drobnej siatki, otaczającego hektar lasu. Ogrodzenie było zwieńczone drutem brzytwowym i osłonięte płótnem z bali. Jedynym wejściem i wyjściem była olbrzymia brama z tablicą. Wielkie czarne litery tworzyły napis: „Ośrodek Badań Antropologicznych”. Ale to miejsce lepiej znano pod inną, mniej urzędową nazwą.**

**Większość ludzi nazywała je po prostu Trupią Farmą.**

**Tydzień wcześniej stałem w wykafelkowanym korytarzu swojego londyńskiego mieszkania z zapakowanymi torbami u stóp. Na dworze, w bladym wiosennym świetle rozbrzmiewały uroczne ptasie trele. Przewertowałem w myśli listę rzeczy, które powinienem sprawdzić, wiedząc, że wszystko zrobiłem. Okna zamknięte, doręczenie poczty wstrzymane, bojler wyłączony. Czułem się rozdrażniony i podenerwowany. Przywykłem do podróży, ale teraz to co innego.**

**Kiedy wrócę, nikt nie będzie na mnie czekał.**

**Taksówka się spóźniała, ale miałem mnóstwo czasu, żeby zdążyć na samolot. Mimo to wciąż niespokojnie zerkałem na zegarek. Mój wzrok przyciągnęły czarne i białe**

wiktoriańskie kafelki kilka metrów od miejsca, w którym stałem. Odwróciłem spojrzenie, ale arlekinowy wzór zdążył uruchomić pamięć. Już dawno temu zmyto krew przy drzwiach frontowych i ze ściany. Cały korytarz pomalowano, kiedy leżałem w szpitalu. Nie było żadnego śladu tego, co zdarzyło się tu w ubiegłym roku.

Nagle ogarnęła mnie klaustrofobia. Wyniosłem torby na zewnątrz, ostrożnie, by nie obciążać zbyt mocno mięśni brzucha. Taksówka podjechała w chwili, gdy zamykałem drzwi. Zatrzasnęły się z głośnym łupnięciem, w którym zabrzmiało coś ostatecznego. Nie oglądając się, ruszyłem do taksówki warczącej w obłoku spalin.

Dojechałem tylko do najbliższej stacji metra i linią Piccadilly dotarłem na Heathrow. Było za wcześnie na poranny tłok. Pasażerowie, z charakterystyczną dla londyńczyków obojętnością, starali się na siebie nie patrzeć.

Cieszę się, że wyjeżdżam, pomyślałem z pasją. Po raz drugi w życiu miałem uczucie, że muszę się wyrwać z Londynu. Inaczej niż za pierwszym razem. Wtedy, kiedy uciekałem, a moje życie leżało w gruzach po śmierci żony i córki, wiedziałem, że wrócę. Teraz musiałem wyjechać na dłużej, nabrać dystansu do ostatnich wydarzeń. Poza tym od miesięcy nie pracowałem. Miałem nadzieję, że ta podróż pozwoli mi stopniowo wrócić do swoich zajęć.

I zorientować się, czy wciąż nadaję się do pracy.

Nie znałem lepszego miejsca, żeby się o tym przekonać. Do niedawna ośrodek w Tennessee był wyjątkowym, jedynym na świecie polowym laboratorium, gdzie antropolodzy sądowi na ludzkich zwłokach badają proces rozkładu i rejestrują charakterystyczne objawy, mogące wskazywać, kiedy i jak nastąpiła śmierć. Podobne ośrodki założono w Karolinie Północnej i w Teksasie, kiedy już rozwiano obawy mieszkańców przed sępami. Słyszałem nawet, że planowano kolejny w Indiach.

Ale nieważne, ile może być trupich farm: dla większości ośrodek w Tennessee nadal był tą Trupią Farmą. Znajdował się w Knoxville i stanowił część Centrum Antropologii Sądowej Uniwersytetu Tennessee. Miałem szczęście szkolić się tu na początku swojej kariery. Ale od mojego ostatniego pobytu minęło wiele lat. Zbyt wiele, jak powiedział mi Tom Lieberman, dyrektor ośrodka i mój dawny nauczyciel.

Kiedy siedziałem w hali odlotów na Heathrow, patrząc przez szybę na wolny, bezgłośny taniec samolotów, zastanawiałem się, jaki będzie mój powrót. Miesiącami, podczas bolesnej rekonwalescencji po wyjściu ze szpitala – i jeszcze bardziej bolesnych wspomnień – żyłem nadzieją podróży. Była celem, do którego mogłem dążyć, tak bardzo potrzebnym początkiem nowego.

A teraz, kiedy już wyruszyłem w drogę, po raz pierwszy zastanawiałem się, czy nie

wiązę z tym zbyt wiele nadziei.

W Chicago dwie godziny czekałem na połączenie. Nad Knoxville-le wciąż jeszcze dudniła mijająca burza. Ale szybko się wypogodziło i kiedy odebrałem bagaże, przez chmury zaczęło przedzierać się słońce. Odetchnąłem głęboko, kiedy wyszedłem z terminalu odebrać wynajęty samochód, i z przyjemnością poczułem w powietrzu dawno zapomnianą wilgotność. Jezdnie parowały, wydzielając ostry, pieprzowy zapach asfaltu. Na tle powoli odpływających granatowych chmur zmoczona deszczem bujna zieleń wokół autostrady niemal oszalała jaskrawością.

Do miasta dojeżdżałem już w lepszym nastroju. To się uda.

Teraz, ledwie tydzień później, nie byłem tego taki pewien. Szedłem ścieżką wokół polany, na której stał wysoki drewniany trójnóg, przypominający szkielet tipi. Na platformie pod nim leżały zwłoki – czekały na ważenie. Zszedłem ze ścieżki i ostrożnie, jak nakazała Alana, przeciąłem polanę do miejsca, gdzie tkwiło w ziemi kilka betonowych bloków – geometryczne kształty wyraźnie odcinały się od leśnej scenerii. Pochowano w nich ludzkie szczątki. Prowadzono tu doświadczenia mające określić skuteczność georadaru przy lokalizowaniu zwłok.

Wysoka, szczupła postać w drelichowych spodniach khaki i nieprzemakalnym kapeluszu klęczała kilka metrów dalej. Ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się miernikowi na kawałku rury sterczącej z ziemi.

–Jak leci? – zagadnąłem.

Nie podniósł głowy, ale patrząc przez okulary w drucianych oprawkach, stuknął w miernik palcem.

–Uważasz, że łatwo wyczułoby się taki zapach? – zapytał, zamiast odpowiedzieć.

Pochodził ze Wschodniego Wybrzeża i to było słychać, bo spłaszczał samogłoski, chociaż miał przeciągłą wymowę, typową dla południowca z Tennessee. Od kiedy go znałem, Tom Lieberman poszukiwał własnego Świętego Graala – cząsteczka po cząsteczce analizował gazy powstające w procesie rozkładu, aby zidentyfikować woń. Każdy, komu zdechła mysz pod podłogą, może potwierdzić, że odór utrzymuje się jeszcze długo po tym, kiedy ludzki nos przestaje go wyczuwać. Szkolone psy wywąszą trupa wiele lat po pochówku. Tom głosił, że teoretycznie powinna istnieć możliwość opracowania czujnika, który zdoła zrobić to samo, co niezmiernie ułatwiłoby lokalizację i odzyskanie ciała. Ale jak zawsze, teoria i praktyka to dwie różne rzeczy.

Wstał z mruknięciem, które mogło wyrażać frustrację albo zadowolenie.

–Dobra, skończyłem. – Skrzywił się, słysząc, jak trzeszcza mu stawy kolanowe.



–Wybieram się do stołówki na lunch. Idziesz? Uśmiechnął się tęsknie, pakując sprzęt.

–Nie dzisiaj. Mary dała mi kanapki. Kurczak i kielki fasoli albo coś innego, ale równie obrzydliwie zdrowego. Aha, zaprasza cię w ten weekend na obiad. Wbiła sobie do głowy, że potrzebujesz porządnego posiłku. – Znow się skrzywił. – Ciebie chce dobrze nakarmić, a ja dostaję żarcie dla królika. I gdzie tu sprawiedliwość?

Uśmiechnąłem się. Żona Toma świetnie gotowała.

–Powiedz jej, że z radością przyjdę. Pomóc ci z rzeczami? – zaproponowałem.

–Nie, dam radę.

Wiedziałem, że nie chce mnie nadwerężyć. Ale nawet kiedy wolno szliśmy do bramy, aż sapał z wysiłku. Kiedy poznałem Toma, miał już dobrze po pięćdziesiątce i z przyjemnością dodawał otuchy początkującemu brytyjskiemu antropologowi sądowemu. Było to dawniej, niż miałem ochotę pamiętać, i minione lata odcisnęły swoje piętno. Oczekujemy, że ludzie pozostaną takimi, jakich ich pamiętamy, ale oczywiście nigdy tak nie jest. Kiedy znowu go zobaczyłem, przeżyłem szok. Tak bardzo się zmienił.

Nie ogłosił oficjalnie, kiedy ustąpi ze stanowiska dyrektora Centrum Antropologii Sądowej, ale wszyscy wiedzieli, że prawdopodobnie przed końcem roku. Nawet gazeta z Knowille dwa tygodnie temu prezentowała jego postać bardziej w formie hołdu niż wywiadu. Wciąż przypominał koszykarza, którym kiedyś był, ale zaborczy czas sprawił, że ze szczupłego mężczyzny zrobił się chudzielec. Miał zapadnięte policzki, co z dużymi zakolami nadawało mu ascetyczny, a zarazem niepokojąco kruchy wygląd.

Ale błysk w oczach pozostał, podobnie jak poczucie humoru i wiara w człowieka, której nie przygasił nawet fakt, że w pracy miał do czynienia z mroczną stroną ludzkiej natury. A ty sam też zostałeś nią naznaczony, pomyślałem, przypominając sobie osłoniętą koszulą paskudną bruzdę na swoim ciele.

Kombi Toma stało na parkingu przy ośrodku. Przed wyjściem zatrzymaliśmy się przy bramie i zdjęliśmy rękawice oraz ochraniacze na buty. Kiedy brama zatrzasnęła się za nami, nic nie zdradzało, co znajduje się po drugiej stronie. Drzewa za ogrodzeniem wyglądały zwyczajnie. Gałęzie szeleściły w podmuchach ciepłego wiatru – nagie, ale już z zielonym cieniem nowego życia.

Włączyłem komórkę. Chociaż nie było żadnego zakazu, czułbym się nieswojo, gdyby dzwonki zakłócały spokój i ciszę Trupiej Farmy. Co nie znaczy, że na jakieś czekałem. Znajomi wiedzieli, że nie ma mnie w kraju, a osoba, z którą najbardziej chciałbym porozmawiać, nie mogła zadzwonić.

Schowałem telefon. Tom wrzucił walizkę do bagażnika. Udawał, że się nie zmęczył, a ja udawałem, że nic nie zauważam.

–Podrzucić cię do stołówki? – zapytał.

–Nie, dzięki. Pójdę pieszo. Powinienem ćwiczyć.

–Godna podziwu dyscyplina. Zawstydzasz mnie. – Przerwał, bo zadzwonił jego telefon. Zerknął na wyświetlacz. – Przepraszam, muszę odebrać.

Zostawiłem go i poszedłem przez parking. Ośrodek znajdował się na terenie Centrum Medycznego Uniwersytetu Tennessee, ale był całkowicie niezależny. Ukryty na zalesionych obrzeżach, jakby w innym świecie. Tutaj nowoczesne budynki szpitala i parkowe zielone przestrzenie roily się od pacjentów, studentów i personelu medycznego. Pielęgniarka śmiała się, siedząc na ławce obok młodego człowieka w džinsach, matka gniewała się na płaczące dziecko, a biznesmen prowadził ożywioną rozmowę przez komórkę. Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, wyraźnie dostrzegałem kontrast między pograżonym w ciszy rozkładem za bramą a tętniącą życiem normalnością na zewnątrz. Teraz ledwo to zauważyłem.

Z czasem przyzwyczajamy się do wszystkiego.

Wbiegłem po schodach i ruszyłem do stołówki, nie bez satysfakcji, że oddycham tylko trochę ciężiej niż zazwyczaj. Nie uszedłem daleko, kiedy usłyszałem za sobą szybkie kroki.

–Davidzie, poczekaj!

Ścieżką szybko kroczył mężczyzna mniej więcej w moim wieku i mojego wzrostu. Paul Avery – jedna ze wschodzących gwiazd Centrum. Już niemal wszyscy wskazywali go jako następcę Toma. Był specjalistą w dziedzinie osteologii i posiadał encyklopedyczną wiedzę, a wielkie dłonie z grubymi palcami miał zręczne jak chirurg.

–Idziesz na lunch? – Zrównał ze mną krok. Miał kędzierzawe, niemal kruczoczarne włosy, a na podbródku ciemny cień zarostu. – Mogę do ciebie dołączyć?

–Oczywiście. Jak się miewa Sam?

–Dobrze. Spotkała się dziś rano z Mary. Chce zrobić rajd po sklepach dla niemowląt. Karta kredytowa pewnie solidnie na tym ucierpi.

Uśmiechnąłem się. Poznałem Paula dopiero kilka dni temu, ale ze swoją ciężarną żoną Sam stawali na głowie, żebym dobrze się czuł. Wkrótce miało im się urodzić pierwsze dziecko. Paul udawał, że podchodzi do tego z dystansem, ale jego żona nie

ukrywała emocji.

–Cieszę się, że cię widzę – mówił dalej. – Jeden z moich doktorantów się zaręczył, więc wybieramy się do miasta, żeby to uczcić. Tak na luzie, obiad i parę drinków. Może byś poszedł z nami?

Zawahałem się. Doceniałem propozycję, ale wcale nie pociągała mnie perspektywa wyjścia z grupą obcych ludzi.

–Idą Sam i Alana, więc parę osób już znasz – dodał Paul, widząc, że się ociągam. – Będzie fajnie.

Nie mogłem wymyślić żadnego pretekstu, żeby odmówić.

–Cóż... no dobra. Dzięki.

–Wspaniale. Zabiorę cię o ósmej z hotelu.

Na jezdni, tuż za nami rozległ się klakson. Obejrzeliśmy się. Tom zatrzymał samochód przy krawężniku, opuścił okno i przywołał nas gestem.

–Właśnie miałem telefon z Biura Śledczego Tennessee. Niedaleko Gatlinburga znaleziono zwłoki w górskiej chacie. Brzmi ciekawie. Pomyślałem, Paul, że jeśli nie jesteś bardzo zajęty, pojechałbyś ze mną i popatrzył, co?

Paul pokręcił głową.

–Przykro mi, mam zajęte całe popołudnie. Nie mógłby ci pomóc któryś z absolwentów?

–Pewnie mógłby. – Tom spojrzał na mnie z błyskiem podniecenia w oczach. Zanim się odezwał, wiedziałem, co chce powiedzieć. – A ty, Dave? Miałbyś ochotę na małe zajęcia w terenie?

## Rozdział 2

J?o autostradzie z Knoxville powoli sunął sznur aut. Mimo wczesnej wiosny w samochodzie było tak ciepło, że bez klimatyzacji nie dalibyśmy rady. Tom zaprogramował nawigację satelitarną, żeby poprowadziła nas w górach, ale teraz zupełnie jej nie potrzebowaliśmy. Tom nucił cicho pod nosem i już wiedziałem, że to oznaka niecierpliwego oczekiwania. Na Farmie panowała ponura atmosfera, ale wszyscy, którzy przekazali swoje ciała, zmarli śmiercią naturalną. W tym przypadku chodziło o ofiarę zbrodni.

–A więc to morderstwo? – Zabójstwo, poprawiłem się w myśli. Na pewno, w

przeciwnym razie nie angażowano by Tennessee Bureau of Investigation, Biura Śledczego Tennessee. Tom współpracował z TBI, stałowym FBI, jako konsultant. Miał nawet odznakę służbową. Jeżeli telefon był od nich, a nie z komendy policji, to znaczyło, że przypadek jest poważny.

Tom nie spuszczał wzroku z drogi.

–Wszystko na to wskazuje. Za dużo mi nie powiedzieli, ale podobno zwłoki są w złym stanie.

Zacząłem się lekko denerwować.

–Nie będzie żadnych problemów z tym, że przyjechałem? Tom spojrzał na mnie zdziwiony.

–A niby dlaczego? Często zabieram kogoś do pomocy.

–Ale ja jestem Brytyjczykiem. – Przed wyjazdem musiałem przejść przez biurokratyczne procedury związane z wizą i zezwoleniami na pracę, ale nie spodziewałem się, że wezmę udział w dochodzeniu. Nie byłem pewien, czy powitają mnie z radością.

Wzruszył ramionami.

–Ja nie widzę problemu. Sprawa raczej nie ma związku z bezpieczeństwem narodowym, a gdyby ktoś pytał, zaręcę za ciebie. Albo po prostu bądź cicho, wtedy nikt nie zwróci uwagi na twój akcent.

Z uśmiechem włączył odtwarzacz CD. Tom słuchał muzyki tak jak inni palili papierosy lub pili whisky. Twierdził, że pomaga mu uwolnić umysł i skupić myśli. Jego ulubioną używką był jazz z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych i do tej pory na tyle często słuchałem utworów z albumów, które trzymał w samochodzie, że większość rozpoznawałem.

Westchnął cicho i przy pulsujących rytmach Jimmy'ego Smitha rozparł się wygodnie w fotelu.

Patrzyłem na krajobraz Tennessee. Przed nami piętrzyły się Smoky Mountains spowite błękitną mgiełką, od której wzięły nazwę. Zalesione zbocza ciągnęły się po horyzont. Falujący zielony ocean ostro kontrastował z handlowym rozgardiaszem dookoła.

Jaskrawe punkty fast foodów, bary, sklepy i sklepiki ciągnęły się wzdłuż autostrady, a niebo przecinały przewody energetyczne i telefoniczne.

Londyn i Wielka Brytania wydawały się bardzo daleko. Przyjazd tutaj miał mi pomóc odzyskać sprawność i rozwiązać kilka ważnych problemów. Wiedziałem, że po powrocie będę musiał podjąć trudne decyzje. Umowa na czas określony, jaką miałem w Londynie z uniwersytetem, wygasła w czasie mojej rekonwalescencji, ale zaproponowano mi stałą posadę w katedrze antropologii sądowej na czołowym szkockim uniwersytecie. Delikatnie nakłaniała mnie do współpracy także Grupa Doradczo-Badawcza Medycyny Sądowej, interdyscyplinarna agencja pomagająca policji odnajdować zwłoki. To mi bardzo pochlebiało i powinienem się cieszyć, ale niestety żadna propozycja nie wzbudzała mojego entuzjazmu. Może powrót tutaj coś zmieni.

Jak dotąd, nie zmienił.

Westchnąłem, bezwiednie pocierając dłonią bliznę.

–Dobrze się czujesz? – Tom zerknął na mnie.

–Doskonale. – Nakryłem szramę ręką. Przyjął wyjaśnienie bez komentarza.

–Kanapki są w torbie na tylnym siedzeniu. Możemy się nimi podzielić. –

Uśmiechnął się cierpko. – Mam nadzieję, że lubisz kielki fasoli.

Bliżej gór okolica stawała się gęściej zalesiona. Przejechaliśmy przez Pigeon Forge, pretensjonalną miejscowość wypoczynkową. Wzdłuż chodników tłoczyły się bary i restauracje. Jedna knajpa utrzymana była niby w stylu pogranicza. Plastikowe bale udawały drewniane. Kilka kilometrów dalej znaleźliśmy się w Gatlinburgu. Karnawałowa atmosfera tego turystycznego miasteczka wydawała się WTCCZ wytłumiona w porównaniu z poprzednim. Gatlinburg leżał w dolinie; hotele i restauracje bardzo starały się przyciągnąć uwagę, ale przegrywały z naturalną wspaniałością gór.

Zostawiliśmy za sobą Gatlinburg i znaleźliśmy się w innym świecie. Strome, gęsto zalesione stoki zamknęły się wokół drogi, pogrążając nas w cieniu. Smoky Mountains, część potężnego łańcucha Appalachów, zajmowały powierzchnię dwóch tysięcy kilometrów kwadratowych po obu stronach granicy Tennessee i Karoliny Północnej. Ogłoszono je parkiem narodowym, ale przyroda jest beztrosko nieświadoma takich rozróżnień. Była to dzikość, którą nawet obecnie człowiek ledwo uszczknął. Kiedy przyjeżdżało się tu z tak zatłoczonej Wielkiej Brytanii, sama wielkość gór uczyła pokory.

Ruch na drodze był mały. Za kilka tygodni stanie się o wiele większy. Kilka kilometrów dalej Tom skręcił w boczną drogę – węższą, pokrytą tłuczniem.

–Chyba już niedaleko. – Przyjrzał się ekranowi na tablicy rozdzielczej, potem popatrzył przed siebie. – Aha. Jesteśmy na miejscu.

Przy wąskiej drodze stała tablica z napisem „Chaty Schroedera Nr 5-13”. Automatyczna skrzynia biegów trochę protestowała, zmagając się z pochyłością. Wśród drzew dostrzegłem niskie dachy chat rozmieszczonych daleko od siebie.

Przed nami, po obu stronach stały wozy policyjne i nieoznakowane samochody, pewnie TBI. Kiedy podjechaliśmy bliżej, drogę zagroził nam policjant w mundurze. Dłoń lekko opierał o kaburę pistoletu przy pasie.

Tom zatrzymał się i opuścił szybę, ale policjant nie dał mu się odezwać.

–Wstęp wzbroniony. Bardzo proszę odjechać.

Czysta wymowa z głębokiego Południa i uprzejmość policjanta same w sobie działały jak broń – celnie, stanowczo i nieustępliwie. Tom uśmiechnął się promiennie.

–Spokojnie. Może pan powiedzieć Danowi Gardnerowi, że przyjechał Tom Lieberman?

Policjant odszedł kilka kroków i porozmawiał przez radio. To, co usłyszał, rozstrzygnęło sprawę.

–n^KrQ, Prr>c-7^ stnnąc 7 boku.

Biblioteka Publiczna w Mońkach

Wypożyczalnia

Tom wykonał polecenie. Kiedy parkowaliśmy, moje zdenerwowanie przerodziło się w wyraźny niepokój. Tłumaczyłem sobie, że to zrozumiałe. Wciąż byłem zardzewiały po rekonwalescencji i nie przypuszczałem, że wezmę udział w śledztwie w sprawie morderstwa. Ale w głębi duszy wiedziałem, że nie o to chodzi.

–Jesteś pewien, że mogę tu być? – zapytałem. – Nie chciałbym nikomu nadepnąć na odcisk.

Tom zupełnie tym się nie przejmował.

–Nie martw się. Jeżeli ktoś zapyta, jesteś ze mną.

Wyszliśmy z samochodu. Powietrze miało świeży, czysty zapach, pełen naturalnego aromatu dzikich kwiatów i ilastej ziemi. Słońce późnego popołudnia przesączało się przez gałęzie. W jego świetle zielone pąki przypominały duże szmaragdy. Na tej wysokości, w cieniu drzew, było dość chłodno, dlatego idący naprzeciwko nas człowiek wyglądał dość dziwnie – pod krawatem i w garniturze. Ale marynarkę trzymał przerzuconą przez ramię, a na jasnoniebieskiej koszuli widniały

ciemne plamy potu. Twarz miał zaczerwienioną.

–Dzięki, że się zjawieś. – Uścisnął Tomowi rękę.

–Żaden problem, Dan. Poznaj doktora Davida Huntera. Odwiedza ośrodek. Zaproponowałem mu, żeby też przyjechał.

To nie zabrzmiało jak pytanie o zgodę. Mężczyzna odwrócił się do mnie. Był dobrze po pięćdziesiątce. Ogorzałą, zmęczoną twarz pokrywały głębokie zmarszczki. Siwiejące włosy miał krótko obcięte, przedziałek z boku zrobiony jak przy linijce.

Wyciągnął rękę. Jego uścisk był mocny, niemal wyzywający, skóra sucha, z odciskami.

–Dan Gardner. Agent specjalny. Miło pana poznać.

Domyśliłem się, że to odpowiednik starszego oficera dochodzeniowego w Wielkiej Brytanii. Mówił typowo dla ludzi z Tennessee – urywanie, trochę przez nos. Był zwodniczo spokojny i opanowany, ale wzrok miał ostry, oceniający.

–I co tu mamy? – Tom sięgnął po walizkę leżącą z tyłu samochodu.

–Poczekaj, ja wezmę. – Odebrałem mu bagaż. Mimo blizny bardziej mogłem dźwigać niż Tom. Tym razem nie zaprotestował.

Agent TBI ruszył z powrotem dróżką między drzewami.

–Zwłoki są w wynajętej chacie. Dziś rano znalazł je kierownik.

–Na pewno zabójstwo?

–O tak.

Nie rozwijał tematu. Tom zerknął na niego ze zdziwieniem, ale nie dociekał, skąd ta pewność.

–Jakieś dowody tożsamości?

–Portfel z kartami kredytowymi i prawem jazdy, ale nie wiadomo, czy należą do ofiary. Ciało uległo już takiemu rozkładowi, że fotografia na nic się nie przyda.

–Ile czasu mogło tu leżeć? – zapytałem bez zastanowienia. Gardner zmarszczył brwi, a ja przypomniałem sobie, że jestem tylko

do pomocy.

–Miałem nadzieję, że właśnie wy pomożecie nam to ustalić – odparł agent, zwracając się raczej do Toma niż do mnie. – Anatomopatolog jeszcze tam siedzi, ale niewiele ma nam do powiedzenia.

–A kto to taki? Scott? – spytał Tom.

–Nie, Hicks.

–Aha.

W reakcji Toma kryło się mnóstwo znaczeń i żadne nie było pochlebne. Ale teraz bardziej niepokoiłem się tym, że trochę zaczyna się męczyć, idąc pod górę.

–Chwileczkę. – Odstawiłem walizkę i udawałem, że poprawiam sznurowadło.

Gardner sprawiał wrażenie poirytowanego, ale Tom z ulgą oddychał głęboko, demonstracyjnie przecierając okulary. Popatrzył wymownie na pociemniałą od potu koszulę agenta.

–Nie obraż się, Dan, ale dobrze się czujesz? Wyglądasz... no, jakbyś miał gorączkę.

Gardner spojrzał na wilgotną koszulę, jakby widział ją pierwszy raz.

–Powiedzmy, że jest tam trochę ciepło. Sam zobaczysz. Ruszyliśmy dalej. Droga stała się płaska, kiedy drzewa rozstąpiły się,

odslaniając małą, trawiastą polanę ze zwirowaną, zachwaszczoną ścieżką. Odchodziły od niej inne dróżki, prowadzące do chat ledwo widocznych między drzewami. Ta, do której szliśmy, znajdowała się na drugim końcu polany, dość daleko od pozostałych. Ściany miała wyłożone gontem, już wyblakłym od wiatru, słońca i deszczu. Ścieżkę do drzwi wejściowych przegradzała jaskrawożółta taśma z dużymi, grubymi literami: „Linia policyjna. Nie przekraczać”. Wokół krzątały się różne ekipy.

Było to pierwsze miejsce przestępstwa, na którym znalazłem się w Stanach Zjednoczonych. Pod wieloma względami wyglądało typowo, ale drobne różnice nadawały mu trochę nierealny charakter. Przy chacie stała grupa techników kryminalistycznych TBI w białych kombinezonach. Wszyscy mieli zaczerwienione twarze i łąpczywie pili wodę z butelek. Gardner zaprowadził nas do miejsca, gdzie młoda kobieta w eleganckim kostiumie rozmawiała z tęgim mężczyzną. Jego łysa głowa lśniła jak wy-polerowane jajo. Był całkowicie pozbawiony włosów, nie miał nawet brwi ani rzęs. Wyglądał trochę jak niemowlę, a trochę jak gad.

Kiedy podeszliśmy, odwrócił się i na widok Toma rozchylił wąskie usta w uśmiechu, ale zupełnie pozbawionym radości.



**–Byłem ciekaw, kiedy się pojawisz, Lieberman.**

**–Wystartowałem, jak tylko dostałem telefon, Donaldzie – odparł uprzejmie Tom.**

**–Dziwię się, że w ogóle dzwonili. Powinieneś to poczuć aż w Knox-ville.**

**Zarechotał, nie przejmując się, że nikt inny nie uznał dowcipu za śmieszny. Domyśliłem się, że to Hicks, anatomopatolog wspomniany przez Gardnera. Młoda kobieta była szczupła, ale o muskulaturze lekkoatletki lub gimnastyczki. Jej wojskową postawę jeszcze bardziej podkreślały granatowa marynarka i spódnica oraz krótko ostrzyżone, ciemne włosy. Nie miała makijażu, ale wcale go nie potrzebowała. Tylko usta nie pasowały do tego surowego wyglądu – pełne, kształtne wargi sugerowały zmysłowość, której przeczyła cała reszta.**

**Ogarnęła mnie krótkim, beznamiętnym spojrzeniem szarych oczu, ale jednocześnie dokonała szybkiej oceny. Na tle lekko opalonej twarzy jej białka wręcz błyszcząły zdrowiem.**

**–Tom, to Diane Jacobsen – powiedział Gardner. – Właśnie wstąpiła do Zespołu Dochodzeń Terenowych. Po raz pierwszy pracuje przy sprawie zabójstwa. Chwaliłem cię i ośrodek, więc postaraj się mnie nie zawieść.**

**Podawała mi rękę, nie zwracając uwagi na tę próbę żartu. Na ciepły uśmiech Toma prawie nie odpowiedziała. Nie mogłem się zorientować, czy to naturalna rezerwa, czy po prostu za bardzo stara się być profesjonalna.**

**Hicks skrzywił się z irytacją, patrząc na Toma. Zorientował się, że go obserwuję, i z rozdrażnieniem kiwnął głową w moją stronę.**

**–A to kto?**

**Do tej pory traktował mnie jak powietrze.**

**–David Hunter – przedstawiłem się, chociaż pytanie nie było adresowane do mnie. Intuicyjnie wyczuwałem, że nie ma sensu wyciągać ręki.**

**–David tymczasowo pracuje z nami w ośrodku. Uprzejmie zgodził się mi pomóc – wyjaśnił Tom.**

**„Pracuje z nami” było przesadą, ale nie zamierzałem prostować jego niewinnego kłamstwa.**

**–Brytyjczyk? – zawołał Hicks, słysząc moją wymowę.**

**Diana znów ogarnęła mnie tak chłodnym spojrzeniem, aż się zaczerwieniłem.**

**–Wpuszczasz tu teraz turystów, Gardner? – dodał anatomopatolog.**

**Wiedziałem, że moja obecność może zjeżyć parę osób. Podobnie byłoby, gdyby ktoś obcy pakował się w dochodzenie w Wielkiej Brytanii. Mimo wszystko takie zachowanie działało mi na nerwy. Pamiętając, że jestem gościem Toma, powstrzymałem się od ciętej odpowiedzi. Kiedy wtrącił się Tom, Gardner wcale nie wyglądał na uszczęśliwionego.**

**–Doktor Hunter przyjechał tu na moje zaproszenie. Jest jednym z najlepszych antropologów sądowych w Wielkiej Brytanii.**

**Hicks parsknął z niedowierzaniem.**

**–Chcesz powiedzieć, że nie mamy dość własnych?**

**–Chcę powiedzieć, że cenię jego kompetencje – odparł spokojnie Tom. – A teraz może weźmy się do roboty.**

**Hicks wzruszył ramionami.**

**–Bardzo proszę. Oddaję ci denata z najserdeczniejszymi życzeniami – powiedział z przesadną uprzejmością i pomaszerował w kierunku samochodów.**

**Tom i ja zostawiliśmy agentów TBI przed chatą i podeszliśmy do stołu na krzyżakach, na którym porozkładano pudła z jednorazowymi kombi-nizonami, rękawiczkami, butami i maskami. Oczekałem, aż znajdziemy się na tyle daleko, że nikt nas nie usłyszy.**

**–Tom, może to nie był najlepszy pomysł. Poczekam w samochodzie.**

**Uśmiechnął się.**

**–Nie zwracaj uwagi na Hicksa. Pracuje w prosektorium w Ośrodku Medycznym UT, dlatego od czasu do czasu nasze drogi się krzyżują. Nie-nawidzi, kiedy musi się do nas zwracać o pomoc. Częściowo to zawodowa zazdrość, ale generalnie ten facet to dupek.**

**Próbował mnie uspokoić, mimo to czułem się niezręcznie. Przywy-kiłem do przebywania na miejscu zbrodni, ale tu bardzo wyraźnie byłem obcy.**

**–Sam nie wiem... – zacząłem.**

**–Daj spokój, Dave. Wyświadczysz mi przysługę. Naprawdę. Ustąpiłem, ale wątpliwości zostały. Wiedziałem, że powinienem być**

**wdzięczny Tomowi, bo niewielu brytyjskich specjalistów od medycyny sądowej**

miało okazję pracować w Stanach. Tak czy inaczej, czułem się bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek dotąd. I nie mogłem przypisywać tego wrogości Hicksa, kiedyś zniósłbym o wiele gorsze zachowanie. Nie, tu chodziło o mnie. Miałem wrażenie, że w ostatnich miesiącach razem ze wszystkim innym straciłem także pewność siebie. Weź się w garść. Nie możesz zawieść Toma.

Gardner podszedł do stołu, kiedy rozrywaliśmy plastikowe worki z kombinezonami.

–Lepiej rozbierzcie się do majtek, zanim to włożycie. Tam jest dość gorąco.

Tom parsknął.

–Nie obnażałem się publicznie od czasów szkoły i teraz nie zamierzam zaczynać.

Gardner wzruszył ramionami.

–Potem nie mów, że cię nie ostrzegłem.

Nie podzielałem wstydu Toma, mimo to poszedłem za jego przykładem. 1 bez rozbierania się do gatek czułem się wystarczająco skrępowany. Poza tym była dopiero wiosna, a słońce zachodziło. Jak gorąco może być w chacie?

Gardner grzebał między pudłami, aż w końcu znalazł słoik z maścią mentolową. Nałożył grubą warstwę pod nosem, potem podał słoik Tomowi.

–Będzie ci potrzebna.

–Nie, dziękuję. Mój zmysł powonienia już trochę się stępił. Gardner bez słowa podał mi słoik. W innych okolicznościach też bym

nie skorzystał. Podobnie jak Tom, dobrze znałem odor rozkładu i po tygodniu spędzonym w ośrodku zdążyłem już do niego przywyknąć. Wziąłem jednak słoik i wtarłem aromatyzowaną wazelinę nad górną wargę. Oczywiście natychmiast zaczęły mi łzawić od ostrego zapachu. Odetchnąłem głęboko, starając się uspokoić rozdygotane nerwy. Co się, u diabła, z tobą dzieje? Zachowujesz się, jakby to był twój pierwszy raz.

Czekałem, aż Tom się przygotowuje. Słońce grzało mnie w plecy. Wiśsiało nisko, oślepiające, potem otarło się o wierzchołki drzew. Jutro rano znów się pojawi, bez względu na to, co się tu stało, pomyślałem.

Tom zasunął zamek błyskawiczny kombinezonu i uśmiechnął się do mnie radośnie.

–Zobaczmy, co tam mamy.

Naciągając lateksowe rękawiczki, ruszyliśmy zarośniętą ścieżką do chaty.

### Rozdział 3

–Drzwi były zamknięte. Gardner się zatrzymał. Marynarkę zostawił przy pudłach z kombinezonami. Teraz założył plastikowe ochraniacze na buty i rękawiczki. Na twarz naciągnął białą maskę chirurgiczną. Zanim otworzył drzwi, zrobił głęboki wdech. Weszliśmy do środka.

Widziałem ludzkie zwłoki w najrozmaitszym stanie. Wiedziałem, jak bardzo śmierdzą różne etapy rozkładu, i nawet potrafiłem je rozróżnić. Miałem do czynienia z ciałami spalonymi do kości albo zmienionymi w mydlany śluz po tygodniach leżenia w wodzie. Widok nigdy nie był przyjemny, ale to stanowiło nieodłączną część mojej pracy i myślałem, że jestem już na wszystko uodporniony.

Ale nigdy dotąd nie spotkałem się z czymś takim. Odór był niemal namacalny. Mdląco słodki, serowy smród rozkładającego się ciała, jakby wydestylowany i skoncentrowany. Przebijał się przez mentol pod moim nosem. W chacie aż roilo się od much, ale to drobiazg w porównaniu z gorącem.

W chacie było jak w saunie.

Tom się skrzywił.

–Dobry Boże...

–Mówiłem, żebyś się rozebrał do majtek przypominał Gardner. Pokój był mały i oszczędnie umeblowany. Kiedy weszliśmy, kilka

osób z sądówki przerwało swoje zajęcia i zerknęło w naszą stronę. W oknach po obu stronach drzwi podniesiono żaluzje, żeby wpadało dzienne światło. Na podłodze z czarnych desek leżały chodniki. Nad kominkiem wisiała para zakurzonych jelenich rogów, druga ozdabiała ścianę nad brudnym zlewem, kuchenką i lodówką. Pozostałe meble: telewizor, sofa i fotele, niedbale zepchnięto na boki. Na środku został tylko nieduży stół. Na nim leżały na wznak nagie zwłoki.

Ręce i nogi zwisały z blatu. Tors napęczniały od gazów przypominał pęknięty, mocno wypchany worek żeglarski. Spadały z niego robaki, tak

wiele, że przypominały kipiące mleko. Przy stole stał elektryczny grzejnik; wokół jego trzech rozpalonych do czerwoności spiral falowało powietrze. Kiedy im się przyglądałem, robak spadł na spiralę i zniknął ze skwierczeniem.

Było jeszcze krzesło z twardym oparciem, ustawione przy głowie ofiary. Wyglądało zwyczajnie, tylko... dlaczego tam stało? Ktoś chciał dobrze widzieć, co robi.

Żaden z nas nie ruszył się od drzwi. Nawet Tom sprawiał wrażenie zaskoczonego.

**–Nic nie zmienialiśmy – oznajmił Gardner. – Pomyślałem, że sami zechcecie zarejestrować temperaturę.**

**Punkt dla niego. Temperatura była ważnym czynnikiem przy ustalaniu czasu zgonu, ale niewielu śledczych o tym by pomyślało. Jednak w tym przypadku wolałbym, żeby nie wykazywał się taką skrupulatnością. Połączenie gorąca i smrodu powalało.**

**Tom z roztargnieniem kiwnął głową. Uważnie wpatrywał się w zwłoki.**

**–Możesz uczynić ten zaszczyt, Dave?**

**Postawiłem walizkę na podłodze i otworzyłem wieko. Tom od lat wciąż miał ten sam sfatygowany sprzęt, wszystkie narzędzia mocno zużyte i starannie włożone na swoje miejsce. Ale chociaż w głębi duszy był tradycjonalistą, doceniał także zalety nowej techniki. Zachował rtęciowy termometr – elegancki, z dmuchanego szkła i ręcznie obrobionej stali – ale obok leżał nowy, cyfrowy. Włączyłem go i patrzyłem, jak szybko rośnie odczyt na ekranie.**

**–Długo tu będziecie? spytał Tom Gardniera. spoglądając na ludzi w białych kombinezonach.**

**–Jeszcze trochę. Dla nich jest za gorąco. Jeden z agentów już mi zeźmiał.**

**Tom pochylał się nad zwłokami z różnych stron, dokładnie omijając zaschniętą krew na podłodze. Poprawił okulary.**

**–Masz już temperaturę, Dave? Sprawdziłem odczyt. Zaczynałem się pocić.**

**–Czterdzieści trzy i pół.**

**–Czy teraz możemy już wyłączyć ten cholerny piecyk? – zapytał technik, wielki facet z brzuchem jak beczka wypychającym kombinezon. Widoczna spod chirurgicznej maski część jego twarzy była czerwona i spocona.**

**Spojrzałem na Toma. Skinął głową.**

**–Można też otworzyć okna. Wpuśćmy tu trochę powietrza.**

**–Dzięki ci, słodki Boże. – Grubas sapnął i wyłączył piecyk. Spirale zaczęły ciemnieć. Otworzono na oścież okna. Rozległy się**

**westchnienia i pomruki ulgi.**

**Podszedłem do Toma, który w skupieniu obserwował ciało.**

Gardner nie przesadzał. Bez wątpienia – zabójstwo. Końcyny ofiary zostały ściągnięte w dół i umocowane taśmą do nóg stołu. Skóra była napięta jak na bębnie i ciemna jak po wygarbowaniu, co wcale nie świadczyło o przynależności etnicznej. Jasna skóra ciemnieje po śmierci, natomiast ciemna często jaśnieje, i w efekcie trudno na tej podstawie orzekać o pochodzeniu denata. Bardziej znaczące były szczeliny. W czasie rozkładu, kiedy ciało rozdymają gazy, skóra pęka. Ale te zwłoki wyglądały dziwnie. Zasnęta krew oblepiała stół i pokryła czarnymi plamami chodnik. Musiała pochodzić z otwartej rany lub ran, a więc przynajmniej część uszkodzeń epidermy powstała za życia ofiary. To wyjaśniałoby liczbę larw much plujek, ponieważ składały jaja w każdym możliwym otworze.

Mimo wszystko nigdy wcześniej nie widziałem tyle robaków w jednym ciele. Zawłaszczyły oczy, nos, usta i genitalia, usuwając wszelkie pozostałości, które pomogłyby ustalić płeć ofiary.

Mimowolnie patrzyłem, jak wiją się w ziejącej szczelinie na brzuchu, a skóra wokół niej porusza się jak żywa. Odruchowo przesunąłem dłoń po własnej bliźnie.

–Davidzie? Dobrze się czujesz? – zapytał łagodnie Tom. Z wysiłkiem odwróciłem wzrok.

–Świetnie – oznajmiłem i zacząłem wyjmować z walizki słoiczki na próbki.

Popatrzył badawczo, ale nie skomentował mojej odpowiedzi, tylko zwrócił się do Gardnera:

–Co wiemy?

–Niewiele. – Głos Gardnera tłumiała maska. – Zabójca działał bardzo metodycznie. Żadnych odcisków butów w plamach krwi, poruszał się ostrożnie, uważał, gdzie stawia stopy. Chata została wynajęta w ubiegły czwartek przez kogoś, kto przedstawił się jako Terry Loomis. Żadnego rysopisu. Rezerwacja i płatność kartą kredytową dokonana telefonicznie. Męski głos, miejscowa wymowa. Facet poprosił, żeby zostawić klucz pod wycieraczką przy drzwiach chaty. Powiedział, że przyjedzie późno.

–Sprytne – stwierdził Tom.

–Bardzo. Nikt nie przejmował się papierkami, dopóki było płacowe. Okres wynajmu skończył się dziś rano, ale klucz nie został zwrócony, dlatego kierownik przyszedł sprawdzić, czy niczego nie brakuje. Chociaż trudno zrozumieć, o co się tak martwił – dodał, rozglądając się po nędznie wyposażonym wnętrzu.

Ale Tom nie zwracał na to uwagi.

**–Chata była wynajęta dopiero od ubiegłego czwartku? Jesteś pewien?**

**–Tak powiedział kierownik. Datę potwierdzają wpis do rejestru i po-kwitowanie z karty kredytowej.**

**Tom zmarszczył brwi.**

**–Niemożliwe. To przecież zaledwie pięć dni temu.**

**Myślałem o tym samym. Rozkład był zdecydowanie za bardzo za-awansowany jak na tak krótki okres. Ciało, w którym zaczęły się procesy fermentacyjne i gnilne, już miało serowatą konsystencję, a skóra zsuwała się jak pomarszczony garnitur. Piecyk elektryczny oczywiście mógł przy-spieszyć ten proces, ale to z kolei nie wyjaśniało skali aktywności larw. Nawet przy najsilniejszym grzaniu i wilgotności panującej w lecie w Ten-nessee osiągnięcie tego stadium trwałoby około siedmiu dni.**

**–Kiedy znaleziono zwłoki, drzwi i okna były zamknięte? – zapyta-łem Gardnera bez zastanowienia. To tyle, jeżeli chodzi o siedzenie cicho.**

**Wydał wargi z niezadowoloną miną, ale odpowiedział.**

**–Drzwi zamknięte na zamek. Żaluzje opuszczone.**

**Odgoniłem muchy od twarzy. Jeszcze nie zdążyłem się do nich przy-zwyczajić.**

**–Duża aktywność owadów, jak na zamknięte pomieszczenie – zwró-ciłem się do Toma.**

**Kiwnął głową. Starannie zdjął pincetą robaka z ciała i podniósł go do światła.**

**–Co o tym sądzisz?**

**Popatrzyłem z bliska. U much występują trzy stadia larwalne, zwane wylinkami, w czasie których larwy robią się coraz większe.**

**–Trzecia wylinka – stwierdziłem. Larwa miała więc przynajmniej sześć dni, a prawdopodobnie więcej.**

**Tom kiwnął głową i wrzucił robaka do słoiczka z formaldehydem.**

**–Niektóre zaczęły się już przepoczwarzać, czyli od śmierci minęło sześć albo siedem dni.**

**–Ale nie pięć – powiedziałem. Znów przesunąłem dłoń w stronę brzucha. Cofnąłem ją. Daj spokój, skup się. Z wysiłkiem skoncentrowa-łem się na zwłokach. – Mógł zostać zabity gdzie indziej i przywieziony tu martwy.**

Tom się zawahał. Dwie osoby w białych kombinezonach wymieniły spojrzenia i natychmiast uświadomiłem sobie swój błąd. Poczułem, jak piecze mnie twarz. Palnąłem niezłą głupotę.

–Jeżeli ofiara jest już martwa, nie ma potrzeby mocować jej rąk i nóg do stołu – skomentował potężny technik.

–Może trupy w Anglii są bardziej ruchliwe niż tutaj – dorzucił z poważną miną Gardner.

Rozległy się śmiechki. Zaczerwieniłem się jeszcze bardziej. Ty idioto. Co się z tobą dzieje?

Tom zamknął wieczko z preparatem. Twarz miał całkowicie beznaśmiętną.

–Jak sądzisz, ten Loomis to ofiara czy zabójca? – zapytał Gardnera.

–W portfelu znaleźliśmy prawo jazdy Loomisa i jego karty kredytowe, poza tym ponad sześćdziesiąt dolarów gotówką. Sprawdziliśmy: wiek trzydzieści sześć lat, biały, zatrudniony jako urzędnik w firmie ubezpieczeniowej w Knoxville. Nieżonaty, mieszkał samotnie i od kilku dni nie pojawiał się w pracy.

Do chaty weszła Jacobsen. Tak jak inni miała kombinezon, ochraniające na butach i rękawiczki; nawet w tym wyglądała niemal elegancko. Nie założyła maski; blada stanęła przy starszym agencie.

–A więc, o ile zabójca nie zarezerwował chaty na swoje nazwisko i nie zostawił nam uprzejmie swoich dokumentów, najbardziej prawdopodobna jest wersja, iż ten tutaj to albo Loomis, albo jeszcze jakiś inny mężczyzna – stwierdził Tom.

–Na to wygląda – przytaknął Gardner. Przerwał, bo w drzwiach pojawił się agent.

–Ktoś chce się z panem zobaczyć.

–Zaraz wrócę – powiedział Tomowi Gardner i wyszedł. Jacobsen została. Wciąż była blada, ale mocno skrzyżowała ręce na

piersiach, jakby to pomogło jej opanować wszelką słabość.

–Skąd pan wie, że to mężczyzna? – Odruchowo zerknęła na kipiące kłębowisko w kroczu, ale szybko odwróciła wzrok. – Nie widzę niczego, co określałoby płeć.

Mówiła z niezbyt silnym akcentem, ale wystarczająco wyraźnym, żeby się zorientować, że nie pochodzi stąd. Popatrzyłem na Toma, ale był zaabsorbowany zwłokami. Albo udawał.



**–Cóż, poza rozmiarami... – zacząłem.**

**–Nie wszystkie kobiet są drobne.**

**–Owszem, ale niewiele jest tak wysokich. I nawet duża kobieta miałyby bardziej delikatną strukturę kostną, zwłaszcza czaszki. To...**

**–Wiem, co to czaszka. O Boże, ale drażliwa.**

**–...to zazwyczaj dobra wskazówka przy określaniu płci – dokończyłem.**

**Uniosła brodę, jakby chciała jeszcze mocniej podkreślić swój upór, ale powstrzymała się od komentarza. Tom, który badał szeroko otwarte usta, wyprostował się.**

**–Spójrz na to, Davidzie.**

**Odsunął się, gdy podszedłem. Większość tkanki miękkiej twarzy zniknęła, w oczodołach i jamie nosowej widać się masa robaków. Zęby były niemal całkowicie odsłonięte, a w miejscu gdzie znajdowały się dziąsła, normalnie kremowa zębina miała zdecydowanie czerwony odcień.**

**–Różowe zęby – stwierdziłem.**

**–Widziałeś już coś takiego? – spytał Tom.**

**–Raz albo dwa. – Ale nie więcej. I nie w takiej sytuacji. Jacobsen słuchała naszej rozmowy.**

**–Różowe zęby?**

**–Taki odcień daje hemoglobina z krwi wtłoczonej do zębiny – wyjaśniłem. – Zęby pod szkliwem stają się różowawe. Czasami widzi się to u ofiar utonięcia, które jakiś czas pływają twarzą w dół.**

**–Nie przypuszczam, żebyśmy mieli tu do czynienia z topielcem -oznajmił Gardner, wchodząc do chaty.**

**Był 7 nim jeszcze jeden mężczyzna, ale nie wyglądał mi na policjanta albo agenta TBI. Około czterdziestu pięciu lat, nie tęgi, ale dobrze odżywiony. Miał na sobie spodnie khaki, lekką zamszową kurtkę i bladoniebieską koszulę. Jego pulchne policzki pokrywała długa szczecina.**

**Zachowywał się demonstracyjnie swobodnie, a przez to zbyt sztucznie, zupełnie jakby stylizował się na modela. Ubranie dobrze skrojone i drogie, koszula rozpięta o jeden guzik za dużo, zarost i włosy starannie wypielęgnowane.**

Wręcz biła od niego pewność siebie. Nie przestał nonszalancko się uśmiechać, nawet kiedy zobaczył zwłoki przywiązane do stołu.

Gardner zdjął maskę, może przez szacunek dla przybysza, który też jej nie nosił.

–Profesorze Irving, chyba nie poznał pan jeszcze Toma Liebermana, prawda?

Mężczyzna obdarował swoim uśmiechem Toma.

–Nie, nasze drogi jeszcze się nie przecięły. Proszę wybaczyć, że nie podaję ręki. – Teatralnie pokazał rękawiczki.

–Profesor Irving jest psychologiem. Sporządza profil osobowości sprawców przestępstw. Współpracował z TBI przy kilku śledztwach – wyjaśnił Gardner. – Chcieliśmy się zorientować, jak to wygląda z psychologicznego punktu widzenia.

Irving uśmiechnął się ironicznie.

–Prawdę mówiąc, wolę nazywać się behawiorystą. Ale nie będę spierać się o nazwy.

Właśnie to zrobiłeś. Kazałem sobie nie wyładowywać na nim swoich nastrojów.

Uśmiech Toma był wprawdzie beznamiętny, ale chyba wychwyciłem w nim chłód.

–Miło mi pana poznać, profesorze Irving. A to mój przyjaciel, doktor Hunter – dodał, nadrabiając zaniedbanie Gardnera.

Irving uprzejmie kiwnął mi głową, ale było oczywiste, że nie pojawiłem się na jego radarze. Teraz zwrócił uwagę na Jacobsen i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

–Chyba nie dosłyszałem pani nazwiska.

–Diane Jacobsen. – Sprawiała wrażenie podenerwowanej i kiedy wyśsunęła się do przodu, wyglądało na to, że jej opanowanie lada chwila się ulotni. – Miło mi pana poznać, profesorze Irving. Czytałam wiele pańskich prac.

Psycholog zaprezentował w uśmiechu nienaturalnie białe i równe zęby.

–Mam nadzieję, że zasłużyły na pani dobrą ocenę. Proszę mówić mi Alex.

–Diane przed wstąpieniem do TBI robiła specjalizację z psychologii – wtrącił Gardner.

Irving uniósł brwi.

–Doprawdy? W takim razie muszę szczególnie uważać, żeby się nie skompromitować. – Omal nie pogłaskała jej po głowie. Kiedy zaczął przyglądać się zwłokom, uśmiech ustąpił miejsca grymasowi obrzydzenia. – Miewał lepsze chwile, co? – Pokręcił nosem. – Mógłbym prosić jeszcze trochę mentolu?

Prośba nie była skierowana do nikogo konkretnego. Po chwili jakaś kobieta, technik kryminalistyczny niechętnie wyszła na dwór. Irving złożył palce w daszek i słuchał informacji Gardnera. Kiedy technik wróciła, psycholog wziął od niej mentol bez podziękowania, starannie rozsmarował go nad górną wargą, potem wyciągnął rękę z pojemnikiem, czekając, by kobieta odebrała maść.

Zrobiła to dopiero po chwili.

–Do usług – mruknęła.

Jeżeli Irving dosłyszał ironię w jej głosie, nie dał tego po sobie poznać. Tom spojrział na mnie z rozbawieniem, wziął z walizki kolejny słoiczek i podszedł do zwłok.

–Wolałbym, aby pan poczekał, aż skończę – odezwał się Irving, nie patrząc na niego, zupełnie jakby uznał za pewnik, że wszyscy podporządkują się jego życzeniom.

Dostrzegłem błysk irytacji w oczach Toma i przez chwilę myślałem, że coś odpowie. Ale zanim zdążył to zrobić, przez jego twarz przebiegł nagły skurcz. Zniknął tak szybko, że może uznałbym, że mi się tylko zdało, gdyby nie bladeść.

–Odetchnę świeżym powietrzem. Za gorąco tu dla mnie – oznajmił

Tom.

Chwiał się lekko, idąc w stronę drzwi. Ruszyłem za nim, ale pokręcił głową.

–Nie, zostań! Kiedy profesor Irving skończy, zacznij robić zdjęcia. Tylko napiję się trochę wody.

–W lodówce pod stołem jest kilka butelek – powiedział Gardner.

Z niepokojem patrzyłem, jak Tom wychodzi, ale najwyraźniej nie chciał robić zamieszania. Był odwrócony tyłem do wszystkich, oprócz mnie i Irvinga, więc raczej nikt się nie zorientował, że coś jest nie w porządku, a psycholog i tak nie zwracał na nic uwagi. Podpierając dłońią brodę i słuchając dalszych wyjaśnień Gardnera, uważnie wpatrywał się w denata. Kiedy agent TBI skończył, Irving nie poruszył się i nie odezwał. Nadal tkwił w pozie głębokiego skupienia. „Poza” to właściwe słowo. Skarciłem się w myślach za złośliwość.

**–Oczywiście zdajecie sobie sprawę, że to seria? – Wreszcie się**

**ocknął.**

**Gardner zrobił zboląłą minę.**

**–No, nie wiadomo.**

**Irving uśmiechnął się protekcjonalnie.**

**–Och, wiadomo. Proszę spojrzeć na ułożenie ciała. Zostało wyeksponowane, żebyśmy właśnie tak je znaleźli. Rozebrane, związane i najprawdopodobniej torturowane. A potem zostawione twarzą do góry. Ani śladu wstydu czy żalu, próby zasłonięcia ofierze oczu albo odwrócenia twarzy. Nic! Czyste wyrachowanie i przyjemność w dokonywaniu zbrodni. Był zadowolony z tego, co zrobił, dlatego chciał, żebyście to zobaczyli.**

**Gardner przyjął wiadomość z rezygnacją. Musiał już sam się tego domyślić.**

**–A więc zabójca jest mężczyzną?**

**–Oczywiście. – Irving roześmiał się, jakby Gardner opowiedział dowcip. – Poza tym był najwyraźniej silny. Myśli pan, że kobieta zdołałaby zrobić coś takiego?**

**Zdziwiłbyś się, do czego niektóre są zdolne. Zaczęła mnie swędzieć szrama.**

**–Widzimy tu ogromną arogancję – ciągnął Irving. – Zabójca na pewno wiedział, że znajdziemy ciało. Mój Boże, nawet zostawił portfel, żebyśmy mogli zidentyfikować ofiarę. To nie jest pojedynczy wyskok. Facet dopiero się rozkręca.**

**Odniosłem wrażenie, że taka perspektywa cieszy psychologa.**

**–Może portfel nie należy do ofiary – zasugerował Gardner bez przekonania.**

**–Ależ oczywiście, że należy. Zabójca działał zbyt metodycznie, żeby zostawić własny. Założę się, że sam zarezerwował chatę. Z pewnością nie znalazł się w niej przypadkiem. Wszystko dokładnie zaplanował, wyreżyserował. Najpierw rozpoznał teren, potem sprowadził ofiarę. W to miłe, odosobnione miejsce, gdzie mógł ją do woli torturować.**

**–Skąd pewność, że ofiara była torturowana? – odezwała się Jacobsen po raz pierwszy od dłuższej chwili.**

**Zdawało się, że psycholog dobrze się bawi.**

**–A po co przywiązywałby ją do stołu? Ten człowiek nie został tylko skrupowany, ale**

rozpięty jak na krzyżu. Zabójca chciał działać bez pośpiechu, cieszyć się zbrodnią. Chyba nie uda się sprawdzić, czy są ślady nasienia albo ataku seksualnego.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że psycholog czeka na moją reakcję.

–Nie uda się; za daleko posunięty rozkład.

–Szkoda. – Zabrzmiało to tak, jakby nie dostał zaproszenia na bankiet. – Ale sądząc z ilości krwi na podłodze, nie ulega wątpliwości, że rany

zostały zadane, kiedy ofiara jeszcze żyła. Poza tym okaleczenie genitaliów jest bardzo znaczące, prawda?

–Niekoniecznie – odezwałem się odruchowo. – Muchy plujki składają jaja przy każdym otworze w ciele, w kroczu też. Aktywność owadów nie oznacza, że jest tam rana. Będziemy musieli przeprowadzić pełne oględziny, żeby to ustalić.

–Doprawdy? – Uśmiech Irvinga zastygł. – Ale przyzna pan, że krew skądś pochodzi. A może pod stołem jest rozlana kawa?

–Zwracałem tylko uwagę, że... – zacząłem, ale Irving już nie słuchał. Ze złością zamknąłem usta, kiedy odwrócił się do Gardnera i Jacobsen.

–Mamy skrupowaną i nagą ofiarę, nad którą zabójca najprawdopodobniej się znęcał. Pozostaje pytanie, czy rany są wynikiem wściekłości po odbytym stosunku, czy też przejawem niezaspokojenia napięcia seksualnego. Innymi słowy, czy morderca zadał je, bo zrobił, co chciał, czy dlatego że nie zrobił.

Jego słowa przyjęto w milczeniu. Nawet zespół techniczny przerwał pracę i słuchał.

–Uważa pan, że zabójstwa dokonano na tle seksualnym? – zapytała po chwili Jacobsen.

Irving udał zdziwienie. Moja niechęć do niego podskoczyła o jedną kreskę.

–Ofiarę zostawiono nagą! Przepraszam, ale sądziłem, że wniosek jest oczywisty. Pozostaje kwestia ran. Mamy do czynienia z kimś, kto nie zaspokaja popędu seksualnego albo nie znosi go i wyładowuje obrzydzenie do samego siebie na swojej ofierze. W każdym razie nie jest jawnym homoseksualistą. Może mieć żonę, być ostoją społeczeństwa, nawet chwalić się swoim powodzeniem u kobiet. Ta osoba nienawidzi siebie, a tę nienawiść wyładowuje na ofiarach.

Twarz Jacobsen była zupełnie bez wyrazu.

–Ale wcześniej powiedział pan, że zabójca był dumny z tego, co zrobił. Nie

przejawiał wstydu ani żalu.

–Tak, ale to dotyczy samego zabójstwa. Wtedy prężył muskuły, starał się przekonać wszystkich, włącznie z samym sobą, że jest wielki i twardy. Jednak przyczyna agresji to zupełnie odrębna kwestia. Tego właśnie się wstydzi.

–Mogą być inne powody, dlaczego ofiara jest naga – stwierdziła Jacobsen. – Na przykład chodziło o upokorzenie albo chęć sprawowania kontroli.

–Tak czy inaczej, kontrola zazwyczaj sprowadza się do seksu. – Irving uśmiechnął się, ale wyraźnie czuł się trochę przyparty do muru. – Geje rzadko są seryjnymi zabójcami, ale i tak się zdarza. Uważam, że właśnie z takim przypadkiem mamy do czynienia.

Jacobsen nie zamierzała się wycofać.

–Nie wiemy wystarczająco dużo o motywach zabójcy, żeby...

–Proszę wybaczyć, ale czy ma pani duże doświadczenie w sprawach seryjnych zabójstw? – W uśmiechu Irvinga był już lód.

–Nie, ale...

–W takim razie może oszczędzi mi pani psychologii w wersji pop? Tym razem nawet się nie silił na uśmiech. Jacobsen nie zareagowała,

ale dwie czerwone plamy na policzkach zdradzały jej emocje. Współczułem młodej agentce. Może była szczerą aż do bólu, ale nie zasługiwała na takie potraktowanie.

Zapadła niezręczna cisza. Przerwał ją dopiero Gardner.

–A czy uważa pan, że zabójca znał ofiarę?

–Może tak, może nie. – Irving najwyraźniej stracił zainteresowanie sprawą. Nerwowo szarpał kołnierzyk koszuli; jego zaczerwienioną krągłą twarz pokrywały krople potu. Po otwarciu okna w chacie zrobiło się trochę chłodniej, ale wciąż panował upiorny upał. – Już skończyłem. Będę potrzebował kopii protokołów sekcji, zdjęć i wszelkich informacji o ofierze, jakie zdołacie zebrać. – Odwrócił się do Jacobsen z uśmiechem, który pewnie uważał za ujmujący. – Mam nadzieję, że nie zraziła pani nasza drobna różnica zdań. Może przedyskutowalibyśmy ją dokładniej przy drinku?

Jacobsen spojrzała na niego tak, że raczej nie powinien liczyć na wspólną pogawędkę. Jeżeli usiłował ją oczarować, tracił czas.

Po wyjściu Irvinga zapanowała swobodniejsza atmosfera. Poszedłem wyjąć z walizki

**Toma aparat fotograficzny. Kardynalną zasadą było robienie własnych zdjęć, niezależnie od techników. Ale zanim zacząłem, jeden z agentów zawołał:**

**–Chyba coś mam.**

**To ten wielki facet. Klęczał przy sofie, starając się pod nią sięgnąć. W końcu zaskakująco delikatnie wyjął mały, szary cylinder.**

**–Co to takiego? – zapytał Gardner.**

**–Wygląda jak kasetka na film – odparł zdyszany. – Z aparatu mało-obrazkowego. Musiała się tam potoczyć.**

**Popatrzyłem na trzymany aparat cyfrowy, taki sam, jakim posługuje się teraz większość techników.**

**–Czy ktoś jeszcze używa filmów? – zapytała agentka, która przynosiła Irvingowi mentol.**

**–Tak, zacofańcy i puryści – odparł znalazca kasety. – Mój kuzyn uważa, że nie ma nic lepszego.**

**–Też fotografuje piękne dziewczyny, jak ty, Jerry? – zapytała kobieta, wywołując ogólny śmiech.**

**Ale wyraz twarzy Gardniera się nie zmienił.**

**–Jest coś w środku? Technik zdjął wieczko.**

**–Nic, oprócz powietrza. Ale zaraz... – Podniósł lśniący cylinder do światła i obejrzał go dokładnie.**

**–No i co? – ponaglił go Gardner.**

**Chociaż agent Jerry miał maskę na twarzy, widziałem, że się szeroko uśmiecha. Pomachał kasetką.**

**–Nie dam ci fotografii. Ale czy zamiast nich może być śliczny, tłuszciki odcisk palca?**

**Gdy Tom odwoził nas do Knoxville, słońce zachodziło. Droga wiała się między stromymi, zalesionymi stokami, które przesłaniały resztki światła, dlatego tutaj panowała ciemność, chociaż niebo wciąż było błękitne. Tom włączył światła i noc nagle zamknęła się wokół nas.**

**–Coś taki cichy? – odezwał się po jakimś czasie.**

**–Po prostu myślę.**

**–Aha...**

**Kiedy wrócił do chaty, poczułem ulgę, bo wyglądał znacznie lepiej. Dość gładko dokończyliśmy pracę. Sfotografowaliśmy ciało, zrobiliśmy szkice ułożenia, wzięliśmy próbki tkanek. Dzięki analizie aminokwasów i lotnych kwasów tłuszczowych uwalnianych z chwilą rozpadu komórek mogliśmy zawęzić czas zgonu do dwunastu godzin. Na razie wszystko wskazywało na to, że ofiara nie żyła przynajmniej od sześciu, a najprawdopodobniej siedmiu dni. A jednak, według Gardnera, chatę wynajęto na pięć dni. Coś tu nie grało, i chociaż trochę straciłem wiarę we własne umiejętności, jednego byłem pewien: natura nie kłamie.**

**Uświadomiłem sobie, że Tom czeka na moją odpowiedź.**

**–Nie bardzo się tam popisałem, co?**

**–Nie bądź dla siebie zbyt surowy. Wszyscy popełniają błędy.**

**–Ale nie takie. Wszedłem na amatora. Zupełnie nie pomyślałem.**

**–Daj spokój, Davidzie, to nic wielkiego. Poza tym możesz mieć rację. Z tym czasem zgonu jest coś nie tak. Wcale niewykluczone, że do chaty przyniesiono już martwą ofiarę. A ciało przywiązano do stołu, aby upozorować, że zabójstwa dokonano właśnie tam.**

**Bardzo chciałem w to uwierzyć, ale nie mogłem.**

**–To by znaczyło, że całe miejsce zbrodni zostało zaaranżowane, łącznie z pochłapaniem krwią podłogi. I każdy na tyle sprytny, aby wszystko tak dobrze urządzić, wiedziałby, że nie damy się oszukać. A więc po co?**

**Droga sunęła między milczącymi ścianami drzew; gałęzie ostro rysowały się w świetle reflektorów.**

**–Co sądzisz o teorii Irvinga? – zapytał po chwili.**

**–Chodzi ci o tezę, że to początek serii, czy o tę z seksualnym motywem zbrodni?**

**–O obie.**

**–Może mieć rację w sprawie seryjnego zabójcy – powiedziałem. Większość morderców stara się ukryć swoje zbrodnie i nie wystawia zwłok ofiar na pokaz. Dlatego ten przypadek wskazywał na nietypowego zabójcę, o zupełnie innym programie działania.**



**–A cała reszta?**

**–Nie wiem. Irving jest dobry w tym, co robi, ale... – Wzruszyłem ramionami. – Cóż, sądzę, że zbyt pochopnie wyciąga wnioski. Widzi raczej to, co chce zobaczyć, a nie co jest naprawdę.**

**–Niektórzy mogą tak samo myśleć o nas.**

**–Ale my przynajmniej opieramy się na materialnych dowodach. Au Irvinga jest straszne dużo spekulacji.**

**–Chcesz powiedzieć, że nigdy nie kierowałeś się instynktem?**

**–Może się kierowałem, ale nie pozwalałem, żeby dominował nad**

**faktami. Podobnie jak ty. Uśmiechnął się.**

**–Kiedyś już prowadziliśmy podobną dyskusję. I oczywiście nie twierdzę, że powinniśmy zbyt po polegać na instynkcie. Ale stosowany z rozwagą jest kolejnym narzędziem do dyspozycji. Mózg to tajemniczy narząd, czasami wychwytuje coś, czego sobie nie uświadamiamy. Masz dobry instynkt, Dave. Powinieneś mu bardziej ufać.**

**Po wpadce w chacie miałem zupełnie inne zadanie. Ale nie chciałem, żebyśmy zaczęli dyskutować o mnie.**

**–Podejście Irvinga było subiektywne. Wręcz pragnął, aby zabójca okazał się osobnikiem z tłumionym popędem homoseksualnym, żeby to było coś fajnego i sensacyjnego. Odniosłem wrażenie, że już planuje następny artykuł.**

**Tom się roześmiał.**

**–Raczej następną książkę. Kilka lat temu trafił na listy bestsellerów i od tamtej pory jest gadającą głową do wynajęcia przez każdą stację telewizyjną gotową zapłacić honorarium. Ten człowiek bezwstydnie się promuje, ale uczciwie mówiąc, miał trochę dobrych wyników.**

**–I założę się, że to jedyne, o jakich ktokolwiek słyszał.**

**Okulary Toma błysnęły, odbijając światło reflektorów, kiedy na mnie zerknął.**

**–Stałeś się bardzo cyniczny.**

**–Po prostu jestem zmęczony. Nie zwracaj na to uwagi.**

**Tom znowu patrzył na drogę, a ja niemal przeczułem następne pytanie.**

**–To nie mój interes, ale co się stało z twoją dziewczyną? Miała na imię Jenny, prawda? Nie wspominałem o tym wcześniej, ale...**

**–Wszystko skończone.**

**W tych słowach zabrzmiała straszliwa ostateczność, jaka wciąż nie odnosiła się do relacji między mną a Jenny.**

**–Z powodu tego, co ci się przydarzyło?**

**–Częściowo. – I dlatego, że stawiasz pracę na pierwszym miejscu. I że nieomal zostałeś zabity. I że nie chciała już dłużej siedzieć w domu i ciągle martwić się o ciebie.**

**–Przykro mi, Dave.**

**Skinąłem głową, patrząc wprost przed siebie. Mnie też. Kierunkowskaz zamrugał, kiedy Tom skręcił na inną drogę. Wydawała się jeszcze ciemniejsza od poprzedniej.**

**–A więc od jak dawna masz problemy z sercem? – zapytałem. Tom milczał przez chwilę, potem burknął:**

**–Ciągle zapominam o twoim cholernym medycznym wykształceniu.**

**–Co to takiego, angina pectoris!**

**–Tak mówią. Ale to nic poważnego, czuję się świetnie.**

**Ale tego popołudnia miałem wrażenie, że jego stan jest jednak dość poważny. Pomyślałem o wszystkich innych sytuacjach, kiedy się zatrzymywał, żeby złapać oddech. Powinienem wcześniej się domyślić. Niestety byłem zbyt zaabsorbowany własnymi problemami.**

**–Uważaj na siebie – poradziłem.**

**–Nie zamierzam wejść pod klosz – odparł z irytacją. – Biorę leki, wszystko jest pod kontrolą.**

**Nie uwierzyłem mu, ale wiedziałem, że muszę odpuścić. Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu i obaj zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co nie zostało powiedziane. Wnętrze kombi rozjaśniło się, kiedy pojawił się za nami samochód z oślepiająco jaskrawymi reflektorami.**

**–Pomożesz mi jutro przy autopsji? – zapytał Tom.**

**Zwłoki miały być przewiezione do prosektorium w Centrum Medycznym UT w**

Knoxville. Centrum Antropologii Sądowej dysponował własnym laboratorium – dość dziwnie usytuowanym na Stadionie Neylanda w Knoxville – ale korzystano z niego raczej do prowadzenia prac badawczych, a nie aktualnych sekcji dla wydziału kryminalnego. TBI też miała własne prosektorium w Nashville, ale to w CMUT było wygodniejsze. W innych okolicznościach chętnie przyjąłbym propozycję Toma, ale tym razem się zawahałem.

–Nie wiem, czy dam radę.

–Pieprzysz głupoty – oświadczył kategorycznie Tom, co było dla niego nietypowe. Westchnął. – Posłuchaj, Davidzie, ostatnio miałeś trudny okres, ale przyjechałeś tu, żeby znów stanąć na nogi.

–A co z Gardnerem? – wykręcałem się nadal.

–Dan czasami jest trochę drażliwy w towarzystwie nieznanym, ale docenia czyjś talent. Poza tym nie muszę go prosić o zgodę, żebym wziął sobie kogoś do pomocy. Zazwyczaj biorę jakiegoś studenta, ale wołałbym ciebie. Chyba że nie chcesz ze mną pracować.

Sam nie wiedziałem, czego chcę, ale nie mogłem mu odmówić.

–Cóż... w takim razie dobrze. Dziękuję.

Zadowolony znów skupił uwagę na drodze. Nagle w kabinie zrobiło się bardzo jasno, gdy samochód za nami zmniejszył odległość. Tom zmrużył oczy oślepiony blaskiem reflektorów odbitym w lusterku wstecznym. Światła znajdowały się w odległości zaledwie kilku centymetrów. Były wysoko i tak mocne, że pewnie należał do pikapa albo półcięża-rówki.

Tom cmoknął z irytacją.

–Co, u diabła, ten idiota wyprawia? – Zwolnił i zjechał trochę na prawo, ale reflektory pozostały za nami. – Dobra, miałeś swoją szansę – mruknął, dodając gazu.

Ktoś uparcie jechał tuż za nami. Odwróciłem się, ale w blasku reflektorów za tylną szybą niewiele widziałem.

Nagle z piskiem opon prześladowca gwałtownie nas wyprzedził. Mignął mi wysoko zawieszony pikap z czarnymi lustrzanymi szybami. Mknął obok z gardłowym rykiem silnika. Kombi zakołysało się od podmuchu powietrza, a czerwone światła pikapa szybko zmniejszały się w ciemności.

–Cholerny burak – mruknął Tom.

Włączył odtwarzacz CD i aksamitne tony Cheta Bakera towarzyszyły naszemu powrotowi do cywilizacji.

## Rozdział 4

Tom wysadził mnie przy szpitalu, gdzie zostawiłem samochód. Umówiliśmy się, że z samego rana spotkamy się w prosektorium. Kiedy odjechał, z ulgą ruszyłem do hotelu. Miałem teraz ochotę tylko wziąć prysznic, coś zjeść i próbować zasnąć.

Jak dotąd, właściwie nic więcej nie robiłem każdej nocy.

Szedłem do pokoju, kiedy nagle przypomniałem sobie, że przyjąłem zaproszenie na wieczór. Spojrzałem na zegarek. Paul przyjedzie po mnie za niecałe pół godziny.

Z jękiem opadłem na łóżko. Jak nigdy nie miałem ochoty na imprezowanie. Odwykłem od towarzyskich spotkań i zupełnie nie byłem w nastroju do prowadzenia uprzejmych rozmów z nieznanymi ludźmi. Kusiło mnie, żeby zadzwonić do Paula i wykręcić się jakąś wymówką, ale niestety żadnej nie mogłem wymyślić. Poza tym odrzucenie ich zaproszenia byłoby draństwem.

Daj spokój, Hunter, postaraj się. A nuż jeszcze byś się dobrze bawił. Niechętnie wstałem z łóżka. Jeżeli się pospieszę, zdążę wziąć prysznic. Zdjąłem ubranie, wszedłem do kabiny i odkręciłem wodę na cały regulator. Blizna na brzuchu wyglądała obco i dziwnie, zupełnie jakby nie była częścią mnie. Paskudna kreska różowego ciała już nie bolała, mimo wszystko nie lubiłem jej dotykać. Przypuszczałem, że kiedyś przyzwyczaię się do niej, ale ten moment jeszcze nie nastąpił.

Nadstawiłem twarz pod kłujące strugi wody, głęboko oddychając powietrzem przesyconym parą, aby odsunąć nagły napływ wspomnień. Rękojeść noża sterczy pod moimi żebrami, gorąca, lepka krew rozlewa się na czarnych i białych kafelkach... Potrząsnąłem głową jak pies, starając się odgonić niechciane obrazy. Miałem szczęście. Grace Strachan była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znałem. A także jedną z najniebezpieczniejszych – zabiła przynajmniej kilka osób. Gdyby Jenny nie przyszła w porę, też znalazłbym się na tej liście. Wiedziałem, że powinienem być wdzięczny losowi za to, że żyję, ale nie mogłem o wszystkim zapomnieć. Zwłaszcza że Grace gdzieś się czała.

Policjanci zapewniali mnie, że znalezienie tej kobiety to kwestia czasu, że jest zbyt nieznówważona, aby pozostać długo na wolności. Ale Grace była bogata i owładnięta pragnieniem zemsty równie irracjonalnej i zabójczej. Na pewno nie zamierzała dać się złapać. Zresztą nie tylko na mnie polowała. Już raz próbowała zabić młodą matkę i córkę. Owszem, udaremniło jej to, ale za cenę życia innej osoby. Od ataku Grace na mnie, Ellen i Anna McLeod żyły pod ochroną policji i

przybranym nazwiskiem. Wprawdzie okazały się trudniejsze do wytropienia niż specjalista od medycyny sądowej, którego nazwisko jest w książce telefonicznej, ale i tak żadne z nas nie mogło czuć się bezpiecznie.

Niełatwo z tym żyć. Zwłaszcza jak się ma blizny, które ciągle przypominają, jak niewiele trzeba, by zginąć.

Ledwo wytrzymałem pod gorącym strumieniem, ale pozwoliłem wodzie wyparzyć czarne myśli. Wszedłem z kabiny i wycierałem się do sucha, aż zaczęła mnie piec skóra. Ubrałem się i szybko zszedłem do hotelowego foyer. Po kąpeli poczułem się lepiej, ale nadal nie potrafiłem wykrzesać z siebie choć odrobiny entuzjazmu. Zauważyłem Paula. Siedział na sofie i pisał coś w skupieniu na małym notepadzie.

–Przepraszam, długo czekasz? – zapytałem.

Wstał, wsuwając elektroniczny notes do tylnej kieszeni.

–Dopiero przyszedłem. Sani jest w samochodzie.

Zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Na miejscu pasażera siedziała przystojna kobieta tuż po trzydziestce. Miała długie, bardzo jasne włosy. Kiedy usiadłem z tyłu, odwróciła do mnie głowę, trzymając dłonie na swoim wydatnym brzuchu.

–Hej, Davidzie, cieszę się, że znów cię widzę.

–Nawzajem – odpowiedziałem zupełnie szczerze. Są ludzie, w których towarzystwie człowiek natychmiast czuje się swobodnie, i Sam do nich należała. – Jak się czujesz?

–Cóż, bolą mnie plecy, stopy i nawet nie chcesz wiedzieć, co jeszcze. Ale poza tym nie mogę narzekać. – Uśmiechnęła się. Była jedną z tych szczęśliwych kobiet, które dobrze znoszą ciążę. Dosłownie promieniowała zdrowiem i pomimo wszystkich niewygód widać było, że uwielbia każdą chwilę swojego błogosławionego stanu.

–Junior ostatnio rozrabia – oznajmił Paul, włączając się do ruchu. – Powtarzam Sam, że to wyraźnie wskazuje na dziewczynę, ale ona mnie nie słucha.

Żadne z nich nie chciało poznać płci dziecka. Sam powiedziała, że to popsułoby niespodziankę.

–Dziewczyny nie są takie żywiołowe. To chłopak.

–Stawiam skrzynkę piwa, że się mylisz.

–Skrzynkę piwa? To wszystko, na co cię stać? – Zwróciła się do mnie: – Davidzie, czy to właściwy zakład z ciężarną kobietą?

–No cóż, bardzo sprytnie to wymyślił. Będzie je pił, nawet jeśli przegra.

–Hej, powinieneś być po mojej stronie – zaprotestował Paul.

–Ma na to za dużo zdrowego rozsądku – stwierdziła Sam. Słuchając ich przekomarzania, zacząłem się rozluźniać. Przyjemnie

było widzieć czyjeś szczęście i jeżeli poczułem ukłucie zazdrości, to bardzo małe. Kiedy Paul wjechał na parking, żałowałem, że krótka podróż dobiegła końca.

Byliśmy na Starym Mieście, kiedyś przemysłowym sercu Knowille. Zostało tu jeszcze trochę fabryk i magazynów, ale cały rejon przeszedł lekką zmianę i pomieszczenia przemysłowe ustąpiły miejsca barom, restauracjom i apartamentom. Ruszyliśmy do restauracji specjalizującej się w stekach. Do starego, ceglanego budynku wstawiono teraz stoliki, a gościom przygrywali muzycy. Już było tu tłoczno i musieliśmy się przeciskać do dużej grupy siedzącej pod oknem. Opróżnione do połowy szklanki piwa i śmiechy świadczyły, że znajomi Paula bawili się już od jakiegoś czasu. Po raz drugi się zawahałem. Po co ja tu przyszedłem?

Potem zrobiono mi miejsce przy stole i było już za późno, żeby się wycofać. Przedstawiano nas sobie nawzajem, ale zapomniałem nazwiska zaraz po tym, jak je usłyszałem. Poza Paulem i Sam znałem tylko Alanę. Pracowała w ośrodku jako antropolog sądowy i to ona mi powiedziała, gdzie znajdę Toma. Przyszła z muskularnym facetem, pewnie mężem. Po zostali byli prawdopodobnie pracownikami wydziału albo studentami.

–Spróbuj piwa, Davidzie. – Paul wychylił się zza Sam, żeby na mnie spojrzeć. – Ten lokal ma własny mikrobrowar. Jest fantastyczne.

Od wielu miesięcy prawie nie piłem, ale teraz czułem, że potrzebuję alkoholu. Zimne ciemne piwo smakowało cudownie. Jednym haustem opróżniłem połowę szklanki, potem odstawiłem ją z westchnieniem.

–Tego było ci trzeba, prawda? – zagadnęła Alana nad stołem. – Ciężki dzień?

–Coś w tym stylu – przytaknąłem.

–Ja też takie miewałam. – Uniosła szklankę w toaście.

Wypiłem jeszcze trochę i zacząłem się rozluźniać. Atmosfera przy stole była swobodna, przyjacielska i bez trudu włączyłem się do rozmów. Kiedy przyniesiono jedzenie, dosłownie rzuciłem się na swój stek z sałatą. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak jestem głodny.

–Dobrze się bawisz?

Sam uśmiechała się do mnie znad szklanki z wodą. Skinąłem głową, przelękając kęs mięsa.

–To aż tak widać?

–Aha. Po raz pierwszy widzę cię wyluzowanego. Spróbuj robić to częściej.

Roześmiałem się.

–Nie jestem taki beznadziejny, co?

–Och, czasami tylko trochę spięty. – Uśmiechała się ciepło. – Wiem, że przyjechałeś tu wyprostować parę spraw. Ale to nie znaczy, że nie możesz się zabawić od czasu do czasu. Jesteś wśród przyjaciół.

Spuściłem wzrok bardziej wzruszony, niż chciałem się do tego przyznać.

–Wiem. Dzięki.

Poprawiła się na krześle i skrzywiła, kładąc dłoń na brzuchu.

–Wszystko w porządku? Uśmiechnęła się ze zboląłą miną.

–Jest trochę niespokojny.

–On?

–On – odparła zdecydowanie, zerkając ukradkiem na Paula. – Z całą pewnością on.

Kelner sprzątnął talerze, a my zamówiliśmy desery i kolejne drinki. Poprosiłem o kawę. Gdybym wypił jeszcze jedno piwo, rano na pewno bym tego żałował. Rozparłem się w krześle, rozkoszując się lekkim szumem w uszach i dobrym samopoczuciem.

I nagle mój wspaniały nastrój rozsypał się jak domek z kart.

Nie wiadomo skąd doleciał do mnie słaby zapach piżma, lekko kořrzenny i niedający się pomylić z niczym innym. Sekundę później zniknął,

rozpłynął się wśród mocniejszych aromatów jedzenia i piwa, ale wiedziałem, że nie wyobraziłem go sobie. Wspomnienie przebiegło przeze mnie jak impuls elektryczny. Przez chwilę znowu leżałem na kafelkach w holu i metaliczny odór krwi mieszał się z delikatniejszą, bardziej zmysłową wonią. Perfumy Grace Strachan.

Jest tutaj. Wyprostowałem się gwałtownie i gorączkowo rozejrzałem wokół. Restauracja była mieszaniną dźwięków i kolorów. Wpatrywałem się w twarze,

rozpaczliwie starając się odnaleźć charakterystyczne rysy. Musi gdzieś tu być. Gdzie ona jest?

–Kawa?

Popatrzyłem nieprzytomnie na kelnerkę, która pojawiła się przy mnie. Miała niecałe dwadzieścia lat i lekką nadwagę. Jej perfumy przebijały się przez barowy zapach. Tanie, ciężkie i zbyt słodkie. Z bliska nie tak subtelne jak te Grace Strachan.

Ale podobne na tyle, aby przez chwilę mnie zmylić.

–Pan zamawiał kawę? – ponagliła kelnerka, spoglądając na mnie

uważnie.

–Przepraszam. Tak, dziękuję...

Postawiła filiżankę i odeszła. Swędziały mnie ręce i nogi, rozdygotane po przyplywie adrenaliny. Moja dłoń zacisnęła się na bliźnie, mocno aż do bólu. Ty idioto. Zupełnie jakby Grace mogła cię śledzić... Świadomość, jak wątłe są moje nerwy, pozostawiła kwaśny smak w ustach. Staralem się rozluźnić, ale serce wciąż galopowało. Nagle odniosłem wrażenie, że w całym pomieszczeniu nie ma dość powietrza. Hałas i zapachy były nie do zniesienia.

–Davidzie? – Sam patrzyła na mnie z niepokojem. – Zrobiłeś się biały jak ściana.

–Po prostu jestem trochę zmęczony. Wrócę do hotelu. Musiałem wyjść na zewnątrz. Zacząłem wyciągać banknoty z portfela, nie zwracając uwagi na nominały.

–Poczekaj, zaraz cię odwieziemy.

–Nie! – Położyłem dłoń na jej ramieniu, zanim zdążyła odwrócić się do Paula. – Proszę. Wszystko w porządku.

–Na pewno? Zmusiłem się do uśmiechu.

–Tak, oczywiście.

Nie była przekonana, ale już odsuwałem krzesło i kładłem garść pieniędzy na stole. Nie wiem, czy Paul i inni – wciąż pochłonięci rozmową

–zauważyli, że odchodzę. Nie zatrzymałem się, żeby sprawdzić. Z trudem powstrzymałem się, żeby nie biec. Na zewnątrz głęboko wdychałem chłodne, wiosenne powietrze, ale nawet wtedy nie przystanąłem. Maszerowałem przed siebie, bez celu, aby tylko być w ruchu.



Zszedłem z krawężnika i odskoczyłem z powrotem, gdy z lewej strony ogłuszająco zaryczał klakson. Potknąłem się na chodniku, a kilkanaście centymetrów przede mną z gwizdem przejechał trolejbus. Jego okna były jaskrawymi plamami światła w ciemności. Kiedy tylko mnie minął, przebiegłem szybko na drugą stronę i wędrowałem dalej, bez żadnego planu skręcając w kolejne ulice. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem ani dokąd idę.

Nic mnie to nie obchodziło.

Zwolniłem dopiero wtedy, kiedy za lampami ulicznymi zobaczyłem obszar pogrążony w ciemności. Poczulem rzekę, zanim ją zobaczyłem; wilgoć w powietrzu sprawiła, że wreszcie się opamiętałem. Złany potem oparłem się o balustradę. Mosty łączące obsadzone drzewami brzegi były ażurowymi łukami usianymi plamkami światła. Pod nimi rzeka Tennessee płynęła statecznie, tak jak przez tysiące lat. I pewnie będzie płynęła przez następne tysiące.

Co się, u diabła, z tobą dzieje? Uciekasz przerażony tylko dlatego, że doleciał do ciebie zapach tanich perfum. Ale nawet nie miałem siły, żeby się zawstydzić. Czułem się samotny jak nigdy dotąd. Wyjąłem komórkę i zacząłem przewijać książkę telefoniczną. Na podświetlonym ekranie pojawiło się imię i numer Jenny. Trzymałem kciuk nad klawiszem „połączenie”; pragnąłem znów z nią porozmawiać, usłyszeć jej głos. Ale w Wielkiej Brytanii był wczesny ranek, a nawet jeśli zadzwonię, to co powiem?

Wszystko zostało już powiedziane.

–Która godzina?

Wzdrygnąłem się, słysząc głos tuż obok siebie. W ciemności między lampami widziałem tylko zarys postaci i czerwony żar papierosa. Zbyt późno uświadomiłem sobie, że ulica jest pusta. Głupio. Dotarłem aż tutaj tylko po to, żeby dać się obrabować...

–Dziesiąta trzydzieści – odpowiedziałem, szykując się na atak.

Ale mężczyzna podziękował skinieniem głowy i odszedł. Za następną latarnią zniknął w ciemności. Zadrzałem i nie tylko z powodu wilgotnego zimna ciągnącego od rzeki.

Po pustej ulicy zbliżały się ciepłe, żółte światła taksówki. Zatrzymałem ją i pojechałem do hotelu.

Kot jest twoim najwcześniejszym wspomnieniem.

Wiesz, że przed tym musiały być inne. Ale żadne nie jest tak żywe, żeby je przywołać i odtwarzać raz za razem. Tak realne, że wciąż możesz poczuć ciepło

**słońca na potylicy, zobaczyć swój cień, kiedy się pochylasz.**

**Ziemia jest miękka i łatwo w niej kopać. Posługujesz się kawałkiem drewna wyłamanym z płotu, nadpróchniałą białą sztachetą. Może się znowu złamać, ale nie musisz głęboko kopać.**

**Nie jest głęboko.**

**Najpierw dociera do ciebie zapach. Dusząco słodki, znajomy, ale też nie przypominający niczego, co do tej pory czuleś. Przerywasz na chwilę, wąchasz wilgotną ziemię, trochę zdenerwowany, ale bardziej podniecony. Wiesz, że nie powinieneś tego robić, ale ciekawość zwycięża. Poza tym masz pytania, tak wiele pytań. Ale żadnych odpowiedzi.**

**Drewniana sztacheta trafia na coś niemal natychmiast, gdy wracasz do kopania. Zaczynasz zeskrobywać ostatnią warstwę ziemi. Zapach staje się silniejszy. Wreszcie to widzisz: kartonowe pudełko po butach, z przemoczonymi, butwiejącymi bokami.**

**Zaczyna się rozpadać, kiedy je podnosisz. Jest wilgotne, dno obwisło pod znajdującym się w środku ciężarem. Szybko stawiasz je z powrotem. Kiedy ujmujesz wieczko, masz wrażenie, że twoje palce są niezgrabne i jakby obce, czujesz napięcie w piersi. Boisz się, ale podniecenie łatwo przełamuje strach.**

**Powoli otwierasz pudełko.**

**Kot jest brudną, rudą kupką. Jego na wpół zamknięte oczy są blade i matowe, jak baloniki po przyjęciu, z których uszło powietrze. W futrze pełzają owady, żuki uciekają przed światłem. Patrzysz jak urzeczony na grubego robaka – wije się i kurczy, wypełzając z kociego ucha. Bierzesz kij i trącasz kota. Nic się nie dzieje. Szturchasz mocniej. Znowu nic. W twoich myślach pojawia się słowo; już je słyśzałeś, ale nigdy w pełni nie rozumiałeś jego znaczenia.**

**Martwy.**

**Pamiętasz, jaki był ten kot. Tłusty, wiecznie zły kocur, kłębek złości i pazurów. A teraz jest... niczym. Jak żywe zwierzę, które dobrze znałeś, może stać się gnijącym kłębkim futra? Pytanie wypełnia ci głowę, zbyt wielkie, by się tam zmieściło. Pochylasz się niżej, jakbyś mógł znaleźć odpowiedź, przyglądając się uważniej.**

**.../' nagle zostajesz szarpnięty do tyłu. Twarz sąsiada wykrzywiona gniewem. Ale jest w niej coś jeszcze, czego nie potrafisz rozpoznać. Dopiero wiele lat później zorientujesz się, że to obrzydzenie.**

**–Co, na litość boską, tu ro...? Och ty mały, obrzydliwy sukinsynu!**

**Znów krzyki, najpierw tu, na miejscu, potem w domu. Nie próbujesz tłumaczyć, co zrobiłeś, bo sam tego nie rozumiesz. Ale ani gniewne słowa, ani kara nie są w stanie usunąć z pamięci tego, co widziałeś. Ani co czułeś i co czujesz nawet teraz, zagnieżdżone gdzieś koło serca. Wszechogarniający podziw i palącą, nienasyconą ciekawość.**

**Masz pięć lat. I tak to się zaczęło.**

## **Rozdział 5**

**zbliża się do mnie i mam wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Usiłuję go złapać, ale jak zawsze się spóźniam. Głównia wyslizguje się z mojego chwytu, przecinając do kości dłoń i palce. Czuję gorącą wilgoć i nogi uginają się pode mną. Osuwam się po ścianie, a krew rozplywa się po biało-czarnej podłodze, wsiąka mi w koszulę.**

**Patrzę w dół; rękojeść noża obscenicznie sterczy z mojego brzucha. Otwieram usta do krzyku...**

**–Nie!**

**Usiadłem gwałtownie, dysząc ciężko. Czułem na całym ciele gorącą, wilgotną krew. Odrzuciłem prześcieradła i w mdłym świetle księżycy gorączkowo obejrzałem swój brzuch. Ale skóra była cała. Ani noża, ani krwi. Tylko lśniąca warstwa lepkiego polu i zaogniona linia blizny luz pou zebrami.**

**–Chryste. – Rozluźniłem się z ulgą. Poznałem swój pokój w hotelu, zobaczyłem, że jestem w nim sam.**

**To tylko sen.**

**Serce zaczęło mi bić normalnie, dudnienie pulsu w uszach stawało się coraz słabsze. Spuściłem nogi z łóżka i usiadłem niepewnie. Zegar na szafce nocnej wskazywał piątą trzydzieści. Nastawiłem budzenie na godzinę później; nie warto już próbować zasnąć.**

**Wstałem sztywno i włączyłem światło. Zacząłem żałować, że zgodziłem się pomóc Tomowi w sekcji denata z chaty. Prysznic i śniadanie. Potem wszystko będzie wyglądać lepiej.**

**Po piętnastu minutach ćwiczeń wzmacniających mięśnie brzucha poszedłem do łazienki pod prysznic. Podstawiłem twarz pod gorącą mgiełkę – igielki wody splukiwały resztki snu.**

**Kiedy wyszedłem z kabiny, pozostałości koszmaru zniknęły. Nastawiłem ekspres**

do kawy, zanim zacząłem się ubierać, i włączyłem laptopa. W Wielkiej Brytanii był już późny ranek. Popijając kawę, sprawdzałem e-maile. Nic pilnego. Odpisałem na te, które wymagały odpowiedzi, resztę zostawiłem na później.

W restauracji na dole byłem jedynym gościem. Zrezygnowałem z gofrów i naleśników, zamówiłem tost i jajecznicę. Czułem się głodny, ale i tak zdołałem zjeść niecałą połowę. Żołądek miałem ściśnięty, chociaż nie bardzo wiedziałem dlaczego. Będę tylko pomagał Tomowi w czymś, co sam robiłem setki razy i to w o wiele gorszych warunkach.

Ale autoperswazja nic nie zmieniła.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, słońce wstawało. Parking pozostawał jeszcze w cieniu, a głęboki błękit nieba bladł przenikany przez oślepiające

złoto na horyzoncie.

Wynająłem fordą z automatyczną skrzynią biegów, co dodatkowo przypominało, że jestem w innym kraju. Mimo wczesnej pory na drogach już panował duży ruch. Zapowiadał się piękny ranek. Wprawdzie Knoxville miało gęstą zabudowę, ale ta część wschodniego Tennessee zachowywała bujną zieleń. Wiosenne słońce jeszcze nie przynosiło upału i wilgotności, jakie panowały tu w pełni lata. Teraz, o tej porze dnia w powietrzu czuło się nieskalaną spalinami, poranną świeżość.

Do Centrum Medycznego UT jechało się dwadzieścia minut. Prosektorium znajdowało się w innej części kampusu niż wydział, ale znałem drogę z poprzednich podróży.

Wielki mężczyzna w recepcji prosektorium ledwo mieścił się za biurkiem – masa ciała, jakby w ogóle pozbawionego kości. Pasek zegarka wpijał się w piegowaty przegub jak drut w ciasto. Wyjaśniałem, kim jestem.

–Sala prosektoryjna numer pięć. Przez drzwi i dalej korytarzem. – Przy swojej posturze miał absurdalnie wysoki głos. Z uśmiechem gigantycznego cherubinka podał mi kartę do czytnika elektronicznego. – Na pewno pan trafi.

Wszedłem do prosektorium. Powitał mnie znajomy atak na zmysł powonienia – zapach formaldehydu, wybielacza i środków dezynfekcyjnych. Tom, w stroju chirurga i gumowym fartuchu, był już w wyłożonej kafelkami sali. Na ławce nieopodal stał przenośny odtwarzacz CD, z którego cicho płynęła jakaś melodia grana przez sekcję rytmiczną. Tomowi towarzyszył podobnie ubrany mężczyzna, który polewał wężem zwłoki leżące na aluminiowym stole, splukując z nich owady i larwy much.

–Dzień dobry – zawołał radośnie Tom, kiedy zamknęły się za mną wahadłowe drzwi.

**Kiwnąłem głową w stronę odtwarzacza.**

**–Buddy Rich?**

**–Nawet nie blisko. Louie Belson. – Tom wyprostował się i podniósł głowę znad ociekającej wodą jamy klatki piersiowej. – Wcześniej przyśzedłeś.**

**–Nie tak wcześniej jak ty.**

**–Chciałem, żeby zrobiono rentgen zwłok i wysłano pantomogram stomatologiczny do TBI. – Wskazał młodego człowieka. – To Kyle, pomocnik prosektoryjny. Poprosiłem, żeby mi pomagał do twojego przyjścia, ale nie mów o tym Hicksowi.**

**Pomocników prosektoryjnych zatrudniało Biuro Lekarza Sądowego, co znaczyło, że oficjalnie Hicks był przełożonym Kyle'a. Zapomniałem, że anatomopatolog tu pracuje, i nie zazdrościłem nikomu, kto mu podlegał. \***

**Ale Kyle najwyraźniej się tym nie przejmował. Był wysoki, grubo-kościasty, ale bez śladu otyłości. Miał sympatyczną, okrągłą twarz i rozczochraną szopę włosów. Uśmiechał się promiennie.**

**–Cześć. – Podniósł dłoń w rękawiczce.**

**–Pomoże nam też jedna z moich studentek – dodał Tom. – Właściwie nie potrzeba do tego aż trzech osób, ale obiecałem jej, że weźmie udział w następnej autopsji.**

**–Jeżeli nie jestem ci potrzebny...**

**–Przestań, po prostu szybciej skończymy. – Uśmiech Toma wyraźnie świadczył, że nie wykręcę się tak łatwo. – Ubrania i całą resztę znajdziesz w szatni na końcu korytarza.**

**Schowałem ubranie do szafki, włożyłem strój chirurgiczny i gumowy fartuch. Mieliśmy się zająć chyba najbardziej ponurą częścią naszej pracy i z całą pewnością najbrudniejszą. Badania DNA mogą potrwać do ośmiu tygodni, a odciski palców pomagają tylko wtedy, jeżeli ofiara była notowana. Ale nawet w przypadku ciała w stadium daleko posuniętego rozkładu jak to, tożsamość denata, a także czasami przyczynę zgonu można**

**ustalić na podstawie szkieletu. Wcześniej jednak trzeba usunąć każdy, nawet najdrobniejszy- fragment miękkiej tkanki. To nie jest przyjemne zajęcie.**

**Zatrzymałem się przed drzwiami sali prosektoryjnej. Tom nucił sobie przy akompaniamencie jazzu i szumie płynącej wody. A jeśli popełnię błąd? Jeśli już nie będę mógł tego robić?**

Odeгнаłem te myśli, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Kyle skończył opłukiwać zwłoki. Wilgotne szczątki denata lśniły jak pokryte werniksem.

Tom stał przy wózku z narzędziami chirurgicznymi. Kiedy podszedłem, wziął nożyce do cięcia tkanki i ściągnął jaskrawą górną lampę niżej. – Okey, zaczynamy.

Pierwsze zwłoki zobaczyłem na studiach. Młoda kobieta, najwyżej dwadzieścia pięć lat. Zginęła w pożarze domu. Udusił ją dym, ale ogień nie naruszył ciała. Leżała na zimnym stole, pod ostrym światłem lampy wydobywającym każdy szczegół. Oczy miała półotwarte; między powiekami widniały pasemka białek. Spomiędzy bezkrwistych warg wysuwał się czubek języka. Uderzył mnie jej bezruch. Zastygła jak na fotografii. Wszystko co robiła, kim była i o czym marzyła, dobiegło końca. Na zawsze.

Świadomość tego spadła na mnie jak fizyczny cios. Wiedziałem, że bez względu na to, jak dużo się nauczę, zawsze pozostanie jedna tajemnica, której nie zdołam wyjaśnić. Ale późniejsze lata tylko spotęgowały moją determinację, aby rozwikłać bardziej konkretne zagadki.

A potem Kara i Alice, moja żona i sześćioletnia córka, zginęły w wypadku samochodowym. I nagle sprawy życia i śmierci przestały być zagadnieniami czysto akademickimi.

Na jakiś czas wróciłem do zawodu lekarza. Uważałem, że to pomoże mi znaleźć odpowiedzi, a przynajmniej zapewni pewną dawkę spokoju. Ale tylko się oszukiwałem. Razem z Jenny przekonaliśmy się jednak na własnej skórze, że nie mogłem uciec od swojej pracy. Byłem tym, co robiłem. Albo tak myślałem, zanim wbito mi nóż w brzuch.

Teraz już niczego nie byłem pewien.

Pracując nad szczątkami ofiary, próbowałem odpędzić wątpliwości. Po pobraniu próbek tkanek i płynów do analizy starannie usunąłem skalpelem mięśnie, chrząstki i organy wewnętrzne, pozbawiając ciało ostatnich fizycznych śladów człowieczeństwa. Mieliśmy do czynienia niewątpliwie z potężnym mężczyzną. Wiedziałem to nawet bez dokładnych pomiarów szkieletu. Grubokościsty, przynajmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Niełatwo byłoby go obezwładnić.

Pracowaliśmy niemal w zupełnej ciszy. Tom nucił w zamyśleniu, wtórując Dianie Washington, a Kyle zwijał wąż i czyścił tacę, na którą w czasie opłukiwania spadły owady i inne szczątki. Zaczynałem pogrążyć się w pracy, kiedy podwójne drzwi otworzyły się gwałtownie. Hicks.

–Dzień dobry, Donaldzie – powitał go uprzejmie Tom. – Czemu zaświadczamy tę przyjemność.

Anatomopatolog nie zaszczycił Toma odpowiedzią. Kopuła jego łysej głowy lśniła jak marmur w jaskrawym świetle, kiedy gniewnie spoglądał na Kyle'a.

–Co tu, u diabła, robisz, Webster? Szukałem cię. Kyle się zaczerwienił.

–Ja tylko...

–Właśnie kończy – wtrącił się Tom. – Prosiłem, żeby mi pomógł. Obiecałem Danowi Gardnerowi, że wstępny raport dostanie najszybciej, jak to możliwe. Chyba że masz coś przeciwko temu?

Nawet jeżeli miał, raczej nie mógł tego powiedzieć. Znowu skierował całą swoją wściekłość na Kyle'a.

–Robię dziś rano autopsję. Sala gotowa?

–Eee, nie, ale przekazałem Jasonowi, żeby...

–Kazałem to zrobić tobie, nie Jasonowi! Doktor Lieberman i jego asystent na pewno sami sobie poradzą, kiedy ty zajmiesz się tym, za co ci płacę.

Dopiero po sekundzie uświadomiłem sobie, że Hicks mówi o mnie.

–Oczywiście. Damy radę. – Tom uśmiechnął «?ie lekko

Hicks parsknął rozczarowany, że nie zdołał doprowadzić do konfrontacji.

–Za pół godziny wszystko ma być gotowe, Webster. Jasne?

–Tak jest, proszę pana, Przepraszam... – zaczął Kyle, ale anatomopatolog już się odwrócił.

Ciężkie drzwi zamknęły się za nim.

–Cóż, teraz wszyscy poczujemy się lepiej – przerwał ciszę Tom. – Wybacz, Kyle. Nie chciałem wpakować cię w kłopoty.

Młody człowiek uśmiechnął się, ale jego policzki wciąż płonęły czerwienią.

## 4 – Szepty zmarłych

49

–W porządku. Doktor Hicks ma rację. Naprawdę powinienem...

Drzwi znów się otworzyły, zanim skończył zdanie. Przez chwilę myślałem, że wrócił Hicks, ale zamiast anatomopatologa pojawiła się kobieta ze znękanym wyrazem twarzy.

Domyśliłem się, że to wspomniana przez Toma studentka. Miała trochę ponad dwadzieścia lat. Wyblakła różowa podkoszulka wypuszczona na workowate spodnie dość mocno opinała jej bujną figurę. Tleniowe blond włosy były mniej więcej ujarzmione czerwoną opaską w białe kropki. Okrągłe okulary nadawały dziewczynie sympatycznie zdziwiony wygląd. Wbrew pozorom, wcale nie kłóciły się ze stalowymi kulkami i kólkami tkwiącymi w jej uszach, nosie i brwiach. Kiedy człowiek otrząsnął się po początkowym zaskoczeniu, nawet dochodził do wniosku, że kolekcja wyrobów metalowych, samym wyglądem wywołująca ból, do niej pasowała.

Zanim drzwi zdążyły się zamknąć, dziewczyna wyrzuciła serię słów jak z karabinu maszynowego.

–O Boże, nie wierzę, że się spóźniłam! Wyszłam wcześniej, żeby wstąpić na wydział i sprawdzić projekt, ale potem zupełnie straciłam rachubę czasu! Naprawdę, strasznie mi przykro, doktorze Lieberman.

–No cóż, ale już jesteś – odparł Tom. – Summer, poznaj Davida Huntera. Brytyjczyk, ale nie miej mu tego za złe. A to Kyle. Bronił fortu, zanim tu dotarłaś.

Na twarzy Kyle'a pojawił się oszołomiony uśmiech.

–Miło mi cię poznać.

–Cześć. – Summer uśmiechnęła się promiennie, odsłaniając aparat na zęby, który wyglądał jak produkt przemysłu ciężkiego. Spojrzała na zwłoki raczej z zainteresowaniem niż obrzydzeniem. Dla większości ludzi byłby to szokujący widok, ale wydział przygotowywał do kontaktu z takimi ponurymi realiami. – Czy coś mi umknęło?

–Nie, nadal jest martwy – zapewnił Tom. – Jeśli chcesz się przebrać, wiesz, gdzie wszystko znajdziesz.



**–Jasne. – Odwróciła się, żeby wyjść, i zahaczyła torbą pełen narzędzi wózek z nierdzewnej stali. – Przepraszam – zawołała, prostując go, i zniknęła za drzwiami.**

**Po raz kolejny w sali prosektoryjnej zapanowała wymowna cisza. Tom uśmiechał się lekko.**

**–Summer jest naszą miejscową trąbą powietrzną.**

**–Zauważyłem.**

**Kyle wciąż wpatrywał się w drzwi z nieprzytomną miną świadka wybuchu bomby. Tom zerknął na mnie z rozbawieniem i chrząknął.**

**–Próbki, Kyle.**

**–Co? – Technik wzdrygnął się i oprzytomniał.**

**–Miałeś zapakować próbki i wysłać do laboratorium.**

**–Och tak. Jasne, już się robi.**

**Kyle rzucił ostatnie, pełne nadziei spojrzenie na drzwi, zebrał preparaty i wyszedł.**

**–Mam graniczące z pewnością przeczucie, że Summer zdobyła wielbiciela – oznajmił sucho Tom. Odwrócił się do stołu, skrzywił nagle i zaczął pocierać mostek, jakby zachłysnął się powietrzem.**

**–Dobrze się czujesz? – zapytałem.**

**–Nic takiego. Hicks każdego może przyprawić o zgaę – odparł. Ale nie wyglądał dobrze. Sięgnął do tacy z narzędziami i jęknął**

**z bólu.**

**–Tom...**

**–Nic mi nie jest, do diabła! – Podniósł rękę, jakby chciał mnie odeprchnąć, ale zmienił ten ruch w przepaszający gest. – Wszystko w porządku, naprawdę.**

**Nie uwierzyłem mu.**

**–Jesteś na nogach od bladego świtu. Dlaczego nie zrobisz sobie rzerwy?**

**–Bo nie mam czasu – odparł z irytacją. – Obiecałem Danowi wstępny raport jak najszybciej.**

**–No to go dostanie. Summer i ja skończymy usuwać miękkie tkanki. Niechętnie przytaknął.**

**–Może tylko kilka minut...**

**Patrzyłem, jak wychodzi. Wyglądał zaskakująco słabo. Nigdy nie imponował fizycznymi warunkami, ale teraz wyraźnie się starzał. Takie życie. Świadomość przemijania nie ułatwiała jednak akceptacji tego procesu.**

**Odtwarzacz Toma już dawno skończył grać i w sali panowała cisza. Na zewnątrz, w głównym biurze brzęczał telefon. Nikt nie odebrał i w końcu dzwonek umilkł.**

**Wróciłem do ofiary. Szkielet był już niemal całkowicie oczyszczony z ciała, zostały tylko resztki miękkich tkanek do wygotowania w detergen-cie. Zanurzanie całego szkieletu w olbrzymiej kadzi byłoby niepraktycz-ne, dlatego najpierw należało wykonać kolejną ponurą czynność.**

**Dezartykulację.**

**Odłączanie czaszki, miednicy, rąk i nóg wymagało zarówno ostrożności, jak i brutalnej siły. Każde dokonane w tym czasie uszkodzenie kości należało dokładnie opisać, aby nie pomylić go z przedśmiertnymi urazami. Zacząłem oddzielać czaszkę, starannie przecinając chrząstki między drugim a trzecim kręgiem, kiedy wróciła Summer.**

**W stroju chirurgicznym i fartuchu wyglądała bardziej na miejscu, jeżeli nie brać pod uwagę piercingów w nosie i uszach. Tlenione włosy miała ukryte pod czepkiem.**

**–Gdzie doktor Lieberman? – zapytała.**

**–Musiał wyjść. – Nie wdawałem się w szczegóły. Tom na pewno nie życzyłby sobie, aby informować studentów o jego złym stanie zdrowia.**

**Summer przyjęła to do wiadomości.**

**–Chcesz, żebym zaczęła od detergentu?**

**Nie wiedziałem, co zamierzał Tom, ale pomysł wydawał mi się równie dobry jak każdy inny. Zaczęliśmy wypełniać duże kadzie z nierdzewnej stali roztworem detergentu i stawialiśmy je na palnikach gazowych, żeby się podgrzewały. Potężny wyciąg wysysał wprawdzie z pomieszczenia większość oparów, ale połączenie zapachów wybielacza i gotujących się miękkich tkanek dawało kombinację, która zaskakująco przypominała zarazem pralnię i kiepską restaurację.**

**–A więc jesteś Brytyjczykiem? – zagadnęła Summer.**

**–Tak jest.**

**–A jak się tu znalazłeś?**

**–Po prostu wyjazd naukowy.**

**–Nie macie u siebie placówek badawczych?**

**–Mamy, ale nie takie jak wasze.**

**–Niezły ośrodek, co? – Jej wielkie oczy spoglądały na mnie przez szkła okularów. – A jak wygląda tam życie antropologa sądowego?**

**–Zazwyczaj jest zimne i wilgotne. Roześmiała się.**

**–Ale poza tym. Czymś się różni?**

**Właściwie nie miałem ochoty rozmawiać na ten temat, ale dziewczyna tylko starała się być miła.**

**–Cóż, zasadniczo jest tak samo, ale istnieje kilka różnic. Nie mamy tak wielu instytucji zajmujących się ochroną porządku publicznego. – Dla kogoś z zewnątrz liczba działających w Stanach autonomicznych biur seryfów i komend policji, nie mówiąc już o agencjach stanowych i federalnych, była oszałamiająca. – Ale podstawową różnicą jest klimat. O ile nie ma nietypowo gorącego lata, nie zostawiamy ciała, żeby wyschły jak u was. W procesie rozkładu występuje dużo więcej zgnilizny i śluzu. Skrzywiła się.**

**–Obrzydliwe. Myślałeś o przeprowadzce? Mimowolnie się roześmiałem.**

**–Żeby pracować w słonecznej strefie klimatycznej? Nie, prawdę mówiąc, nie. – Powiedziałem o sobie dokładnie tyle, ile chciałem. – A ty? Jakie masz plany?**

**Summer z ożywieniem zaczęła opisywać dotychczasowe życie i swoje zamiary na przyszłość. Opowiedziała, jak pracuje w barze w Knoxville, żeby zarobić na samochód. Rzadko się odzywałem, pozwalając dziewczynie wygłaszać jej monolog. Nie pracowała przez to wolniej, a powódź słów była na swój sposób relaksująca. Kiedy wrócił Tom, ze zdziwieniem baczyłem, że minęły prawie dwie godziny.**

**–O, zrobiliście postępy – stwierdził z aprobatą, podchodząc do stołu.**

**–Dość nietypowa robota.**

**W obecności Summer nie chciałem pytać Toma, jak się czuje, ale wiedziałem, że lepiej. Począł, aż dziewczyna pójdzie do kadzi bulgoczących na palnikach, a potem gestem przywołał mnie na bok.**

–Przepraszam, że trwało to tak długo. Rozmawiałem z Danem Gardnerem. Jest ciekawa wiadomość. W kartotekach nie ma odcisków palców Terry'ego Loomisa, faceta, którego portfel znajdował się w chacie. A zatem nie mogę potwierdzić tożsamości ofiary. – Wskazał szczątki na stole. – Ale za to znaleźli odciski palców zdjęte z kasetki filmowej. Należą do Willisa Dextera, trzydziestosześcioletniego mechanika samochodowego z Sevierville.

Sevierville. małe miasteczko niedaleko Gatlinburga. leży około trzydziestu kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono zwłoki.

–To dobrze, prawda?

–Można by tak pomyśleć – przytaknął. – Poza tym znaleźli w chacie kilka innych odcisków palców Dextera. Jeden na pokwitowaniu płatności kartą kredytową sprzed tygodnia. Było w portfelu Loomisa.

A więc wszystko sugerowało, że Terry Loomis to ofiara, Willis Dexter – zabójca. Ale w sposobie zachowania Toma było coś dziwnego, co podpowiadało mi, że sprawa nie jest taka prosta.

–Siedzi w więzieniu?

Tom zdjął okulary i wytarł chusteczką higieniczną. Na jego wargach błąkał się tajemniczy uśmiech.

–Cóż, sęk w tym, że Willis Dexter zginął pół roku temu w wypadku samochodowym.

–Niemożliwe. – Albo odciski palców nie były jego, albo na świadectwie zgonu wpisano niewłaściwe nazwisko.

–Dziwne, nie? – Tom założył okulary. – Dlatego jutro z samego rana przeprowadzamy ekshumację.

Masz dziewięć lat, kiedy po raz pierwszy widzisz martwe ciało. Jesteś odświętnie ubrany. Wprowadzono cię do pokoju; są tam rzędy drewnianych krzeseł, a przed nimi, na kozłach przykrytych wytartym, czarnym aksamitem stoi lśniąca trumna. W jednym rogu materiału odpruł się krwistoczerwony galon. Twoją uwagę odwraca to, że jest zwinięty w niemal idealną ósemkę. Zbliżasz się do trumny.

Leży w niej twój dziadek. Wygląda... inaczej. Twarz jakby z wojsku, policzki zapadnięte, jak wtedy, kiedy zapominał włożyć zęby. Oczy ma zamknięte, ale nawet to wygląda jakoś nie tak.

Zatrzymujesz się jak wryty, czując znajomy ucisk w piersi. Czyjaś dłoń popycha cię do przodu.

**–Podejdz teraz i popatrz.**

**Poznajesz głos ciotki. Ale nie potrzebujesz polecenia, żeby się zbliżyć. Pociągasz nosem i dostajesz szybkiego szturchańca w głowę.**

**–Chusteczka! – syczy ciotka.**

**Ale tym razem nie leci ci z nosa z powodu nieustannego kataru. Próbujesz odkryć, jakie inne wonie kryją się pod zapachem perfum i aromatyzowanych świec.**

**–Dlaczego ma zamknięte oczy? – pytasz.**

**–Bo jeśł u Pana Boga – odpowiada ciotka. Czy nie vsyglada spokojnie? Zupelnie jakby spał.**

**Nie, dla ciebie to, co leży w trumnie, w ogóle nie wyglada, jakby kiedykolwiek żyło. Wpatrujesz się, próbując dostrzec, co dokładnie jest inne, aż wreszcie niemal siłą cię wprowadzają.**

**Przez kilka następnych lat zachowany w pamięci obraz zwłok dziadka zawsze wywołuje takie samo zadziwienie, ten sam ucisk w piersi. To jedno z twoich ważnych wspomnień. Ale dopiero kiedy masz siedemnaście lat, spotyka cię coś, co zmienia twoje życie.**

**W czasie przerwy na lunch siedzisz na ławce i czytasz. Książka, którą ukradłeś z biblioteki, to Summa Theologiae świętego Tomasza z Akwinu. Oczywiście jest trudna i naiwna, ale są w niej pewne inte-resujące kwestie. „Istnienie czegoś i jego istota są oddzielne”. To ci się podoba, niemal tak samo jak twierdzenie Kirkegaarda, iż „śmierć jest światłem, w którym wielkie namiętności, zarówno dobre i złe, sta-ją się przejrzyste”. Wszyscy oni zaprzeczają sobie nawzajem i żaden ze znanych ci teologów czy filozofów nie daje realnych odpowiedzi. Ale ich rozmyślenia są bliższe sedna niż uczniackie pozerstwo Camusa i Sartre'a, którzy kryją swoją niewiedzę pod maską fikcji literackiej. Już z nich wyrosłeś. A teraz już jesteś na najlepszej drodze, by wyrosnąć z Tomasza z Akwinu i całej reszty. Prawdę mówiąc, zaczynasz myśleć, że nie znajdziesz odpowiedzi w żadnej książce. Ale co innego pozostało?**

**Ostatnio szepcze się w domu, skąd wziąć pieniądze, żeby wysłać cię do college'u. To cię nie martwi. Jakoś się znajdą. Wiesz od lat, że jesteś wyjątkowy, że twoim przeznaczeniem jest wielkość.**

**Tak musi się stać.**

**Czytając, mechanicznie żujesz i łykasz kęsy kanapek; nie czujesz przyjemności ani smaku. Jedzenie jest paliwem, niczym więcej. Nie-dawna operacja wyleczyła cię z wieloletniego chronicznego kataru, ale za pewną cenę. Twój zmysł węchu prawie**

przestał istnieć. Wszystko, poza najbardziej przyprawionymi potrawami, zmieniło się w porcję mdłej waty.

Po skończeniu pozbawionej smaku kanapki odkładasz lekturę. Właśnie wstałeś z ławki, kiedy pisk hamulców kończy się głuchym hukiem. Podnosisz głowę i widzisz kobietę w powietrzu. Przez chwilę jakby wisi w górze, by zaraz runąć z rozrzuconymi kończynami niemal u twoich stóp. Leży skręcona na plecach. Jej oczy napotykają twoje – są rozszerzone i zdziwione. Nie ma w nich bólu ani lęku, a jedynie zaskoczenie. Nie, i coś jeszcze.

**Świadomość.**

Potem oczy stają się mętne i instynktownie wiesz, że siła, która ożywiała tę kobietę, zniknęła. Teraz to tylko worek mięsa i pogruchołtanych kości.

Oszołomiony stoisz, a inni ludzie tłoczą się wokół, spychają cię na bok, aż wreszcie tracisz ciało z oczu. To nie ma znaczenia. Już zobaczyłeś to, co miałeś zobaczyć.

Przez całą noc leżysz i nie śpisz, starając się przypomnieć każdy szczegół. Zapiera ci dech, jesteś roztrzęsiony. Wiesz, że przed twoimi oczami mignęło coś doniosłego, głębokiego, a zarazem codziennego. Ale obraz ci umyka. Chcesz, nie – musisz zobaczyć tę chwilę znowu,

aby zrozumieć, co się stało. Pamięć nie sprostą jednak temu zadaniu, tak jak wtedy, kiedy zaglądałeś do trumny dziadka. Jest zbyt subiektywna, zawodna. Coś tak ważnego wymaga klinicznego podejścia. Bardziej trwałego.

Następnego dnia wyjmujesz wszystkie oszczędności i kupujesz pierwszy aparat fotograficzny.

**Rozdział 6**

Wyruszyliśmy na cmentarz, kiedy świt był zaledwie bladym paskiem na horyzoncie. Ale na ciemnym niebie gwiazdy powoli znikwały, dogarniane przez nowy dzień. Krajobraz po obu stronach autostrady zaczynał nabierać kształtów, wyłaniał się z ciemności, jak fotografia w kuwecie z wywoływaczem. Za sklepami i restauracjami z fast foodem piętrzyła się ciemna bryła gór, jakby podkreślając kruchość fasadowych dzieł czło-wieka.

Tom prowadził w milczeniu. Tym razem nie włączył płyty z jazzem. Może było za wcześnie, a może nie miał nastroju. Zabrał mnie z hotelu, ale tylko uśmiechnął się beznamiętnie i później prawie się nie odzywał. Nikt nie wygląda dobrze o tej porze dnia, ale bladość twarzy Toma nie wynikała z braku snu.

Sam pewnie nie najlepiej wyglądasz. Do późnej nocy nie mogłem zasnąć, obawiając

się tego, co mnie czeka. A przecież to nie była moja pierwsza ekshumacja i na pewno nie okaże się najgorsza. Kilka lat wcześniej pracowałem w Bośni przy masowym grobie, gdzie pochowano całe rodziny. Tu nie będzie niczego takiego i wiedziałem, że Tom wyświadcza mi grzeczność, oferując współpracę. Przecież powinienem wręcz rzucić się na możliwość uczestniczenia w amerykańskim śledztwie.

Dlaczego więc nie podchodziłem do tego z entuzjazmem?

Na miejscu dawnej pewności, wiary w siebie, pozostały jedynie wątpliwości. Jakby cała moja energia i ambicja w ubiegłym roku wypłynęły ze mnie razem z krwią na podłogę w holu. A jeżeli teraz tak się czuję, jak sobie dam radę, kiedy wrócę do Wielkiej Brytanii i sam będę zajmował się śledztwem w sprawie morderstwa?

Nie wiedziałem.

Kiedy Tom zjechał z autostrady, na horyzoncie na zachodzie widniały złote smugi. Jechaliśmy na przedmieście na wschodnim krańcu Knoxville, do okolicy, której nie znałem. Dzielnica była biedna. Obdrapane domy, zarosnięte i zaśmiecone podwórka. W reflektorach błysnęły oczy kota. Prze-rwał jedzenie czegoś leżącego w rynsztoku i przyjrzał się nam uważnie, gdy przejeżdżaliśmy obok.

–Już niedaleko – odezwał się Tom.

Kilometr dalej pojawiły się krzaki i wkrótce potem dojechaliśmy do cmentarza. Od drogi był odgradzony sosnami i wysokim murem z jasnych cegieł. Na łuku bramy widniał napis z kutego żelaza: „Cmentarz i Dom Pogrzebowy Steeple Hill”. Niżej przymocowano stylizowanego anioła z nabożnie opuszczoną głową. Nawet w półmroku widziałem, że metal jest zardzewiały i schodzi z niego farba.

Wjechaliśmy w otwarte wrota. Po obu stronach przesuwaly się szeregi nagrobków, w większości zarosniętych i zaniedbanych. W tle ciemniała przytłaczająca ściana sosnowego lasu. Przed nami dostrzegłem zarys niskiego budynku, który wyglądał jak obiekt przemysłowy zwieńczony przysadzistą dzwonnica. Pewnie to dom pogrzebowy.

Zatrzymaliśmy się przy zaparkowanych samochodach i wysiedliśmy. Wetknąłem ręce do kieszeni, dygocząc w chłodzie wczesnego ranka. Nad srebrzącą się od rosy trawą wisiała mgła.

Przed grobem ustawiono parawany, ale o tej porze i tak nikt nie kręcił się po cmentarzu. Mała koparka warczała i dygotała, wydobywając kolejną porcję ziemi. Potem czerpak przesunął się, by wysypać zawartość na rosnącą stertę. Powietrze cuchnęło gliną i spalinami, ale grób, ziejąca czarna rana w darni, był już prawie rozkopany.

Gardner i Jacobsen stali w grupce urzędników i robotników. Nieco z boku dostrzegłem Hicksa. Łysa głowa sterczała z za dużego płaszcza, przez co anatomopatolog jeszcze bardziej przypominał żółwia. Jego obecność była właściwie formalnością, bo zwłoki niemal na pewno zostaną przekazane do zbadania Tomowi.

Miał niezadowoloną minę.

W pobliżu znajdował się jeszcze jeden mężczyzna – wysoki, ubrany w elegancki płaszcz z wielbłądziej wełny, czarny garnitur i krawat. Obserwował pracę koparki z wyrazem twarzy, który mógł świadczyć albo o wyniosłym dystansie, albo o nudzie. Kiedy nas zobaczył, wyraźnie się ożywił.

– Witaj Tom – powiedział Gardner.

Miał podpuchnięte i przekrwione oczy. Dla odmiany Jacobsen wyglądała świeżo, zupełnie jakby przespalała dziewięć godzin bez przerwy, a jej ściągnięty paskiem płaszcz był nieskazitelnie czysty.

Tom uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Chociaż droga od samochodu była krótka, a nachylenie stoku nieduże, z trudem łapał oddech. Hicks spojrzał na niego złym wzrokiem i się nie przywitał. Mnie zupełnie zignorował. Wyciągnął z kieszeni brudną chustkę i głośno wydmuchał nos.

Gardner wskazał wysokiego mężczyznę w płaszczu z wielbłądziej wełny.

– To pan Eliot York. Jest właścicielem Steeple Hill. Pomógł zorganizować ekshumację.

– Zawsze do usług. – York podszedł pośpiesznie, aby uścisnąć Tomowi rękę. – Doktorze Lieberman, to dla mnie zaszczyt.

Zapach jego wody kolońskiej przebił się nawet przez odór dieslow-skich spalin koparki. Facet wyglądał na niecałe pięćdziesiąt lat. Ale trudno było stwierdzić dokładnie, bo jego twarz bez zmarszczek zamiast starzeć się, z wiekiem stawała się tylko bardziej pulchna. Matowy odcień ciemnych włosów sugerował, że są farbowane. Kiedy się odwrócił, zobaczyłem staranną zaczeskę, zrobioną, aby ukryć łysinę na czubku głowy.

Tom jak najszybciej uwolnił rękę, potem mnie przedstawił.

– To mój kolega, doktor Hunter. Przyjechał z Wielkiej Brytanii.

York przywitał się ze mną zdawkowo. Z bliska zauważyłem, że manikiety płaszcza są wytarte i wystrzępione, a czarny garnitur wymaga czyszczenia. Sądząc z zakrwawionych zadraśnień i pozostawionych kępek szczeciny na twarzy, golił się



albo w pośpiechu, albo tępą żyletką. I nawet wyciskający fry 7 OC7" s'mv 7aPacn wody kolońskiej nie zdołał ukryć woni nikotyny w oddechu. Na palcach widniały żółte plamy.

Zanim zdążył puścić moją rękę, już odwracał się do Toma.

–Wiele słyszałem o pańskiej pracy, doktorze Lieberman. I pańskim ośrodku.

–Dziękuję, ale to właściwie nie jest mój ośrodek.

–Tak czy inaczej, chluba Tennessee. – Uśmiechnął się przymilnie. – Nie śmiem porównywać mojego, ach, powołania z pańskim, ale na swój skromny sposób również spełniam służbę publiczną. Nie zawsze przyjemną, mimo wszystko niezbędną.

Uśmiech Toma nie zmienił się ani na chwilę.

–Oczywiście. A więc to pan organizował pogrzeb?

York pochylił głowę.

–Owszem, proszę pana, aczkolwiek niestety nie bardzo przypominam sobie ten konkretny przypadek. Sam pan wie, mamy ich tak wiele. Steeple Hill w pełni realizuje wszechstronne usługi pogrzebowe, w tym także spopielenie i pochówek w tej pięknej scenerii. – Wskazał zanieczyszczony teren, jakby prezentował okazały park. – Mój ojciec założył firmę w 1958 roku i od tamtej pory służymy pogrążonym w żałobie. Naszą dewizą jest „godność i wygoda”, i ośmielam się sądzić, że pozostajemy jej wierni.

Ta nachalna reklamowa gadka została skwitowana pełnym zakłopotaniem milczeniem. Kiedy wtrącił się Gardner, Tom poczuł ulgę.

–Niedługo kończymy. Już prawie dotarliśmy – poinformował. York miał rozczarowaną minę, gdy Toma zręcznie odprowadzono na

bok.

Jakby potwierdzając słowa Gardniera, koparka wysypała na stertę ostatni czerpak ziemi i cofnęła się z parsknięciem. Zmęczony operator maszyny skinął głową jednemu z robotników. Mężczyzna w kombinezonie ochronnym i masce podszedł do mogiły i rozpylił do otwartej jamy środek dezynfekcyjny. Choroby nie zawsze kończą się z chwilą śmierci ich nosiciela. Martwy może przekazać żywym nie tylko bakterie, które wspaniale rozwijają się w gnijącym ciele, ale także między innymi zapalenie wątroby, HIV i gruźlicę.

Robotnik opuścił do grobu krótką drabinę i łopatą zaczął oczyszczać trumnę. Kiedy

założył na nią pasy, niebo nabrało bladoniebieskiej barwy, a sosnowy las rzucał długie cienie na trawę. Mężczyzna wyszedł z dołu i dołączył do kolegów. Wszyscy ustawili się po obu stronach i zaczęli wycofywać trumnę, w makabryczny sposób odtwarzając w odwrotnej kolejności przebieg pogrzebu.

Powoli pojawił się pokryty błotem kształt, z którego osypywały się grudy ziemi. Mężczyźni postawili trumnę na deskach ułożonych przy grobie i szybko się cofnęli.

–Cholera! Co za smród! – mruknął jeden z nich. Rzeczywiście, odór rozkładu zatruwał powietrze nawet tu, gdzie

taliśmy. Marszcząc nos, Gardner podszedł i pochylił się, by obejrzeć mnę.

–Wiek jest pęknięte. – Wskazał szczelinę pod zaskorupiałą warstwą ziemi. – Nie sądzę, żeby się włamywano, po prostu cienkie drewno nie wytrzymało.

–To najlepsza amerykańska sosna! Trumna doskonałej jakości! – obruszył się York.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Tom stanął przy Gardnerze i wciągnął nosem powietrze.

–Powiedziałaś, że pochowano go pół roku temu? – zapytał.

–Tak. Dlaczego pytasz? Tom nie odpowiedział.

–Dziwne. Co o tym myślisz, Davidzie?

Próbowałem nie okazać skrępowania, gdy oczy wszystkich skierowały się na mnie.

–Zapach nie powinien być tak silny – odparłem niechętnie. – Nie po zaledwie sześciu miesiącach.

–Może pan nie zauważył, ale trumna nie jest hermetyczna – odezwał się Hicks. – Czego się pan spodziewał, skoro tu jest taka dziura?

Miałem nadzieję, że Tom to skomentuje, ale skupił się na oglądaniu trumny.

–Owszem, jednak tak głęboko pod ziemią proces rozkładu przebiega o wiele wolniej niż na powierzchni.

–Nie mówiłem do pana, ale dziękuję za zwrócenie mi uwagi. – Głos Hicksa wręcz ociekał sarkazmem. – Jako Brytyjczyk na pewno wie pan wszystko o warunkach panujących w Tennessee.

**Tom się wyprostował.**

**–David ma rację. Nawet przy pękniętej trumnie rozkładające się ciało nie powinno tak intensywnie cuchnąć.**

**Anatomopatolog spojrzał na niego wściekle.**

**–W takim razie, może byśmy go obejrzeeli? – Impertynenckim geŃstem przywołał robotników. – Otworzyć.**

**–Tutaj? – zdziwił się Tom.**

**Trumnę zwykle przewożono do prosektorium i dopiero tam otwierano.**

**Hicks napawał się tą chwilą.**

**–Wieko jest naruszone. Jeżeli ciało uległo tak dużemu rozkładowi, jak twierdzisz, wolałbym przekonać się o tym już teraz. Straciłem dość czasu.**

**Znałem Toma wystarczająco dobrze, aby w lekkim wydęciu warg odŃczytać jego dezaprobatę. Nic jednak nie powiedział. Do momentu oficjalnego przekazania mu zwłok Hicks wciąż był za nie odpowiedzialny.**

**Ale Jacobsen zaprotestowała.**

**–Nie uważa pan, że powinniśmy z tym poczekać? – zwróciła się do Hicksa, kiedy ten gestem polecił robotnikowi otworzyć trumnę.**

**Anatomopatolog uśmiechnął się do niej drapieźnie.**

**–Kwestionuje pani moje pełnomocnictwa?**

**–Och, na litość boską, Donaldzie, po prostu otwórz to cholerstwo, jeżeli chcesz – powiedział Gardner.**

**Hicks rzucił Jacobsen ostatnie gniewne spojrzenie i machnął ręką do robotnika, który stał obok z elektrycznym Ńrubokrętem. Wysokie wycie przeszywało ciszę, gdy po kolei wyjmowano Ńruby mocujące wieko. SpojŃrzałem na Jacobsen, ale jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Musiała wyczuć, że na nią patrzę, bo zerknęła na mnie przelotnie. W jej szarych oczach wychwyciłem gniew, ale zaraz odwróciła głowę.**

**Kiedy ostatnia Ńruba została wyjęta, przyłączył się drugi robotnik, aby pomóc podnieść wieko. Było spaczone i zanim ustąpiło, przez chwilę staŃwiało lekki opór.**

**–Jezu Chryste! – jęknął facet w kombinezonie.**

**Smród, jaki wydobył się z trumny, był potwornym, obrzydliwie słodkim stężeniem zgnilizny. Robotnicy szybko odeszli. Spojrzałem do środka.**

**Większą część zwłok zakrywał brudny, biały całun. Wystawała tylko czaszka. Z włosów zostało jedynie kilka cieniutkich pasemek, przylepionych do kości jak brudna pajęczyna. Kiedy bakterie zaczęły rozpuszczać tkanki miękkie, wyglądało to tak, jakby ciało spływało z kości. Ciecz powstała w zamkniętym środowisku trumny nie mogła wyparować. Nazywano ją płynem trumiennym. Czarna i kleista, wżarła się w bawełniany całun.**

**Hicks zerknął na szczątki.**

**–Gratuluję, Lieberman. Jest już twój.**

**Nie spoglądając za siebie, ruszył w kierunku zaparkowanych samochodów. Gardner z obrzydzeniem patrzył na upiorną zawartość trumny i zakrywając chustką nos i usta, na próżno usiłował uchronić się przed smrodem.**

**–Czy to normalne?**

**–Nie – odparł Tom, rzucając gniewne spojrzenie na odchodzącego Hicksa.**

**–Czy domyśla się pan, jak do tego doszło? – zwrócił się Gardner do Yorka.**

**Twarz właściciela domu pogrzebowego była purpurowa.**

**–Oczywiście, że nie! I nie podoba mi się sugestia, że mógłbym wiedzieć! Steeple Hill nie ponosi odpowiedzialności za to, co dzieje się z trumną po złożeniu jej w ziemi!**

**–Naprawdę? – Gardner przywołał robotników. – Zamknijcie. Zawiążmy ją do prosektorium.**

**Aleja tymczasem dokładniej przyjrzałem się zwłokom.**

**–Tom, rzuć okiem na czaszkę – powiedziałem.**

**Nadal spoglądał w ślad za anatomopatologiem. Teraz popatrzył na mnie pytająco i zrobił, o co go prosiłem. Zobaczyłem, że wyraz jego twarzy się zmienia.**

**–Nie spodoba ci się to, Dan – oznajmił.**

**–Co mianowicie?**

**Tom spojrzał znacząco na Yorka i robotników.**

**–Można panów przeprosić na chwilę? – powiedział do nich Gardner. Robotnicy**

odeszli do koparki i zaczęli zapalać papierosy. York założył

ręce na piersi.

–To mój cmentarz. Nigdzie nie pójdę.

Gardner westchnął i jego nozdrza rozdęły się lekko.

–Panie York...

–Mam prawo wiedzieć, co się tu dzieje!

–Właśnie usiłujemy to ustalić. A teraz, jeśli pan pozwoli...

Ale York jeszcze nie skończył. Wyciągnął palec w stronę Gardniera.

–Poszedłem na pełną współpracę! I nie możecie mnie winić! Chcę aby odnotowano w aktach, że Steeple Hill nie jest odpowiedzialne!

–Odpowiedzialne za co? – spytał Gardner niebezpiecznie łagodnym tonem.

–7a wszystko! Za to! – York machnął dziko w stronę trumny. – Pro-wadzę porządnym interes. Nie zrobiłem nic złego!

–W takim razie nie ma się pan czego obawiać. Dziękuję za pomoc. Ktoś wkrótce przyjdzie z panem porozmawiać.

York nabrał powietrza, żeby zaprotestować, ale agent TBI poskromił go samym spojrzeniem. Przedsiębiorca pogrzebowy zacisnął ze złością usta i odmaszerował. Gardner przyglądał mu się uważnie, zupełnie jak kot patrzy na ptaka.

–No i co? – zwrócił się w końcu do Toma.

–Powiedziałeś, że to był biały mężczyzna?

–Tak. Willis Dexter, lat trzydzieści sześć, mechanik, zginął w wy-padku samochodowym. No mów, co takiego zobaczyłeś?

Tom uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

–Nie ja. David. Niech on przekaże ci wiadomość.

Serdeczne dzięki. Odwróciłem się z powrotem do trumny, czując na sobie wzrok Gardniera i Jacobsen.

–Proszę przyrzeć się okolicy nosa – powiedziałem. Tkanki mię-kie wygniły,

pozostawiając ziejącą trójkątną dziurę, obramowaną resztkami chrząstek. – Widzicie państwo dół otworu nosowego, tam gdzie łączy się z górną szczęką? Tu właśnie powinien być próg, coś w rodzaju sterującej, ostrej fałdy kostnej. Ale jej nie ma, połączenie z kością jest gładkie. Kształt nosa też nie wygląda dość charakterystycznie. Niski, szeroki grzbiet, duży otwór nosowy.

Gardner zaklął cicho.

–To pewne? – zwrócił się bardziej do Toma niż do mnie.

–Obawiam się, że tak. – Tom cmoknął z irytacją. – Sam bym to zauważył, gdybym się dłużej przyglądał. Każda z tych cech czaszki jest dość wyraźnym wyznacznikiem rasy. Jeżeli zestawi się je wszystkie razem, właściwie nie ma wątpliwości.

–Co do czego? – zapytała zdezorientowana Jacobsen. Gardner westchnął ze złością.

–Próg kostny, o którym wspomniał doktor Hunter, jest cechą charakterystyczną czaszki przedstawicieli białej rasy – wyjaśnił. – A ten facet go nie ma.

Jacobsen zmarszczyła brwi, kiedy zaczęło do niej docierać znaczenie informacji.

–A więc to czarny mężczyzna? Ale Willis Dexter był biały.

–Bo był. – Gardner patrzył na zwłoki w trumnie tak, jakby sprawiły mu zawód. – To nie jest Willis Dexter.

## Rozdział 7

Jaskrawe słońce stało wysoko. Oślepiające promienie odbijały się od szyb i lakieru samochodów na autostradzie. Jeszcze nie było południa, ale powietrze nad asfaltem drżało od gorąca i spalin.auta z przodu zwalniały i prawie pełzy, przeciskając się obok błyskających świateł pojazdów ratowniczych blokujących jeden pas ruchu. Nowiutki lexus stał na ukos.

Tył miał gładki i nietknięty, przód zmienił się w kłębowisko poszarpanych blach. Dalej leżał motocykl, a właściwie zgnieciona sterta części silnika, chromu i gumy. Na jezdni wokół widniały rozległe plamy – może oleju, ale raczej nie.

Kiedy powoli przejeżdżaliśmy obok, kierowani przez policjanta z kamienną twarzą, zobaczyłem na moście nad autostradą stłoczonych gapiów. Wychylali się przez balustradę, by oglądać przedstawienie na dole. Potem wszystko zostało za nami, a ruch wrócił do normy, jakby nic się nie zdarzyło.

W czasie jazdy z cmentarza Tom bardziej przypominał dawnego siebie. Znany mi

błysk w jego oczach świadczył, że ostami nagły zwrot wydarzeń bardzo go zaintrygował. Najpierw okazało się, że odciski palców znalezione na miejscu zbrodni należą do nieżyjącego człowieka, a teraz w grobie znaleziono obce zwłoki. Taka zagadka była dla niego jak miód.

–Wygląda na to, że informacje o zgonie Willisa Dextera są przedwczesne – powiedział w zamyśleniu. Bębnił palcami po kierownicy w rytm płynącej z odtwarzacza melodii Dizzy Gillespiego. – Jeżeli uda się sfingowanie własnej śmierci, można sobie zapewnić cholernie dobre alibi.

Przywołałem swoje myśli z miejsca, w którym błędziły.

–Kto więc, twoim zdaniem, jest w tej trumnie? Kolejna ofiara?

–Dopóki nie poznamy przyczyny śmierci, nie chcę pochopnie wyciągać wniosków, ale chyba tak. Nie należy też wykluczać, że ktoś w domu pogrzebowym pomylił ciała, ale w zaistniałych okolicznościach to mało prawdopodobne. Z dużą niechęcią zaczynam przypuszczać, że Irving miał rację, mówiąc o seryjnym zabójcy. – Zerknął na mnie. – 1 co?

–Nic.

Uśmiechnął się.

–Byłby z ciebie kiepski aktor, Dave.

Zazwyczaj uwielbiałem burzę mózgów z Tomem, ale ostatnio zbyt mocno pochłaniały mnie rozmyślenia o sobie samym.

–Ale czy nie wydaje ci się to zbyt proste, że odcisk palca na kasetce prowadzi bezpośrednio do kolejnej ofiary?

Wzruszył ramionami.

–Przestępcy popełniają błędy jak wszyscy inni.

–Uważasz więc, że Willis Dexter żyje? I to on jest zabójcą?

–A co ty sądzisz?

–Że zapomniałem, jak bardzo lubisz bawić się w adwokata diabła.

Roześmiał się.

–Tylko rozważam możliwości. A do protokołu, owszem, zgadzam się, że to trochę zbyt łatwe rozwiązanie. Dan Gardner to niegłupi facet. Potrafi być trudnym typem,

ale cieszę się, że prowadzi tę sprawę.

Nie zacząłem od razu lubić Gardnera, ale Tom nie rozdawał pochwał lekką ręką.

–A co myślisz o Yorku?

–Poza tym, że chciałem umyć rękę po jego uścisku? Sam nie wiem. Zamyślił się. – Raczej nie jest chodzącą reklamą przedsiębiorców po-rzebowych, ale chyba nie obawiał się ekshumacji. W każdym razie nie rzejmował się nią do chwili, kiedy zobaczył trumnę. Na pewno będzie usiał odpowiedzieć na parę nieprzyjemnych pytań, ale nie sądzę, żeby

zachowywał się tak spokojnie, gdyby wiedział, co tam znajdziemy.

–Mimo to trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś podmienił ciało bez wiedzy obsługi cmentarza.

Tom kiwnął głową.

–Prawie niemożliwe. Ale na razie wstrzymam się z oceną Yorka. – Włączył kierunkowskaz i wyprzedził wlokący się samochód z dużą przy-czepą kempingową. – A na marginesie, dobra robota, Dave. Nie zwróciłem uwagi na jamę nosową.

–Zwróciłbyś, gdybyś nie był taki wściekły na Hicksa.

–Bycie wściekłym na Hicksa jest ryzykiem zawodowym. Powinienem się już przyzwyczaić. – Jego uśmiech zniknął, kiedy zobaczył wyraz mojej twarzy. – No dobra, wykrztuś to z siebie. Co cię gryzie?

Nie zamierzałem poruszać tego tematu, ale nie miało sensu dłużej ro-bić uników.

–Nie sądzę, że mój przyjazd tutaj był dobrym pomysłem. Doceniam, co robisz, ale... Spójrzmy prawdzie w oczy, to nie działa. Chyba powinienem wracać.

Aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, że podjąłem decyzję, eraz jednak odniosłem wrażenie, że wszystkie moje wątpliwości skry-lizowały się i zmieniły mnie do pogodzenia się z tym, czego do tej pory ikałem. Ale mimo to, gdzieś w głębi czułem się zaszokowany takim ostatecznym wyznaniem. Mój wyjazd nie będzie zwykłym skróceniem pobytu.

Będzie kapitulacją.

–Nie chodzi o to, co zdarzyło się wczoraj w chacie, prawda? – spytał óm po chwili milczenia.





–Szepty zmarłych

–Cóż, nie tylko o to. – Wzruszyłem ramionami. – Po prostu czuję, że popełniłem błąd. Nie wiem, może po prostu za szybko wróciłem do pracy.

–Twoja rana się zagoiła, prawda?

–Nie to miałem na myśli.

–Wiem. – Westchnął. – Mogę być szczery? Kiwnąłem głową. Nie dowierzałem swojemu głosowi.

–Już raz próbowałeś uciec, i co? Dlaczego uważasz, że tym razem będzie lepiej?

Zapiekły mnie policzki. Uciekam? A więc tak to widzi?

–Jeżeli chodzi ci o ten okres, kiedy zginęły Kara i Alice, to tak, uciekłem – odparłem ostro. – Ale teraz to co innego. Zupełnie jakby czegoś brakowało, a ja nie wiem czego.

–A więc to kryzys zaufania do samego siebie.

–Jeżeli chcesz tak to ująć, owszem.

–Dobra, zapytam inaczej. Jak konkretnie ta ucieczka ma ci pomóc? Tym razem ja zamilkłem.

Tom nie odrywał wzroku od drogi.

–Nie zamierzam cię obrażać, Davidzie, wygłaszając motywacyjne frazesy. Jeżeli rzeczywiście uważasz, że powinieneś wyjechać, wyjedź. Myślę, że będziesz tego żałował, jednak cóż... twój wybór. Ale czy najpierw zrobisz coś dla mnie?

–Oczywiście. Poprawił okulary.

–Nie powiedziałem tego nikomu, tylko Mary i Paulowi. Pod koniec lata odchodzę na emeryturę.

Spojrzałem na niego zdziwiony. Sądziłem, że zostanie do końca roku.

–Ze względu na zdrowie?

–Obiecałem Mary. Chodzi o to, że byłeś jednym z moich najlepszych studentów, i to ostatnia szansa, żebyśmy wspólnie popracowali. Zrobisz mi wielką uprzejmość, jeżeli zostaniesz jeszcze tydzień.

Siedziałem przez chwilę w milczeniu, podziwiając, jak zgrabnie zastawił na mnie sidła.

–Sam wszedłem w tę pułapkę, co? Uśmiechnął się.

–Owszem. Ale teraz nie możesz złamać słowa danego starcowi, prawda?

Musiałem się roześmiać. Dziwne, ale od dawna nie poczułem się tak lekko.

–W takim razie dobra. Tydzień.

Tom z zadowoleniem kiwnął głową. Zabębnił palcami w kierownicę, wtórując trąbce rozlegającej się z głośników.

–A co sądzisz o nowej pomocnicy Dana? Popatrzyłem przez okno.

–O Jacobsen? Wydaje się dość bystra.

–Uhm. – Palce nadal wybijał) łagodny rytm. – Przystojna, nie uważasz?

–Tak, chyba tak. – Znów zaczęły mnie piec policzki. – A bo co?

–Bo nic. – Uśmiechnął się szeroko.

Tom zadzwonił do prosektorium i uprzedził, że ekshumowane szczątki są w drodze. Aby uniknąć wzajemnego skażenia, sekcję należało przeprowadzić w innej sali niż ta, w której wykonano autopsję zwłok z chaty. W przeciwnym razie, gdyby zabójca został schwytany, badania nie nadałyby się jako materiał dowodowy. Zakładając, że będzie schwytany.

Kiedy przyjechaliśmy, Kyle rozmawiał z dwoma innymi pomocnikami. Przerwał, żeby zaprowadzić nas do przygotowanej sali. Co i raz zerkał do tyłu, jakby oczekiwał – albo miał nadzieję – że pojawi się ktoś jeszcze. Był wyraźnie zawiedziony, kiedy się zorientował, że nikt do nas nie ołączy.

–Czy Summer dziś przyjdzie? – Nie udało mu się powiedzieć tego nonszalanckim tonem.

–Och, przypuszczam, że wpadnie później.

–Aha. Tak tylko się zastanawiałem.

Tom zachował kamienną twarz do momentu, kiedy Kyle wyszedł sali prosektoryjnej.

–Wiosna – powiedział z uśmiechem. – We wszystkich soki szybciej ąą.

Trumna ze Steeple Hill została dostarczona w chwili, kiedy przebraliśmy się w stroje chirurgiczne i gumowe fartuchy. Przywieziono ją w aluminiowej skrzyni – jedna trumna w drugiej, jak rosyjskie matroszki. Ciało trzeba było przede wszystkim prześwietlić, więc Kyle zawiózł kontener do radiografii.

–Mam przy tym pomóc? – zapytał.

–Nie, dzięki, damy sobie radę.

–Tom... – Pokręciłem głową. Aby zrobić zdjęcia rentgenowskie, szczątki należało wyjąć z trumny. Rozkład wprawdzie zmniejszył masę ciała, ale nie chciałem, żeby Tom się wysilał.

Westchnął z irytacją, bo wiedział, o czym myślę.

–Możemy poczekać, aż przyjdzie Summer. Już i tak narobiłem wczoraj Kyle'owi kłopotów.

–Och, bez przesady. Martin i Jason będą mnie kryli. – Kyle wyraźnie się ożywił, słysząc o Summer. Uśmiechnął się nieśmiało. – Poza tym doktora Hicksa teraz tu nie ma.

Tom zgodził się niechętnie.

–No dobrze. Pomożesz Davidowi wyjąć zwłoki, kiedy zabierzemy się do robienia zdjęć. – Zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na ekran. – To Dan. Lepiej odbiorę.

Tom wyszedł na korytarz, żeby porozmawiać z Gardnerem, a ja z Kyle'em odpieliśmy wielkie klamry mocujące aluminiowe wieko.

–A więc jest pan Brytyjczykiem? – zagadnął. – Z Londynu?

–Tak.

–O rany. I jaka jest Europa?

Mocując się z upartą klamrą, zastanawiałem się chwilę, co odpowiedzieć.

–Cóż, bardzo różnorodna.

–Tak? Chciałbym tam kiedyś pojechać. Zobaczyć wieżę Eiffla, inne miejsca. Jeździłem po Stanach, ale zawsze marzyłem o podróży za granicę.

**–Więc w drogę.**

**–Nie przy mojej pensji. – Uśmiechnął się smutno. – A... czy Summer chce zostać antropologiem sądowym jak doktor Lieberman?**

**–Chyba takie ma plany.**

**Z ogromną uwagą zajął się odpinaniem klamer, bardzo starając się demonstrować obojętność.**

**–Czy to znaczy, że zostanie w Tennessee?**

**–Dlaczego sam jej o to nie zapytasz?**

**Spojrzał na mnie z przerażeniem i szybko spuścił wzrok.**

**–Och nie! Ja tylko... no wie pan. Tak się zastanawiałem. Udało mi się powstrzymać uśmiech.**

**–Przypuszczam, że pobędzie tu jakiś czas.**

**–No tak.**

**Energicznie kiwnął głową i znów zabrał się do pracy. Nieśmiałość Kyle'a była aż bolesna. Nie wiedziałem, czy Summer ucieszy się z jego zainteresowania, ale miałem nadzieję, że chłopak zdobędzie się na odwagę, żeby się o tym przekonać.**

**Właśnie chwytaliśmy aluminiowe wieko, żeby otworzyć skrzynię, kiedy wrócił Tom. Z kwaśną miną.**

**–Zostawcie. Na razie mamy się nie zajmować ciałem. Najwyraźniej lex Irving chce je zobaczyć in situ.**

**–Po co? – Mogłem zrozumieć, że psychologowi zależało na obejrzeniu zwłok pierwszej ofiary, ale te leżały w trumnie. Co takiego chciał tu**

**zobaczyć, czego nie byłoby na fotografiach?**

**–Kto wie? – Tom parsknięciem dał wyraz frustracji. – Hicks i Irving jednego ranka. Boże, zapowiada się piekielny dzionek. A ty tego nie słyszałeś, Kyle.**

**Pomocnik się uśmiechnął.**

**–Nie, proszę pana. Jeszcze w czymś pomóc?**

**–Nie teraz. Zawołam cię, kiedy przyjdzie Irving. Jestem pewien, że krotce się pojawi.**

Ale powinniśmy zdawać sobie sprawę, że Irving nie należy do osób, które się przejmują tym, że ktoś na nie czeka. Minęło pół godziny, potem godzina, a on wciąż nie zaszczylił nas swoją obecnością. Tom i ja zajęliśmy się płukaniem i suszeniem szczątków z chaty – przez całą noc leżały w detergencie. Po dwóch godzinach psycholog bez pukania wkroczył do sali. Miał na sobie czarną koszulę i zamszową marynarkę, a jego zarost był zaledwie ciemnym cieniem na pulchnych policzkach i miękkiej linii szczęki. Towarzyszyła mu ładna, młodziutka dziewczyna. Trzymała się blisko:ego, jakby szukając ochrony.

Irving obdarzył nas nieszczerym uśmiechem.

–Doktorze Lieberman, doktorze... – Lekko skinął głową w moim:erunku. – Przypuszczam, że Dan Gardner uprzedził pana, że przyjadę.

Tom nie odwzajemnił uśmiechu.

–Owszem. Powiedział też, że zaraz pan będzie.

Irving uniósł dłonie w udawanym geście kapitulacji i tym razem jego uśmiech, jak sądzę, miał być rozbijający.

–Mea culpa. Gdy zadzwonił, miałem właśnie nagrać wywiad dla te:lewizji i wszystko się opóźniło. Wie pan, jak z tym bywa.

Tom zrobił taką minę, jakby doskonale się orientował. Spojrzał znacząco na dziewczynę.

–A to jest...

Irving wyprężył się dumnie i położył dziewczynie rękę na ramieniu.

–To jest, eee, Stacie. Studentka. Pisze rozprawę o mojej pracy.

–Fascynujące – stwierdził Tom. – Ale obawiam się, że musi pocze:kać na zewnątrz.

Psycholog machnął ręką, nonszalancko zbywając ten pomysł.

–Bez obaw. Uprzedziłem, czego może się spodziewać.

–Mimo wszystko nalegam.

Irving skrzyżował spojrzenie z Tomem i uśmiech zastygł na jego twarzy.

–Powiedziałem jej, że może ze mną pójść.

–W takim razie nie powinien pan tego robić. To prosektorium, nie sala wykładowa.

**Bardzo mi przykro. – Tom uprzejmie skinął dziewczynie głową.**

**Irving patrzył na niego przez chwilę, a potem z ubolewaniem uśmiechnął się do studentki.**

**–Wygląda na to, że moja obietnica została anulowana, Stacie. Poczekał w samochodzie.**

**Wyszła szybko, kuląc się z zakłopotaniem. Było mi żal dziewczyny, ale Irving powinien najpierw zapytać Toma o zgodę, zanim przywiózł ją tutaj. Uśmiech psychologa zniknął, kiedy tylko drzwi się zamknęły.**

**–Jest jedną z moich najlepszych studentek. Gdybym uważał, że może postawić mnie w kłopotliwej sytuacji, nie zabrałbym jej ze sobą.**

**–Nie wątpię, ale decyzja nie należała do pana. – Ton głosu Toma uciął dyskusję. – Davidzie, poproś z łaski swojej Kyle'a do radiologii. A ja tymczasem pokażę doktorowi Irvingowi, gdzie jest szatnia.**

**–Nie trzeba. Nie zamierzam niczego dotykać – oznajmił lodowato psycholog.**

**–Może nie, ale bardzo skrupulatnie przestrzegamy przepisów. Poza tym, nie daj Boże, poplamiliby pan sobie ubranie.**

**Irving zerknął na swoją kosztowną marynarkę z zamszu.**

**–Och, cóż, może ma pan rację...**

**Kiedy wychodziłem, Tom uśmiechnął się do mnie ukradkiem. Zanim znalazłem Kyle'a, Tom i Irving już przeszli do sali radiologicznej, gdzie ekshumowane zwłoki wciąż czekały na prześwietlenie. Stali w milczeniu po obu stronach aluminiowej skrzyni z trumną.**

**Irving włożył na ubranie fartuch laboratoryjny. Gdy z Kyle'em zaczęliśmy podnosić wieko, ze zboląłą miną masował sobie nasadę nosa kciukiem i palcem wskazującym.**

**–Oby to nie trwało długo. Mam nieżyt nosa i klimatyzacja sprawia, że moje zatoki... O Boże!**

**Szybko cofnął się, zakrywając połowę twarzy dłonią, gdy spod uniesionego wieka uleciał nagromadzony wewnątrz smród. Należy jednak przyznać, że błyskawicznie doszedł do siebie, opuścił rękę i kiedy otworzyliśmy właściwą trumnę, znowu się zbliżył.**

**–Czy to, eee, normalne?**

–Stan, w jakim znajdują się zwłoki? – Tom wzruszył ramionami. – To zależy, co pan rozumie przez słowo „normalne”. Pogrzebane ciało ulega rozkładowi. Ale nie do tego stopnia, jeżeli było pochowane sześć miesięcy temu.

–Zakładam, że zna pan wyjaśnienie.

–Jeszcze nie. Irving udał zdziwienie.

–A więc są dwa ciała, których rozkład jest z tajemniczych przyczyn bardziej zaawansowany, niż powinien. Sądzą, że mamy tu jakiś wzór. I rozumiem, że to nie jest prawowity właściciel grobu?

–Zgadza się. To czarny mężczyzna. Willis Dexter był biały.

–Ktoś w domu pogrzebowym musiał chyba ustanowić nowy rekord w daltonizmie – mruknął Irving. Wskazał brudną, bawełnianą płachtę, zakrywającą całe zwłoki z wyjątkiem głowy. – Można?

–Chwileczkę. Davidzie, proszę, zrób parę zdjęć. Sfotografowałem szczątki, potem Tom skinieniem głowy polecił

Kyle'owi, żeby zdjął tkaninę. Pomocnik ostrożnie ujął fałdę prowizorycznego całunu. Płyny uwolnione w trakcie rozkładu przylepiły materiał do ciała i teraz odklejał się z oporami. Kiedy Kyle zobaczył, co jest pod spodem, spojrzał niepewnie na Toma. Zwłoki były nagie.

–Och, z całą pewnością mamy tu wzór – oznajmił Irving niemal rozbawiony.

Tom skinął Kyle'owi.

–Proszę dalej.

Chłopak ściągnął całun do końca. Irving gładził brodę, przyglądając się ciału. Miałem wrażenie, że to świadomie wybrana poza, ale może byłem do niego uprzedzony.

–Cóż, pomijając aspekt napaści, kilka spraw staje się od razu oczywiste – oświadczył. – Zwłoki zostały starannie ułożone. Ręce tradycyjnie skrzyżowane na piersi, nogi wyprostowane, jak przy konwencjonalnym pochówku. Ale zwłoki potraktowano z wyraźnym szacunkiem, co diametralnie odbiega od przypadku pierwszej ofiary. No, ale wszystko to czyni życie bardziej interesującym, prawda?

Nie dla nich. Widziałem, że zachowanie Irvinga irytuje Toma.

–Osobnik znaleziony w chacie nie był pierwszą ofiarą.



**–Słucham?**

**–Zakładając, że ten tutaj został zamordowany, czego nie możemy stwierdzić na pewno, dopóki nie poznamy przyczyny śmierci, był martwy**

**0 wiele dłużej niż znaleziony wczoraj mężczyzna – wyjaśnił Tom. – Cokolwiek się zdarzyło, zmarł pierwszy.**

**–Przyznaję się do błędu – oznajmił Irving z lodowatym uśmiechem. – Ale to tylko potwierdza moją teorię. Widzimy zdecydowany postęp. Jeżeli niejaki Dexter sześć miesięcy temu sfingował własną śmierć, co jest chyba bardzo prawdopodobne, wszystko nabiera bardzo symbolicznego znaczenia. Początkowo myślałem, że morderca odrzuca swoją seksualność, przekształcając tłumione popędy w przemoc. Ale dzisiejsze odkrycie nadaje sprawom inny charakter. Pierwsza ofiara została okryta całunem i pochowana, niemal ze wstydem ukryta. Teraz, pół roku później, zwłoki w chacie są wystawione na pokaz. Jakby ktoś krzychał: „Spójrzcie na mnie! Zobaczcie, co zrobiłem!” Po „pogrzebaniu” swojego starego ja morderca wychodzi z ukrycia.**

**1 biorąc pod uwagę tak radykalną zmianę w traktowaniu ofiar, nie zdziwiłbym się, gdyby było więcej pochówków, o których w ogóle nie wiemy.**

**Zachowywał się tak, jakby taka ewentualność go podniecała.**

**–A więc nadal pan uważa, że to gejowskie morderstwa – stwierdził Tom.**

**–Niemał na pewno. Wszystko to potwierdza.**

**–Wydaje się pan bardzo pewien swego. – Nie zamierzałem się wtrącać, ale Irving grał mi na nerwach.**

**–Mamy dwa martwe ciała, oba męskie. Nie uważa pan, że to dość wyraźna poszlaka?**

**–Czasami zwłoki są wywożone z kostnicy nago. Na przykład jeśli zmarły nie ma rodziny, która dostarcza ubrania.**

**–A więc drugie nagie męskie zwłoki to tylko zbieg okoliczności? Ciekawa teoria. – Zaszczycił mnie protekcyjnym uśmiechem. – Może zechce pan też wytłumaczyć, dlaczego odcisk palca zostawiony przez Dex-tera na kasetce był posmarowany oliwką dla niemowląt?**

**Obaj z Tomem nie zdołaliśmy ukryć zaskoczenia. Irving udał konsternację.**

**–Och, bardzo mi przykro. Czyżby Gardner o tym nie wspomniał? Może wydało mu**

się to nieistotne. Ale o ile morderca nie ma zamiłowania do nawilżania, przychodzi mi do głowy tylko jeden powód, dlaczego w chacie używał oliwki dla niemowląt. – Zawiesił głos, upewniając się, że szpilka utkwiała wystarczająco głęboko, i dopiero po chwili zaczął mówić dalej. – W każdym razie motywacja seksualna wyjaśniłaby także odmienny profil rasowy ofiar. Podstawowym wspólnym mianownikiem nie jest ich kolor skóry, ale fakt, że są mężczyznami. Nie, z całą pewnością mamy do czynienia z seksualnym drapieżnikiem. A biorąc pod uwagę podejrzaną nieobecność Willisa Dextera we własnym grobie, jestem skłonny uznać go za bardzo prawdopodobnego kandydata.

–Według informacji Dana Dexter nie był notowany za przestępstwa albo stosowanie przemocy – stwierdził Tom.

Irving pozwolił sobie na pełen wyższości uśmiech.

–Naprawdę chytry drapieżca nigdy nie trafia w ręce policji. Tkwią w ukryciu, często jako szanowani obywatele, do momentu kiedy popełnią błąd albo świadomie się ujawnią. Patologiczny narcyzm nie należy do rzadkości wśród seryjnych morderców. Czują się zmęczeni ukrywaniem swoich talentów i postanawiają, że tak powiem, publicznie naprężyć mięśnie. Na szczęście, większość z nich ostatecznie potyka się o własną próżność. Jak w tym przypadku. – Teatralnie wskazał zwłoki w trumnie. Mówił niemal pouczającym tonem, jakbyśmy byli z Tomem niezbyt inteligentnymi studentami. – Jeżeli chodzi o zamianę ciał, Dexter nie mógłby tego zrobić bez pomocy kogoś z domu pogrzebowego – stwierdził z przekonaniem. – Albo Dexter sam tam pracował, co biorąc pod uwagę jego zawód jest mało prawdopodobne, albo miał współnika. Może kochanka. Działali zespołowo: jeden osobnik dominujący, drugi podporządkowany. A to byłoby naprawdę ciekawe.

–Fascynujące – mruknął Tom.

Irving spojrzał na niego ostro, jakby dopiero teraz zaczął podejrzewać, że rzuca perły przed wieprze. Ale nie doczekaliśmy się jego dalszych opinii, ponieważ weszła Summer.

Zatrzymała się, widząc nas przy trumnie.

–Och, przepraszam! Poczekać na zewnątrz?

–Jeżeli o mnie chodzi, nie ma takiej potrzeby. – Irving obdarzył ją szerokim uśmiechem. – Chociaż decyzja oczywiście należy do doktora Liebermana. Wydaje się, że pragnie chronić studentów przed smutną rzeczywistością.

Tom puścił żarcik mimo uszu.

–Summer jest jedną z moich absolwentek. Pomaga nam.

**–Oczywiście. – Irving uśmiechnął się jeszcze szerzej, patrząc na ozdoby twarzy Summer. – Wie pani, zawsze fascynowało mnie zrobienie z ludzkiego ciała dzieła sztuki. Swego czasu sam zastanawiałem się nad tatuażem, niestety w moim zawodzie nie jest to dobrze widziane. Ale uwielbiam pogański aspekt piercingu, całą tę koncepcję współczesnego prymitywizmu. To tak niebanalne odnaleźć w dzisiejszych czasach tego rodzaju indywidualizm.**

**Summer splonęła czerwienią, ale raczej z zadowolenia niż zakłopotania.**

**–Dziękuję.**

**–Och, bez przesady. – Urok Irvinga był włączony do oporu. – Mam jeden czy dwa podręczniki na temat prymitywnego body artu. Może panią zainteresują...**

**–Jeżeli to wszystko, profesorze Irving, chcielibyśmy przystąpić do pracy – wtrącił się Tom.**

**Przez moment w uśmiechu Irvinga pojawiła się irytacja.**

**–Oczywiście. Miło mi było poznać, panno...**

**–Summer.**

**Irving znów błysnął zębami.**

**–Moja ulubiona pora roku.**

**Zdjął rękawiczki i rozejrzał się, gdzie mógłby je położyć. Nie znalazł odpowiedniego miejsca, więc podał je Kyle'owi. Młody pomocnik pro-sektoryjny zrobił zdziwioną minę, ale pokornie wziął rękawiczki.**

**Irving jeszcze raz uśmiechnął się do Summer i wyszedł. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, zapadła cisza. Twarz dziewczyny była rozpromieniona w uśmiechu, szkarłat policzków kontrastował z tlenionymi blond włosami. Kyle stał wyraźnie przygnębiony, wciąż trzymając w dłoni rękawiczki psychologa.**

**Tom odchrząknął.**

**–Cóż, weźmy się w końcu do roboty.**

**Zacząłem robić kolejne zdjęcia odsłoniętych szczątków. Tom wyszedł, żeby zadzwonić do Gardnera. Zespół techników zazwyczaj badał trumnę dopiero po wyjęciu ciała. Tom postanowił jednak najpierw przekonsultować to z agentem TBI, chociaż fakt, że zwłoki były nagie, zapewne niczego nie zmieniał.**

**Kyle już zrobił co swoje w radiologii, ale widząc, jak patrzy na Summer, nie miałem**

serca go odesłać. Wyraz jego twarzy przypominał minę kopniętego szczeniaka.

Po chwili wrócił Tom. Tryskał energią.

–Dan powiedział, żeby działać. Wyciągamy zwłoki. Ruszyłem w stronę skrzyni, ale Tom mnie zatrzymał.

–Kyle, mógłbyś pomóc Summer?

–Ja? – Pomocnik się zaczerwienił. Zerknął na nas niepewnie. – Och, eee, no jasne.

Tom mrugnął do mnie, gdy Kyle podszedł do Summer.

–Nie powinieneś mieć łuku i strzał? – mruknąłem, kiedy przygotowywali się do wyjęcia ciała.

–Czasami trzeba pomóc losowi. – Jego uśmiech zgasł. – Danowi zależy, żeby działać szybko. Normalnie zostawiłbym te szczątki i najpierw dokończył robotę przy denacie z chaty, ale w tej sytuacji...

Nagle rozległ się krzyk. Kyle stał koło trumny i patrzył na swoją dłoń.

–Co się stało? – Tom podbiegł do chłopaka.

–Coś mnie ukłuło. Kiedy chwyciłem zwłoki.

–Przebiło skórę?

–Nie wiem...

–Pokaż – powiedziałem.

Grube gumowe rękawice sięgały Kyle'owi prawie po łokcie. Były wymazane cieczą z rozkładającego się ciała, ale na dłoni wyraźnie widniała wyszarpana dziura.

–Naprawdę, nic się nie stało... – tłumaczył Kyle.

Nie zwracałem uwagi na jego słowa, ściągnąłem rękawicę. Od długiego kontaktu z gumą dłoń chłopaka była blada i pomarszczona. Na środku ciemniała plama krwi.

–Włóż rękę pod kran. Macie apteczkę? – spytałem.

–W sali prosektoryjnej. Summer, przynieś, dobrze? – polecił Tom.

Podprowadziłem Kyle'a do zlewu, włożyłem jego rękę pod silny strumień zimnej wody i zmyłem krew. Rana była mała, niewiele większa niż ukłucie szpilką. Ale

przez to nie mniej groźna.

–I jak? – zapytał, kiedy wróciła Summer.

–Jeżeli miałeś wszystkie szczepienia, będzie dobrze. – Staralem się, aby to zabrzmiało jak najbardziej przekonująco. – Miałeś?

Pokiwał głową, patrząc z niepokojem, jak oczyszczam ranę środkiem odkażającym. Tom podszedł do trumny.

–W którym miejscu dotknąłeś ciała?

–To było, eee, ramię. Prawe.

Tom pochylił się nisko, ale nie dotknął zwłok.

–Coś tu jest. Summer, kleszcze.

Uchwycił coś, co tkwiło w gnijących szczątkach. Lekko pociągnął.

–Co to takiego? – spytał Kyle.

Wyraz twarzy Toma stał się nagle beznamiętny.

–Wygląda jak igła do zastrzyków.

–Igła? – zawołała Summer. – O mój Boże, ukłuł się igłą z tego? Tom spiorunował ją wzrokiem. Ale wszyscy myśleliśmy o tym samym.

Kyle, jako pracownik prosektorium powinien być uodporniony na większość chorób przenoszonych przez zwłoki, ale przed niektórymi nie istniała żadna ochrona. Przy zachowaniu ostrożności ryzyko było niewielkie. Chyba że ma się otwartą ranę.

–Myślę, że nic wielkiego się nie stało, mimo wszystko lepiej pojedźmy na pogotowie – oznajmił pozornie spokojny Tom. – Zmień ubranie. Spotkamy się na zewnątrz.

Kyle zbladł.

–Nie, d-dobrze się czuję, naprawdę...

–Nie wątpię, ale niech cię zbadają. Po prostu, dla pewności. – Ton jego głosu nie dopuszczał żadnej dyskusji. Tom poczekał, aż drzwi zamkną się za oszołomionym Kyle'em. – Summer, jesteś absolutnie pewna, że niczego nie dotykałaś?

Szybko kiwnęła głową. Też mocno zbladła.

**–Nie miałam takiej możliwości. Chciałam pomóc Kyle'owi unieść ciało, kiedy on... U Boże, myśli pan, że wszystko będzie z nim dobrze?**

**Tom nie odpowiedział.**

**–Przebierz się, Summer. Dam znać, jeżeli będę cię potrzebował. Nie protestowała. Kiedy wyszła, Tom włożył igłę do małego słoiczka.**

**–Chcesz, żebym pojechał z Kyle'em? – spytałem.**

**–Nie, to mój obowiązek. Na razie zajmij się tymi drugimi szczątkami. I niech nikt nie zbliża się do trumny, dopóki sam nie prześwietlę zwłok.**

**Nigdy dotąd nie widziałem go w tak ponurym nastroju. Istniała możliwość, że igła ułamała się i utkwiała w ciele przypadkowo, ale to wydawało się mało prawdopodobne. Nie wiedziałem, czy bardziej niepokojąca była koncepcja, że igłę umieszczono tam celowo, czy też to, co z takiej hipotezy wynikało.**

**Ktoś się spodziewał, że ciało zostanie wykopane.**

**Twój pierwszy raz. To była kobieta. Dwa razy od ciebie starsza i pijana. Widzisz ją w barze, tak zamroczoną alkoholem, że ledwo siedzi. Chwieje się na stołku barowym, niechlujna, przekwitła, z wychudzoną, zaczerwienioną twarzą. Pali papierosy tak, że niemal parzą jej poplamione nikotyną czubki palców. Kiedy odrzuca do tyłu głowę i rechocze, patrząc na migocący ekran telewizora nad barem, jej ochryply śmiech brzmi jak syreni śpiew.**

**Od razu jej zapragnąłeś.**

**Obserwujesz kobietą z drugiego końca sali. Siedzisz tyłem, ale nie spuszczasz wzroku z jej odbicia w lustrze. Otulona papierosowym dymem podchodzi do większości mężczyzn w barze, wpija ciekawym wzrokiem i uśmiechem ich pomarszczonym ramieniem. Denerwujesz się, zazdrość pali cię w żołądku jak kwas. Ale za każdym razem ramię jest odtrącane, zaproszenie odrzucone. Wraca niepewnym krokiem na stół i głośno domaga się kolejnego drinka, aby utopić w nim swoje rozczarowanie. Twoja nerwowość narasta, bo wiesz, że to będzie właśnie ta noc.**

**Musi nią być.**

**Nie spieszysz się; czekasz, aż barman straci do kobiety cierpliwość. Wymykasz się niepostrzeżenie, gdy ona nadal na niego wrzeszczy – wulgarne słowa mieszają się z rzewnymi błaganiami. Na ulicy podnosisz kołnierz i szybko kierujesz się do najbliższej bramy. Jest jesień; mżawka spowija ulice mgłą, otulając latarnie żółtą poświatą.**

**Nie mogłeś wymarzyć sobie lepszej nocy.**

**Oczekiwanie na jej wyjście trwa dłużej, niż się spodziewałeś. Stoisz, dygocząc z zimna i napływu adrenaliny, niecierpliwość zaczyna trzępić ci nerwy. Ale twardo trwasz na posterunku. Zbyt często już rezygnowałeś. Jeżeli się przestraszysz i znowu tego nie zrobisz, nigdy więcej się już nie zdecydujesz.**

**I nagle widzisz – wylania się z baru, idzie niepewnym krokiem, usiłując otulić się płaszczem zbyt cienkim, jak na tę porę roku. Przechodzi tuż obok bramy, ale cię nie zauważa. Szybko ruszasz za nią, serce wybija staccato w kontrapunkcie z rytmem twoich kroków.**

**Kiedy dostrzegasz przed sobą blask neonowej wywieszki baru, wiesz, że nadeszła pora. Doganiasz kobietę. Chcesz coś powiedzieć, ale język masz jak kołek. Ona jednak ułatwia ci sprawę. Przygląda się**

**z nieprzytomnym zdziwieniem, potem jej zbyt czerwone usta otwierają się w ochrypłym chichocie.**

**–Hej, kochasiu. Postawisz dziewczynce drinka?**

**Twoja furgonetka stoi kilka przecznic dalej, ale nie możesz czekać. Kiedy docierasz do czarnej paszczy zaułka, wpychasz do niej kobietę i z drżeniem wyciągasz nóż.**

**Potem krótka szarpanina, błyskawiczna penetracja i wytrysk płynu. Wszystko odbyło się zbyt szybko, skończyło, zanim właściwie się zaczęło. Stoisz nad nią, dysząc, podniecenie już topnieje, szarzeje. Czy to było to? I już koniec?**

**Wybiegasz z zaułka ścigany przez obrzydzenie i rozczarowanie. Dopiero później, kiedy rozjaśnia ci się w głowie, zaczynasz analizować, co zrobiłeś nie tak. Za bardzo się spieszyłeś. Te rzeczy powinno się robić wolniej, napawać się nimi. Bo inaczej, jak chcesz się czegoś nauczyć? W tym pośpiechu nie zdążyłeś nawet wyjąć spod płaszcza aparatu fotograficznego. A jeżeli chodzi o nóż...**

**Tak, był zdecydowanie niewłaściwą rzeczą.**

**Od tamtej pory przeszedłeś długą drogę. Doskonaliłeś technikę, szlifowałeś rzemiosło, zmieniając je w sztukę. Teraz już dokładnie wiesz, czego chcesz i co musisz zrobić, żeby to osiągnąć. Mimo wszystko wspominasz tę niezgrabną próbę w zaułku z pewną czułością. To był twój pierwszy raz, a każdy pierwszy raz zawsze jest katastrofą.**

**Praktyka prowadzi do doskonałości.**

**Rozdział 8**

**(Trzynaście?!)**

Gardner wziął słoiczek na próbki z całej kolekcji stojącej na wózku z nierdzewnej stali i podniósł go, żeby zobaczyć zawartość. Podobnie jak w pozostałych, tkwiła w nim jedna igła do zastrzyków, wyjęta z ekshumowanych zwłok – srebrzysty kawałek stali, oblepiony czarną materią.

–Znaleźliśmy kolejnych dwanaście – powiedział Tom. Stres związany z wydarzeniami tego dnia był wyraźnie widoczny w jego głosie i wyglądzie. – Większość tkwiła w rękach, nogach, barkach, w miejscach, za które najprawdopodobniej chwyci ktoś, kto próbowałby wyjąć zwłoki.

Gardner odstawił słoik i jego zmęczona twarz wykrzywiła się z obrzydzeniem. Przyjechał sam i próbowałem nie zwracać uwagi na rozczarowanie, które poczułem, widząc, że nie ma z nim Jacobsen. Byliśmy w trójkę w kolejnej sali prosektoryjnej. Tom i ja przenieśliśmy tu szczątki po zrobieniu im zdjęć rentgenowskich. Igły widniały na nich jako wyraźne białe kreski, odcinające się od szarego i czarnego tła. Tom uparł się, że usunie je bez mojej pomocy. Gdyby tylko zdołał, sam też wyjąłby zwłoki z trumny. Nie mógł jednak tego zrobić, ale zanim pozwolił komukolwiek dotknąć zmarłego, najpierw dokładnie sprawdził go ręcznym wykrywaczem metalu.

Po tym, co przydarzyło się Kyle'owi, nie zamierzał ryzykować. Pożmocnik spędził całe popołudnie w pogotowiu, potem wysłano go do domu. Nafaszerowano antybiotykami o szerokim spektrum, ale ani one, ani nic innego nie dawało skutecznej ochrony przed niektórymi patogenami, jakie igła mogła wprowadzić do krwiobiegu. Wyniki testów miały być gotowe za kilka dni, ale na część trzeba będzie czekać o wiele dłużej. Mogą minąć miesiące, zanim Kyle zyska pewność, czy nie został zakażony.

–Igły wbite ostrzami do góry, więc każdy, kto zajmował się ciałem, musiałby się na nie nadziać – wyjaśniał Tom. Twarz miał ściągniętą i wyraźnie był z siebie niezadowolony. – To moja wina. Nie powinienem pozwolić, by ktokolwiek oprócz mnie dotykał zwłok.

–Przestań – powiedziałem. – Przecież absolutnie nie mogłeś tego przewidzieć.

Gardner popatrzył na mnie nadal niezadowolony z mojej obecności, ale nic nie powiedział. Tom wyraźnie stwierdził, że mam takie same prawo być tutaj jak on. Przy okazji zwrócił uwagę, że równie dobrze to ja mogłem się ukłuć.

Gdyby Tom nie ulitował się nad Kyle'em, pewnie tak by się stało.

–Winę ponosi tylko jeden człowiek – oznajmił Gardner. – Ten, kto to zrobił. Szczęście, że nikt inny nie odniósł obrażeń.



**–Spróbuj powiedzieć to Kyle'owi. – Tom patrzył na słoiiczki do próbek, oczy miał podkrążone ze zmęczenia. – Czyje ciało było w trumnie?**

**Gardner zerknął na zwłoki na aluminiowym stole. Dokładnie opłukaliśmy je wodą z węża, zmywając większą część płynu powstałego w czasie rozkładu. Dopiero potem Tom usunął igły. Odór nie był już tak intensywny jak podczas pierwszego otwarcia trumny, ale mimo wszystko wyraźnie się go czuło.**

**–Badamy sprawę.**

**–Ktoś w domu pogrzebowym musi coś wiedzieć! – zaprotestował Tom. – Co York mówi na ten temat?**

**–Nadal go przesłuchujemy.**

**–Przesłuchujecie? Boże Wszechmogący, Dan, mniejsza o to, że zwłoki zostały podmienione. Przecież kiedy znajdowały się w Steeple Hill, ktoś wbił w nie trzynaście igieł do zastrzyków! Jak mogło się to zdarzyć bez wiedzy Yorka!**

**Twarz agenta TBI stężała.**

**–Nie wiem, Tom. Dlatego przesłuchujemy faceta. Tom westchnął głęboko.**

**–Przepraszam. To był ciężki dzień.**

**–W porządku. – Gardner chyba żałował wcześniejszej powściągliwości. Napięcie w sali prosekcyjnej trochę zelżało, kiedy oparł się o stół i zaczął rozcierać kark. Jaskrawe górne światło niemal całkowicie odbarwiło jego twarz. – York twierdzi, że jakieś osiem miesięcy temu zatrudnił niejakiego Dwighta Chambersa. Według niego facet był darem niebios: ciężko pracował, chciał się uczyć, bez gadania zostawał po godzinach. Aż nagle pewnego dnia się nie pokazał i w Steeple Hill więcej już go nie zobaczył. York upiera się, że to Chambers zajmował się pochówkiem Dextera, przygotowywał ciało i zamykał trumnę.**

**–A ty mu wierzysz? Gardner uśmiechnął się blado.**

**–Dobrze wiesz, że nie wierzę nikomu. York bardzo się martwi, ale nie sądzę, że z powodu morderstw. Steeple Hill jest w dołku. Dlatego tak chętnie współpracował. Miał nadzieję, że jeżeli będzie miły, szybko sobie pójdziemy. Ale wygląda na to, że od lat walczy, by utrzymać firmę na powierzchni. Idzie na skróty i żeby obniżyć koszty, zatrudnia na czarno przypadkowych ludzi. Nie odprowadza podatku, nic płaci ubezpieczenia i nie zadaje pytań. Zła wiadomość: nie ma też żadnych danych dawnych pracowników.**

**–A czy jest jakiś dowód, że ów Dwight Chambers w ogóle istniał? – Do tej pory nie**

odzywałem się, bo i tak ledwo tolerowano moją obecność. Gardner zrobił minę, jakby zamierzał odpowiedzieć, ale Tom mu na to nie pozwolił.

–Słuszne pytanie, Dan. Gardner westchnął.

–Pracownicy domu pogrzebowego tak często przychodzą i odchodzą, że Chambers był jednym z bardzo wielu. Niełatwo odszukać kogoś, kto pracował tam wystarczająco długo, by go zapamiętać, ale znaleźliśmy dwóch takich gości. Podali dość nieprecyzyjny opis, ale zgadza się z tym uzyskanym od Yorka. Biały, ciemne włosy, w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat.

–Czy to pasuje do Willisa Dextera? – zapytałem.

–Pasuje do połowy mężczyzn w Tennessee. – Odruchowo wyrównał pudełko szkiełek z krawędzią stołu. Zorientował się, co robi, i skrzyżował ręce na piersi. – Cóż, sprawdzamy hipotezę, że Dexter i Chambers to jeden i ten sam człowiek, i że Dexter mógł być wystarczająco sprytny, by nie tylko sfingować swoją śmierć, ale też zorganizować własny pogrzeb. Według protokołu sekcji zmarł w wyniku rozległych obrażeń głowy powstałych przy uderzeniu jego samochodu w drzewo. W wy-

adku nie uczestniczył żaden inny pojazd, a w organizmie Dextera było Jość alkoholu, by zabić konia. Przyjęto, że stracił panowanie nad pojazdem.

–Ale? – wtrącił Tom.

–Ale... samochód się zapalił. Zwłoki zidentyfikowano wyłącznie na podstawie przedmiotów osobistych. Istnieje więc prawdopodobieństwo, że podczas rutynowej autopsji nie zwrócono uwagi na cechy rasowe. A ponieważ Dexter nie miał żadnej rodziny, pogrzeb był tylko formalnością.

Nie po raz pierwszy podpalono by samochód, aby ukryć tożsamość zwłok. Mimo to nie wszystkie elementy układanki pasowały.

Tom najwyraźniej pomyślał o tym samym. Popatrzył na szczątki leżące na stole.

–Na podstawie dotychczasowych oględzin nie powiedziałbym, że łoki były spalone. A co ty sądzisz, Davidzie?

To samo. – Wprawdzie proces rozkładu mógłby w pewnym stopniu zamazać obraz, ale wygląd ciała zupełnie nie wskazywał na oddziaływanie wysokich temperatur. Ofiary pożaru miały kończyny charakterystycznie przyciągnięte do tułowia. Co prawda później mogły być wyprostowane siłą, ale nawet wtedy istniałyby jakieś zewnętrzne objawy.

–Może spaliły się tylko wierzchnie części tkanek – zasugerował Gardner. – Tak czy

**inaczej, Willis Dexter jest nadal zaginiony i dopóki nie**

**[obędziemy dowodów, że nie żyje, pozostanie dla nas podejrzany.**

**–Ale to bez sensu – wyrwało mi się nagle.**

**–Słucham?**

**No dalej. Już za późno, żeby się wycofać.**

**–Gdyby Dexter chciał, aby uważano, że zginął, dlaczego nie załatwił spopielenia zwłok? Po co miałby najpierw zadawać sobie tyle trudu, a potem zostawiać w trumnie ciało ewidentnie kogoś innego?**

**Twarz Gardnera była jak wykuta w kamieniu.**

**–Mógł uznać, że to nie ma znaczenia, skoro zwłoki zwęgliły się w wypadku. I nie miałoby, gdyby nie odcisk palca, który znaleźliśmy w chacie.**

**–Ale skoro powbijał igły, najwyraźniej spodziewał się... nawet chciał ekshumacji.**

**Gardner patrzył na mnie, jakby rozważał, czy mi odpowiedzieć, czy wyrzucić za drzwi.**

**–Zdaję sobie z tego sprawę. A jeżeli to pana interesuje, nam też przyszło do głowy, że odcisk palca był zostawiony specjalnie. Może Dexter zrobił to sam, a może jest pochowany w innym grobie w Steeple Hill, a ktoś trzyma jego rękę w lodówce. Ale dopóki nie poznamy konkretnej odpowiedzi, będzie dla nas podejrzany. Nie ma pan nic przeciwko temu, doktorze Hunter?**

**Nic nie odpowiedziałem. Czułem, jak napinają mi się mięśnie twarzy.**

**–David próbuje pomóc, Dan – wtrącił się Tom, ale to tylko pogorszyło sytuację.**

**–Oczywiście – mruknął Gardner z miną, która mogła oznaczać właściwie wszystko. Wstał i skierował się do wyjścia, ale nagle zatrzymał się i odezwał do Toma tak, jakby mnie w ogóle tam nie było. – Jeszcze jedno. Zdjęcia uzębienia zwłok z chaty pasują do danych z karty dentystycznej Terry'ego Loomisa. Może nie jesteśmy Scotland Yardem, ale przy najmniej zidentyfikowaliśmy jedną z ofiar. – Skinął Tomowi głową znów ruszył w stronę drzwi. – Będę w kontakcie.**

**Wróciliśmy do pracy dopiero pod koniec dnia. Mieliśmy poważne spóźnienie, a fakt, że byliśmy tylko we dwóch, nie ułatwiał sprawy. Po tym co przydarzyło się Kyle'owi, Tom nie zamierzał pozwolić, by Summer nadal nam pomagała.**

**–Może to zamykanie drzwi stajni po tym, jak skradziono już konia, ale ona jest tylko**

studentką. Nie chcę mieć nikogo więcej na sumieniu.

–Spojrzał na mnie z powagą znad zsuniętych na czubek nosa okularów.

–Zrozumiem, jeżeli zdecydujesz się wycofać.

–A co z ostatnią szansą na wspólną pracę? – zażartowałem.

Próba poprawienia nastroju zawiodła. Tom pocierał mostek kantem dłoni, ale przerwał, kiedy się zorientował, że go obserwuję.

–Nie wiedziałem wtedy, w co cię pakuję.

–W nic mnie nie wpakowałeś. Zgłosiłem się na ochotnika. Tom zdjął okulary i zaczął je wycierać ze spuszczoną głową.

–Tylko dlatego, że cię o to poprosiłem. Może powinienem zwrócić się do Paula albo kogoś innego, żeby mi pomógł.

Zaskoczyło mnie, jak bardzo poczułem się rozczarowany.

–Gardner byłby na pewno z tego bardzo zadowolony. Przynajmniej to wywołało jego uśmiech.

–Dan osobiście nie ma nic przeciwko tobie. Po prostu lubi działać zgodnie z przepisami. To poważne dochodzenie w sprawie zabójstwa. Wywierają na niego presję, żeby wykazał się wynikami. Dla niego jesteś tajemnicą, to wszystko.

–I chyba by wolał, żebym nią pozostał. Zaśmiał się krótko.

–Popatrz na to z mojego punktu widzenia, Davidzie. Po tym, co ci przydarzyło się w ubiegłym roku...

–Ubiegły rok był w ubiegłym roku – odparłem ostrzej, niż zamierzałem. – Posłuchaj, wiem, że jestem tu wyłącznie dzięki twojemu zaproszeniu i jeżeli wolisz wziąć do pomocy Paula albo kogokolwiek, nie ma sprawy. Ale nie mogę robić uników i uciekać za każdym razem, kiedy sytuacja się komplikuje. Sam to powiedziałaś. Poza tym już znaleźliśmy igły. Co jeszcze może się zdarzyć?

Tom w zamyśleniu nadal przecierał szkła, które na pewno były już idealnie czyste. Milczałem. Sam musiał podjąć decyzję. W końcu założył okulary.

–Wracamy do pracy.

Ale ulgę, którą poczułem, bardzo szybko stłumiły powracające wątpliwości. Czy wymienienie mnie na Paula lub innego kolegę Toma nie byłoby jednak lepszym

rozwiązaniem? Przecież nie przyjechałem tu uczestniczyć w dochodzeniu, a moja obecność wyraźnie wywoływała tarcia Gardnerem. Tom był równie uparty jak agent TBI, zwłaszcza jeśli chodziło o dobór współpracowników, ale nie chciałem przysparzać dodatkowych kłopotów.

Z drugiej strony, nie miałem już ochoty się wycofywać. Czy spowodował to przypadek Kyle'a, czy też w końcu odżył instynkt zawodowy, ale coś we mnie się zmieniło. Przez długi czas odnosiłem wrażenie, że brakuje jakiejś istotnej części mojej osobowości, amputowanej nożem Grace Strachan. Teraz obudziła się we mnie dawna obsesyjna potrzeba poznania

prawdy o losach ofiary. Mogłem tylko asystować Tomowi, ale wciąż czułem, że mam swój udział w dochodzeniu. Nienawidziłem samej myśli, że tak po prostu odejdę.

Zwłaszcza że dano mi wybór.

Tom w jednej sali prosektoryjnej rekonstruował szkielet Terry'ego Loomisa, w drugiej ja zajmowałem się anonimowymi zwłokami z trumny Willisa Dextera. Zostały umyte, ale należało jeszcze usunąć pozostałe tkanki miękkie. Minęło niewiele czasu, kiedy Tom zajrzał przez drzwi.

–Chcesz coś zobaczyć?

Poszedłem za nim do drugiej sali prosektoryjnej. Tom ułożył na stole kości długie rąk i nóg mniej więcej zgodnie z ich anatomiczną pozycją. Potem będzie dokładał kolejne – żmudna, ale niezbędna praca.

Podniósł ze stołu oczyszczoną czaszkę.

–Piękna, co? Idealny przykład różowych zębów.

Po usunięciu rozkładającej się tkanki miękkiej różowe zabarwienie było wyraźnie widoczne. Coś w czasie agonii Terry'ego Loomisa, albo wkrótce po śmierci, wtoczyło krew do miazgi zębowej.

Pytanie, co?

–Głowy nie miał aż tak bardzo odchylonej do tyłu, żeby to się stało na skutek grawitacji – oznajmił Tom, dając wyraz także moim wątpliwościom. – Gdyby nie ilość krwi w chacie, powiedziałbym, że został uduszony.

Przytaknąłem. Sądząc z tego, co widzieliśmy, Terry Loomis dosłownie się wykrwawił. Ale wtedy nie powinien mieć różowych zębów. Co prawda istniała możliwość, że rany widoczne na ciele zostały zadane po śmierci, ale w takim

wypadku nie krwawiłyby aż tak bardzo. Istniały więc dowody, że śmierć nastąpiła na skutek uduszenia oraz licznych ran. Rzecz w tym, że obie przyczyny nie mogły zaistnieć jednocześnie. Jedna wykluczała drugą.

A więc która była właściwa?

–Czy są ślady cięć aż do kości? – zapytałem. Świadczyłyby one o gwałtownym ataku.

–Nie zauważyłem.

–A co z kością gnykową?

–Caluteńka. Tu też żadnej wskazówki.

Gdyby kość wokół krtani została złamana, oznaczałoby to, że Loomisa ktoś udusił. Ale brak uszkodzeń wcale nie wykluczał takiej możliwości. Przy duszeniu nie zawsze łamie się kość gnykową; wbrew pozorom jest ona dość mocna. A zatem brak takich uszkodzeń u Loomisa ani niczego nie potwierdzał, ani nie wykluczał. Tom uśmiechnął się ze zmęczeniem.

–Trudna sprawa, co? Ciekawe, czy zwłoki z trumny też mają różowe:by. Jeżeli tak, stawiam na uduszenie.

–Musimy poczekać, aż czaszka zostanie oczyszczona – stwierdziłem. – Zęby są popsute. Poza tym ten człowiek za życia sporo palił. Jest za dużo śladów nikotynowych, żeby ustalić, czy są inne przebarwienia.

–Cóż, przypuszczam, że będziemy musieli...

Zanim skończył, do sali jak huragan wpadł Hicks. Twarz miał zaczerwienioną od alkoholu i nawet z drugiego końca sali czułem w jego oddechu kwaśny odór wina i cebuli. Najwyraźniej był po dobrym lunchu.

Całkowicie mnie ignorując, podszedł do Toma. Jego łysina połyskiwała w świetle jarzeniówek.

–Za kogo ty się, do diabła, uważasz, Lieberman?

–Jeżeli chodzi ci o Kyle'a, to przykro mi...

. – Przykro? To niczego nie załatwia! Używaj swoich cholernych studentów, a nie moich preparatorów. – Ta nieoficjalna nazwa pomocników prosektoryjnych zabrzmiała jak obelga. – Czy ty sobie wyobrażasz, ile to może nas kosztować, jeżeli Webster złoży skargę do prokuratury?

–Teraz bardziej martwię się o Kyle'a.

–Szkoda że nie pomyślałeś o tym wcześniej. Lepiej módl się, żeby igła nie była skażona, bo w przeciwnym wypadku, przysięgam, wszystko padnie na twoją głowę.

–Już spadło.

Hicks miał właśnie przypościć kolejny atak, kiedy zdał sobie sprawę, jestem świadkiem tej awantury. Spoirzał na mnie wściekle.

–Masz coś do powiedzenia?

Wiedziałem, że Tom nie będzie mi wdzięczny za wtrącenie się. Ugryź ię w język. Nic nie mów.

–Ubrudził pan sobie krawat sosem – wypaliłem, zanim zdążyłem się wstrzymać.

Przymrużył oczy. Do tej pory traktował mnie chyba tylko jako dołstawkę do Toma. Teraz wiedziałem, że mnie też weźmie na cel, ale co tam. Hicksowie tego świata tylko szukają pretekstu, żeby się oburzać. Czasami lepiej po prostu im na to pozwolić.

Pokiwał z namysłem głową, jakby coś sobie obiecując.

–To jeszcze nie koniec, Lieberman – oznajmił. Spiorunował Toma spojrzeniem i wyszedł.

Tom poczekał, aż zamkną się za nim drzwi.

–Davidzie... – Westchnął.

–Wiem. Bardzo przepraszam. Zaśmiał się.

–Aja myślę, że to była zupa pomidorowa. Ale na przyszłość... – Przełrwał z cichym jękiem i uniósł dłoń do piersi. Ruszyłem w jego stronę, ale machnął na mnie ręką. – Nic mi nie jest.

Najwidoczniej jednak coś mu było. Niezgrabnie zdjął rękawiczki, wyłjął z kieszeni małe pudełko na pigułki i wsunął jedną pod język. Po chwili się rozluźnił.

–Nitrogliceryna?

Skinął głową. Już lżej oddychał. Nitrogliceryna jest standardowym lekiem przy dusznicy bolesnej. Rozszerza naczynia krwionośne, przez co krew łatwiej dopływa do serca. Na jego twarz wróciły kolory, ale w ostrym świetle lamp wyglądał na

wyczerpanego.

–Dobra, co robimy dalej?

–Ty właśnie wybierasz się do domu – oświadczyłem.

–Nie ma potrzeby. Już świetnie się czuję. Tylko popatrzyłem na niego.

–Jesteś taki sam jak Mary – mruknął. – W porządku, posprzątam i...

–Ja to zrobię. Idź do domu. Jutro też jest dzień.

Nie sprzeczał się i to świadczyło o jego zmęczeniu. Z niepokojem obserwowałem, jak wychodzi. Przygarbiony, słaby, wyczerpany po ciężkim dniu. Poczuje się lepiej, gdy coś zje i dobrze się wyśpi.

Niemal sam w to uwierzyłem.

W sali prosektoryjnej Toma nie było dużo sprzątanania. Kiedy skończyłem, poszedłem do swojej, gdzie pracowałem nad ekshumowanymi szczątkami. Chciałem usunąć resztę miękkich tkanek i włożyć kości na noc do detergentu, ale kiedy miałem zabrać się do pracy, ziewnięcie omal nie wyłamało mi szczęki. Aż do tego momentu nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jestem zmęczony. Zegar na ścianie wskazywał siódmą z minutami, a ja byłem na nogach od świtu.

Jeszcze godzinę. Wytrzymasz. Podszedłem do zwłok na stole. Próbki tkanek wysłano do laboratorium, aby na ich podstawie precyzyjnie ustalić czas zgonu, ale nie potrzebowałem analizy lotnych kwasów tłuszczowych i aminokwasów, aby wiedzieć, że coś tu nie pasuje.

Dwa ciała, oba w stanie zbyt daleko posuniętego rozkładu. W tej sprawie zgadzałem się z Irvingiem: tu jest wzór. Ale nie widziałem w nim żadnego sensu. Wziąłem skalpel. Ostra lampa nad głową oświetlała podrapane aluminium stołu. Zwłoki, częściowo pozbawione ciała, przypominały źle pokrojone mięso na pieczeń. Pochyliłem się i wtedy dostrzegłem coś na granicy pola widzenia.

Jakiś drobiazg tkwił w uchu.

Brązowy pólwał, nie większy od ziarna ryżu. Odłożyłem skalpel, wziąłem małą pincetę i delikatnie wyciągnąłem ciało obce ze zwoju chrząstki. Podniosłem je, żeby przyjrzeć się z bliska, i kiedy zobaczyłem, co to takiego, aż mnie zatkało. Co, u licha...

Serce zaczęło mi łomotać z podniecenia.



**Rozejrzałem się w poszukiwaniu słoiczka na próbki. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Do sali wszedł Paul.**

**–Nie przeszkadzam?**

**–Ani trochę.**

**Popatrzył na zwłoki, profesjonalnym spojrzeniem oceniając kształt pozbawiony tkanek. Miał już do czynienia z gorszymi przypadkami, podobnie jak ja. Czasami dopiero kiedy widzisz czyjąś reakcję – lub jej brak**

**–uzmysławiasz sobie, jak bardzo przywykłeś do nawet najkoszmarniejszych widoków.**

**–Właśnie spotkałem Toma. Powiedział, że wciąż pracujesz. Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, jak ci leci.**

**–Wciąż mamy opóźnienie. Wiesz może, gdzie są słoiczki na próbki?**

**–Oczywiście. – Podeszedł do szafki. – Tom nie wyglądał dobrze. Jak ię czuł?**

**Nie byłem pewien, na ile Paul zna stan Toma. Dostrzegł moje wa-nie.**

**–Nie obawiaj się, wiem o dusznicy. Kolejny atak?**

**–Niezbyt silny, ale namówiłem go, żeby poszedł do domu. – Poczum ulgę, że nie muszę kręcić.**

**–Cieszę się, że posłuchał. Zazwyczaj nawet kijem go nie odpędzisz.**

**–Podał mi słoiczek. – Co to takiego? Podniosłem znalezisko, żeby mógł je obejrzeć.**

**–Pusta powłoka poczwarki. Chyba muchy plujki. Musiała utkwić w uchu, kiedy płukaliśmy zwłoki.**

**Początkowo popatrzył na nią bez zainteresowania, ale nagle zrozumiał. Przeniósł spojrzenie ze słoiczka na zwłoki.**

**–Wyjąłeś to z ciała, które ekshumowaliście dziś rano?**

**–Tak.**

**Gwizdnął, biorąc ode mnie słoik.**

**–Jak, u diabła, się tam znalazła?**

**Sam zadawałem sobie to pytanie. W naszej profesji często trafia się na muchy plujki, bo składają jaja w każdym otworze w ciele. Potrafią się dostać niemal wszędzie.**

**Ale nigdy nie słyszałem, żeby składały jaja dwa metry pod ziemią.**

**Zakręciłem pokrywkę.**

**–Jedyne co przychodzi mi do głowy, to że zanim ciało zostało pochowane, musiało przez jakiś czas leżeć na powierzchni. Czy Tom mówił ci o zaawansowaniu procesu rozkładu?**

**–Że był dalej posunięty, niż powinien po sześciu miesiącach? – Pokiwał głową. – Powłoka jest pusta, więc zwłoki znajdowały się na wierzchu przynajmniej dziesięć, jedenaście dni. W tym czasie mucha się przepoczwarzyła. A sześć miesięcy temu była jesień. W ciepłych, wilgotnych warunkach ciało nie uległoby mumifikacji tak jak w lecie.**

**To zaczynało mieć sens. Przypadkowo albo umyślnie ciała nie włożono od razu do trumny tylko zostawiono, by gniło. A to tłumaczyłoby tak daleko posunięty rozkład. Paul milczał przez chwilę. Wiedziałem, o czym myśli, a kiedy odwrócił się do mnie, zorientowałem się, że jest równie podekscytowany jak ja.**

**–Macie tu jeszcze tę trumnę?**

**Przeszliśmy z sali prosektoryjnej do magazynu, gdzie trumna w aluminiowej skrzyni czekała, żeby zabrali ją technicy kryminalistyczni. Kiedy otworzyliśmy wieko, buchnął odór zgnilizny równie mocny jak przedtem. Pozlepiany, obrzydliwy całun leżał zgnieciony w środku.**

**Paul rozchylił go szczypcami.**

**Do tej pory zwracaliśmy uwagę na same zwłoki, a nie na materiał. Teraz, kiedy wiedzieliśmy, czego szukać, z łatwością to znaleźliśmy. Na bawełnianej płachcie znajdowały się powłoki poczwarek, ukryte w lepkiej czarnej wydzielinie ze zwłok. Niektóre pęknięte i puste, jak ta, którą znalazłem, ale inne wciąż całe. Larw nie było, ale po sześciu miesiącach ich delikatne ciała dawno już przestały istnieć.**

**–Cóż, obecność jednej można by jeszcze jakoś wyjaśnić, ale nie aż tylu – stwierdził Paul. – Ciało musiało być już bardzo rozłożone, kiedy zamknięto je w trumnie.**

**Sięgnął po wieko, ale go zatrzymałem.**

**–A to co?**

W fałdach materiału było coś jeszcze. Wziąłem szczypce od Paula i delikatnie odczepiłem to od całunu.

–Jakiś świerszcz?

–Raczej nie.

Ale niewątpliwie owad. Miał ponad trzy centymetry długości i odwłok składający się z wielu segmentów. Został częściowo zgnieciony. Podkulone w chwili śmierci nogi podkreślały podłużny kształt jego ciała.

Położyłem owada na całunie. Na białym tle wyglądał jeszcze bardziej obco.

Paul przyjrzał mu się z bliska.

–Nigdy dotąd nie widziałem czegoś takiego. A ty? Pokręciłem głową. Ja też nie miałem pojęcia, co to jest. Ale wiedziałem, że nie powinno tu się znajdować.

Po wyjściu Paula pracowałem jeszcze dwie godziny. Znalezienie tajemniczego owada całkowicie odgoniło moje wcześniejsze zmęczenie, dlatego działałem, dopóki nie umieściłem wszystkich ekshumowanych szczątków w kadziach z detergentem. Kiedy wychodziłem z prosektorium, wciąż buzowała we mnie adrenalina. Razem z Pauliem uznaliśmy, że jest zbyt późno, aby niepokoić Toma naszym odkryciem, ale byłem wzekonany, że nastąpił przełom. Instykt podpowiadał mi, że owad jest ważny.

Przyjemne uczucie.

Wciąż pogrążony w myślach, poszedłem na przełaj w stronę parkingu. Minęła już dziesiąta i ta część terenu szpitala była pusta. Oprócz mojego stało niewiele samochodów. Lampy oświetlały obrzeża parkingu, ale środek niemal całkowicie spowijały ciemności. W połowie drogi sięgnąłem do kieszeni po kluczyki, kiedy poczułem, jak włosy na karku stają mi ięba.

Nagle zorientowałem się, że nie jestem sam.

Szybko odwróciłem się, ale nie zobaczyłem nikogo. Parking tonął mroku, kilka pozostałych samochodów przypominało solidne bryły ciemności. Nic się nie poruszyło, ale nie mogłem pozbyć się wrażenia, że ktoś – czai się w pobliżu. Jesteś po prostu zmęczony. Zaczynasz mieć zwidy. Ruszyłem dalej. Moje kroki brzmiały nienaturalnie głośno na żwirowej nawierzchni. I nagle usłyszałem toczący się za mną kamyk.

Odwrociłem się gwałtownie i oślepił mnie jaskrawy promień światła. Osłaniając i mrużąc oczy, zobaczyłem ciemną postać z latarką. Wyłoniła się zza pikapa przypominającego czołg.

Zatrzymała się kilka metrów przede mną, wciąż świecąc mi w twarz.

–Przepraszam, co pan tu robi?

Głos był szorstki i groźnie uprzejmy, wyraźnie nosowy. Za promieniem latarki dostrzegłem naramienniki. Odetchnąłem. To tylko ochroniarz.

–Wracam do domu – wyjaśniłem.

Jaskrawy promień nie pozwalał mi dostrzec niczego poza mundurem strażnika.

–Ma pan jakiś dokument?

Wyciągnąłem kartę do elektronicznego zamka, którą dostałem w pro-sektorium. Nie wziął jej do ręki, tylko skierował promień latarki na kawałek plastiku, a po chwili znów na moją twarz.

–Mógłby pan świecić gdzie indziej? – Zamrugąłem. Opuścił trochę latarkę.

–Pracował pan do późna, co?

–Owszem. – Jaskrawe plamy tańczyły mi przed oczami, które próbowały przystosować się do zmiany oświetlenia.

Usłyszałem gardłowy śmiech.

–Nocna zmiana to przekleństwo, nie?

Latarka zgasła. Nie widziałem niczego, ale usłyszałem oddalające się kroki na żwirze. Z ciemności dobiegł głos ochroniarza.

–Jedź pan ostrożnie.

Patrzysz, jak światła jego samochodu się oddalają. Czekasz, aż zupełnie znikną i dopiero wtedy wychodzisz zza pikapa. Gardło boli cię od mówienia niskim głosem i puls ci galopuje, ale nie jesteś pewien, czy pod wpływem podniecenia, czy frustracji.

Idiota nie zdawał sobie sprawy, jak mało brakowało.

Wiesz, że ryzykowałeś, pokazując mu się, ale nie mogłeś nic na to poradzić. Kiedy widzisz, jak idzie przez parking, masz wrażenie, że to zesłana przez Boga okazja. Nikogo w pobliżu i spora szansa, że aż do następnego dnia nikt nie zauważy jego zniknięcia. Nawet nie myśląc o tym, wychodzisz z ciemności i ruszasz za nim; coraz bardziej zmniejsza się odległość między wami.

Chociaż zachowujesz się cicho, jakoś musiał cię usłyszeć. Zatrzymuje się, odwraca. Gdybyś chciał, nadal mógłbyś go dopaść, ale rozważasz wszystko raz jeszcze. Nawet jeśli nie zawadziłbyś stopą o ten cholerny kamyk, podjąłeś decyzję, że pozwolisz mu odejść. Bóg świadkiem, nie boisz się ryzyka, ale jakiś Angol, o którym nikt nie słyszał, nie był tego wart. Nie teraz, kiedy stawka jest tak wysoka. Mimo wszystko miałeś wielką pokusę.

Gdyby nie twoje plany na jutro, mógłbyś to zrobić.

Uśmiechasz się, myśląc o tym, niecierpliwość buzuje w tobie. To będzie niebezpieczne, ale nie zdobywa się nagrody, grając ostrożnie. Szok i strach, tego właśnie chcesz. Ukrywałeś swój geniusz wystarczająco długo i patrzyłeś, jak gorsi od ciebie zagarniają całą chwałę. Najwyższa pora, abyś zdobył uznanie, na jakie zasługujesz. A po jutrzejszym dniu nikt nie będzie wątpił, do czego jesteś zdolny. Oni myślą, że wiedzą, z czym mają do czynienia, ale naprawdę bardzo się mylą.

Dopiero zacząłeś.

Wciągasz głęboko w płuca ciepłą, wiosenną noc, smakujesz słodkich pąków i zapach asfaltu lekko zalatujący melasą. Czujesz się silny i pewny siebie, wsiadając do pikapa. Pora jechać do domu.

Czeka cię pracowity dzień.

## Rozdział 9

Resztki porannej mgły snuły się jeszcze między drzewami wzdłuż leśnej ścieżki. Promienie nisko wiszącego słońca przebijały się przez kopułę gałęzi i młodych liści; snopy światła przecinały las jak wnętrze katedry.

Na ławce z nieobrobionej sosnowego bala siedziała samotna postać z gazetą w ręku. Słyszeć było tylko szelest przewracanych kartek i głuchy stukot dzięcioła.

Za zakrętu ścieżki dobiegł przenikliwy gwizd. Czytający gazetę leniwie podniósł głowę. Chwilę później pojawił się mężczyzna. Miał poirytowaną minę i, idąc, rozglądał się po zaroślach. W ręku trzymał wykonaną z łańcuszka smycz, która kołysała się w rytm jego energicznych kroków.

–Jackson! Do nogi! Jackson!

Okrzyki przerywały kolejne gwizdy. Osobnik z gazetą rzucił jedno obojętne spojrzenie i wrócił do nagłówków. Kiedy mężczyzna szukający psa znalazł się na wysokości ławki, zatrzymał się, potem podszedł bliżej.

–Nie widział pan psa? Czarnego labradora?

Facet na ławce podniósł głowę zdziwiony, że ktoś do niego mówi.

–Nie.

Właściciel labradora parsknął z irytacją.

–A to drań. Pewnie goni wiewiórki.

Siedzący na ławce uśmiechnął się uprzejmie i wrócił do lektury. Ten drugi przygryzł wargę i już zamierzał ruszyć dalej ścieżką.

–Gdyby tu się pojawił, proszę go zatrzymać – dodał jeszcze. – Jest łagodny, nie ugryzie.

–Jasne. – Nie było w tym ani cienia entuzjazmu. Widząc jednak, jak jego rozmówca rozgląda się wokoło z żalną miną, znowu niechętnie opuścił gazetę. – Jakiś czas temu coś buszowało w krzakach. Może to pański pies.

Mężczyzna wyciągał szyję.

–Gdzie?

–Tam... – Facet z gazetą machnął ręką w kierunku zarośli. Właściciel psa spojrzał w gęstwinę, kołysząc łańcuszkową smyczą.

–Przy ścieżce? Nic nie widzę.

–Dobrze, pokażę panu... – Ze zrezygnowanym westchnieniem złożył gazetę.

–Będę wdzięczny – powiedział z uśmiechem właściciel niesfornego stworzenia, gdy wchodzili między drzewa. – Mam go od niedawna. Myślałem o tresurze, ale jak na razie od czasu do czasu po prostu mi ucieka.

Zatrzymał się, żeby gwizdnąć i jeszcze raz zawołać pupila. Mężczyzna z ławki spojrzał z niepokojem na smycz i obejrzał się do tyłu, na ścieżkę. Nikogo.

Nagle właściciel psa krzyknął i pobiegł przed siebie. Ukłął przy kąpie krzaków.

Leżał tam czarny labrador. Krew zlepiła ciemną sierść na zmiażdżonej czaszce. Właściciel trzymał dłonie nad zwłokami, jakby bał się ich dotknąć.

**–Jackson? O mój Boże, niech pan spojrzy! Co się stało?**

**–Rozwaliłem mu łeb – odparł mężczyzna z gazetą, stając za nim.**

**Właściciel psa zaczął wstawać, ale coś zacisnęło mu się na szyi. Stracił równowagę, a ręce i nogi stały się bezsilne. Za późno przypomniał sobie o smyczy. Jego mózg wysyłał polecenia mięśniom, ale oczy już mętniały. Dłoń poruszyła się spazmatycznie raz i drugi; łańcuszek wypadł z bezwładnych palców.**

**Wysoko, między gałęziami, dzięcioł pochylił głowę, oceniając sytuację na dole. Gdy się upewnił, że nic mu nie grozi, wrócił do polowania na korniki.**

**Jego trrrr rozlegało się echem w porannym lesie.**

**Obudziłem się z samopoczuciem tak dobrym, jakiego nie miałem od wielu miesięcy. Przede wszystkim porządnie się wyspałem, a łóżko wyglądało, jakbym przez całą noc prawie się nie poruszył. Przeciągnąłem się, potem trochę poćwiczyłem. Zazwyczaj bardzo się przy tym męczyłem, ale tym razem nie było tak źle.**

**Wziąłem prysznic, włączyłem telewizor i ubierając się, szukałem wiadomości ze świata. Przerzucałem kanały; strumień reklam i banalnej paplaniny przelatywał mi mimo uszu. Zmieniłem lokalną stację informacyjną, zanim zdałem sobie sprawę, co zobaczyłem.**

**Kiedy przełączyłem z powrotem, na ekranie pojawiła się twarz Irvinga z elegancką brodą. Z głębokim namysłem mówił do dziennikarki o urodzie manekina sklepowego.**

**–...oczywiście. „Seryjny zabójca” to bardzo nadużywane określenie. Prawdziwy seryjny zabójca w przeciwieństwie do kogoś, kto jedynie zabił wiele osób, jest drapieżcą w czystej postaci. To tygrys współczesnego społeczeństwa, ukryty i niewidzialny w wysokiej trawie. Tylko ktoś tak doświadczony jak ja może zrozumieć istotę tej różnicy.**

**–Och, na litość boską – jęknąłem. Przypomniałem sobie, że Irving spóźnił się do prosektorium, bo nagrywał wywiad dla telewizji. Patrzyłem i nastrój wyraźnie mi się pogarszał.**

**–Ale to prawda, że po odkryciu zmasakrowanego ciała w wynajmowanej chacie w Smoky Mountains, został pan wezwany przez TBI, aby sporządzić profil psychologiczny przestępcy? – naciskała dziennikarka. – 1 że w ramach tej samej sprawy na cmentarzu w Knoxville ekshumowano zwłoki?**

**Irving uśmiechnął się z ubolewaniem.**

**–Niestety nie mam prawa wypowiadać się na temat trwającego śledztwa.**

**Dziennikarka ze zrozumieniem pokiwała głową, ale jej wylakierowane blond włosy nawet nie drgnęły.**

**–Ponieważ jest pan specjalistą w dziedzinie sporządzania profiliów psychologicznych seryjnych zabójców, być może TBI obawia się, że ma do czynienia z jednym z nich i to dopiero początek makabrycznej serii?**

**–Tego również nie mogę komentować. Aczkolwiek ludzie na pewno wyciągną własne wnioski – oświadczył niewinnym tonem Irving.**

**Dziennikarka rozchyliła w uśmiechu krwistoczerwone wargi, odsłaniając idealnie białe zęby. Założyła nogę na nogę.**

**–Może więc przynajmniej pan powie, czy powstał profil zabójcy?**

**–Och, Stephanie, wie pani, że mi nie wolno udzielać takich informacji. – Uśmiechnął się grzecznie. – Ale zdradzę tylko, że wszyscy seryjni zabójcy, z którymi się zetknąłem, a proszę mi wierzyć, było ich kilku, mają jedną wspólną cechę. Zwyczajność.**

**Dziennikarka pochylila głowę. Czyżby się przesłyszała?**

**–Twierdzi pan, że seryjni zabójcy są zwyczajni? – Spytała z wyraźnie udawanym zdziwieniem, zupełnie jakby z góry wiedziała, co rozmówca odpowie.**

**–Zgadza się. Oczywiście, oni sami tak siebie nie postrzegają, wręcz przeciwnie. Ale w rzeczywistości są miernotami. Proszę zapomnieć o błyskotliwych psychopatach z książek. W prawdziwym świecie ci osobnicy są smutnymi nieudacznikami, dla których zabijanie stało się podstawowym pragnieniem. Sprytnymi, owszem. Niebezpiecznymi, z całą pewnością. Ale nie wyróżniają się w tłumie. Trudno więc ich wykryć.**

**–I złapać?**

**Uśmiech Irvinga stał się drapieżny.**

**–Dlatego moja praca jest dla mnie tak wielkim wyzwaniem. Koniec wywiadu. Na ekranie pojawiła się prezydentka.**

**–Była to rozmowa z behawiorystą Alekssem Irvingiem, autorem best-selleru Pęknięte ego przeprowadzona wczoraj przez...**

**Wyłączyłem telewizor.**



–Jego ego jest zupełnie w porządku – mruknąłem, ciskając pilotem. Wywiad nie miał żadnego uzasadnienia. Nie służył niczemu, a jedynie pozwalał Irvingowi puszyć się w telewizji. Ciekawe, czy Gardner wiedział o tej audycji. Raczej nie będzie uszczęśliwiony, że Irving wykorzystuje dochodzenie do promowania swojej nowej książki.

Jednak nawet samozadowolenie psychologa nie było w stanie popsuć nastroju oczekiwania, w jakim jechałem do prosektorium. Tym razem do-tarłem przed Tomem, ale chwilę przed. Przyjechał, zanim skończyłem się przebierać.

Z ulgą przekonałem się, że wygląda lepiej niż poprzedniego dnia. Jedzenie i dobrze przespana noc może nie leczyły ze wszystkiego, ale rzadko kiedy szkodziły.

–Ktoś tu aż się pali do pracy – powiedział na mój widok.

–Paul i ja trafiliśmy na coś minionej nocy. Pokazałem mu znaleziska.

–Robi się coraz ciekawiej. – Obejrzał tajemniczego owada. – Chyba masz rację, że zwłoki przed pogrzebem jakiś czas rozkładały się na powierzchni. A w tej sprawie...  
– Delikatnie postukał w słoiczek. – Nie mam pojęcia, co to takiego.

–Ooo – mruknąłem zaskoczony. Wydawało mi się, że Tom rozpozna owada.

–Przepraszam, że cię rozczarowałem. Muchy plujki i żuki dobrze znam, a na coś takiego nigdy dotąd nie natrafiłem. Ale wiem, kto pomoże. Chyba nie poznałeś jeszcze Josha Talbota?

–Nie. – Spotkałem już większość kolegów Toma, ale to nazwisko nic mi nie mówiło.

–Jest naszym etatowym entomologiem sądowym. Chodząca encyklopedia wiedzy o owadach. Jeżeli ktoś może zidentyfikować ten okaz, to właśnie Josh.

W czasie kiedy dzwonił do Talbota, zająłem się opłukiwaniem kości ekshumowanych zwłok. Układałem pierwsze w szafie wyciągowej, gdy wrócił Tom.

–Mamy szczęście – oświadczył. – Właśnie szykował się do wyjazdu na konferencję w Atlancie, ale powiedział, że najpierw wpadnie do nas. Wkrótce powinien tu być.

Ledwo skończył mówić, kiedy rozległo się delikatne stukanie do drzwi.

–Przecież nie zdążyłby jeszcze dojechać. – Tom poszedł otworzyć. Rzeczywiście. Za drzwiami stał Kyle.

Tom zdołał ukryć zaskoczenie. Odsunął się, wpuszczając pomocnika do środka.

–Nie spodziewałem się zobaczyć cię tak szybko. Czemu nie wzięłeś)bie trochę

wolnego?

Chłopak uśmiechnął się z wysiłkiem.

–Proponowano mi, ale nie chciałem, żeby inni musieli mnie zastępować. Dobrze się czuję. I wolę pracować niż siedzieć w domu.

–A jak ręka? – zapytałem.

Pokazał mi dłoń. O całym zajściu przypominał jedynie mały plaster.

–Nie bardzo jest co oglądać, prawda? Zapadła niezręczna cisza. Tom odchrząknął.

–No, a... Jak to znosisz psychicznie?

–Och dziękuję, zupełnie nieźle. Trochę potrwa, zanim dostanę wyniki testów, ale staram się być dobrej myśli. W szpitalu powiedzieli, że mogę poddać się profilaktycznej kuracji dla osób, które miały kontakt z HIV lub innymi chorobami. Ale czy ja wiem...? Zwłoki wcale nie musiały być zakażone. A nawet gdyby, przecież mogłem się nie zarazić, prawda?

–Ale przynajmniej powinieneś wziąć to pod uwagę – zauważył Tom. Zrobił bezradny gest. – Posłuchaj, bardzo mi przykro...

–Nie! – przerwał ostrym tonem zdradzającym duże napięcie. Z zakłopotaniem wzruszył ramionami. – Proszę się nie usprawiedliwiać. Po prostu wykonywałem swoją pracę. Takie rzeczy się zdarzają, sam pan wie.

Znów męcząca cisza. Przerwał ją Kyle.

–Aaa... gdzie Summer? – Bardzo się starał, by zabrzmiało to niedbałe, ale próba wypadła równie nieprzekonująco jak poprzednio.

Już wiadomo, dlaczego tak naprawdę przyszedł.

–Obawiam się, że Summer nie będzie nam pomagać.

–Och. – Westchnął wyraźnie rozczarowany. – Mogę coś zrobić?

–Dzięki, David i ja damy sobie radę.

–Jasne. – Energicznie skinął głową. – Cóż, w razie czego, proszę dać znać.

–Oczywiście. A teraz zadbaj o siebie. – Tom uśmiechał się do chwili, gdy zostaliśmy sami. – Dobry Boże...

**–Ma rację – powiedziałem. – Wykonywał swoją pracę, więc się nie oskarżaj. W ogóle ja powinienem pomagać Summer, nie on.**

**–To nie twoja wina, Davidzie.**

**–Ani twoja. Poza tym nie wiemy, czy się zaraził. Może nic mu nie będzie.**

**Słaba nadzieja, ale Tom nie powinien się zadręczać. Wziął się w garść.**

**–Jasne. Co się stało, to się nie odstanie. Skupmy się na złapaniu tego pieprzonego sukinsyna.**

**Tom rzadko klął i była to oznaka wzburzenia. Podeszedł do drzwi i za-trzymał się.**

**–Aha, Mary pyta, czy jesz ryby.**

**–Ryby? – powtórzyłem zdezorientowany nagłą zmianą tematu. – Tak, a bo co?**

**–Przecież przychodzisz dziś do nas na obiad, prawda? – Uniósł brwi. Wyraźnie bawił się moim zakłopotaniem. – Sam i Paul też wpadną. Chyba nie chcesz powiedzieć, że zapomniałeś?**

**Zaproszenie całkowicie wyleciało mi z pamięci.**

**–Nie, oczywiście, że nie. Uśmiechnął się. Znow wracał mu humor.**

**–Niech Bóg broni! Przecież nie miałeś niczego innego na głowie?**

**W ciele ludzkim jest dwieście sześć kości. Są różnej wielkości – od dużych jak gruba kość udowa, po maleńkie kosteczki słuchowe w uchu wewnętrznym, z których najmniejsza ma rozmiar ziarnka ryżu. Pod względem budowy szkielet to cud inżynierii biologicznej równie misterny i skomplikowany, jak rzeczy zaprojektowane przez człowieka.**

**Ponowne złożenie szkieletu nie jest łatwe.**

**Kości człowieka pochowanego w trumnie Willisa Dextera pozbawione sztek rozkładających się tkanek dostarczały wielu informacji. Afrykańsko-karaibskie pochodzenie denata nie ulegało wątpliwości. To było wi- dać na pierwszy rzut oka: nieco prostsza, lżejsza struktura kości i bardziej prostokątne oczodoły. Mężczyzna średniego wzrostu i średniej budowy ciała. Wiek: od pięćdziesięciu pięciu do nieco ponad sześćdziesięciu lat, sądząc na podstawie zużycia panewek stawów. Na prawej kości udowej i lewej ramiennej ślady dawno zrośniętych złamań – zapewne wypadki w dzieciństwie. Zmiany artretyczne w stawach kolanowych i skokowych. Uszkodzenia były większe z lewej strony, czyli idąc, przenosił ciężar ciała bardziej**

na tę stronę. Lewe biodro także mocniej nadwerżone, główka i panewka nierówne i wytarte. Jeżeli tuż przed śmiercią nie planował zastąpienia stawu biodrowego protezą, gdyby żył, wkrótce stałby się kaleką. Ale teraz nie miało to już dla niego znaczenia. Podobnie jak w przypadku Teny'ego" Loomisa, również tutaj kość gnykowa była cała. Nie prowadziło to do żadnego konkretnego wniosku, ale kiedy wyjmowałem z kadzi ociekającą czaszkę, uśmiechnąłem się po prostu do siebie. Zęby nadal były brązowe i poplamione, ale w miejscu dawnych dziąseł widniały paski czystego szkliwa. Zabarwione na różowo.

Nadal oglądałem czaszkę, kiedy wszedł Tom. Towarzyszył mu niski, tęgi mężczyzna około pięćdziesiątki. Przerzedzone rude włosy miał nieładnie zaczesane na zaczerwienioną łysinę. W ręku trzymał sfatygowaną skórzaną teczkę wypchaną książkami.

–Josh, przedstawiam ci Davida Huntera – oznajmił Tom. – Davidzie, to Josh Talbot. To czego nie wie o robakach, w ogóle nie warto wiedzieć.

–Tom świetnie się orientuje, że nienawidzę tego słowa – odparł wesoło Talbot. Rozglądał się po sali, a oczy błyszczały mu z podniecenia. Zatrzymał wzrok na kościach, ale tylko na chwilę. Nie po to tu przyszedł. – A więc jakiego tajemniczego owada dla mnie macie? Kiedy zobaczył słoiczek na próbki, twarz mu pojaśniała. Pochylił się, żeby mieć preparat na wysokości oczu. – Ooo, coś za niespodzianka!

–Poznajesz to? – zapytał Tom.

–Oczywiście. Dość niezwykle znalezisko. Tylko w jednym rejonie Tennessee potwierdzono występowanie gatunku odonata. Widywano je tu wcześniej, ale niecodziennie napotyka się jedną z tych piękności.

–Świetnie – mruknął Tom. – A teraz mów, co to takiego. Talbot uśmiechnął się szeroko.

–Odonata to ważki różnoskrzydłe i ważki równoskrzydłe. Tutaj macie larwę ważki różnoskrzydłej. To swamp darner, jeden z największych gatunków w Ameryce Północnej. Powszechnie występują w większości wschodnich stanów, ale w mniejszym stopniu w Tennessee. Zaraz wam pokażę. – Grzebał chwilę w teczce i wyciągnął gruby, sfatygowany stary podręcznik. Nucąc pod nosem, usiadł na stole i zaczął kartkować książkę. W końcu przerwał i stuknął w jedną stronę. – Bardzo proszę. *Espiaeschna heros*, swamp darner, czasem nazywany hero darner. Owad wędrowny, zazwyczaj spotykany latem i jesienią na zalesionych mokradłach i w stawach, ale w cieplejszych rejonach dorosłe osobniki mogą lęgnąć się już na wiosnę.

Na fotografii widniał duży okaz przypominający kształtem miniaturowy śmigłowiec.

Miał charaktery styczne podwójne skrzydła i opływowe kształty ważek znanych mi z Anglii, ale na tym podobieństwo się kończyło. Ten na zdjęciu był długi i niemal tak gruby jak mój palec; a brązowe ciało pokrywały jaskrawozielone, tygrysie paski. Ale najbardziej specyficzne były oczy – wielkie, okrągłe, o jaskrawej, elektrycznie niebieskiej barwie.

–Znam łowców ważek w Tennessee, którzy za widok dorosłego hero oddaliby zęby trzonowe – entuzjasmował się Talbot. – Tylko spójrzcie na te oczy. Niewiarygodne, co? W słoneczny dzień można je zauważyć z odległości kilometra.

Tom wczytywał się w książkę.

–W takim razie, gdzie znajdziemy jego larwy?

–Albo nimfy, jeżeli wolisz taką nazwę. – Talbot złożył palce w dąszek, wyraźnie zapalając się do tematu. – Ważki różnoskrzydłe w procesie przeobrażenia nie mają stadium poczwarki. Składają jaja na stojącej lub wolno płynącej wodzie, a kiedy wylęgają się larwy, są stworzeniami całkowicie wodnymi. Przynajmniej do ostatniej wylinki. Wtedy wypelzają na roślinę lub źdźbło trawy, aby przeobrazić się w dorosłą postać, imago.

–Ale ważki nie są padlinożercami, prawda? – zapytałem.

–O mój Boże, nie są. – Sprawiał wrażenie zszokowanego. – To drańpieżniki. Czasem nazywają je łowcami much, bo właśnie one stanowią ich główny pokarm. Dlatego też swamp darnery spotyka się najczęściej w pobliżu wody, chociaż bardzo lubią też skrzydlate termity. Powiedzieliście, że ten egzemplarz został znaleziony w trumnie?

–Tak. Przypuszczamy, że został zawinięty razem ze zwłokami – odparł Tom.

–W takim razie, moim zdaniem, zwłoki leżały tuż przy wodzie. – Talbot wziął słoiczek. – Kiedy to małeństwo wypelzło, żeby się przeobrazić, najwyraźniej zagarnięto je razem z ciałem denata. Nawet gdyby nie było zgniecione, zginęłoby pogrzebane w ciemności i zimnie.

–Czy są jakieś szczególne rejony, gdzie można znaleźć ten gatunek? – spytał Tom.

–Na pewno nie w strumieniach i rzekach o szybkim nurcie. Raczej lesie, gdzie są stawy albo bagna. – Talbot zerknął na zegarek i włożył

książkę z powrotem do teczki. – Przepraszam, muszę lecieć. Jeżeli znajdziecie jakieś żywe okazy, koniecznie dajcie mi znać.

Tom odprowadził Talbota. Wrócił zamyślony kilka minut później.

–Przynajmniej wiemy, co znaleźliśmy – powiedziałem. – A Gardner tdzie miał trochę więcej poszlak.

Tom zachowywał się tak, jakby mnie nie słyszał. Z roztargnieniem za-zał oglądać czaszkę. Nawet kiedy go poinformowałem, że ekshumowane łoki miały nietkniętą kość gnykową i różowe zęby, wciąż sprawiał wra-mie nieobecnego duchem.

–Wszystko w porządku? – zapytałem w końcu. Odłożył czaszkę.

–Tuż przed przyjściem Josha dzwonił Dan Gardner. Alex Irving zaginaj. Najpierw pomyślałem, że to pomyłka – przecież dziś rano widziałem

psychologa w telewizji. Potem przypomniałem sobie, że rozmowę zareje-strowano dzień wcześniej.

–Co się stało?

–Nie wiadomo. Dziś z samego rana wyszedł z domu i od tej pory nikt go nie widział.

–Czy nie za wcześnie mówić, że zaginął, skoro nie ma go zaledwie od kilku godzin?

–W normalnych okolicznościach owszem. Ale Irving poszedł na spa-rcer z psem. – Oczy Toma zdradzały niepokój. – A psa znaleziono z rozbitą czaszką.

Krewwiramami splywa wzlewie, barwiąc szybko płynącą, zimną wodę karminowymi pasmami. Skrawek mięsa, bladoróżowy po wypłukaniu z niego krwi, zatyka odpływ. Szturchasz go palcem, aż w końcu znika w otworze.

Pogwizdując sobie pod nosem, siekasz świeże chili i wrzucasz do rondla z garścią soli czosnkowej. Kiedy zaczyna skwierczeć, dokła-dasz mięso. Syczy i pryska, na rozgrzanym tłuszczu, tworząc obłoki pary. Wszystko szybko mieszasz i zostawiasz, żeby się dusiło. Wyj-mujesz z lodówki karton soku pomarańczowego, ser i majonez. Wybierasz względnie czystą szklankę i przecierasz ją palcem. Wszystko jest zakurzone, ale nie zwracasz na to uwagi. Gdybyś zwrócił, nic by cię to nie obeszło. Czasami jakby unosiła się kurtyna, dostrze-gasz ruinę wokół siebie; każdy kąat wypełniają pozostałości minionych lat, ale co z tego. Rozkład jest częścią naturalnego porządku rzeczy, a kimże jesteś, by sprzeciwiać się naturze.

Duszkciem wypijasz szklankę soku, wycierasz usta dłonią, rozsma-rowujesz majonez na dwóch kromkach białego chleba i kładziesz na nie grube plastry sera. Nalewasz sobie nową porcję soku i podcho-dzisz do wielkiego stołu pośrodku kuchni. Nie zostało na nim za dużo miejsca, dlatego stawiasz talerz na samym brzegu. Przysuwasz krze-sło. Kanapka jak zwykle jest bez smaku, ale wypełnia żołądek. Na do-brą sprawę już ci nie żal, że nie czujesz żadnego smaku ani zapachu.

**Zwłaszcza, kiedy można rozkoszować się tak wieloma innymi rzeczami.**

**Teraz wszystko dzieje się bardzo szybko, ale to dobrze. Właśnie tego się spodziewałeś i najlepiej działasz pod presją. Wydarzenia następują dokładnie tak, jak zaplanowałeś. Nie posprzątałeś po sobie w górskiej chacie. To było ryzykiem, ale skalkulowanym. Czułeś się dziwnie, pracując poza własnym środowiskiem. Kasetka po filmie okazała się świetnym posunięciem, ale zostawiając zwłoki, żeby mogli je znaleźć, działałeś wbrew swojej naturze. Musiałeś jednak tak postąpić. Chciałeś wywołać wstrząs, a to był najlepszy sposób. Niech się pobawią na miejscu zbrodni i spróbują zgadnąć, co zrobisz następnym razem. Prędej wyzioną ducha, niż cokolwiek zdziałają. A kiedy sobie to uświadomią, będzie za późno. Kończysz kanapkę, popijasz sokiem pomarańczowym, ale czujesz tylko zimno. W kąciku ust masz trochę majonezu, kiedy idziesz sprawdzić swoje danie. Podnosisz pokrywkę i wdychasz chmurę pary. Nie czujesz zapachu, ale łzy napływają ci do oczu i to dobry znak. Mięso zaczyna ładnie brązowieć. Jak zawsze to wieprzowina, nie wołowina. Jest tańsza, poza tym i tak nie rozróżniłbyś smaku.**

**Bierzesz łyżkę i próbujesz. Mocno przyprawiony sos pali cię w ustach. Tak jak powinno palić dobre chili. Wrzucasz parę puszek pomidorów, potem zdejmujesz rondel z ognia i przykrywasz. Teraz mięso niech się powoli samo dusi. Kiedy wrócisz, będzie gotowe.**

**Uwielbiasz zostawiać rzeczy, by dusiły się we własnym sosie. Bierzesz plastikową torbę z brudnymi ubraniami, które musisz zawieźć do pralni, i każesz sobie zapamiętać, żeby też uzupełnić zapasy. Więcej puszek pomidorów, baterie i lep na muchy. Oglądasz zwieszające się z sufitu wstęgi lepkiego papieru. To znaczy, kiedyś były lepkie. Teraz są pokryte cętkami martwych much, a także trupami większych, bardziej kolorowych owadów.**

**Na chwilę się zamyślasz, zupełnie jakbyś na ułamek sekundy zapomniiał, do czego potrzebujesz lepu. Potem mrugasz i wracasz do życia. Idąc do drzwi, zatrzymujesz się przy stole. Leżący na nim związany mężczyzna patrzy na ciebie przerażonymi oczami, sapiąc rzez knebel w ustach. Uśmiechasz się do niego. – Nie martw się. Niedługo wrócę. Podnosisz ciężką torbę z praniem i wychodzisz.**

## **Rozdział 10**

**Stopniowo wyłonił się obraz tego, co się stało. Irving mieszkał niedaleko Cades Cove, w pięknym zakątku u stóp Smoky Mountains. Każdego ranka przed śniadaniem zabierał czarnego labradora na spacer po lesie za domem. Był to stały element dnia, o którym nieraz tak chętnie wspominał w wywiadach.**

**O dziewiątej osobista sekretarka Irvinga jak prawie codziennie weszła do domu i włączyła ekspres – kiedy psycholog wróci, jego ulubiona francuska kawa powinna**

**być już gotowa.**

**Ale tego ranka nie wrócił. Sekretarka – trzecia w ciągu dwóch lat, próbowała dodzwonić się do szefa na komórkę, ale nie odbierał. Kiedy nałdeszła pora lunchu i wciąż nie miała od niego wiadomości, sama ruszyła ścieżką. Niecały kilometr od domu Irvinga zobaczyła policjanta – rozmawiał ze starszym małżeństwem, których jack russell terrier ujadał z podnieceniem, ciągnąc za smycz. Kiedy ich mijala, usłyszała, jak mówią policjantowi, że terrier znalazł martwego psa. Czarnego labradora.**

**Wtedy uświadomiła sobie, że coś złego mogło przytrafić się Irvingowi.**

**Podczas przeszukania okolicy niedaleko ciała psa znaleziono zakrwawiony stalowy pręt, a na błotnistej ziemi widniały ślady walki. Zauważono też kilka odcisków butów, ale żaden nie był na tyle wyraźny, by zrobić odlew.**

**Sam Irving zniknął bez śladu.**

**–Nie wiemy, co się z nim stało – przyznał Gardner. – Przypuszczamy, że na pręcie jest tylko krew psa, ale musimy poczekać na wyniki z laboratorium.**

**Siedzieliśmy w jednym z pokoi biurowych, w głębi korytarza za salami prosektoryjnymi. Małe pomieszczenie bez okien mogło należeć do dowolnej anonimowej firmy. Gardner przyszedł na żądanie Toma. Tym razem towarzyszyła mu Jacobsen, jak zawsze chłodna i niedostępna, ubrana w grafilowoszarą spódnicę do kolan i żakiet. Krój garsonki był taki sam jak tej niebieskiej, w której widziałem ją wcześniej. Zastanawiałem się przez moment, czy agentka ma całą szafę identycznych ubrań w gamie neutralnych odcieni.**

**Chociaż nikt nie podał powodu spotkania, wszyscy dobrze wiedzieliśmy, dlaczego tu jesteśmy. Problem, nawet niezwerbalizowany, wywoływał niemal namacalne napięcie w niedużym pokoju.**

**Gardner ograniczył demonstrację niezadowolenia z mojej obecności do pełnego dezaprobaty spojrzenia. Wyglądał na jeszcze bardziej znękanego niż zazwyczaj, a zagniecenia na brązowym garniturze dziwnie harmonizowały ze zmarszczkami na jego twarzy. Wydawało się, jakby oddziaływała na niego większa siła ciężkości niż na pozostałych.**

**–Musicie mieć jakieś hipotezy – odezwał się Tom z zamyślonym wyrazem twarzy. Tylko on siedział. Chociaż przed biurkiem stało krzesło, nikt z nas go nie zajął. Staliśmy, a ono jakby czekało na przybycie spóźnionego gościa.**

**–Możliwe, że Irving stał się ofiarą rabunku albo przypadkowej napaści, ale nadal jest za wcześnie, żeby to stwierdzić. Na tym etapie nie wykluczamy niczego –**



**oświadczył Gardner.**

**–W takim razie, gdzie ciało? – spytał Tom coraz bardziej zirytowany.**

**–Wciąż przeszukujemy okolicę. Mógł zostać ranny i oddalił się z miejsca zdarzenia. Psa znaleziono w lesie, prawie kilometr od najbliższej drogi. To duża odległość, żeby przenieść dorosłego człowieka, ale nikt w inny sposób nie zabrałby stamtąd Irvinga. Znaleźliśmy tylko odciśnięte butów i opon rowerowych.**

**–W takim razie może ktoś go uprowadził, terroryzując nożem lub pistoletem?**

**Gardner zaczepnie uniósł brodę.**

**–W biały dzień? Mało prawdopodobne. Ale jak wspomniałem, rozważamy każdą ewentualność.**

**Tom popatrzył na niego uważnie.**

**–Od jak dawna się znamy, Dan? Agent TBI wyraźnie się zmieszał.**

**–O rany, dziesięć lat?**

**–Dwanaście. I po raz pierwszy usiłujesz mi wciskać kit.**

**–To niesprawiedliwe! – odpalił Gardner. Twarz mu pociemniała. – Przyszliśmy dzisiaj z uprzejmości...**

**–Daj spokój, Dan, wiesz równie dobrze jak ja, co się dzieje! Chyba 'e wierzysz, że zaginięcie Irvinga dzień po tym, jak w telewizji wycierał**

**sobie gębę seryjnym zabójcą, jest zwykłym zbiegiem okoliczności?**

**–Dopóki nie zdobędę dowodów, nie zamierzam przedwcześnie wyciągać wniosków!**

**–A jeśli zaginie ktoś inny związany z dochodzeniem? To też będą przedwczesne wnioski? – Po raz pierwszy widziałem Toma tak wściekłego. – Do cholery, Dan, wczoraj został zraniony pomocnik prosektoryjny, a teraz to! Jestem odpowiedzialny za ludzi, którzy ze mną pracują. Jeżeli ktoś jest zagrożony, chcę o tym wiedzieć!**

**Gardner nie zareagował. Spojrzał na mnie znacząco.**

**–Będę w prosektorium – powiedziałem, idąc w kierunku drzwi.**

**–Nie, Davidzie, zostań – polecił Tom.**

–Tom... – zaczął Gardner.

–Poprosiłem go o pomoc, Dan. Jeśli istnieje zagrożenie, Dave ma prawo wiedzieć, w co się pakuje. – Skrzyżował ręce na piersi. – I tak mu powtórzę, co od ciebie usłyszę.

Obaj patrzyli na siebie. Gardner nie wyglądał na faceta, którego łatwo zastraszyć, ale byłem przekonany że Tom nie ustąpi. Zerknąłem na Jacob-sen. Czuła się równie niezręcznie jak ja. Nagle zorientowała się, że ją obserwuję, i szybko usunęła z twarzy najmniejszy cień emocji.

Gardner westchnął z rezygnacją.

–Jezu, Tom. W porządku. Możliwe, że istnieje związek. Ale to nie takie proste. Niektórzy studenci Aleksa Irvinga skarżyli się na jego zachowanie. Właściwie studentki. Uniwersytet przymykał na to oko, bo Irving jest słynnym profesorem. Ale w pewnym momencie studentka oskarżyła go o molestowanie seksualne i tama pękła. W sprawę włączyła się policja i wyglądało na to, że uczelnia zamierza zwolnić Aleksa, żeby nie narażać się na proces.

Przypomniałem sobie, jak otwarcie Irving flirtował z Summer i nawet Jacobsen, mimo że publicznie ją upokorzył. Wcale mnie nie zdziwiło, że nie były to odosobnione przypadki. Najwidoczniej nie każdy ulegał jego urokowi.

–Uważasz więc, że wolał zniknąć? – zapytał z powątpiewaniem Tom.

–Powtarzam, rozważamy każdą możliwość. Ale nad Irvingiem wiśiała nie tylko sprawa o molestowanie. Skarbowka prowadziła przeciwko niemu postępowanie w związku z niezapłaconymi podatkami za publikacje książkowe i występy w telewizji. Mógł się spodziewać nakazu płatniczego na ponad milion dolarów, a może nawet wyroku skazującego na pozbawienie wolności. Stał w obliczu zawodowej i finansowej ruiny. Nie-wykluczone że obecna sytuacja wydała mu się idealną okazją do usunięcia się z pola widzenia.

Tom przygryzł dolną wargę i zmarszczył brwi.

–Ale mimo wszystko, czy roztrzaskałby głowę własnemu psu?

–Czasami ludzie robią gorsze rzeczy z mniej ważnych powodów. Na pręcie, którym zabito psa Irvinga, znaleziono wyraźne odciski palców. Należą do drobnego złodzieja, niejakiego Noaha Harpera. To recydywiŃsta, z długą listą wyroków za kradzieże samochodów i włamania.

–Skoro ustaliliście podejrzanego, to dlaczego nie masz bardziej szczęśliwej miny? – spytał Tom.

–Po pierwsze, dawne przestępstwa Harpera są małego kalibru. A po drugie, prawie od siedmiu miesięcy facet jest uważany za zaginionego. Nie pojawił się na ostatnim spotkaniu z kuratorem sądowym i nikt go od tamtej pory nie widział. Wszystkie jego rzeczy są w mieszkaniu, a czynsz został opłacony do końca miesiąca.

–Czy to był Afroamerykanin? – zapytałem. – Wiek pięćdziesiąt do sześćdziesięciu lat, wyraźnie utykał?

Zdziwienie Gardnera bardzo mnie ucieszyło.

–Skąd pan to wie? – spytał.

–Ponieważ, jak sądzę, jest w sali prosektoryjnej w końcu korytarza. Na zmęczonej twarzy agenta pojawiły się nowe zmarszczki.

–Chyba nie nadażam – mruknął wyraźnie zdegustowany. Jacobsen niepewnie spoglądała to na niego, to na mnie.

–Mówi pan, że zwłoki znalezione w grobie Willisa Dextera to Noah Harper?

–Czas pasuje – przytaknął Gardner. – Ale skoro Harper nie żyje, jak jego odciski palców znalazły się na narzędziu, którym zabito psa Irvinga?

–Może tak samo, jak Williego Dextera trafiły do chaty – zasugerował Tom.

Rozważaliśmy jego słowa w milczeniu. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że Willis Dexter jednak nie upozorował własnej śmierci, a zabójca po prostu wykorzystał jego zwłoki i odciski palców. Ale w tym przypadku taka hipoteza odpadała.

–Czy w zwłokach w trumnie Willisa Dextera brakowało którejś ręki? – zapytała Jacobsen.

–Nie – odparłem. – Palce też były wszystkie.

–Może ktoś po prostu zachował kasetkę po filmie i stalowy pręt z odciskami palców Dextera i Harpera – zasugerował Tom.

–W przypadku kasetki to możliwe. Odcisk Dextera był posmarowany olejem mineralnym, wykorzystywanym w większości oliwek dla niemowląt. Nie da się ustalić, kiedy został naniesiony – odparł Gardner. – Ale odciski Harpera były na krwi. Miały zaledwie kilka godzin.

–W takim razie ciało z trumny to nie są zwłoki Noaha Harpera -pierała się Jacobsen.

Nikt się nie odezwał. Na logikę miała rację, skoro odciski zostawiono isiaj rano. Ale sądząc z wyrazu twarzy uczestników spotkania, nikt nie ył o tym do końca

przekonany.

Tom zdjął okulary i zaczął je przecierać. Bez nich wyglądał na bardziej zmęczonego i bezbronniego.

–Davidzie, co jeszcze znalazłeś?

Gardner i Jacobsen słuchali w milczeniu, kiedy opisywałem nienaruszoną kość gnykową i różowe zęby ekshumowanych zwłok.

–Wszystko wskazuje na to, że Terry Loomis i ten z trumny zostali zabici w taki sam sposób – stwierdził Gardner. – Czy uważa pan, że różowy odcień na zębach może być wynikiem uduszenia?

–Wydaje się to bardziej prawdopodobne niż utonięcie – przytaknął łagodnie Tom, a ja postarałem się nie uśmiechnąć. Nie wspomniał, jak Gardner zażartował ze mnie w chacie, ale najwyraźniej też o tym nie zapomniał. – Gdyby nie ewidentne wykrwawienie i rany na ciele Loomisa, nie powinno być co do tego żadnych wątpliwości.

Gardner potarł kark.

–Rozbryzgi w chacie wyglądały na autentyczne. Ale musimy czekać na wyniki badania DNA.

–To potrwa parę tygodni – zauważył Tom.

–Powiedz mi coś nowego – burknął Gardner. – W takich momentach żałuję, że już nie przechowujemy w danych grupy krwi. Przynajmniej potwierdzilibyśmy lub wykluczilibyśmy zgodność. Tak czy inaczej, mamy postęp – powiedział bez entuzjazmu. – Pójdę do laboratorium. Powinni skierować analizę na cito. Ale zobaczę, czy nie można tego jeszcze bardziej przyspieszyć – dodał bez wielkiej nadziei.

Badanie DNA było o wiele dokładniejszą metodą porównywania i identyfikacji niż stara, oparta na grupach krwi, ale cały proces trwał frustrująco długo. Sytuacja była identyczna po obu stronach Atlantyku. Niejeden brytyjski policjant narzekał, że praca laboratorium nie idzie tak szybko, jak się to przedstawia na filmach. W każdym razie w realnym świecie takie badania czasami ciągnęły się tygodniami.

Tom obejrzał szkła okularów i znowu zaczął je przecierać.

–Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Dan. Czy powinniśmy się niepokoić?

Gardner uniósł rękę.

–Czego ode mnie oczekujesz, Tom? Nie jestem jasnowidzem, nie mam pojęcia, co facet planuje. Sam chciałbym wiedzieć. Ale nawet jeżeli przez niego zniknął profesor, to jeszcze nie znaczy, że wszyscy pracujący nad tą sprawą są zagrożeni. Cholernie mi przykro z powodu Irvinga, ale spójrzmy prawdzie w oczy, on zabiegał o rozgłos. Taki wywiad w telewizji mógł nakręcić wielu psycholi, nie tylko jednego.

–A więc mamy pracować dalej, jakby nigdy nic?

–Owszem, w granicach rozsądku. Jeżeli uznam, że istnieje jakieś realne zagrożenie, wierz mi, dam każdemu całodobową ochronę. Teraz, przy zachowaniu zwykłej ostrożności, nie ma powodu do obaw.

–Zwykłej ostrożności? – powtórzył ze zniecierpliwieniem Tom. – Co to znaczy? Nie brać cukierków od obcych?

–To znaczy nie spacerować samotnie z psem po lesie – odpowiedział Gardner. – Nie chodzić samemu nocą po ciemnych ulicach. Daj spokój, Tom, nie muszę ci chyba wszystkiego wyliczać.

Nie, nie musisz. Przypomniało mi się, jakiego strachu napędził mi zeszłej nocy ochroniarz. Powinienem parkować w mniej odludnym miejscu.

–No dobrze. A więc zwykła ostrożność – zgodził się Tom z ponurą iną. Założył okulary. – Jakie, według ciebie, są szanse odnalezienia Irvinga?

–Wprowadziliśmy do akcji wszystkie nasze siły i środki – odparł Gardner z dawną powściągliwością.

Tom nie naciskał. Każdy spodziewał się najgorszego.

–Dasz nam nowego psychologa?

–Rozważamy taką możliwość – powiedział ostrożnie Gardner. – Całkowicie nie odrzuciliśmy sporządzonego przez Irvinga profilu psychologicznego zabójcy, ale rozpatrujemy też alternatywne punkty widzenia. A Diane przedstawiła ciekawą teorię.

Na beznamietnej twarzy Jacobsen wykwił rumieniec. Czerwienienie się jest reakcją nie do opanowania. Wyobrażałem sobie, że w przypadku kogoś, kto tak bardzo starał się kontrolować, musiało to być bardzo irytujące.

–Z całym szacunkiem dla profesora Irvinga, nie sądzę, żeby zabójstwa miały charakter seksualny ani że zabójca koniecznie musi być homo-seksualistą-oznajmiła. – Uważam, że profesor Irving wyciągnął niewłaściwe wnioski z faktu, że obie ofiary były nagimi mężczyznami.

Kiedy psycholog przyjechał do chaty, Jacobsen wyraziła ten sam pogląd i natychmiast została ustawiona do pionu za to, że ośmieliła się nie zgodzić z profesorem. Dla dobra samego Irvinga miałem nadzieję, że Jacobsen się nie myli.

–Mogłaby to pani wyjaśnić? – zapytał Tom.

–Jeszcze nie. Ale wiele wskazuje na to, że zabójca nie działa z powodów seksualnych. – Rozmawiała z Tomem jak równy z równym, bez dotychczasowego dystansu. – Mamy dwa miejsca zbrodni i dwa zestawy odcisków palców osób, które najprawdopodobniej same są ofiarami. Są też igły do strzykawek wbite w ciało znajdujące się w grobie Willisa De-xtera, które czekały, aż dokonamy ekshumacji. Zabójca popisuje się, manipuluje nami, żeby pokazać, kto tu rządzi. Nie wystarczy mu samo zabijanie, on chce uznania. Zgadzam się z profesorem Irvingiem, że zabójca zdradza cechy patologicznego narcyzmu, ale powiedziałabym, że chodzi o coś więcej niż tylko to. Nie znam się na psychiatrii, ale uważam, że zabójca jest też pełen nienawiści.

Tom miał skonsternowaną minę.

–Proszę wybaczyć, ale nie bardzo rozumiem.

Jacobsen już zbyt mocno zaangażowała się w temat, żeby okazać zakłopotanie.

–Wszyscy narcyzi mają obsesję na punkcie własnej osoby, ale wrogo usposobiony narcyz znajduje się na samej górze skali. Prezentuje patologicznie rozwiniętą wiarę w siebie, nawet manię wielkości, i wymaga, żeby go podziwiano. Jest przekonany o własnej wyjątkowości i chce, aby inni brali to pod uwagę. Co najważniejsze, jest też sadystą; krzywdzi ludzi bez żadnych wyrzutów sumienia. Nie zawsze zadawanie bólu go zaspokaja, ale uwielbia związane z tym poczucie władzy. Cierpienie ofiary w ogóle go nie wzrusza.

–To brzmi jak opis psychopaty – zauważyłem. Jacobsen skierowała na mnie szare oczy.

–Niezupełnie, chociaż i jednego, i drugiego łączą pewne cechy. O ile wrogo usposobiony narcyz jest zdolny do wyjątkowego okrucieństwa, o tyle może czuć podziw, a nawet szacunek dla innych. Pod warunkiem że dany człowiek posiada coś, co narcyz uważa za „właściwe” cechy, zazwyczaj chodzi o władzę lub odniesiony sukces. Według Kernberga...

–Nie potrzebujemy przypisów, Dianę – zwrócił uwagę Gardner. Jacobsen zmieszała się, ale mówiła dalej.

–Sądzę, że mamy do czynienia z kimś, kto odczuwa potrzebę demonstrowania swojej wyższości, w równym stopniu sobie samemu i nam. Jest przewrażliwiony na

własnym punkcie i uważa, że jego talenty oraz prawdziwa wartość są niedoceniane. To tłumaczy, po co zadaje sobie tyle trudu i dlaczego tak zareagował na telewizyjny wywiad z profesorem Irvingiem. Wściekł się, bo został publicznie zdeprecjonowany. Poza tym nie mógł znieść sytuacji, w której ktoś inny skupia na sobie uwagę należną jemu.

– Zakładając, oczywiście, że ten facet ma też coś wspólnego ze zniknięciem Irvinga.  
– Gardner spojrzał na nią ostrzegawczo.

– Zachowujesz się jak cholerny prawnik, Dan – zauważył Tom, ale bez większych emocji. Patrzył w przestrzeń, z roztargnieniem stukając palcem w brodę. – A co z pracownikami domu pogrzebowego? Czy wszyscy mają alibi na czas zdarzenia z Irvingiem?

– Sprawdzamy, ale szczerze mówiąc, nie przypuszczam, żeby zrobił to któryś z nich. Dwaj znaleźieni przez nas do tej pory, którzy pracowali tam, kiedy chowano Willisa Dextera, są po siedemdziesiątce.

– A sam York?

– Twierdzi, że był dziś w pracy od piątej rano. I zanim zapytasz... nie, nie ma nikogo, kto mógłby to potwierdzić – odparł Gardner z miną człowieka zapędzonego w kozi róg.

– Niespodzianka – mruknął Tom. – I żadnego śladu tajemniczego pracownika, którego rzekomo zatrudnił?

– Dwighta Chambersa? Nadal go szukamy.

– Czyli żadnego śladu. Gardner westchnął.

– York jest podejrzany. Ale zabójca na pewno nie szuka takiego rozgłosu. Przetrzęsamy całe Steeple Hill i jutro o tej porze będzie się tam kłębiło od dziennikarzy. Bez względu na to, co się stanie, interes Yorka już wyciągnął nogi. – Skrzywił się, kiedy do niego dotarło, co powiedział. – Przypadkowa gra słów.

– Z tego co widziałem i tak nie pociągnąłby długo. – Światło błysnęło w okularach, kiedy Tom wstawał zza biurka. – Może wolałby odejść z hukiem.

Albo jest po prostu kolejną ofiarą. Zachowałem jednak tę myśl dla siebie.

Zaczynało zmierzchać, kiedy wjechałem w cichą, obsadzoną drzewami ulicę, przy której mieszkali Tom i Mary. Gdyby nie zaproszenie na obiad, znowu pracowałbym do późna. Po wszystkich dzisiejszych przerwach byłem poirytowany, że muszę już kończyć. Ale ten nastrój trwał krótko. Kiedy tylko wyszedłem z prosektorium na

wieczorne słońce, poczułem, jak żelazne palce napięcia przestają się zaciskać na moim karku. Zniknięcie

Irvinga i to, co przydarzyło się wczoraj Kyle'owi, wstrząsnęło mną bardziej, niż przypuszczałem. Teraz perspektywa obiadu i paru drinków w towarzystwie przyjaciół zdecydowanie podnosiła mnie na duchu.

Liebermanowie mieszkali w uroczym drewnianym domu pomalowanym na biało, trochę odsuniętym od drogi. Miałem wrażenie, że nic się tu nie zmieniło od czasu mojej ostatniej wizyty. Wyjątek stanowił majestatyczny, stary dąb na trawniku przed domem. Wtedy pięknie się prezentował, teraz połowa rozłożystych konarów była uschnięta i pozbawiona liści.

Mary przywitała mnie w drzwiach.

–Davidzie! Cudownie, że przyszedłeś. – Stała na palcach, żeby pocałować mnie w policzek.

Zestarzała się ładniej niż mąż. Jej rudawozłote włosy wyblakły, ale zachowały swój naturalny kolor, i chociaż twarz miała pomarszczoną, nadal promieniowało z niej zdrowie. Niewiele kobiet po sześćdziesiątce wygląda ładnie w dżinsach, ale Mary właśnie należała do tej nielicznej grupy.

–Dziękuję, to bardzo miłe. – Przyjęła ode mnie butelkę wina. – Idź do bawialni. Sam i Paula jeszcze nie ma, a Tom rozmawia przez telefon z Robertem.

Robert był ich jedynym synem. Pracował w ubezpieczeniach i mieszkał w Nowym Jorku. Nigdy go nie spotkałem, a Tom niewiele o nim opowiadał, ale wydawało mi się, że ich wzajemne stosunki nie są łatwe.

–Dobrze wyglądasz – zauważyła, prowadząc mnie korytarzem. – O wiele lepiej niż w ubiegłym tygodniu.

W wieczór po przyjeździe jadłem u nich obiad. Teraz miałem wrażenie, że to było bardzo dawno temu.

–Pewnie dzięki słońcu – zauważyłem.

–Cokolwiek jest powodem, dobrze na ciebie działa.

Otworzyła drzwi do bawialni, a w zasadzie starej oranżerii, z pięknymi roślinami i rattanowymi fotelami. Posadziła mnie w jednym z nich, wręczyła szklankę piwa i przeprosiła, tłumacząc, że musi zająć się obiadem.

Okna oranżerii wychodziły na ogród za domem. W ciemności ledwo widziałem



wysokie sylwetki drzew na tle żółtych światel sąsiedniego domu. Okolica była bardzo miła. Tom opowiadał kiedyś, jak w latach siedemdziesiątych prawie zbankrutowali, kupując częściowo zrujnowany budynek, ale nigdy tego nie żałowali.

Popijałem zimne piwo, czując, jak opuszcza mnie napięcie. Odchyliłem głowę do tyłu, zacząłem myśleć o tym, co się stało. Miałem za sobą kolejny niespokojny dzień. Najpierw wiadomość o zniknięciu Irvinga, potem wizyta Gardnera i Jacobsen. Kolejna komplikacja pojawiła się późnym popołudniem, kiedy przyszła analiza aminokwasów i lotnych kwasów tłuszczowych z próbek tkanek Terry'ego Loomisa. Tom przyszedł do sali prosektoryjnej, kiedy pracowałem nad szczątkami ofiary z trumny.

–Cóż, myliliśmy się – oznajmił bez żadnego wstępu. – Według moich obliczeń czas od chwili śmierci zgadza się z relacją kierownika ośrodka. Loomis nie żył od pięciu, a nie, jak sądziliśmy, od prawie siedmiu dni. Masz, zobacz.

Zerknąłem na arkusz z cyframi. Rzeczywiście, miał rację, ale w sprawach takich jak te, Tom nie popełniał pomyłek.

–Wygląda na to, że wszystko w porządku. – Oddałem mu kartkę. – Ale wciąż nie rozumiem, jak to możliwe.

–Ja też. – Ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na obliczenia, jakby stanowiły dla niego osobistą obrazę. – Nawet uwzględniając pozostawiony włączony grzejnik. Nigdy nie widziałem tak daleko posuniętego rozkładu po pięciu dniach. Przecież na ciele były przepoczwazzone larwy, na litość boską.

U muchy plujki przepoczwazzenie trwa sześć do siedmiu dni. Nawet jeżeli Tom i ja myliliśmy się w naszej ocenie czasu zgonu, owady nie powinny osiągnąć tego stadium rozwoju przynajmniej jeszcze przez jeden dzień.

–Istnieje tylko jeden sposób, w jaki mogły się tam dostać – powiedziałem.

Tom się uśmiechnął.

–Widzę, że dokładnie to przemyślałeś. Mów.

–Ktoś musiał tam specjalnie umieścić robaki. – Tylko to wyjaśniłoby stan, w jakim znajdowały się włoki Teny'ego Loomisa. W pełni wyrosnięte larwy od razu przystąpiły do pracy. – Przyspieszenie procesu byłoby nieduże, może od dwunastu do dwudziestu czterech godzin. Ale przy otwartych ranach pewnie w zupełności by wystarczyło.

Kiwnął głową.

–Zwłaszcza jeżeli zostawiono włączony grzejnik, by podnieść temperaturę. Poza tym przy zamkniętych drzwiach i oknach larw na ciebie było zdecydowanie za dużo. Najwyraźniej ktoś pomógł naturze. Sprytnie, ale co chciał przez to osiągnąć? Tylko zmącił wodę na dzień lub dwa.

–Też o tym myślałem.

–Może to wystarczało. Pamiętasz wywód Diane Jacobsen? Zabójca usiłuje coś udowodnić. A to po prostu kolejna szansa, aby pokazać, jaki jest sprytny.

–Niewykluczone. – Tom uśmiechnął się z namysłem. – Ale człowiek się zastanawia, skąd facet tyle o tym wie, prawda?

Ta myśl niepokoiła.

Wciąż się nad tym zastanawiałem, kiedy do oranżerii wszedł Tom. Przebrał się, ogolił, a zwodniczo zdrowy rumieniec był wynikiem gorącego prysznicza.

–Przepraszam. Nasza comiesięczna obowiązkowa rozmowa – wyjaśnił. Zaskoczyła mnie gorycz w jego głosie. Uśmiechnął się, jakby potwierdzając moje spostrzeżenie, i z westchnieniem usiadł w fotelu. – Mary dała ci coś do picia?

Uniosłem piwo.

–Tak, dziękuję.

Skinął głową, ale wciąż błędził gdzieś myślami.

–Wszystko w porządku? – spytałem.

–Jasne. – Z irytacją skubnął poręcz krzesła. – Robert obiecywał, że nas odwiedzi za kilka tygodni. A teraz wygląda na to, że nie będzie miał czasu. Dla mnie to nie taki wielki problem, ale Mary bardzo chciała go zobaczyć, więc... No cóż. Takie są dzieci.

Próba, żeby zabrzmiało to niefrasobliwie, nie udała się. Tom wyraźnie poczuł ulgę, kiedy dzwonek do drzwi oznajmił przybycie Sam i Paula.

–Przepraszamy za spóźnienie – tłumaczył się Paul, kiedy Mary wprowadziła ich do oranżerii. – Złapałem gumę w drodze do domu i potem nie mogłem zmyć z rąk tego cholernego smaru.

–No, ale już jesteście. Samantho, wyglądasz cudownie. – Tom podszedł, żeby ją pocałować. – Jak się czujesz?

Sam usiadła na fotelu z wysokim oparciem. Z wydatnym brzuchem poruszała się dość niezgrabnie, ale wyglądała świeżo i zdrowo. Blond włosy miała związane w

koński ogon.

–Niecierpliwę się. Jeżeli junior się nie pośpieszy, wkrótce czeka nas poważna rozmowa.

–Zanim się zorientujesz, będziesz odprowadzać go do szkoły – roześmiał się Tom.

Przyjście Sam i Paula poprawiło mu nastrój i przy stole panowała już przyjemna, swobodna atmosfera. Obiad był prosty i niewyszukany – pieczony łosoś, kartofle w mundurkach, sałata – ale Mary gotowała tak dobrze, że wszystko smakowało szczególnie. Kiedy podała deser – gorące ciasto brzoskwińowe z lodami – Sam pochyliła się w moją stronę.

–Co u ciebie? Już nie jesteś tak spięty, jak ostatnio – szepnęła.

Wspominała o spotkaniu w restauracji, kiedy wydawało mi się, że poczułem perfumy Grace Strachan. Znowu odniosłem wrażenie, że od tamtej pory minęło wiele tygodni. Ale przez tych zaledwie kilka dni sporo się wydarzyło.

–Nie, chyba nie. – Uśmiechnąłem się. – Czuję się zupełnie dobrze. Przyglądała mi się uważnie.

–Na to wygląda.

Po obiedzie Mary i Sam zniknęły w kuchni, żeby zrobić kawę. Odrzuciły naszą propozycję pomocy.

–Przecież wiadomo, że chcecie porozmawiać o pracy, a ja i Sam mamy ciekawsze sprawy do omówienia.

–Zakład, że tematem będą dzieci? – spytał Tom, gdy wyszły. Zatarł ręce. – Cóż, napiję się burbona. A wy się przyłączycie. Mam butelkę Blan-tona i potrzebuję pretekstu, żeby ją otworzyć.

–Tylko trochę – poprosił Paul.

–Davidzie? A może wolisz szkocką?

–Nie, poproszę burbona.

Tom wyjął z barku szklanki i charakterystyczną butelkę z miniaturowym dżokejem i koniem na zakrętce.

–Lód jest, ale jeśli pójde do kuchni, dostanę od Mary reprimendę, że piję. Twoją dezaprobatę, Davidzie, przyjmę z pokorą.

Nie zamierzałem nic mówić. Czasami abstynencja może przynieść więcej szkody niż pożytku. Tom podał każdemu z nas szklankę, potem uniósł swoją.

–Wasze zdrowie, panowie.

Burbon był delikatny, z lekką nutką palonego karmelu. Kiedy ze smakiem sączyliśmy trunek w milczeniu, Tom w pewnej chwili odchrząknął.

–Skoro jesteście tu obaj, pragnę coś powiedzieć. Ciebie, Davidzie, właściwie to nie dotyczy, ale może też chciałbyś tego wysłuchać.

Paul i ja zerknęliśmy na siebie. Tom w zamyśleniu wpatrywał się w swojego burbona.

–Wiecie, że planowałem przyspieszyć swoją emeryturę i odejść pod koniec lata. Cóż, postanowiłem nie czekać tak długo.

Paul odstawił szklankę.

–Żartujesz.

–Już czas – odparł po prostu Tom. – Przepraszam, że cię zaskakuję, ale... to nie tajemnica, że ostatnio trochę podupałem na zdrowiu. Muszę też liczyć się z Mary. Doszedłem do wniosku, że się wycofam pod koniec przy-

szłego miesiąca. To zaledwie kilka tygodni wcześniej, a ośrodek na pewno się beze mnie nie zawali. Sądzę, że następny dyrektor będzie zupełnie dobry. Miał na myśli Paula, który chyba jednak nie zwrócił na to uwagi.

–Mówiłeś o tym komuś jeszcze?

–Tylko Mary. Za tydzień jest rada wydziału. Wtedy oficjalnie ogłoszę swoją decyzję. Ale chciałem, żebyś dowiedział się pierwszy.

Paul nadal robił wrażenie oszołomionego.

–Jezu, Tom. Nie wiem, co powiedzieć.

–Może „szczęśliwej emerytury”? – Uśmiechnął się. – To nie koniec świata. Śmiem twierdzić, że nadal będę działał jako konsultant. Do diabła, chyba nawet zajmę się golfem. A więc, proszę, bez smutnych min. Wznieśmy kolejny toast.

Sięgnął po butelkę i dolał nam blantona. Czułem skurcz w gardle, ale Tom na pewno nie chciał, żebyśmy się nad nim rozczulali. Uniosłem szklankę.

–Za nowy początek. Stuknął swoją szklanką o moją.

**–Niech nam się wiedzie.**

**Po jego oświadczeniu cała reszta wieczoru miała gorzko-słodki po-smak. Kiedy Mary wróciła z Sam, promieniała, ale w jej oczach błysz-czały łzy. Sam nie próbowała ukryć swoich i objęła Toma tak mocno, jak tylko zdołała z dużym brzuchem.**

**–Bardzo dobrze – powiedziała, ocierając łzy.**

**Tom uśmiechał się szeroko i trzymając żonę za rękę, opowiadał o ich wspólnych planach. Ale w tym wszystkim był smutek, którego nie stłumi-łoby żadne świętowanie. Nie w tym rzecz, że Tom odchodził z pracy.**

**Kończyła się pewna epoka.**

**Z dużym zadowoleniem przyjąłem propozycję Toma, by pomóc mu w dochodzeniu. Powiedział, że to dla nas ostatnia szansa współpracy, ale nie podejrzewałem, że dla niego będzie to też ostatnie zadanie. Zastana-wiałem się, czy on sam o tym wiedział.**

**Kiedy tuż po północy jechałem do hotelu, kląłem samego siebie, że nie doceniłem otrzymanej szansy. Postanowiłem, że zapomnę o swoich wątpliwościach i postaram się jak najlepiej wykorzystać czas wspólnej pracy z Tomem. Jeszcze dzień albo dwa i będzie po wszystkim.**

**Tak przynajmniej sądziłem. Powinienem jednak być bardziej ostrożny w przewidywaniach.**

**Następnego dnia znaleziono kolejne zwłoki.**

**Obrazy powstają wolno, wylaniają się jak duchy na czarnym papierze. Lampa świeci krwistą czerwienią w małej komórce, kiedy czekasz a właściwy moment, a następnie wyjmujesz arkusz stykowy z kuwety wywoływaczem i płuczesz go przed umieszczeniem w utrwalaczu. Gotowe. Doskonale. Odruchowo pogwizdujesz sobie cicho, prawie bezdźwięcznie wypuszczasz powietrze między wargami. Nie tworzy to żadnej melodii. Chociaż w ciemni jest ciasno, lubisz tu być. To miejsce przypomina ci celę mnicha – spokojne, pomaga w medytacji, stanowi zamknięty świat. Skąpany w karminowym świetle lampy czujesz się oderwany od wszystkiego, zdolny skupić się na powoływaniu do życia obrazów zapisanych na lśniących arkuszach papieru fotograficznego.**

**Czyli tak jak powinno być. Gra, którą prowadzisz, zmuszając TBI i tak zwanych ekspertów, by jak psy gonili własne ogony, może być pożądaną odmianą i podbudowaniem własnego ego. Bóg świadkiem, że po tylu wyrzeczeniach zasługujesz, by sprawić sobie przyjemność. Ale nie powinieneś zapominać, że to tylko zabawa, żeby odwrócić ich uwagę. Główna, prawdziwa praca przebiega w tym małym pomiesz-czeniu.**

**Nic nie jest od niej ważniejsze.**

**Dotarcie do tego etapu, nauka metodą prób i błędów trwała latami. Pierwszy aparat fotograficzny kupiłeś w lombardzie – stary kodak instamatic. Ale nie miałeś dość doświadczenia, by wiedzieć, że nie nadaje się do twoich potrzeb. Rejestrował moment, jednak bez wystarczającej liczby szczegółów. Był za wolny, z kiepską ostrością, zbyt zawodny, nie dość precyzyjny, żebyś mógł realizować to, co chciałeś.**

**Potem próbowałeś inne. Przez jakiś czas fascynowały cię aparaty cyfrowe, ale choć wygodne, rejestrowanemu przez nie obrazowi brakuje uśmiechasz się do siebie – duszy filmu. Bez względu na wysoką rozdzielczość i wierność w odwzorowywaniu kolorów, dają tylko impresjonistyczne przybliżenie obrazu. Natomiast film wychwytuje istotę obiektu. Prawdziwą fotografię tworzy światło, czyste i proste, pędzel fotonów, pozostawiający ślad na płótnie kliszy. Istnieje fizyczna więź między fotografem a obiektem. Wywoływanie filmu wymaga precyzyjnej oceny, umiejętności. Zbyt długa kąpiel w chemikaliach i obraz czernieje. Zbyt krótka i stanowi blade podobieństwo czegoś, co mogło być, ale zostało zrodzone przed czasem. Tak, film był niewątpliwie bardziej wymagający.**

**Ale nikt nie twierdzi, że dążenie do celu jest łatwe. A właśnie o to przede wszystkim chodzi – o dążenie do celu, poszukiwanie. To twój**

**Święty Graal, z tą tylko różnicą, że ty wiesz na pewno, iż on istnieje. Widziałeś to. A skoro tak, możesz znów zobaczyć.**

**Jak zawsze jesteś podenerwowany, kiedy wyjmujesz ociekającą stykówkę z kuwety z utrwalaczem. Bardzo ostrożnie, bo kiedyś prysnąłeś sobie w oczy. Spłukujesz arkusz pod zimną, bieżącą wodą. Nadeszła chwila prawdy. Kiedy wróciłeś, mężczyzna był już gotów, ze strachu i oczekiwania w stanie najwyższej czujności. Chociaż próbowałeś nie robić sobie wielkich nadziei, że zrozumiałą niecierpliwością starasz się zobaczyć na lśniąącym papierze, co zdołałeś uzyskać. Ale podniecenie znika, kiedy po kolei oglądasz miniaturowe obrazki i dyskwalifikujesz jeden po drugim.**

**Nieostre. Nie. Nie.**

**Do niczego!**

**W ataku wściekłości rozrywasz stykówkę na pół i rzucasz w kąt. Zrucasz kuwety, zalewając podłogę fontanną chemikaliów. Podnosisz rękę, by zmieść z półek butelki, ale się opanowujesz. Z zaciśniętymi pięściami stoisz pośrodku ciemni i dyszysz ciężko, próbując wziąć się w garść.**

**Odór rozlanego wywoływacza wypełnia małe pomieszczenie. Patrzą na bałagan i**

**nagła furia znika. Apatycznie pochylasz się, by pozbiierać porwane strzępki, ale rezygnujesz. To może poczekać. Oparczy chemiczne duszą, a trochę płynu prysnęło na twoje nagie przedramiona. Już cię piecze i wiesz z doświadczenia, że jeżeli tego nie zmyjesz, zaraz zaczniesz palić.**

**Wychodzisz z ciemni spokojniejszy, rozczarowanie znika. Już się z tym pogodziłeś, szkoda czasu na rozpamiętywanie. Masz zbyt wiele do zrobienia, do przygotowania. Kiedy o tym myślisz, twój krok znowu staje się sprężysty. Niepowodzenie zawsze trustruje, ale musisz widzieć sprawy we właściwej perspektywie.**

**Zawsze jest następny raz.**

## **Rozdział U**

**Tom zadzwonił do mnie rano, zanim wyszedłem z hotelu.**

**–TBI znalazło ludzkie szczątki na Steeple Hill. – Umilkł na chwilę. – Tym razem niepochowane.**

**Zabrał mnie, żebyśmy nie musieli jechać dwoma samochodami. W ogóle nie dyskutowaliśmy, czy powinienem mu towarzyszyć. Zawarliśmy tylko milczące porozumienie, że nie będzie próbował radzić sobie sam. Zastanawiałem się, w jakim jest nastroju po wczorajszym wieczorze i czy żałuje, że powiedział nam o swoim odejściu. Jeżeli tak, dobrze to ukrywał.**

**–Jak się czujesz? – zapytałem, kiedy ruszyliśmy. Wzruszył ramionami.**

**–Emerytura to nie koniec świata. Życie toczy się dalej, prawda? Przytaknąłem.**

**Kiedy podjechaliśmy pod obdrapane wrota Steeple Hill, słońce już wstało. Gęsty sosnowy las otaczający trawniki sprawiał wrażenie niedostępnego, zupełnie jakby między drzewami wciąż panowała noc.**

**Mundurowi policjanci tarasowali wejście na cmentarz zgromadzonym przedstawicielom mediów. Najwyraźniej nastąpił przeciek, że coś tu znaleźiono. Sensacja podziałała na dziennikarzy jak krew na piranie. Kiedy Tom zwolnił, żeby pokazać legitymację, fotograf aż przykucnął, żeby zrobić zdjęcie przez okno samochodu.**

**–Powiedz mu, że za dziesięć dolarów dam mu autograf – burknął Tom, wjeżdżając do środka.**

**Minęliśmy grób, który rozkopywaliśmy poprzednio, i dotarliśmy do kaplicy Steeple Hill. Została zbudowana chyba w latach sześćdziesiątych, kiedy amerykański optymizm wywarł wpływ nawet na przemysł pogrzebowy. Była tanią wersją**

modernistycznych rozwiązań – jednokondygnacyjnym budynkiem z płaskim dachem, który usiłował nawiązywać do stylu Franka Lloyd Wrighta, ale zupełnie nie dorównywał jego standardom. Kolorowe szkło na ścianie przy wejściu było brudne i popękane, a proporcje niewłaściwe, choć nie potrafiłem określić, na czym polegał błąd. Na płaskim dachu ustawiono dzwonnice. Wyglądała absurdalnie, jak położony na stole kapelusz czarownicy. Na jej wierzchołku tkwił metalowy krzyż przypominający dwa niestarannie zespawane, zardzewiałe teowniki.

Gardner stał przed kaplicą z technikami kryminalistycznymi w poplamionych i brudnych kombinezonach. Podszedł do nas.

–Jest na tyłach – oznajmił bez żadnego wstępu.

Kiedy okrążaliśmy kaplicę, z pogodnego nieba zaczął padać deszcz, wypełniając powietrze srebrzystymi kroplami. Ale skończył się szybko, a na trawie i krzakach pozostały maleńkie lśniące okruchy tęczy. Gardner poprowadził nas wąską, żwirową ścieżką, która stawała się coraz mniej widoczna pod zarastającymi ją chwastami.

Fronton kaplicy wyglądał nieciekawie, dopiero jednak za żywopłotem widać było, jak bardzo zaniedbane jest Steeple Hill. Na zamkniętym podwórzu pełnym rdzewiejących narzędzi i pustych pojemników stała obrzydliwa dobudówka. Rozdeptane niedopałki papierosów zaścielały ziemię przy otwartych tylnych drzwiach. Wokół stert śmieci krążyły muchy. Nad tym królestwem brudu ciążyła atmosfera upadku.

–Tam jest kostnica. – Gardner wskazał dobudówkę. – Zespół kryminalistyczny jeszcze niczego nie znalazł, ale ludzie z Agencji Ochrony Środowiska nie są zachwyceni tym, co zobaczyli.

Podeszliśmy do drzwi, zza których dobiegły podniesione głosy. Wewnątrz zobaczyłem Jacobsen – o głowę niższa od trzech mężczyzn, stała z zawiadacko zadartą brodą. Domyśliłem się, że dwaj faceci to urzędnicy AOŚ. Trzecim był York. Prawie krzyczał, trzęsąc się ze złości i wymachując palcem.

–...oburzające! To porządna firma! Nie pozwolę na żadne insynuacje...

–Nikt niczego nie insynuuje, proszę pana – uprzejmie, ale zdecydowanie przerwała mu Jacobsen. – To element prowadzonego dochodzenia w sprawie morderstwa i współpraca leży w pańskim dobrze pojętym interesie.

Oczy dyrektora domu pogrzebowego wychodziły z orbit.

–Czy pani jest głucha? Powtarzam: o niczym nie wiem! Ma pani pojęcie, jak pani szkodzi mojej reputacji?



Zupełnie jakby nie dostrzegał brudu i nędzy wokół. Zobaczył nas i przerwał w pół słowa.

–Doktorze Lieberman! – Podeszedł szybko w naszą stronę. – Niech im pan wytłumaczy, jako fachowiec, że nic mam z tym wszystkim nic wspólnego?

Tom odruchowo cofnął się przed szarżującym przedsiębiorcą pogrzebowym. Gardner wszedł między nich.

–Doktor Lieberman jest tu w sprawach TBI, panie York. Proszę wrócić do środka, a agent Jacobsen będzie...

–Nie, nie wróć! Nie zamierzam stać z boku i pozwalać, by mieszano z błotem dobre imię Steeple Hill!

W świetle poranka widziałem, że garnitur Yorka jest brudny i pognieciony, a na kołnierzyku koszuli ciemniejsza tłusta smuga. Nie ogolił się; jego policzki zarastała siwa szpecina.

Podeszła Jacobsen i ścisnięty między nią a Gardnerem przedsiębiorca pogrzebowy nie miał ruchu. Przy zaniedbanym Yorku wyglądała świeżo jak poranek. Poczulem dolatujący od niej delikatny zapach mydła i wody toaletowej.

Ale w jej głosie nie było ani cienia łagodności.

–Musi pan wrócić do środka – oświadczyła stanowczo. – Panowie z Agencji Ochrony Środowiska mają jeszcze kilka pytań.

York pozwolił, by pokierowała go z powrotem w stronę budynku, ale wciąż patrzył na nas przez ramię.

–To spisek! Spisek! Myślicie, że nie wiem, co się tutaj dzieje? Tak? Jego krzyki towarzyszyły nam, kiedy Gardner poprowadził Toma

dalej.

–Przepraszam.

Tom uśmiechnął się, ale był wyraźnie wstrząśnięty.

–Chyba jest trochę zdenerwowany.

–Jeszcze nie tak, jak będzie.

Gardner szedł w stronę drzew za kostnicą. Dom pogrzebowy stał tyłem do sporego sosnowego lasu. Pomiedzy pniami przeciągnięto taśmę policyjną. Za

gałęziami dostrzegłem krzątające się, ubrane na biało postacie.

–Pies znalazł tu szczątki – wyjaśnił Gardner. – Są porozrzucane, ale na razie zdołaliśmy ustalić, że należą do jednego człowieka.

–Na pewno ludzkie? – spytał Tom.

–Na to wygląda. Początkowo nie byliśmy tego pewni, bo są bardzo pogryzione. Potem znaleźliśmy czaszkę i chyba można założyć, że wszystko stanowi komplet. Ale po aferze Tri-State nie chcemy ryzykować.

Nic dziwnego. Spopielarnia Tri-State w Noble, w stanie Georgia znalazła się w 2002 roku na czołówkach gazet całego świata po tym, jak inspektorzy znaleźli tam ludzką czaszkę. Okazało się jednak, że to zaledwie wierzchołek upiornej góry lodowej. Z niewyjaśnionych do końca powodów właściciel krematorium po prostu zatrzymał wiele zwłok. Ponad trzytma ciało wepchnięto do maleńkich krypt albo ułożono jedno na drugich w okolicznych lasach. Pewną liczbę znaleziono nawet w domu właściciela. Ale chociaż Tri-State było paskudną aferą, istniała jednak ważna różnica. Nikt tam nie został zamordowany.

Gardner zaprowadził nas na skraj lasu, gdzie na drewnianym stole le-ły maski i stroje ochronne. W odległości kilku metrów ciągnęła się niemal jednolita ściana sosen.

Agent TBI popatrzył na Toma z wahaniem, jakby dopiero teraz zaczął się zastanawiać nad tym, o co go prosi.

–Jesteś pewien, że możesz się tym zająć?

–Bywałem już w gorszych miejscach. – Tom otworzył pakiet z jednorazowym kombinezonem.

Gardner nie wydawał się przekonany, ale kiedy zorientował się, że patrzę na niego, natychmiast zmienił zatroskaną minę.

–W porządku, idź.

Poczekalem, aż agent wróci do kostnicy przy domu pogrzebowym.

–On ma rację, Tom. Tam może być ciężko.

–Nie martw się o mnie.

Uparty wyraz twarzy Toma przekonał mnie, że szkoda czasu na dalszą dyskusję. Zaciągnąłem zamek błyskawiczny kombinezonu, włożyłem rękawiczki i ochraniacze

na buty. Ruszyliśmy do lasu.

Ogarnęła nas cisza, jakby cały zewnętrzny świat został nagle wyłączony. Sosny szeptały nad naszymi głowami, a pod stopami leżała gruba warstwa igieł, przypominająca przetykaną szyszkami matę z włókna kokosowego. Czysty sosnowy aromat przenikał przez moją maskę – co za ulga po paskudnych wrażeniach z domu pogrzebowego.

Ale trwała krótko. Powietrze pod sosnami było gęste i nieruchome, nie docierał tu nawet najmniejszy powiew. Kiedy tylko weszliśmy pochyleni pod nisko wiszące gałęzie i zaczęliśmy iść w stronę techników, niemal natychmiast zacząłem się pocić.

–Co znaleźliście? – zapytał Tom, usiłując nie dyszeć ciężko.

Obszerne kombinezony i maski utrudniały rozpoznanie osób, ale poznałem wielkiego mężczyznę, który pracował w górskiej chacie. Lenny? Nie. Jeny. Część twarzy, nieosłonięta maską była zaczerwieniona i pokryta kroplami potu, do kombinezonu przyczepiły się igły i kawałki kory.

–O Boże, czeka nas niezły dzionek – jęknął, prostując się. – Mamy czaszkę, pozostałości klatki piersiowej i kilka innych kości. Są porozrzucane, nawet te duże. A te pieprzone drzewa nie ułatwiają roboty. Tam dalej jest ogrodzenie, ale tak rozwalone, że mogłoby tu wejść nawet wielkie zwierzę.

–Jakieś ubranie?

–Nie, ale trafiliśmy na coś, co wygląda jak stare prześcieradło. Może były w to owinięte zwłoki.

Zostawiliśmy go i ruszyliśmy w stronę najbliższego znaleziska. Małe chorągiewki powtykane w ściółkę oznaczały poszczególne obiekty. Teren wyglądał jak zapuszczone pole golfowe. Najbliższy znacznik umieszczono przy czymś, co przypominało miednicę. Kości leżały pod drzewem i żeby do nich dotrzeć, musieliśmy iść zgięci niemal w pól, ślizgając się na wilgotnym dywanie z sosnowych igieł. Zerknąłem na Toma, żeby się upewnić, że to nie za duży wysiłek dla niego, ale maska zasłaniała mu większą część twarzy, więc niewiele mogłem wywnioskować.

Miednica była tak bardzo pogryziona, że nikt nie zdołałby od razu ustalić, do kogo należała – kobiety czy mężczyzny, ale leżąca obok kość udowa okazała się lepszą wskazówką. Chociaż zwierzęce zęby wyszczerbiły i podziurawiły oba końce, sama jej długość wskazywała, że to część męskiego szkieletu.

–Niezły rozmiar. – Tom ukucnął, żeby przyjrzeć się bliżej. – Jakiego, twoim zdaniem, wzrostu był jej właściciel?

**–Sporo ponad metr osiemdziesiąt. A ile miał Dexter?**

**–Metr osiemdziesiąt pięć. – Tom uśmiechnął się pod maską. Najwyraźniej myślał o tym samym co ja. Wyglądało na to, że znaleźliśmy człowieka, który powinien być pochowany na Steeple Hill. – Dobra, zobaczymy, co tam jeszcze mają.**

**Gałęzie zahaczały o kombinezony, zasypując nas igłami, gdy przeciskaliśmy się między drzewami. Tom nie zdradzał wyraźnych objawów zmęczenia, ale marsz był trudny. Pot spływał mi po twarzy, a od ciągłego poruszania się w półprzysiadzie czułem skurcze mięśni. Zapach sosen zaczynał już przyprawiać o mdłości i czułem, jak swędzi mnie skóra pod kombinezonem.**

**W pewnej odległości od miednicy leżał brudny i poszarpany materiał, oznaczony chorągiewką w innym kolorze, aby odróżnić to znalezisko od części ciała. Nieco dalej znajdowała się klatka piersiowa, częściowo przy-ypana igłami. Kilka mrówek biegło po niej, usiłując znaleźć ostatnie fragmenty ciała. Ale kości już dawno temu zostały obgryzione na czysto i brakowało nie tylko mostka, ale również kilku mniejszych żeber.**

**–Wydaje mi się, że właśnie tutaj porzucono zwłoki – powiedział Tom, gdy ja tymczasem robiłem fotografie. – Rozrzut wygląda dość typowo. Sądzę, że to raczej robota zwierząt, a nie rozczłonkowanie.**

**Natura nie znosi marnotrawstwa i ciało leżące na dworze natychmiast staje się źródłem pożywienia dla dzikich zwierząt. Psy, lisy, ptaki i gryzonie – a w niektórych częściach Stanów nawet niedźwiedzie – biorą udział w uczcie, odrywając i zabierając ze sobą wszystko, co mogą. Ale ponieważ tors jest zbyt duży i ciężki, żeby mogły go ruszyć z miejsca, najczęściej zjadają go na miejscu. Dlatego klatka piersiowa zazwyczaj wyznacza punkt, gdzie początkowo leżały zwłoki.**

**Tom spojrzał na koniec jednego z żeber i przywołał mnie.**

**–Widzisz tutaj? Ślady piły.**

**Podobnie jak większość innych kości żebro było bardzo pogryzione. Ale między śladami zębów widniały równoległe linie i delikatne żłobkowania.**

**–Wygląda na piłkę do metalu. Taką samą, jakiej używa się przy autopsji – powiedziałem. Podczas sekcji przecinało się żebra po obu stronach mostka, żeby go usunąć i uzyskać dostęp do organów wewnętrznych. Czasami używano nożyc, ale piłą elektryczną cięło się szybciej.**

**I zostawiała właśnie takie ślady.**

**–Coraz bardziej prawdopodobne, że znaleźliśmy Willisa Dextera, co? – odezwał się**

Tom. Zaczął się wyprostowywać. – Mężczyzna, wzrost odpowiedni i z cięciami autopsyjnymi na żebrach. Ubranie Dextera spłonęło w samochodzie. Nie miał rodziny, która dostarczyłaby nowe, więc owinięto go tylko całunem. Czas też pasuje. Kości nie obrosły mchem ani porostami, a zatem leżą tu niecały rok. Wydaje się...

Jęknął nagle i zgiął się w pół, chwytając za pierś. Ściągnąłem mu maskę i musiałem ukryć niepokój, który poczułem, widząc jego woskową twarz.

–Gdzie są pastylki?

Usta wykrzywił mu grymas.

–Boczna kieszeń...

Rozerwałem jego kombinezon, klnąc się w duchu. Nie powinienem mu pozwolić tego robić! Na udzie drelichowych spodni była kieszeń. Otworzyłem ją, ale nie mogłem znaleźć lekarstwa.

–Nie ma. – Starąłem się mówić spokojnie. Zacisnął oczy z bólu. Wargi mu zsiniały.

–Koszula...

Poklepałem kieszeń koszuli i wyczułem twarde, cylindryczny kształt. Dzięki Bogu! Wytrząsałem z fiolki jedną maleńką pastylkę. Dłonie Toma drżały, gdy wsuwał ją pod język. Przez kilka chwil nic się nie działo, ale w końcu napięte mięśnie jego twarzy zaczęły się rozluźniać.

–Już dobrze? – zapytałem. Kiwnął głową zbyt wyczerpany, żeby mówić. – Odpocznij parę minut – dodałem.

W pobliżu rozległ się szelest i zza gałęzi wyłonił się Jerry, potężny technik kryminalistyczny.

–Wszystko w porządku?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, poczułem, jak dłoń Toma zaciska się na moim ramieniu.

–Tak. Tylko musiałem złapać oddech.

Technik chyba nie dał się oszukać, ale zostawił nas samych. Kiedy odszedł, ramiona Toma znowu opadły.

–Możesz iść? – zapytałem. Odetchnął spazmatycznie.

–Chyba tak...

**–Chodź, wyprowadzę cię stąd.**

**–Dam sobie radę. Pracuj dalej.**

**–Nie pozwolę...**

**Znowu złapał mnie za rękę i spojrzał błagalnym wzrokiem.**

**–Davidzie, proszę...**

**Nie chciałem, żeby sam przedzierał się przez gęstwinę, ale gdybym nalegał, aby mu towarzyszyć, jeszcze bardziej by się zdenerwował. Spojrzałem w kierunku skraju lasu, oceniając odległość.**

**–Będę szedł grzecznie i powoli – zapewnił. – I obiecuję, że zaraz potem odpocznę.**

**–Musisz iść do lekarza.**

**–Właśnie byłem. – Uśmiechnął się blado. – Nie martw się. Tylko skończ tutaj.**

**Z niepokojem obserwowałem, jak idzie przez las wolnym krokiem, niczym starzec. Odczekałem, aż przedostanie się między gęsto splecionymi gałęziami na otwartą przestrzeń. Dopiero potem poszedłem do miejsca, gdzie Jerry oglądał leżący na ziemi przedmiot, chyba kawałek kości. Podniósł głowę.**

**–Wszystko z nim w porządku?**

**–To przez ten upał. Podobno znalazł pan czaszkę? – Szybko zmieniłem temat.**

**Zaprowadził mnie do kolejnej małej choraławki u stóp zbocza. Obok wystawała z sosnowych igieł blada kopuła ludzkiej czaszki. Leżała odwrócona, jak brudna misa z kości słoniowej. Brakowało dolnej szczęki. Solidna budowa czaszki wskazywała, że należała do mężczyzny. Na kości czołowej widziałem pajęczynę pęknięć. Tego rodzaju obrażenie mogło być spowodowane zderzeniem z czymś płaskim i twardym.**

**Na przykład przednią szybą samochodu.**

**Byłem już pewien, że to szczątki Willisa Dextera, a w takim razie niewiele się z nich dowiemy. Prawie nie ulegało wątpliwości, że mechanik nie został zamordowany, ale zginął w wypadku samochodowym. Z zabójstwem wiązał go tylko fakt przywłaszczenia jego trumny i grobu przez zabójcę. Gdyby udało się ustalić, że brakuje rąk albo nawet którychś palców Dextera, mogłoby to przynajmniej wyjaśnić, jak odciski linii papilarnych znalazły się na kasetce długo po jego śmierci. Ale nie odnaleziono ani kości nadgarstka ani paliczków i przy tak wielkiej powierzchni lasu trudno mieć nadzieję, że kiedykolwiek to się uda. Padlinożerne zwierzęta dokładnie**

oczyściły szczątki. A małe kości, jeżeli nie zostały zjedzone, teraz mogły być wszędzie.

–Zmarnowany wyjazd, co, doktorze? – odezwał się wesoło Jerry, kiedy fotografowałem ostatnie znalezisko: obgryzioną połowę żebra. – Nie-wiele da się ustalić poza tym, że to ludzkie kości. A to i tak moglibyśmy wam powiedzieć. W każdym razie, jeżeli pan już kończy, chcielibyśmy zacząć to wszystko pakować i opisywać.

Mało subtelna akcja. Już miałem odejść, kiedy zauważyłem jeszcze jedną chorągiewkę.

–Co tam jest?

–Tylko trochę zębów. Musiały wypaść, kiedy oderwała się szczeka. Nie było w tym nic niezwykłego. Padlinożercy zazwyczaj najpierw

zjadają twarz, więc zęby się posypały. Przez chwilę miałem ochotę nie zawracać sobie tym głowy. Byłem zgrzany, zmęczony i martwiłem się o Toma. Ale przykre doświadczenia nauczyły mnie nie uważać niczego za rzecz oczywistą.

–Lepiej je obejrzę – oznajmiłem.

Chorągiewka tkwiła między odsłoniętymi korzeniami skarłowacia-lej sosny. Odległość od klatki piersiowej była nieduża, ale dopiero kiedy podszedłem blisko, dostrzegłem brudne kawałki kości. Leżały tu cztery zęby trzonowe, pokryte błotem i prawie niewidoczne wśród sosnowych igieł. Fakt, że w ogóle je znaleziono, świadczył, jak dokładnie przeszukano okolicę. Kiedy im się przyglądałem, odniosłem wrażenie, że coś jest nie tak...

Gdy uświadomiłem sobie co, natychmiast zapomniałem o upale i zmęczeniu.

Co, u diabła? Pochyliłem się, by popatrzeć dokładniej.

–To tylko zęby, już mówiłem. I co, skończył pan? – spytał Jerry, kiedy je fotografowałem. Tym razem naciskał jeszcze bardziej natarczywie.

–Pan też zrobił zdjęcia?

Spojrzał, jakby uważał pytanie za idiotyczne.

–Doktorze, natrzaskaliśmy ich od cholery. Wstałem.

–To dobrze, będą wam potrzebne.

Patrzył za mną, kiedy wychodziłem z lasu. Pot spływał mi po plecach, gdy

wyszedłem spomiędzy wywołujących klaustrofobię gęstych sosen. Z ulgą zdjąłem maskę. Rozpinając kombinezon, przeszedłem pod taśmą policyjną i rozejrzałem się w poszukiwaniu Toma. Stał w cieniu cisowego żywopłotu i rozmawiał z Gardnerem oraz Jacobsen. Wyglądał dobrze. Niestety, towarzyszył im Hicks. Chwilę później usłyszałem podniesione głosy.

–...nie ma prawnego umocowania w tym śledztwie! Wiesz o tym, równie dobrze jak ja!

–To absurd. Dzielisz włos na czworo, Donaldzie – odparł Tom.

–Dzielę włos? – Słońce błysnęło na tysej głowie anatomopatologa, agresywnie wysuwającego do przodu brodę. – Ciekawe, czy sędzia będzie „dzielił włos”, kiedy oddali sprawę o morderstwo, ponieważ biegły pozwolił nieupoważnionemu pomocnikowi wałęsać się po miejscu zbrodni. Komuś, kto zapewne w ogóle zniknie z tego kraju, gdy sprawa znajdzie się w sądzie.

Bez trudu się domyśliłem, o kim rozmawiają. Kiedy podszedłem bliżej, umilkli.

–Jak się czujesz? – spytałem Toma. Najpierw to, co najważniejsze.

–Dobrze. Po prostu potrzebowałem trochę wody.

Nadal był blady, ale prezentował się o wiele lepiej niż jakiś czas temu. Z jego spojrzenia wyczytałem wyraźnie, że nie powinienem przy innych wspominać o niedawnym ataku.

Odwróciłem się do Gardnera.

–Czy jest jakiś problem?

–A żeby pan wiedział, że jest! – wtrącił się Hicks. Mimo całego oburzenia doskonale się bawił.

–Może powinniśmy to omówić kiedy indziej – zaproponował znużonym głosem Gardner.

Anatomopatolog nie pozwolił jednak zmienić tematu rozmowy.

–Nie, to trzeba załatwić teraz! Prowadzimy jedno z największych śledztw w sprawie seryjnego zabójcy, jakie mieliśmy w ostatnich latach w Stanach! Nie możemy ryzykować, że amatorzy coś spaprzą!

Amatorzy? Zacisnąłem mocno usta, aby nie ulec ogarniającej mnie wściekłości.

–David jest pod każdym względem równie kompetentny jak ja -oświadczył Tom, ale



brakowało mu energii, żeby wdawać się w spór.

Hicks wyciągnął palec w jego stronę.

–To bez znaczenia! Nie powinien sam łązić po miejscu zbrodni! Co ty na to, Gardner? Może zaczniesz wydawać bilety, żeby każdy sobie wszedł i popatrzył?

Mięśnie na szczęce Gardnera napięły się, ale cios był celny.

–On ma rację, Tom.

–Na litość boską, Dan. David wyświadcza nam przysługę! Ale ja usłyszałem już dosyć.

–W porządku. Nie chcę niczego komplikować.

Tom zrobił zbolalą minę, natomiast Hicks z trudem ukrywał złośliwą satysfakcję.

–Bez urazy, doktorze... Hunter, prawda? Na pewno cieszy się pan dużym uznaniem u siebie w kraju, ale tu jest Tennessee. To nie pański problem.

Nie ufałem sobie na tyle, by coś mu odpowiedzieć. Jacobsen patrzyła na Hicksa z trudnym do zinterpretowania wyrazem twarzy. Gardner sprawiał wrażenie, jakby z całego serca pragnął mieć to już za sobą.

–Bardzo mi przykro, Davidzie... – wymamrotał bezradnie Tom.

–Nie przejmuj się. – Oddałem mu aparat. Chciałem jak najszybciej znaleźć się gdzie indziej. Gdziekolwiek. – Dasz sobie radę?

Tom wiedział, co mam na myśli. Z zakłopotaniem skinął szybko głową. Już zacząłem się odwracać, kiedy przypomniałem sobie, co muszę mu jeszcze przekazać.

–Dokładnie przyjrzyj się zębom, które tam znaleziono. Nie należą do pozostałych szczątków.

–Skąd pan wie? – zapvtat agresywnie Hicks.

–Bo to zęby świni.

W oczach Toma błysnęło zaciekawienie.

–Przedtrzonowe?

Skinąłem głową, widząc, że zrozumiał. Ale tylko on. Hicks patrzył na mnie wściekle, jakby podejrzewał jakąś sztuczkę z mojej strony.

–Mówi pan, że znaleźli świńskie zęby? Co u diabła tam robiły do cholery?

–Mnie proszę nie pytać. Jestem tylko amatorem – odparłem.

Nie była to szczególnie udana riposta, ale nie mogłem się powstrzymać. Odchodząc, widziałem uśmiech Toma. Wydawało mi się, że też na twarzy Jacobsen pojawił się cień rozbawienia.

Ale wcale nie poprawiło mi to nastroju. Przeszedłem z powrotem przed kaplicę i szarpnąłem zamek błyskawiczny tak mocno, że rozdarłem kombinezon. Zrzuciłem go z siebie i wepchnąłem do plastikowego pojemnika, do połowy wypełnionego zużytymi ubraniami ochronnymi. Kiedy ściągnąłem gumowe rękawiczki, wypłynął z nich pot, tworząc na ziemi ciemne plamy jak z modernistycznego obrazu. Dłonie, które tyle czasu tkwiły w nieprzepuszczającym powietrza lateksie, miałem blade i pomarszczone i przez chwilę poczułem coś w rodzaju *déjà vu*.

O co chodzi? Co mi to przypomina?

Ale byłem zbyt zły, żeby się nad tym zastanawiać. Poza tym pomyślałem o bardziej prozaicznej sprawie. Przyjechałem na Steeple Hill samochodem Toma. Po moim dramatycznym odejściu nie miałem teraz czym wrócić.

Zakląłem pod nosem. Oczywiście, mogłem poczekać, aż Tom skończy, ale nie pozwalała mi na to duma. Doskonale. Pójdę na piechotę. Wieiedziałem, że robię głupio, ale byłem w zbyt paskudnym nastroju, by się tym przejmować. Ruszyłem w stronę bramy.

–Doktorze Hunter!

Odwróciłem się i zobaczyłem Jacobsen idącą ścieżką w moją stronę. Mrużyła oczy w jaskrawym słońcu, które świeciło jej prosto w twarz. Drobnutkie zmarszczki w kącikach szarych oczu nadawały twarzy agentki lekko zdziwiony, niemal rozbawiony wygląd, przez co jej rysy stały się łagodniejsze.

–Doktor Lieberman powiedział, że nie przyjechał pan tu swoim samochodem. Jak pan dostanie się do miasta?

–Zawiozę pana.

–Dam sobie radę.

–Nie, dziękuję. – Miałem w nosie czyjeś przysługi. Odgarnęła z twarzy pasmo włosów i zgrabnie założyła je za ucho.

–Nie radzę wracać na piechotę. Zwłaszcza gdy przed bramą czeka tłum

dziennikarzy.

Nie pomyślałem o tym. Złość zaczęła się ulatniać i poczułem się dość głupio.

–Przyprowadzę samochód – powiedziała Jacobsen.

## Rozdział 12

Cisza w samochodzie właściwie nie działała kojąco, ale nie była też kłopotliwa. Nie miałem nastroju do rozmów, Jacobsen najwyraźniej się tym nie przejmowała. Moja złość trochę ustąpiła, ale wciąż tliła się we mnie uraza.

Odciągnąłem od ciała koszulę. Po czasie spędzonym w sosnowym lesie nadal było mi gorąco i nieprzyjemnie. Samochód stał zaparkowany na słońcu i wewnątrz nagrzało się jak piekarnik, ale klimatyzacja w końcu zaczęła wygrywać bitwę. Markotny patrzyłem przez okno na przesuwający się niekończący się szereg sklepów i fast foodów – szkło, cegła i beton na ciemnozielonym tle gór. Bardziej niż kiedykolwiek czułem się tu obco. To nie moje miejsce. I z całą pewnością cię tu nie chcą.

Powinienem sprawdzić wcześniejsze loty powrotne.

–Może się to panu nie podobać, ale Hicks miał rację – powiedziała, wrywając mnie z zamyślenia. – Doktor Lieberman jest upoważnionym konsultantem TBI. Pan nie.

–Wiem, jak pracować na miejscu przestępstwa – odparłem urażony.

–Nie wątpię, ale tu nie chodzi o pańskie umiejętności. Jeżeli dojdzie do procesu, nie możemy dopuścić, aby obrona zarzuciła nam, że nie postępowaliśmy zgodnie z procedurą. – Spojrzała na mnie. W jej szarych oczach widniała szczerłość.

Święte oburzenie zniknęło. Rzeczywiście, stawką było coś więcej niż tylko moja duma.

–Doktor Lieberman jest chory, prawda? Jej pytanie mnie zaskoczyło.

–Skąd takie przypuszczenie? Jacobsen patrzyła na drogę.

–Mój tata chorował na serce. Tak samo wyglądał.

–Co się stało? – zapytałem.

–Umarł.

–Bardzo mi przykro.

–To było wiele lat temu – oznajmiła, zamykając temat.

Twarz miała beznamiętną, ale czułem, że żałuje, iż cokolwiek powieǳiała o sobie. Ależ ona ładna. Oczywiście, przez cały czas zdawałem sobie z tego sprawę, ale jakby abstrakcyjnie, tak jak podziwia się kształt i formę marmurowego posągu.

Teraz w zamkniętym wnętrzu samochodu uświadamiałem to sobie aż za bardzo. Zdjęta żakiet i biała koszula z krótkimi rękawami odsłaniała pięknie wyrzeźbione mięśnie rąk. Przypięta przy pasku kabura z pistoletem szokująco kontrastowała z elegancką garsonką. Słyszałem szelest spódnicy, gdy Jacobsen naciskała pedały, czułem świeży, przyjemny zapach jej skóry. Domyśliłem się, że to perfumowane mydło, bo aromat był zbyt delikatny jak na perfumy.

Moja nieoczekiwana reakcja na jej bliskość trochę mnie denerwowała. Odwróciłem wzrok od pełnych, czerwonych warg i wbiłem spojrzenie w szosę. Gdyby Jacobsen wiedziała, o czym myślę, pewnie złamałaby mi rękę. Albo zastrzeliła.

–Jakieś wiadomości o Irvingu? – zapytałem, żeby zająć swój umysł czymś innym.

–Wciąż szukamy. – Innymi słowy, nie. – Doktor Lieberman powieǳiał, że szczątki w lesie to zapewne pozostałości po zwłokach Willisa Dextera – odezwała się swoim dawnym, rzeczowym tonem.

–Na to wygląda. – Opisałem pęknięcia kości czołowej czaszki i wyjaśniłem, że pasują do obrażeń Dextera. – Przypuszczam, że ktoś podmieǳił ciała, a potem porzucił zwłoki Dextera w lesie na tyłach zakładu. Gdyby policja nie przeszukiwała otoczenia, nikt by ich nie znalazł.

–Ale zabójca musiał wiedzieć, że do tego dojdzie, kiedy znajdziemy w grobie niewłaściwe zwłoki. A więc najwyraźniej chciał, żebyśmy i te odnaleźli.

Najpierw Loomis, potem niezidentyfikowany denat w trumnie, a teraz Dexter. Łańcuszek zwłok, z których jedne prowadzą do kolejnych.

–Zrobił to ktoś, kto ma dostęp do Steeple Hill – stwierdziłem. – Czy już coś ustaliliście odnośnie tego Dwighta Chambersa, który podobno pracował u Yorka?

–Nadal go szukamy. – Jacobsen zwolniła i stanęła na czerwonym świetle. – Jest pan pewien, że to zęby świni?

–Na sto procent.

–Dlaczego uważa pan, że podrzuciono je specjalnie?

–Bo nie widzę innego powodu, aby się tam znalazły. Leżały nieopodal klatki piersiowej, dokładnie tam, gdzie powinna być głowa, zanim do

zwłok dobrały się zwierzęta. Ale żaden ząb nie nosił śladów uszkodzeń. Gdyby były na nich dziąsła, gryznie zostawiłyby zadrapania. Wszystko więc wskazuje, że w lesie znalazły się już oczyszczone zęby. Między brwiami Jacobsen pojawiła się mała zmarszczka.

–Ale dlaczego?

–Ten, kto je tam zostawił, pewnie znów chciał się popisać.

–Podrzucając świńskie zęby?

–Świńskie zęby przedtrzonowe wyglądają jak ludzkie trzonowe. Jeżeli się nie wie, czego szukać, łatwo je pomylić.

Zmarszczka zniknęła.

–A więc zabójca zamierza nam pokazać, jak dobrze się zna na takich szczegółach. Podobnie było z odciskami palców zostawionymi na miejscu zbrodni. Nie tylko nas sprawdza, ale chwali się swoim sprytem.

Wzdrygnęła się, gdy za nami ryknął klakson, dając znać, że światło zmieniło się na zielone. Podenerwowana ruszyła ostro. Popatrzyłem w okno, żeby nie dostrzegła mojego uśmiechu.

–To dość specjalistyczna wiedza. Kto może ją posiadać? – podjęła temat, opanowana jak przedtem.

–Łatwo zgadnąć. Każdy kto... – przerwałem.

–Zna się na medycynie sądowej? – dokończyła Jacobsen.

–Tak – przyznałem.

–Na przykład antropolog sądowy?

–Albo archeolog sądowy czy anatomopatolog. Albo przedstawiciel jednej z kilku różnych dyscyplin związanych z sądówką. Każdy, kto zada sobie trud i poczyta podręczniki, może znaleźć taką informację. To nie znaczy, że ma pani zacząć pokazywać palcem ludzi pracujących w tej dziedzinie.

–Nikogo nie pokazuję palcem.

Cisza, która teraz zapadła, nie była już przyjemna. Próbowałem znaleźć sposób, by ją przełamać, ale aura otaczająca Jacobsen uniemożliwiała towarzyskie pogawędki. Patrzyłem przez okno przybity i zmęczony samochodami pędziły obok, lśniąc w słońcu wczesnego popołudnia.

**–Nie ma pan wysokiego mniemania o psychologii, prawda? – zapytała nagle.**

**Wolałbym niczego nie mówić, niestety zostałem wezwany do odpowiedzi.**

**–Uważam, że niekiedy za bardzo się w nią wierzy. To użyteczne narzędzie, ale często zawodne. Profil sporządzony przez Irvinga jest tego dowodem.**

**Wojowniczo zadarła podbródek.**

**–Profesor Irving zbyt wielką wagę przypisał temu, że obie ofiary były płci męskiej i nagie.**

**–A pani nie uważa, żeby miało to znaczenie?**

**–Płeć? Nie. A sądzę, że pan i doktor Lieberman zdajecie sobie sprawę z prawdziwego powodu ich nagości.**

**Zaskoczyła mnie, ale tylko na chwilę.**

**–Nagie ciało rozkłada się szybciej niż ubrane – odparłem zły na siebie, że nie dostrzegłem tego wcześniej.**

**Skinęła głową. Miałem wrażenie, że jej też zależy na przerwaniu niezręcznej sytuacji.**

**–A zarówno zwłoki Terry'ego Loomisa, jak i ekshumowane szczątki były w stanie większego rozkładu, niż powinny. Można więc przypuszczać, że obaj denaci zostali rozebrani z tych samych przyczyn.**

**Kolejna okazja dla zabójcy, żeby wprowadzić zamieszanie i wykazać się sprytem.**

**–Zwłoki, które ekshumowano, i tak musiały być rozebrane, żeby umieścić w nich igły – powiedziałem. – A kiedy zabójca już to zrobił, nie chciał ryzykować i dotykać ciała więcej. Dlatego nie ubrał zwłok. Ale nie ulega zmianie fakt, że ofiary to mężczyźni.**

**–A przynajmniej te, o których wiemy.**

**–Przypuszcza pani, że są jeszcze jakieś nieodnalezione? Początkowo pomyślałem, że posunąłem się za daleko. Jacobsen nie**

**odpowiedziała. Ale w sumie nie musiała. Nie brałem już udziału w dochodzeniu. Przywyknij do tego. Jesteś już tylko turystą.**

**Zamierzałem właśnie wycofać pytanie, kiedy najwyraźniej podjęła decyzję.**

–To czysta spekulacja. Ale zgadzam się z profesorem Irvingiem, że znaleźliśmy tylko te ofiary, które zabójca chciał, żebyśmy znaleźli. Jego brutalność i pewność siebie pozwala podejrzewać, że są jeszcze inne. Nikt nie uzyskuje takiego... wyrafinowania za pierwszym podejściem.

Nie pomyślałem o tym do tej pory. Hipoteza była niepokojąca. Jacobsen opuściła osłonę, kiedy za zakrętem słońce zaświeciło jej prosto w twarz.

–Bez względu na plan działania zabójcy, nie sądzę, by odgrywały w nim rolę fizyczne cechy ofiary – podjęła temat. – Mamy trzydziestosześcioletniego pracownika ubezpieczeń, czarnego mężczyznę po pięćdziesiątce, najprawdopodobniej czterdziestoczteroletniego psychologa. Między nimi nie istnieją żadne widoczne związki. A zatem zabójca poluje na przypadkowe ofiary. Wątpię, by płeć odgrywała tu jakąkolwiek rolę.

–A co z Irvingiem? Został wybrany z rozmysłem.

–Profesor jest wyjątkiem. Nie sądzę, by wcześniej figurował w planach zabójcy. Ale kiedy pojawił się w telewizji, natychmiast nastąpił atak. A to świadczy o czymś ważnym.

–Poza tym, że zabójca jest niebezpiecznym szaleńcem? Przelotny uśmiech sprawił, że jej rysy złagodniały.

–Poza tym. Na razie wszystko wskazuje na to, że starannie obmyśla i planuje swoje działania. Igły wbite w zwłoki, odcisk palca Dextera w chałcie... To człowiek uporządkowany i metodyczny. Jednak przypadek profesora Irvinga ukazuje również drugą stronę osobowości. Jest impulsywny i niezrównoważony. Jeżeli ktoś urazi jego dumę, nie potrafi się opanować.

Już nawet nie próbowała udawać, że Irving nie padł ofiarą tego szaleńca.

–To dobrze czy źle?

–Jedno i drugie. Jest nieprzewidywalny, a przez to jeszcze bardziej niebezpieczny. Ale jeżeli działa pod wpływem impulsu, wcześniej czy później popełni błąd. – Jacobsen znowu zmrużyła oczy, gdy słońce odbiło się od samochodów przed nami. – W żakiecie mam okulary przeciwsłoneczne. Mógłby mi je pan podać?

Starannie złożony żakiet leżał na tylnym siedzeniu. Sięgnąłem po niego. Od miękkiego materiału doleciał powiew delikatnego aromatu; przeszukując kieszenie, poczułem dziwną bliskość z Jacobsen. Podałem jej lotnicze okulary przeciwsłoneczne. Nasze palce zetknęły się na chwilę – skórę miała chłodną i suchą, ale krył się pod nią żar.

**–Dziękuję – powiedziała.**

**–Wspomniała pani o jego planie działania – wróciłem szybko do tematu – że zabójca pragnie uznania. Jest... jak brzmiało określenie? „Wrogo nastawionym narcyzem”? Czy to nie wyjaśnia sprawy?**

**Jacobsen lekko skinęła głową. W okularach wyglądała na jeszcze bardziej nieprzeniknioną.**

**–Tłumaczy, dlaczego zadaje sobie tak wiele trudu, ale nie wyjaśnia, dlaczego zabija. Musi czerpać z tego jakieś patologiczne korzyści. Jeżeli nie seksualne, to jakie?**

**–Może po prostu lubi zadawać ból? – zasugerowałem.**

**Pokręciła głową. Znowu nad jej okularami pojawiła się mała zmarszczka w kształcie litery V.**

**–Nie. Na pewno to mu daje poczucie władzy, ale musi być coś więcej. Tylko na razie nie wiemy co.**

**Nagle słońce zniknęło, zasłonięte przez czarnego pikapa, który zrównał się z nami. Pożerający benzynę potwór z przyciemnionymi szybami, dużo wyższy od samochodu Jacobsen, szybko wyskoczył do przodu. Ledwo zdążył nas wyprzedzić, gdy nagle skręcił na nasz pas ruchu. Odruchowo wparłem stopy w podłogę, przygotowując się na zderzenie. Ale Jacobsen, prawie nie dotykając hamulca, zgrabnie skręciła na sąsiedni pas.**

**Wspaniały pokaz panowania nad samochodem, tym bardziej imponujący, że wykonała manewr właściwie odruchowo. Zerknęła z irytacją na pikapa, który przyspieszył, ale nie poświęciła mu więcej uwagi.**

**Ten incydent popsuł jednak nastrój. Jacobsen znowu stała się chłodna i albo myślała, o czym wcześniej rozmawialiśmy, albo żałowała, że powiedziała tak dużo. Poza tym nie było już czasu na dalszą dyskusję. Zbliżyliśmy się do centrum Knoxville. W miarę jak dojeżdżaliśmy do celu, markotniałem coraz bardziej. Jacobsen zawiozła mnie do hotelu. Znowu mocno zdystansowana pożegnała mnie ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy i odjechała. Zostałem na chodniku z mięśniami zeszywniałymi od ciągłego pochylania się w sosnowym lesie.**

**Nie miałem najmniejszego pojęcia, co dalej robić. Nie wiedziałem, czy nie wolno mi też wchodzić do prosektorium, a nie chciałem pytać o to Toma. Do ośrodka też nie zamierzałem wracać, przynajmniej dopóki lepiej się nie zorientuję, jak wygląda sytuacja.**

**Kiedy tak stałem w ostrym, wiosennym słońcu, wśród zabieganych ludzi, wreszcie**



dotarło do mnie w pełni, co się właściwie stało. W czasie jazdy z Jacobsen odsuwałem tę myśl, ale teraz musiałem spojrzeć prawdzie w oczy.

Po raz pierwszy w mojej karierze zawodowej wyrzucono mnie z dochodzenia.

Wziąłem prysznic, przebrałem się, potem kupiłem kanapki i zjadłem lunch na brzegu rzeki. Patrzyłem na przepływające bocznołowce olatki turystyczne. Woda ma w sobie jakieś pierwotne, uspokajające działanie. Jakby poruszała tkwiące głęboko w podświadomości struny, a nawet genetyczną pamięć życia płodowego. Wdychałem powietrze z lekko bałgiennym zapachem, obserwowałem klucz gęsi lecący w górę rzeki i próbowałem wmówić sobie, że się nie nudzę. Obiektywnie rzecz biorąc, wiedziałem, że nie powinienem tak bardzo brać do siebie tego, co stało się na cmentarzu. Wszedłem na linię ognia, stałem się przypadkową ofiarą zawodowej rywalizacji między Tomem a Hicksem. Tłumaczyłem sobie, że nie powinienem tego traktować jako osobistą urazę. Wcale nie poczułem się dzięki temu lepiej.

Po lunchu wędrowałem bez celu ulicami, czekając, by zadzwonił mój telefon. Dawno nie byłem w Knoxville i miasto bardzo się zmieniło. Ale nadal jeździły trolejbusy, a złota, lustrzana kula Sunsphere pozostawała charakterystycznym elementem tutejszej panoramy.

Nie byłem jednak w nastroju do zwiedzania. Telefon milczał uparcie i tylko ciążył w kieszeni. Kusiło mnie, żeby zadzwonić do Toma, ale to nie miało sensu. Odezwie się, kiedy będzie mógł.

Zadzwonił późnym popołudniem. Zmęczonym głosem przeproszał za poranny incydent.

–Hicks po prostu mąci wodę. Jutro rano znów porozmawiam z Da-nem. Jestem pewien, że kiedy kurz opadnie, pójdzie po rozum do głowy. Nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś nadal pracować ze mną w prosektorium.

–Ale do tego czasu ktoś musi ci pomóc. Sam nie dasz sobie rady. Może Paul?

–Wyjechał dziś z miasta. Poproszę Summer.

–Musisz trochę zwolnić. Byłeś u lekarza?

–Nie martw się – powiedział tonem świadczącym, że na próżno się wysilam. – Naprawdę bardzo mi przykro, Davidzie, ale załatwię sprawę. Na razie siedź cicho.

Niewiele więcej mogłem zrobić. Postanowiłem spróbować miło spędzić resztę wieczoru. Trochę lenistwa ci nie zaszkodzi. Bary i kawiarnie zaczęły się wypełniać. Śmiech i szmer głosów był zachęcający. Pod wpływem nagłego impulsu wszedłem do lokalu z drewnianym tarasem wychodzącym na rzekę. Znalazłem stolik przy

balustradzie i zamówiłem piwo. Ciesząc się zachodzącym słońcem, obserwowałem wolno płynącą Tennessee, zmarszczki i wiry tworzone przez niewidoczne prądy na jej chłodnej powierzchni.

Stopniowo zaczynałem się odprężyć. Dopilem piwo, ale nie chciałem jeszcze wychodzić, więc poprosiłem o menu. Zamówiłem linguine z owocami morza i kieliszek kalifornijskiego zinfandela. Przysięgłem w duchu, że wypiję tylko jeden, bo jutro powinienem wstać bez względu na to, czy będę pomagał Tomowi, czy też nie. Ale kiedy skończyłem sycące, mocno czosnkowe danie, nie wydało mi się to przekonującym argumentem. Zamówiłem następny kieliszek wina. Słońce zniknęło za drzewami, ale chociaż zaczął zapadać zmierzch, nadal było ciepło. Elektryczne światła na tarasie zwabiały pierwsze wieczorne ćmy. Krążyły, obijały się o szkło, ich czarne sylwetki rysowały się na tle białych kul.

Usiłowałem przypomnieć sobie, czy przychodziłem tutaj wiele lat temu, w czasie swojej pierwszej wizyty w Knoxville. Przypuszczałem, że tak, ale nie pamiętałem. Wynajmowałem wtedy mieszkanie w suterynie w innej, tańszej części miasta, na obrzeżach podupadającej starej dzielnicy. Kiedy wychodziłem się rozerwać, raczej odwiedzałem bary w okolicy, a nie drogie lokale na nabrzeżu.

Te rozmyślania ożywiły pamięć. Nie wiadomo skąd przypomniła mi się dziewczyna, którą kiedyś znałem. Beth, pielęgniarka w szpitalu. Nie myślałem o niej od lat. Uśmiechnąłem się, ciekaw, gdzie teraz jest i co robi. 1 czy kiedykolwiek pomyślała o spotkaniu kiedyś brytyjskim studentem medycyny sądowej.

Wkrótce potem wróciłem do Anglii. A kilka tygodni później poznałem swoją przyszłą żonę Karę. Myśl o niej i o córce jak zwykle spowodowała chwilowy zawrót głowy, ale już się do tego przyzwyczailem i potrafiłem nad tym zapanować. Jak brzmiał ten fragment piosenki Johna Lennona? „Życie jest tym, co ci się zdarza, kiedy pilnie sporządzasz swoje inne plany”.

Był to równie dobry sposób jak każdy inny, aby określić ten stan.

Wyjąłem telefon i otworzyłem książkę telefoniczną. Miałem wrażenie, że nazwisko i numer Jenny wyskoczyły na ekranie, zanim jeszcze je wybrałem. Przewinałem opcje, aż wreszcie natrafiłem na zakładkę „Usuń”. Przez chwilę trzymałem kciuk nad klawiszem. Ale nie nacisnąłem. Zamknąłem telefon i schowałem do kieszeni.

Dopilem wino i zmieniłem tok myśli. Przywołałem obraz Jacobsen siedzącej w samochodzie, jej kształtnych rąk, których opalenizna kontrastowała z białymi, krótkimi rękawami koszuli. Uświadomiłem sobie, że prawie nic o niej nie wiem. Ile ma lat, gdzie mieszka.

Ale zauważyłem, że nie nosi obrączki.

Och, daj sobie spokój. Uśmiechnąłem się i zamówiłem kolejny kieliszek wina.

Na zewnątrz ciemnieje. Twoja ulubiona pora. Punkt przejścia od jednej skrajności do drugiej – dzień i noc. Niebo i piekło. Obrót Ziemi zaskoczony w przełomowej chwili, między jednym stanem a drugim, mimo to posiadający potencjał obu. Gdyby wszystko było takie proste.

Starannie czyścisz obiektyw aparatu pędzelkiem, potem wycierasz kawałkiem mięciutkiej irchy, aż precyzyjnie oszlifowane szkło błyszczy jak lustro. Pochylasz aparat tak, by soczewki odbiły światło,

/ sprawdzasz, czy nie ma ostatnich drobinek kurzu brukających idealną powierzchnię. Dla pewności polerujesz soczewki jeszcze raz.

Aparat jest twoim najcenniejszym przedmiotem. Stara leica porządnie się napracowała od momentu, kiedy ją kupiłeś, i nigdy cię nie zawiodła. Jej czarno-białe zdjęcia są zawsze krystalicznie czyste, tak ostre i drobnoziarniste, że niemal można w nie wejść.

To nie w aparacie znalazłeś usterkę, której szukałeś.

Próbujesz sobie wmówić, że dzisiejszy wieczór będzie jak wszystkie inne, ale wiesz, że tak nie jest. Do tej pory zawsze działałeś pod osłoną anonimowości, bezkarnie, bo nikt nie wiedział o twoim istnieniu. Teraz to się zmieniło. I chociaż sam podjąłeś decyzję, aby wejść w światło reflektorów, wszystko stało się zupełnie inne.

Znajdujesz się w przymusowej sytuacji. Nie ma odwrotu.

To prawda, jesteś do tego przygotowany. Nie zacząłbyś bez obmyślenia strategii wycofania się ze sprawy. W odpowiednim momencie znów wtopisz się w cień. Ale chcesz najpierw doprowadzić wszystko do końca. A choć nagroda może być ogromna, ryzyko również.

Nie stać cię na popełnianie jakichkolwiek błędów.

Starasz się uwierzyć, że to, co stanie się dziś w nocy, nie ma znaczenia w szerszym planie, że twoja praca i tak będzie trwać. Ale to brzmi fałszywie. Prawda jest taka, że teraz gra toczy się o wyższą stawkę. Chociaż bardzo nie chcesz tego przyznać, wszystkie niepowodzenia miały swoje konsekwencje. Potrzebujesz potwierdzenia, że nie zmarnowałeś wielu lat.

Całego życia.

Kończysz polerować obiektyw aparatu i nalewasz sobie szklankę mleka. Musisz

neutralizować kwasy w żołądku, ale jest zbyt skurczony, żebyś mógł jeść. Mleko zostało otwarte dzień lub dwa dni temu i już skwaśniało. Ale to jedna z korzyści wynikająca z nieodczuwania smaku lub zapachu. Wypijasz mleko duszkiem, patrząc przez okno na sylwetki drzew na tle nieba. Kiedy stawiasz pustą szklankę na kuchennym stole, jej brudne wnętrze lśni upiornie w zapadających ciemnościach.

Podoba ci się ten pomysł – upiorne szkło.

Ale uczucie przyjemności szybko znika. Tego właśnie nie cierpisz najbardziej – czekania. Ale to już niedługo. Spoglądasz w drugi koryniec pokoju, gdzie w pogłębiających się cieniach wisi na drzwiach prawie niewidoczny mundur. Gdyby ktoś obejrzał go dokładnie, nie dałby się nabrać, ale większość ludzi nie patrzy dokładnie. Przez kilka pierwszych sekund widzą tylko mundur.

/ tylko tyle ci potrzeba.

Nalewasz sobie następną szklankę mleka, potem patrzysz przez brudne okna, jak z nieba znikają ostatnie smugi światła.

## Rozdział 13

JJentysta leżał dokładnie tak jak wtedy, kiedy widziałem go ostatnio -wciąż na wznak, nieruchomy jak może być tylko nieboszczyk. Ale pod innymi względami się zmienił. Ciało wyschło na słońcu, skóra i włosy zsuwały się jak niepotrzebny płaszcz. Jeszcze kilka dni i z miękkich tkanek zostaną jedynie uparte ścięgna, a potem nie będzie już nic poza wytrzymałymi kośćmi.

Obudziłem się z dręczącym bólem głowy, żałując, że ubiegłego wieczoru wypilem tyle wina. Wspomnienie wydarzeń poprzedniego dnia też nie poprawiło mi nastroju. Kiedy brałem prysznic, zastanawiałem się, co robić do czasu, kiedy zadzwoni Tom. Ale właściwie nie miałem wyboru.

Niechciałem już być turystą.

Kiedy przyjechałem do ośrodka, parking świecił pustkami. Wciąż znajdował się w cieniu i wkładając kombinezon, dygotałem w chłodzie wczesnego ranka. Wyjąłem komórkę – wziąć ją ze sobą czy zostawić? Zazwyczaj wyłączałem aparat, zanim przeszedłem przez bramę, ale bałem się przegapić telefonu od Toma. Może przełączyć na wibrację? Nie, wtedy cały ranek czekałbym na charakterystyczne drgania. Poza tym wiedziałem, że Tom skontaktuje się z Gardnerem dopiero później.

W końcu zdecydowałem. Wyłączyłem telefon i schowałem do torby.

Zarzuciłem ją na ramię, potem ruszyłem w stronę bramy. Mimo wczesnej pory nie

byłem pierwszy. Naprzeciwko mnie między drzewami szło dwoje młodych ludzi pograżonych w rozmowie – mężczyzna i kobieta w strojach chirurgicznych, prawdopodobnie studenci ostatniego roku. Mijając mnie, przyjaźnie powiedzieli „cześć” i zniknęli.

Na polanie zapadła cisza. Gdyby nie śpiew ptaków, można by pomyśleć, że jestem tu jedyną żywą istotą. Było chłodno, słońce nie stało jeszcze wystarczająco wysoko, by promienie przedostały się przez gałęzie. Nogawki mojego kombinezonu pociemniały od rosy, kiedy szedłem pod górę do miejsca, gdzie leżały zwłoki dentysty. Gęsta siatka klatki pozwalała obserwować proces rozkładu ciała, nietkniętego przez owady i padlinożerców. Właściwie nie były to oryginalne badania, ale nigdy ich wcześniej nie prowadziłem. A ustalanie czegoś samemu zawsze jest lepsze niż poleganie na pracy innych.

Minęło jednak kilka dni od mojego pobytu tutaj i musiałem nadrobić zaległości. Przeszedłem przez małe drzwi klatki, wyjąłem z torby taśmę mierniczą, suwmiarkę, aparat fotograficzny, notes i kucnąłem, żeby zabrać się do pracy. Szło mi trudno, ból głowy nadal ćmił gdzieś za oczami i wciąż przeszkadzały mi myśli o telefonie w torbie. Kiedy zorientowałem się, że robię te same pomiary po raz drugi, ze złością przywołałem się do porządku. Skup się, Hunter.

Zamknąłem umysł na wszystko, co odwracało uwagę, i zabrałem się do pracy. Kiedy wciągnął mnie mikrokosmos rozkładu, na jakiś czas zapomniałem o migrenie i telefonie. Nasz fizyczny rozpad, jeżeli ogląda się go beznamiętnie, niczym nie różni się od innego naturalnego cyklu. I jak każdy inny proces musi być zbadany, zanim go dobrze zrozumiemy.

W końcu zaczęła mi dawać się we znaki niewygodna pozycja. Kark zesztyniał, a kiedy zrobiłem przerwę, żeby się rozprostować, uświadomiłem sobie, że jestem zgrzany i obolały. Słońce już przewędrowało nad drzewa i czułem, że zaczynam się pocić. Spojrzałem na zegarek. Już niemal południe, zauważyłem zdziwiony.

Wyszedłem z klatki, zamknąłem drzwi, przeciągnąłem się i skrzywiłem, słysząc trzeszczenie stawów. Ściągnąłem rękawice, zacząłem wyjmować z torby butelkę z wodą i nagle zwróciłem uwagę na swoje ręce. Skóra dłoni była blada i pomarszczona. Nic niezwykłego, tyle czasu miałem założone gumowe rękawiczki.

Pojawiło się jednak podobne uczucie, jakie przeżyłem dzień wcześniej na Steeple Hill, i równie nieuchwytnie. Nie zamierzałem analizować tego na siłę. Napilem się wody. Kiedy chowałem butelkę, zastanawiałem się, czy Tom już porozmawiał z Gardnerem. Przez chwilę kusilo mnie, żeby włączyć telefon i sprawdzić, ale się powstrzymałem. Nie rozpraszaaj się. Najpierw skończ, co zacząłeś.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Wiedziałem, że Tom mógł już dzwonić, i świadomość

tego bardzo mnie dekoncentrowała. Nie poddałem się i z niemal maniacką starannością wykonałem kilka ostatnich pomiarów, zapisałem je i dopiero potem spakowałem rzeczy. Zamknąłem za sobą klatkę i ruszyłem w stronę bramy. Przy samochodzie zdjąłem kombinezon i rękawiczki, włożyłem wszystko do bagażnika i dopiero wtedy pozwoliłem sobie włączyć komórkę.

Natychmiast pisnęła – dostałem SMS-a. Niecierpliwość ścisnęła mi żołądek. Wiadomość przyszła wkrótce po tym, jak dotarłem do ośrodka. Poczuję frustrację, kiedy się zorientowałem, że zaledwie minuty dzieliły mnie od odebrania telefonu od Toma.

Ale wiadomość nie była od niego. Wysłał ją Paul. Tom miał zawał.

Nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy uzależnieni od kontekstu zdarzeń. Określamy ludzi na podstawie tego, jak ich zwykle postrzegamy. Ale kiedy wyjmemy daną osobę z ustalonych ram, umieścimy w odmiennym miejscu i innej sytuacji, nasz umysł nie zawsze daje sobie z tym radę. Coś znanego staje się nagle czymś obcym i niepokojącym.

Nie poznałbym Toma.

W nosie miał rurkę doprowadzającą tlen, w ramieniu igłę od kroplówki przymocowaną plastrem. Ciągnęły się od niego przewody do monitora, na którym faliste, elektroniczne linie w ciszy pokazywały pracę jego serca. Miał na sobie luźną, szpitalną koszulę; ręce blade i chude, zwiotczałe jak u starca.

A na poduszce leżała głowa starego człowieka; szara skóra, zapadnięte policzki.

Dostał zawału ubiegłej nocy w prosektorium. Pracował do późna, żeby nadrobić czas stracony wcześniej na Steeple Hill. Pomagała mu Summer, ale o dziesiątej w nocy odesłał ją do domu. W przebieralni usłyszała huk z sali prosektoryjnej. Pobiegła tam i znalazła na podłodze na wpół przytomnego Toma.

–Szczęście, że jeszcze tam była – powiedział Paul. – Inaczej leżałby jeszcze przez wiele godzin.

Kiedy przyjechałem, wychodził razem z Sam z oddziału intensywnej terapii. Mrugali osłepieni jaskrawym słońcem. Sam wyglądała spokojnie i godnie, szła majestatycznie, odchylona lekko do tyłu. W porównaniu z nią Paul sprawiał wrażenie wymizerowanego i przytłoczonego zmartwieniami. Dowiedział się o zawale Toma dopiero dziś rano. Mary zadzwoniła do niego ze szpitala. W nocy natychmiast założono Tomowi baj-pas i teraz nadal leżał nieprzytomny. Mimo pośpiechu operacja przebiegła pomyślnie, nadal jednak groził powtórny atak. O wszystkim zadecyduje kilka najbliższych dni.

–Wiemy coś jeszcze? – zapytałem. Paul wzruszył ramionami.

–Tylko to, że zawał był rozległy. Gdyby karetka nie zjawiała się natychmiast, mógłby z tego nie wyjść.

Sam ścisnęła męża za rękę.

–Ale wyszedł. A wyniki tomografii komputerowej są w porządku. To dobra wiadomość.

–Zrobili tomografię? – spytałem zaskoczony. To nie była rutynowa diagnostyka przy zawale.

–Przez jakiś czas lekarze podejrzewali, że miał wylew – wyjaśnił Paul. – Kiedy go przywieziono, był zupełnie zdezorientowany. Myślał, że coś się stało Mary, nie jemu. Zachowywał się bardzo nerwowo.

–Daj spokój, kochanie, był ledwo przytomny – upierała się Sam. – A wiesz, jak on martwi się o Mary.

Paul skinął głową, ale nadal się niepokoił. Ja zresztą też. Dezorientacja mogła być spowodowana niedotlenieniem mózgu albo zakrzepem w źle pracującym sercu. Tomografia wykryłaby wszelkie oczywiste objawy udaru, ale mimo wszystko...

–Boże, żałuję, że wczoraj tu nie przyjechałem – westchnął Paul. Twarz miał pobrużdżoną zmęczeniem.

Sam pogłaskała go po ramieniu.

–To by nic nie zmieniło. Takie rzeczy się zdarzają.

Ale nie musiały. Kląłem się w duchu od chwili otrzymania wiadomości. Gdybym ugryzł się w język i nie prowokował Hicksa, ten może nie byłby tak zdeterminowany, żeby wykluczyć mnie ze śledztwa. A wtedy trochę odciążylibym Toma albo nawet dostrzegł niebezpieczne objawy bliźniego zawału i jakoś temu zaradził.

Ale zrobiłem wszystko na opak. A teraz Tom leżał na intensywnej terapii.

–Co z Mary? – spytałem.

–Jakoś sobie radzi – odpowiedziała Sam. – Siedziała tu całą noc. Za-proponowałam, że z nią zostanę, ale chyba woli być z nim sama. Ich syn może później przyleci.

–Może?

–Jeżeli zdoła wyrwać się z Nowego Jorku – dodał z goryczą Paul.

–Kochanie... – upomniała go Sam. Uśmiechnęła się do mnie słabo. – Jeżeli chcesz się przywitać, idź, Mary na pewno się ucieszy.

Ruszyłem do środka, ale Paul mnie zatrzymał.

–Wpadnij potem do prosektorium! Musimy porozmawiać.

–Dobrze.

Dopiero teraz sobie uświadomiłem, że praktycznie zostałem pełniącym obowiązki dyrektora Centrum Antropologii Sądowej. Awans najwyraźniej nie sprawił mi przyjemności.

Szpitalny odór środków odkażających zaatakował mnie, gdy tylko wszedłem na oddział intensywnej terapii. Serce zaczęło mi bić szybciej na wspomnienie mojego pobytu w szpitalu, ale zaraz się opanowałem. Po deszwy butów skrzypiały na gumowej podłodze korytarza prowadzącego do sekcji, gdzie umieszczono Toma. Leżał w prywatnej sali. Przez małe okienko w drzwiach zobaczyłem Mary siedzącą przy łóżku. Lekko zastukałem w szybę. Początkowo chyba nie usłyszała, potem jednak spojrzała w moją stronę i gestem zaprosiła do środka.

Od obiadu w ich domu minęły zaledwie dwa dni, ale Mary postarzała się o dziesięć lat. Kiedy jednak podeszła do mnie, jej uśmiech był ciepły jak zawsze.

–Davidzie, nie musiałeś...

–Dopiero się dowiedziałem. Jak on się czuje?

Oboje mówiliśmy szeptem, chociaż prawdopodobieństwo, że obudzimy Toma, było bardzo niskie. Z roztargnieniem wskazała męża.

–Założenie bajpasa poszło dobrze. Ale jest bardzo słaby. Poza tym ciągle grozi mu następny zawał... – Oczy jej zwilgotniały, ale powstrzymała łzy. – Ale sam znasz Toma. Twardy jak stary rzemień.

Uśmiechnąłem się z otuchą, której wcale nie czułem.

–Czy w ogóle odzyskał przytomność?

–Niezupełnie. Ocknął się parę godzin temu, ale nie na długo. Wciąż nie wie, kto jest w szpitalu. Musiałam go zapewniać, że ze mną wszystko w porządku. – Uśmiechnęła się, ale drżące wargi zdradzały niepokój.

Wspomniał o tobie.

–O mnie?



–Wymienił twoje imię, a jesteś jedynym Davidem, jakiego znam. Chyba chciał mi coś powiedzieć, ale zdołałam dosłyszeć tylko jedno słowo. Brzmiało jak „hiszpański”. – Popatrzyła na mnie z nadzieją. – Czy to coś dla ciebie znaczy?

Hiszpański? Raczej majaczył, kolejny dowód dezorientacji. Staralem się nie okazywać zaniepokojenia.

–Nic nie przychodzi mi do głowy.

–Może źle usłyszałam – powiedziała wyraźnie rozczarowana. Już spoglądała w stronę łóżka, wyraźnie chcąc wrócić do męża.

–Lepiej sobie pójdę. Jeżeli mógłbym coś jeszcze zrobić...

–Wiem. Dziękuję. – Zmarszczyła czoło. – Niemal zapomniałam. Nie dzwoniłeś wczoraj w nocy do Toma, prawda?

–Nie, rozmawiałem z nim po południu, około czwartej. Dlaczego pytasz? Machnęła ręką.

–Och, pewnie nic ważnego. Po prostu Summer mówiła, że zanim dostał zawału, słyszała dzwonek jego komórki. Zastanawiałam się, czy to ty dzwoniłeś, ale mniejsza z tym. – Uścisnęła mnie szybko. – Przekażę Tomowi, że zajrzałeś. Będzie mu przyjemnie.

Wyszedłem ze szpitala. Po przytłaczającej atmosferze oddziału intensywnej terapii słońce było czymś wspaniałym. Podniosłem do niego twarz, głęboko wdychając czyste powietrze, by pozbyć się z płuc zapachu choroby i środków antyseptycznych. Czułem się zawstydzony, ale nie mogłem zaprzeczyć, że dobrze było wyjść na zewnątrz.

Idąc do samochodu, zastanawiałem się nad tym, co powiedział Tom. Hiszpański. Staralem się dostrzec w tym jakiś sens, a nie kolejny dowód jego dezorientacji. Choć bardzo próbowałem, nie potrafiłem zgadnąć, co to znaczy albo dlaczego chciał, żeby mi to powtórzyła.

Ta zagadka tak mnie zaabsorbowała, że dopiero w czasie jazdy przypomniałem sobie, co jeszcze powiedziała mi Mary.

Kto mógł dzwonić do Toma w nocy?

Rondel się przypala. Widzisz unoszące się smugi dymu i słyszysz, jak syczy zawartość. Ale dopiero kiedy dym zaczyna kłębić się nad piecem, wstajesz z za stołu. Chili jest czarne i skwierczy od gorąca. Smród musi być straszliwy, ale niczego nie czujesz.

**Chciałbyś być tak uodporniony na wszystko.**

**Podnosisz rondel, ale natychmiast go puszczasz. Rozpalona rączka parzy cię w dłoń. Jasna cholera'. Bierzesz stary ręcznik, chwytasz przez niego garnek, zdejmujesz z palnika i zanosisz do zlewu. Para syczy, gdy wlewasz do naczynia zimną wodę. Patrzysz na ten cały bałagan i nic cię to nie obchodzi.**

**Nic nie ma już znaczenia.**

**Nadal nosisz mundur, ale teraz jest przeпоcony i wygnieciony. Kolejna strata czasu. Kolejne niepowodzenie, nazywajmy rzeczy po imieniu. A przecież byłeś już tak blisko. To właśnie jest najgorsze. Patrzyłeś z mroku, serce ci łomotało, gdy telefonowałeś. Martwiłeś się, że mogą cię zawieść nerwy, ale oczywiście dałeś sobie radę. Cała sztuczka polega na tym, żeby nimi wstrząsnąć, wyprowadzić ich z równowagi, dezorientować. I stało się, jak planowałeś. To było niemal żałośnie łatwe.**

**Ale minutymijały, a on wciąż się nie pojawiał. Potem przyjechała karetka. Mogłeś tylko obserwować, jak sanitariusze wbiegają do budynku i wracają z nieruchomą postacią przypiętą pasami do noszy. Patrzyłeś bezsilnie, jak go wywożą.**

**I jak staje się dla ciebie nieosiągalny.**

**To niesprawiedliwe. Właśnie kiedy byłeś o krok od tryumfu, od wykazania swojej wyższości, wszystko zostało ci zabrane. Całe planowanie, cały wysiłek na nic.**

**Lieberman cię oszukał.**

**–Kurwa!**

**Cięnięty przez całą kuchnię rondel leci, pozostawiając strugę wody. Roztrąca lepy na muchy i z trzaskiem uderza o ścianę. Stoisz z za-cięniętymi pięściami, dyszysz, rozpaczliwie podsycając w sobie gniew, bo poza nim jest już tylko strach. Przed niepowodzeniem, przed przyszłością. Spójrzmy prawdzie w oczy, co masz do zaprezentowania po tylu latach poświęceń? Bezwartościowe fotografie. Obrazy, które pokazują, jak byłeś blisko, ale rejestrują tylko kolejne porażki.**

**Ta niesprawiedliwość wyciska ci łzy z oczu. Dzisiejszej nocy miałeś przewyciężyć rozpacz narastającą po serii niepowodzeń. Porwanie Liebermana częściowo by cię zaspokoilo. Udowodniłoby, że nadal jesteś lepszy od fałszywych proroków, którzy twierdzą, że wszystko wiedzą. Zasługujesz przynajmniej na tyle, ale nawet to zostało ci odebrane. I z czym zostałeś? Z niczym.**

**Tylko ze strachem.**

Zamykasz oczy porażony obrazem z dzieciństwa. Nawet teraz czujesz ten wstrząs. Chłód przenikający cię coraz głębiej, od chwili gdy wszedłeś do wielkiej, dudniącej echem sali. A potem odór. Wciąż go pamiętasz, mimo że od lat twój zmysł węchu nie działa. Węchowa pamięć podobna do fantomowego swędzenia amputowanej kończyny. Zatrzymujesz się oszołomiony widokiem. Szeregi bladych, martwych ciał, pozbawionych krwi i życia. Jeszcze czujesz nacisk dłoni starego mężczyzny, który trzyma cię za kark, nie zwracając uwagi na twoje łzy.

–Chciałeś zobaczyć coś martwego, no to dobrze się przyjrzyj! Nie ma w tym nic specjalnego, prawda? Wszystkich nas to czeka, czy tego chcemy, czy nie. Ciebie też. Przypatrz się, do czego sprowadza się życie. Na koniec stajemy się tylko martwym mięsem.

Wspomnienie tej wizyty przez lata wywoływało koszmary. Spoglądałeś na swoją rękę, widziałeś kości i ścięgna pod cienką warstwą

skóry i cały spływałeś lepkiem potem. Patrzyłeś na ludzi wokół i znówu widziałeś rzędy bladych ciał. Czasami dostrzegałeś swoje odbicie w lustrze i wyobrażałeś sobie, że jesteś trupem. Martwym mięsem.

Dorastałeś prześladowany tą wiedzą. A potem, kiedy miałeś siedem-naście lat, spojrzawszy w oczy umierającej kobiecie ty, kiedy życie – światło – w nich gasło.

I uświadomiłeś sobie, że jednak jesteś czymś więcej niż mięsem.

To było objawienie, ale w miarę upływu lat z coraz większym trudem podtrzymywałeś swoją wiarę. Zająłeś się udowadnianiem jej, ale każde rozczarowanie tylko coraz bardziej ją podważało. I po latach pracy, po całym planowaniu i ryzyku, taki cios!

Ocierając oczy, podchodzisz do kuchennego stołu, na którym leży częściowo rozebrana leica. Zaczynasz czyścić aparat, ale nawet to nie sprawia ci przyjemności. Opadasz na krzesło i patrzysz na części. Apatycznie bierzesz obiektyw i obracasz w dłoni.

Idea pojawia się znikąd.

W miarę jak nabiera kształtu, twoje podniecenie rośnie. Jak mogłeś przegapić coś tak oczywistego? Miałeś to przed samym nosem! Nigdy nie powinieneś zapominać, że masz wyższy cel. Straciłeś z oczu najważniejszą rzecz, pozwoliłeś zbić się stropu. Akcja z Lie-bermanem była porażką, ale konieczną.

Ponieważ gdyby nie to, mógłbyś nie zrozumieć, jaką dostałeś szansę.

Zastanawiasz się, co trzeba zrobić, i znów czujesz się silny. Tak, właśnie o to

chodziło. Wszystkie niepowodzenia miały swój powód. Los rzucił ci do stóp umierającą kobietę, a teraz znów interweniował.

Pogwizdując niemelodyjnie, zdejmujesz mundur. Miałeś go na sobie całą noc. Szkoda czasu na pralnię, przetrzesz gąbką i odprasujesz.

Musisz prezentować się w nim jak najlepiej.

## Rozdział 14

VT recepcji prosektorium zastałem tęgiego mężczyznę.

–Słyszał pan o doktorze Liebermanie? – zapytał. Jego wysoki głos strasznie klócił się z potężną sylwetką. Facet sprawiał wrażenie rozczarowanego, kiedy powiedziałem, że słyszałem. Cmokał i kręcił głową, aż podbródki dygotały mu jak galareta. – Wielka szkoda. Mam nadzieję, że się wyliże.

Tylko kiwnąłem głową, przesunąłem kartę przez czytnik i wszedłem do środka.

Nie przebierałem się. Nie wiedziałem, czy tu zostanę.

Paul był w sali prosektoryjnej, w której pracował Tom. Czytał dokumenty z otwartej teczki leżącej na stole, ale podniósł głowę, kiedy wszedłem.

–Jaki jest jego stan?

–Mniej więcej taki sam jak przedtem.

Wskazał dłonią na papiery. Jaskrawe światło jarzeniówek jeszcze bardziej podkreślało jego zmęczenie, czarne cienie pod oczami.

–Przeglądałem notatki Toma. Częściowo znam sytuację, ale poszłoby szybciej, gdybyś wprowadził mnie w sprawę.

Paul słuchał w milczeniu, a ja opowiadałem mu, że zwłoki znalezione na cmentarzu to niemal na pewno Willis Dexter, natomiast szczątki ekszhumowane z grobu Dextera zapewne należą do drobnego złodzieja Noaha Harpera. Opisałem różowe zęby, które miał zarówno Harper, jak i Terry Loomis – denat znaleziony w górskiej chacie. Wyjaśniłem, że to zupełnie nie pasuje do wykrwawienia i licznych ran na ciele tego ostatniego. Kiedy dodałem, że kości gnykowe obu ofiar były nienaruszone i że jak dotąd nie znaleziono śladów po nożu na samych kościach, uśmiechnął się ze zmęczeniem.

–Albo, albo. Przyczyną śmierci może być uduszenie lub rany zadane nożem, ale nie jedno i drugie. Po prostu musimy mieć nadzieję, że znajdziemy dowody

potwierdzające albo jedno, albo drugie. – Przez chwilę wpatrywał się w teczkę, potem jakby się ocknął. – Dobra. Jesteś gotów do pracy?

To właśnie miałem nadzieję usłyszeć, jednak okoliczności pozbawiły mnie satysfakcji.

–Tak, ale nie chcę powodować dalszych tarć. Może lepiej niech zajmie się tym ktoś inny.

Paul zamknął teczkę.

–Nie proszę cię z uprzejmości. Po tym jak Tom znalazł się w szpitalu, nieprędko uzupełnią obsadę. Czeka nas kilka zwariowanych dni. Szczerze mówiąc, przyda nam się pomoc i zrobilibyśmy głupio, gdybyśmy nie wykorzystali ciebie. Bierzesz w tym udział od samego początku.

–A co z Gardnerem?

–To prosektorium, a nie miejsce przestępstwa. Decyzja nie należy do niego. Postawię sprawę jasno. Albo zaufa naszej ocenie sytuacji, albo niech szuka kogoś innego. Ale raczej tego nie robi po tym, jak stracił Toma, a wcześniej Irvinga.

Poczułem lekkie wyrzuty sumienia. Prawie zapomniałem o psycholo-

–A co z Hicksem? – zapytałem. Twarz Paula stężała.

–Niech idzie do diabła.

Nie ulegało wątpliwości, że nie jest w nastroju do ustępstw. Anatomo-

–Dobra – zgodziłem się. – Mam dalej składać ekshumowane szczątki?

–Na razie nie. Gardner czeka na potwierdzenie, czy kości z lasu należały do Willisa Dextera. Summer zaczęła je rozpakowywać i na razie ta sprawa jest najważniejsza.

Ruszyłem do wyjścia, ale nagle przypomniałem sobie, o co chciałem go zapytać.

–Mary wspomniała, że Tom powiedział jej coś, co brzmiało jak „hiszpański”. Wiesz, o co chodzi?

–Hiszpański? – Paul zrobił skonsternowaną minę. – Z niczym mi się nie kojarzy.

Poszedłem do szatni. Paul musiał iść na zwołaną w trybie pilnym radę wydziału, ale obiecał, że wróci możliwie najszybciej. Summer była już w sali prosektoryjnej, do

której dostarczono szczątki ze Steeple Hill, i wyjmowała z pudeł ostatnie worki z dowodami rzeczowymi.

Jakoś mnie nie zdziwiło, że pomaga jej Kyle.

Byli tak zajęci rozmową, że nie usłyszeli, jak wszedłem.

–Cześć – powiedziałem.

Summer pisnęła i odwróciła się gwałtownie. Omal nie upuściła trzymanego w ręku worka.

–O mój Boże! – jęknęła z ulgą, widząc, że to ja.

–Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

Uśmiechnęła się niepewnie. Na jej twarzy pod strzechą tlenionych włosów widniały ślady łez i plamy.

–Nie ma sprawy, nie usłyszałam pana. Kyle mi pomaga.

–Jak się czujesz, Kyle?

–Och, zupełnie dobrze. – Pomachał dłonią, w którą wbiła się igła. – Ładnie się goi.

Jeżeli igła była zakażona, nie miało znaczenia, czy rana się goi. Ale sam na pewno dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Jeżeli chciał grać zuchą, nie zamierzałem mu w tym przeszkadzać.

–Summer opowiedziała mi o doktorze Liebermanie – oznajmił. – Jak

on się czuje

–Stan jest stabilny. – Brzmiało to lepiej niż stwierdzenie, że bez zmian.

Summer sprawiała wrażenie, jakby się miała rozplakać.

–Żałuję, że nie mogłam zrobić nic więcej.

–Spisałeś się doskonale – zapewnił ją gorliwie Kyle. – Na pewno wyzdrowieje.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego niepewnie. Odpowiedział jej uśmiechem, a potem przypomniał sobie, że nadal tu jestem.

–Cóż, eee, chyba powinienem już iść. Do zobaczenia, Summer. Tym razem przy uśmiechu pojawiły się dołeczki w jej polikach.

–Cześć, Kyle.

No, no, no. Może jednak coś z tego wyniknie. Po jego wyjściu skończyliśmy rozpakowywać szczątki, ale Summer zachowywała się apatycznie, nie tak żywiołowo jak zazwyczaj.

–Kyle ma rację. To szczęście, że byłeś tu ubiegłej nocy – powiedziałam.

Światło lampy pod sufitem błysnęło na piercingu, gdy dziewczyna pokręciła głową.

–Powinnam zrobić coś więcej. Na przykład masaż serca...

–Dzięki tobie w porę trafił do szpitala. To najważniejsze.

–Mam nadzieję. Wyglądał świetnie, wie pan? Może trochę zmęczony, ale to wszystko. Żartował, że zafunduje mi pizzę za nadgodziny. – Przez jej twarz przemknął cień uśmiechu. – O dziesiątej kazał mi iść do domu. Sam chciał coś jeszcze sprawdzić.

–Powiedział, co? – spytałem zaciekawiony.

–Nie, ale chyba coś związanego ze szczątkami z chaty. Przebrałam się i właśnie wychodziłam, kiedy usłyszałam, że dzwoni jego komórka. Miał taką starą, cikliwą melodyjkę.

Tom powiedziałby, co myśli o kimś kto uważa Take Five Dave'a Bru-becka za cikliwe. Ale ja tylko skinąłem głową.

–Nie zwróciłam na to szczególnej uwagi, ale nagle coś łupnęło w sali prosektoryjnej. Wbiegłam do środka i znalazłam go na podłodze. – Pociągnęła nosem i szybko otarła oczy. – Zadzwoiłam na 911, a potem trzymałam go za rękę i mówiłam do niego do momentu, kiedy przyjechali sanitariusze. Zapewniałam, że szybko stanie na nogi. Nie wiem, czy mnie słyszał, ale nic więcej nie byłam w stanie zrobić.

–Bardzo dobrze postąpiłaś. Był przytomny?

–Niezupełnie, ale też nie wyłączył się całkowicie. Wciąż powtarzał imię żony, zupełnie jakby się o nią martwił, nie o siebie. Przynależałam więc, że do niej zadzwonię. Pomyślałam, że lepiej, jeśli ja ją poinformuję, a nie szpital.

–Mary na pewno to doceniła – powiedziałem, chociaż taka wiadomość nigdy nie jest mile widziana bez względu na to, kto ją przekazuje.

Summer wytarła nos. Kosmyk tlenionych włosów wymknął się spod opaski i teraz wyglądała na młodszą niż w rzeczywistości.

–Schowałam jego okulary i komórkę do szarki nad stołem w pana sali prosektoryjnej. Leżały na podłodze i nie wiedziałam, co z nimi zrobić.

Właśnie miałem powiedzieć, że przekażę te rzeczy Mary, kiedy dotarł do mnie sens słów Summer.

–Leżały na podłodze w mojej sali prosektoryjnej?

–Tak. W niej właśnie upadł doktor Lieberman.

–Co tam robił? – Myślałem, że Tom dostał zawału w swojej sali.

–Nie wiem. Czy to ważne? – zapytała zaniepokojona.

Zapewniłem, że nie. Mimo wszystko byłem zaintrygowany. Tom składał szkielet Terry'ego Loomisa. Dlaczego przerwał i poszedł do ekshumowanych szczątków?

To pytanie dręczyło mnie, kiedy przenosiliśmy czaszkę i inne kości do rentgena, ale dopiero po godzinie mogłem zająć się tą sprawą. Zostawiłem Summer, żeby czyściła szczątki, i poszedłem zobaczyć miejsce, gdzie upadł Tom.

Sala wyglądała dokładnie tak, jak ją zostawiłem. Na stole tylko czaszka i duże kości, reszta w plastikowych pudłach obok. Próbowałem się zorientować, czy coś się zmieniło. Ale niczego takiego nie dostrzegłem.

Otworzyłem szafkę. Okulary wyglądały znajomo, ale jednocześnie bardzo żałośnie bez swojego właściciela. Cóż, zadziały moje emocje i wyobraźnia.



Wsunąłem je do kieszeni na piersi i sięgnąłem po telefon, kiedy coś przyszło mi do głowy. Stałem, czując w dłoni jego ciężar, i usiłowałem rozstrzygnąć, czy to, co chcę zrobić, nie jest zbyt wielkim naruszeniem prywatności.

Zależy, co tam znajdziesz.

Telefon leżał tu całą noc, ale się nie rozładował. Bardzo szybko znalazłem spis odebranych połączeń. Ostatnie o dziesiątej trzy zeszłej nocy, dokładnie w czasie podanym przez Summer.

Wtedy, kiedy Tom miał zawał.

Tłumaczyłem sobie, że to zbieg okoliczności, że te dwa wydarzenia nie mają ze sobą związku. Ale był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Ktoś dzwonił z telefonu stacjonarnego z Knoxville. Wprowadziłem numer do swojego telefonu. Miałem już wystarczająco dużo wątpliwości, czy dobrze robię nawet bez używania komórki Toma. Mimo wszystko wciąż się wahałem. Spróbuj. Przecież i tak daleko się posunąłeś.

Wybrałem numer.

Chwila ciszy, potem sygnał zajętości. Zawiedziony rozłączyłem się i po minucie zadzwoniłem jeszcze raz. Tym razem dostałem połączenie. Puls mi galopował, kiedy czekałem, aż ktoś podniesie słuchawkę.

Ale się nie doczekałem. Sygnał powtarzał się z monotonną regularnością. W końcu przerwałem połączenie.

Istniało mnóstwo powodów, dlaczego telefon najpierw był zajęty, a potem nikt nie odpowiadał. Osoba po drugiej stronie mogła wyjść albo postanowiła zignorować nieznaną numer. Bezsensowne spekulacje.

Ale wracając do drugiej sali, wiedziałem, że nie zaznam spokoju, dopóki nie sprawdzę tajemniczego rozmówcy.

Przez resztę dnia byłem zbyt zapracowany, aby myśleć o dzwonieniu. Musiałem jeszcze zająć się szczątkami ze Steeple Hill. Padlinożercy i owady już usunęły z nich miękkie tkanki, zostało więc właściwie tylko odtłuszczenia kości w roztworze detergentu.

Kiedy jednak włożyłem je do kadzi, do prosektorium dostarczono dokumentację medyczną Noaha Harpera i Willisa Dextera. Gardner chciał, żeby jak najszybciej dokonać identyfikacji, więc zostawiłem Summer, by dokończyła czyszczenie i suszenie kości.

Z przypadkiem Dextera poszło łatwo. Na zrobionych przez nas zdjęciach rentgenowskich czaszki znalezionej w lesie widniały identyczne pęknięcia jak na zdjęciach wykonanych w czasie sekcji. Tego się spodziewaliśmy, ale teraz mieliśmy oficjalne potwierdzenie. Willis Dexter nie był zabójcą. Zginął w wypadku samochodowym przed sześcioma mi

cami. ^

Wciąż pozostawało jednak pytanie, czyje zwłoki włożono do grobu. Właściwie nie było wątpliwości, że Noaha Harpera, ale sama zbieżność wieku i rasy nie wystarczała, żeby stwierdzić to z całą pewnością. W ciwieństwie do Dextera nie dysponowaliśmy protokołem sekcji ani danymi

o uzębieniu. Wprawdzie odkryłem dwa wytarte stawy – biodrowy i Sk0 kowy – które mogły powodować charakterystyczne utykanie, ale w doku mentacji medycznej Harpera nie znalazłem zdjęć rentgenowskich tych części ciała. Najwidoczniej ubezpieczenie zdrowotne i opieka stomatologiczna były luksusami, na które drobny złodziejasek nie mógł sobie pozwolić.

Ostatecznie zidentyfikowałem go na podstawie złamania kości ramieniowej i udowej – urazów z czasów dzieciństwa. Przynajmniej w tym przypadku zrobiono rentgen, a na szkielecie zostały ślady dawno zrosniętych kości.

Kiedy już potwierdziłem tożsamość obu denatów, zrobiło się późno. Summer wyszła kilka godzin wcześniej, a Paul zadzwonił, że zebranie się przedłużyło i już nie wstąpi do prosektorium. Właściwie określił priorytety. Wracał do domu, do ciężarnej żony, zamiast harować Bóg wie jak długo. Mądry facet.

Chciałem jeszcze popracować, ale czułem się zmęczony, zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie. Poza tym od śniadania nic nie jadłem. Choć wciąż bardzo mi zależało, żeby nadrobić stracony czas, musiałem zrobić sobie przerwę.

Przebrałem się i zadzwoniłem do Mary, żeby zapytać, co u Toma. Ale miała wyłączony telefon; pewnie nadal siedziała w szpitalu. Zadzwoniłem na intensywną terapię, uprzejma pielęgniarka poinformowała śnieżę stan jest stabilny. Czyli nic się nie zmieniło. Już chowałem komórkę, kiedy przypomniałem sobie o numerze z telefonu Toma.

Spróbowałem zadzwonić, kiedy wychodziłem z prosektorium i mówiłem dobranoc starszemu czarnemu mężczyźnie, który teraz siedział w recepcji.

Numer był zajęty.

Przynajmniej ktoś jest w domu. Popchnąłem ciężkie, szklane drzwi

Wyszedłem na zewnątrz. Teren szpitala był prawie pusty. Żółta płama światła słońca gasła na wieczornym niebie. Jeszcze raz wybrałem numer-Tym razem wolne. Przystanąłem, czekając, żeby ktoś się odezwał. No, da lej, podnieś słuchawkę.

Wyszedłem z tego. Poirytowany przerwałem połączenie. Ale kiedy odsuwałem komórkę od ucha, usłyszałem coś co przypominało w pobliżu dzwonek telefonu.

Umilkł, zanim się zorientowałem, skąd dobiega dźwięk. Teraz wyłączałem jedynie śpiew ptaków i odległy szum jadących samochodów. Wiedząc że pewnie przesadnie reaguję na zwykły zbieg okoliczności, znowu wybrałem numer.

Ciszę wieczoru przerwał dzwonek.

W odległości jakichś trzydziestu metrów stał automat telefoniczny częściowo zasłonięty rozrośniętymi krzakami. Nikt z niego nie korzystał. Wciąż nie wierząc, że to nie przypadek, przerwałem połączenie. Dzwonienie ustało.

Ruszyłem w stronę automatu i znów zatelefonowałem. Aparat zadzwonił. W miarę jak podchodziłem bliżej, dźwięk stawał się coraz głośniejszy, rozbrzmiewał o pół taktu później niż sygnał w mojej komórce. Rozłączyłem się dopiero kilka metrów od automatu.

Zapadła cisza.

Telefon znajdował się pod półokrągłym daszkiem, który nie chronił ani przed wiatrem, ani przed deszczem. Otoczony gałęziami krzewów wydawał się pogrążony w zieleni. Teraz już wiedziałem, dlaczego telefon albo był zajęty, albo nikt nie odpowiadał. W szpitalach często korzystano z automatów telefonicznych. Ludzie dzwonili do krewnych albo po taksówkę. Ale nikt nie zawracał sobie głowy odbieraniem połączenia.

Wszedłem pod daszek. Niewątpliwie właśnie z tego telefonu ktoś dzwonił ubiegłej nocy do Toma. Ale po? Spojrzałem na ścieżkę, którą przed chwilą szedłem. Przez rozrośnięte gałęzie krzewów dokładnie widziałem drzwi do prosektorium.

I każdego, kto przez nie wychodzi.

## Rozdział 15

^ WIęc uważa pan, że zabójca zadzwonił minionej nocy do doktora Lie-ttflana – powiedziała Jacobsen zupełnie beznamytnie i trudno było się odnieść, co myśli o tej hipotezie.

–Uważam, że to możliwe.

Siedzieliśmy w hotelowej restauracji. Przede mną stał mój niedoje-dzony obiad. Zadzwoiłem do Gardnera ze szpitala, pod numer znaleziony w komórce Toma. Przypuszczałem, że potraktuje mnie sceptycznie i już szykowałem argumentację. Nie spodziewałem się jednak, że nie odbierze telefonu i będę musiał tłumaczyć się przez pocztę głosową.

Zamiast wdawać się w szczegóły, powiedziałem tylko, że moim zdaniem zabójca mógł się skontaktować z Tomem, i poprosiłem Gardnera, żeby oddzwonił. Przypuszczałem, że agent TBI sam zechce obejrzeć automat i zdjąć odciski palców. Chociaż wątpiłem, czy na coś istotnego trafię, biorąc pod uwagę, że z telefonu korzystało wiele osób przez całą dobę.

Zdecydowałem nie czekać, aż Gardner odsłucha wiadomość i postanowi się ze mną skontaktować. Wsiadłem do samochodu i wróciłem do hotelu.

Telefon zadzwonił dopiero po godzinie. Akurat zamówiłem obiad. Ale odezwała się Jacobsen, nie Gardner. Zapytała o numer, który przepisałem z komórki Toma. W słuchawce zapanowała cisza. Domyśliłem się, że agentka przekazuje informacje Gardnerowi. Po chwili znów się odezwała i oznajmiła, że spotka się ze mną za pół godziny.

Zjawiała się szybciej. Kiedy podniosłem głowę znad talerza, zobaczyłem, jak wchodzi do restauracji. Nagle straciłem apetyt. Tym razem miała na sobie czarną garsonkę, a kiedy szła do stolika, dopasowana spódnica szeleściła przy każdym kroku. Gdyby nie kabura z pistoletem, którą dostrzegłem pod żakietem, Jacobsen wyglądałaby jak ambitna, młoda bizneswoman. Nie tłumaczyła, dlaczego Gardner nie odpowiedział na mój telefon albo nie przyszedł sam, ale mogłem się tego domyślić.

Podziękowała za jedzenie i picie. Bez żadnego komentarza słuchała, kiedy szczegółowo opowiadałem jej o telefonie do Toma.

Teraz zaczynałem żałować, że zwracałem sobie tym głowę.

–Ma pan przy sobie komórkę doktora Liebermana? – spytała. Podałem jej aparat. Zabrałem go z pokoju. Na wszelki wypadek.

–Jakieś wiadomości o Irvingu? – zainteresowałem się, kiedy Jacobsen sprawdzała spis połączeń.

–Jeszcze nie – odparła zdawkowo. Wpisała numer do swojego telefonu. – Co pana skłoniło, żeby sprawdzić komórkę doktora Liebermana?

–Byłem ciekaw, kto do niego dzwonił. Zaraz potem dostał zawału. Twarz miała nieprzeniknioną.

**–Nie sądzi pan, że można by to uznać za wścibstwo?**

**–Oczywiście, że tak. Ale nie przypuszczam, żebym w tych okolicznościach postąpił niewłaściwie.**

**–Jednak nie zadał pan sobie trudu, żeby kogoś najpierw zapytać.**

**–Na przykład kogo? Zrozpaczonej żony, która czuwa przy szpitalnym łóżku?**

**–Myślałam raczej o Danie Gardnerze.**

**–Słusznie. Przecież tak wysoko ceni sobie moją opinię. Odniosłem wrażenie, że jej uśmiech zaskoczył ją samą w równym**

**stopniu jak mnie. Ładna, ale surowa twarz rozjaśniła się tak, że teraz mogłaby zdobić okładkę czasopisma. Potem uśmiech zniknął. Żałowałem, że nie trwał dłużej.**

**–To tylko pańskie domysły. – Znów ukryła się pod maską profesjonalizmu. Ale może nie tak dokładnie jak przedtem. – Dzwonić mógł każdy.**

**–Z automatu tuż koło wejścia do prosektorium? O tak późnej porze?**

**Milczała.**

**–Czy lekarze określili, kiedy doktor Lieberman będzie w stanie rozmawiać?**

**–Nie. Ale pewnie nieprędko.**

**Przerwaliśmy, bo podeszła kelnerka. Zabrała mój talerz i zaproponowała kartę deserów.**

**–Zamówię kawę. Może pani też by się napiła?**

**Jacobsen zawahała się i spojrzała na zegarek. Po raz pierwszy dostrzegłem u niej cień zmęczenia.**

**–No dobrze, ale taką szybką.**

**Zamówiła latte z odtłuszczonym mlekiem i podwójnym espresso.**

**–Nie ma pani ochoty na coś słodkiego? – zaproponowałem.**

**–Dziękuję, kawa wystarczy – odparła, jakby żałując, że pozwala sobie nawet na tak drobną przyjemność. Najwyraźniej narzuciła sobie surową dyscyplinę.**

**Znów przerwaliśmy dyskusję, gdy zjawiała się kelnerka. Jacobsen niepokojnie**

stukala palcami o tapicerowane krzeslo. Paznokcie miala kroutko obciete, bez lakieru.

–Czy jest pani z Knoxville? – zapytalem, zeby przerwac cisze.

–Z malego miasteczka koło Memphis. Nawet pan o nim nie slyszal. I nie mialem co liczye, ze uslyszę teraz. Spróbowalem ponownie, kiedy kelnerka stawiala kawy.

–Zrobila pani dyplom z psychologii? Przygarbila sie lekko.

–Interesowalam sie ta dziedzina. Chcialam sie nia zajmowac.

–Ale podjela pani prace w TBI. Dlaczego?

–Bo to dobrze wplynelo na moja kariera.

Wypila lyk kawy, zamykajac temat. Tak konczy sie proba poznania jej lepiej. Nie mialo sensu pytac ja o meza czy przyjaciela.

–A wiec ktos dzwonił w nocy do doktora Liebermana – odezwala sie, odstawiajac filizanke. – Ale co z tego? Chyba nie sugeruje pan, ze ktos rozmyslnie zdenerwowal doktora?

–Nie, oczywiscie ze nie.

–W takim razie, po co dzwonił? W koncu doszlimy do sedna.

–Zeby wywabic go na zewnatrz. Przypuszczam, ze Tom mial byc nastepna ofiara.

Zaskoczona szybko zamrugala. Nic wiecej.

–Niech pan mowi dalej.

–Zaraz po zawale Tom robil wrazenie zdeorientowanego. Myslal, ze cos stalo sie Mary. Nawet w szpitalu trzeba bylo go ciagle zapewniac, ze nic jej nie jest. Uznano, ze to szok po zawale, ale zalozmy, ze nie. Ktos na przyklad zadzwonił do Toma i powiedzial, ze jego zona miala wyupadek.

Miedzy brwiami Jacobsen znów pojawila sie zmarszczka.

–A on wybieglby, zeby do niej pojechae.

–Wlasnie. W takich sytuacjach czlowiek traci glowe. Nie myśli o zachowaniu ostrozności. Rzuca wszystko i biegnie. – Znałem to az za dobrze. Nadal przesladowalo mnie wspomnienie glosu policjanta informujacego o wypadku mojej zony i corki. – O tej porze wieksza czesc terenu szpitala jest pusta, a z miejsca, gdzie stoi automat, doskonale widae wejscie do prosektorium. Kazdy, kto korzystal z

telefonu, mógł zobaczyć wychodzącego Toma.

–Dlaczego nie poczekał, aż doktor skończy pracę?

–Nie chciał ryzykować, że Tom wyjdzie w czyimś towarzystwie. A tak byłby sam, bezbronny.

Jacobsen wciąż nie wyglądała na przekonaną.

–Ale skąd znał numer komórki doktora Liebermana.

–Tom dawał go wszystkim bez żadnych problemów. Poza tym wystarczyło zapytać jego sekretarki na uniwersytecie.

–No dobrze, ale doktor Lieberman nie zwracał na siebie uwagi tak, jak profesor Irving. Dlaczego miałby się stać celem?

–Nie wiem – przyznałem. – Ale sama pani powiedziała, że zabójca ma bardzo wygórowane mniemanie o sobie. Może nie cieszyło go uznanie mechaników i złodziei.

Jacobsen rozważała moje słowa, patrząc w przestrzeń. Z wysiłkiem oderwałem spojrzenie od jej pełnych warg.

–To prawdopodobne – przyznała po chwili. – Staje się coraz ambitniejszy. Profesor Irving rozbudził jego apetyt na bardziej słynne ofiary.

–Chyba że Tom cały czas był dla niego najważniejszym celem. Wiedziałem, że przeciągam strunę. Jacobsen zmarszczyła czoło.

–Nie ma na to żadnego dowodu.

–Oczywiście – przyznałem. – Po prostu zastanawiałem się nad wszystkim, co zrobił zabójca. Umyślnie przyspieszał proces rozkładu i zastępował ludzkie zęby świńskimi. U ofiar występują wykluczające się nawzajem przyczyny śmierci. To prawdziwa zagwozdzka dla antropologa sądowego. A teraz wygląda na to, że sam Tom niemal został następną ofiarą. Czy nie wydaje się pani, że zabójca mógł cały czas o tym myśleć?

Wciąż była sceptyczna.

–Nie tylko doktor Lieberman współpracuje z TBL. Nikt wcześniej nie wiedział, który z antropologów sądowych weźmie udział w dochodzeniu.

–Może więc zabójca chciał zastawić sidła na każdego, kto będzie w nie zaangażowany. Ale to nie żadna tajemnica, że TBL zawsze na początku zwraca się

do Toma. Ani że zamierzał pod koniec roku odejść na emeryturę. – A właściwie wcześniej. Odpędziłem myśli o zniweczonych planach Toma i Mary, i wyjaśniałem dalej. – A może zabójca uznał, że ma ostatnią szansę zmierzyć się z jednym z najlepszych biegłych sadowych w tym kraju? Zwłoki Terry'ego Loomisa zostały znalezione zaledwie tydzień po powrocie Toma z miesięcznej podróży. To znaczy, że zabójca wynajął chatę dzień lub dwa po przyjeździe Toma. A jeśli wykluczmy zbieg okoliczności?

Wyraz twarzy Jacobsen świadczył, że posunąłem się za daleko.

–Nie uważa pan, że pańska hipoteza jest dość naciągana? Westchnąłem. Sam nie byłem już pewien.

–Może. Ale z drugiej strony, mamy do czynienia z kimś, kto naszpikował zwłoki igłami sześć miesięcy przed zaaranżowaną przez siebie eks-humacją. W porównaniu z tym upewnienie się, czy następna ofiara będzie w mieście, jest dziecinnie proste.

Jacobsen milczała. Napilem się kawy. Czekałem, aż sama wyciągnie wnioski.

–W pańskiej interpretacji bardzo wiele wynika z jednego telefonu

–odezwała się w końcu.

–Owszem – przyznałem.

–Ale chyba warto się tym zająć.

Napięcie, którego dotąd sobie nie uświadamiałem, zaczęło mnie opuszczać. Nie byłem pewien, czy to ulga, że sprawdzą ewentualną po-szlakę, czy też wdzięczność, że potraktowała mnie poważnie.

–W takim razie zdejmiecie odciski palców z automatu telefonicznego?

–Zespół techniczny już tam pracuje, chociaż wątpię, czy po dwudziestu czterech godzinach coś znajdą. – Wargi Jacobsen drgnęły w lek-kim uśmiechu. – Chyba nie sądził pan, że po prostu zignorujemy coś takiego?

Brzęczenie jej telefonu wibrującego na stole uchroniło mnie przed koniecznością udzielenia odpowiedzi.

–Przepraszam. – Podniosła komórkę.

Wyszła, żeby porozmawiać, a ja już w lepszym nastroju dopilem kawę. Obserwowałem przez szklane drzwi, jak słucha ze skupieniem. Po niecałej minucie wróciła. Myślałem, że się pożegna, ale znów usiadła przy stole.



Nie wspominała o telefonicznej rozmowie, ale w jej zachowaniu ponownie pojawił się chłód. Wcześniejsza leciutka odwilż zniknęła. Poprawiła filiżankę na spodku.

–Doktorze Hunter... – zaczęła.

–Mam na imię David.

Wydawała się wytrącona z równowagi.

–Proszę posłuchać, powinien pan wiedzieć... Czekałem, ale nie skończyła.

–Co?

–Nieważne. – Wyraźnie uznała, że lepiej tego nie mówić. Spojrzała na niemal pustą szklankę po piwie, której kelnerka nie zdążyła zabrać.

–Przepraszam, że pytam, ale czy wolno panu pić alkohol? W pańskim stanie?

–Moim stanie?

–Chodzi o ranę. – Przechyliła głowę. – Na pewno zdawał pan sobie sprawę, że sprawdzimy pana przeszłość?

Zorientowałem się, że trzymam uniesioną filiżankę z kawą. Odstawiłem ją ostrożnie.

–Nie zastanawiałem się nad tym zbyt. A jeżeli chodzi o alkohol, byłem pchnięty nożem. Nie jestem w ciąży.

Jej szare oczy wpatrywały się we mnie uważnie.

–Czy rozmowa o tym krępuje pana?

–Są przyjemniejsze tematy.

–Czy po ataku otrzymał pan pomoc psychologiczną?

–Nie. I teraz też jej nie potrzebuję. Uniosła brwi.

–Aha, zapomniałam. Nie ufa pan psychologom.

–Nie chodzi o zaufanie. Po prostu nie wierzę, że we wszystkich przypadkach rozmowa jest najlepszym sposobem rozwiązania problemu.

–Trzeba trzymać fason?

Tylko spojrzałem na nią. W skroniach zaczęło mi pulsować.

–Kobiety, która pana zaatakowała, nie złapano, prawda? – zapytała po chwili.

–Nie.

–Nie obawia się pan, że może spróbować znowu?

–Staram się nie cierpieć na bezsenność z tego powodu.

–Ale pan cierpi.

Uświadomiłem sobie, że zaciskam ręce pod stołem. Kiedy je rozluźniłem, były lepkie.

–Czy pani do czegoś zmierza?

–Jestem tylko ciekawa.

Patrzyliśmy na siebie. Poczujęm się już całkowicie spokojny, jakbym przekroczył jakąś granicę.

–Dlaczego usiłuje mnie pani sprowokować? Spuściła wzrok.

–Ja tylko...

–Czy Gardner to pani zlecił? – odparowałem bez namysłu, ale kiedy odwróciła głowę, wiedziałem, że trafiłem w sedno. To trwało tylko sekundę, jednak wystarczyło.

– Na litość boską, o co tu chodzi? Sprawdźcie mnie?

–Oczywiście, że nie – zaprzeczyła bez przekonania. Teraz ona unikała mojego spojrzenia. – Dan Gardner zamierzał tylko ocenić stan pańskiej psychiki, to wszystko.

–Stan mojej psychiki? – Roześmiałem się z niedowierzaniem. – Pchnięto mnie nożem, zerwałem z dziewczyną, jeden z moich najstarszych przyjaciół leży w szpitalu, a wszyscy tu wydają się przekonani, że jestem niekompetentny. Moja psychika ma się świetnie, dziękuję. Na policzkach Jacobsen pojawiły się dwie czerwone plamy.

–Przepraszam, jeżeli pana obraziłam.

–Nie czuję się obrażony, tylko... – Nie wiedziałem, co czuję. – A gdzie w ogóle podziewa się Gardner? Dlaczego nie przyszedł?

–Teraz jest zajęty czymś innym.

**Nie byłem pewien, co bardziej mnie irytowało: czy to, że mnie ocenia, czy że nie uznał za stosowne sam się pofatygować.**

**–A zresztą, dajmy sobie spokój. Praca jest prawie skończona. Rumieniec powoli zniknął z policzków Jacobsen. Wpatrywała się**

**w zamyśleniu w kawę, z roztargnieniem przesuając palcem po krawędzi filiżanki.**

**–Na Steeple Hill powstał pewien problem – powiedziała. Czekalem. Szare oczy popatrzyły prosto w moje.**

**–York zniknął.**

## **Rozdział 16**

**W każdym oknie paliły się światła. Przed wejściem stało sporo samochodów TBI. Dom Yorka wyglądał surrealistycznie, jak scenografia filmowa. Przez fałdę ziemi w sosnowym lesie nie było go widać z cmentarza. Niski, prostokątny blok betonu i szkła, nieudana próba zaszczepienia na głębokim południu kalifornijskiego modernizmu z lat pięćdziesiątych. Kiedyś mógł nawet robić spore wrażenie. Teraz, otoczony mrocznymi drzewami, wyglądał ponuro.**

**Do drzwi frontowych prowadził zarośnięty chodnik z popękanych płyt. Taśma policyjna nadawała domowi dziwnie świąteczny wygląd, ale to wrażenie szybko rozwiewał widok przeszukujących okolicę techników kryminalistyki. W białych kombinezonach wyglądali jak duchy. Z boku, za prostokątnym trawnikiem z dawno niekoszoną trawą znajdował się podjazd do garażu. Podniesione drzwi odsłaniały skrawek zabrudzonej olejem podłogi, ale samochodu nie było.**

**Zniknął razem z właścicielem.**

**Po drodze Jacobsen przekazała mi informacje.**

**–Nie uważaliśmy Yorka za prawdopodobnego podejrzanego o zabójstwo, dlatego wcześniej go nie aresztowaliśmy. – Brzmiało to, jakby się broniła. – W pewnym stopniu pasuje do standardowego wizerunku seryjnego zabójcy: odpowiedni wiek, nieżonaty, samotnik. – A jego przesadne poczucie własnej wartości jest typową cechą narcyza. Ale nigdy nie był notowany, nawet w młodości. Nie znaleźliśmy żadnych szkieletów w szafie. Poza dowodami pośrednimi nie ma niczego, co wiązałoby Yorka z tymi zabójstwami.**

**–Jednak te dowody pośrednie są dość mocne – zauważyłem.**

**W samochodzie było zbyt ciemno, aby dostrzec jej rumieniec, ale na pewno się zaczerwieniła.**

–Owszem, jeżeli uzna pan, że świadomie się obciążył, zwracając naszą uwagę na dom pogrzebowy. Coś takiego się zdarza, ale jego wersja

o wynajęciu przygodnego pracownika chyba została potwierdzona. Znaleźliśmy grabarza, który pamięta Dwighta Chambersa. Wszystko zaczyna wskazywać, że właśnie Chambers jest tym właściwym podejrzanym.

–Po co więc aresztować Yorka?

–Gdybyśmy go zatrzymali pod zarzutem spowodowania zagrożenia dla zdrowia publicznego, zyskalibyśmy więcej czasu na przesłuchanie. – Jacobsen była wyraźnie zakłopotana. – Poza tym uznano, że radykalne działania przyniosą pewne... korzyści.

I jakieś aresztowanie wygląda lepiej niż brak aresztowania. Polityka

1 PR działały tak samo na całym świecie.

Ale York nie czekał, aż przyjdzie po niego policja. Kiedy po południu zjawili się agenci TBI, nie znaleźli go ani na cmentarzu, ani w domu. Nie było też samochodu. A kiedy funkcjonariusze weszli do budynku, zauważyli ślady pospiesznego pakowania.

A także ludzkie szczątki.

–Odkrylibyśmy je wcześniej, gdyby nie błąd w papierach – przyznała Jacobsen. – Pierwotny nakaz obejmował jedynie dom pogrzebowy i teren cmentarza, a nie prywatne miejsce zamieszkania Yorka.

–Od dawna tu leżą? – zapytałem.

–Raczej nie. Ale Dan wolałby, żeby pan sam je zobaczył.

To wstrząsnęło mną bardziej niż zniknięcie Yorka. Paul nie mógł dokonać oględzin. Sam miała złą noc. Przypuszczali, że zaczyna się poród, i chociaż alarm okazał się fałszywy, Paul nie zamierzał o tak później porze zostawić żony samej.

Dlatego odesłał Gardnera do mnie.

Kiedy do niego zadzwoniłem, miał bardzo zmęczony głos. Nie chodziło o to, że nie wierzyłem Jacobsen, ale wolałem najpierw zamienić parę słów z Paulem.

–Powiedziałem Gardnerowi, że obejrzę wszystko z samego rana, ale jeżeli chce dostać opinię jeszcze dziś w nocy, powinien poprosić ciebie. Nie masz nic przeciwko temu? – spytał. – Nie, ale to dziwne, że Gardner się zgodził. – Paul roześmiał się cierpko.

**–Cóż, musiał.**

**Najwyraźniej nie wybaczył agentowi, że stanął po stronie Hicksa przeciwko Tomowi. Paul był profesjonalistą w każdym calu i nie pozwoliłby, aby osobiste urazy przeszkadzały w śledztwie, ale to wcale nie znaczyło, że nie mógł trochę przykręcić śruby.**

**Ciekawe, jak to odebrał Gardner.**

**Jacobsen nie została na Steeple Hill. Zawiozła mnie i natychmiast pojechała, aby sprawdzić, co technikom udało się zdziałać z automatem telefonicznym. Skierowano mnie do furgonetki. Tam się przebrałem, a potem ruszyłem w stronę domu.**

**Gardner stał przed frontowymi drzwiami i rozmawiał z siwowłosą kobietą w białym kombinezonie. Miał rękawiczki i ochraniacze na buty. Gdy podchodziłem, spojrzał w moją stronę, ale nie przerwał rozmowy.**

**Wydał agentce ostatnie polecenia i w końcu odwrócił się do mnie. Żaden z nas się nie odezwał. Jego niezadowolenie było niemal namacalne, ale zachowywał swoje myśli dla siebie. Dopiero po chwili kiwnął mi głową i powiedział.**

**–Na górze.**

**Zgodnie ze stylem i epoką dom był dziwnie zaprojektowany. Sypialnie znajdowały się na dole, a pozostałe pomieszczenia na górze. Ściany i sufity, kiedyś białe, pożółkły od dymu papierosowego. Ta sama patyna w kolorze ochry jak warstwa tłuszczu pokryła meble i drzwi. Oprócz dominującego smrodu starego dymu tytoniowego wyczuwało się odór zbudowanych starych dywanów i brudnej pościeli.**

**Wrażenie zaniedbania i ruiny potęgował bałagan związany z trwającym przeszukaniem. Technicy zajmowali się szufladami i szafami, wydobywając do zbadania pozostałości życia Yorka. Kiedy szedłem na górę, czułem na sobie ich spojrzenia. W domu panowała atmosfera wyczekiwania tak dobrze mi znana z innych miejsc przestępstw. Pojawiała się zawsze, kiedy znaleziono coś ważnego, ale tutaj wyraźnie dominowała nieskrywana ciekawość.**

**Najwidoczniej rozeszła się już wiadomość o moim powrocie do łask.**

**Gardner poprowadził mnie schodami na górę. W kątach stopni widniał od dawna niesprzątany kurz. Całe piętro nie miało ścian działowych -kuchnia, jadalnia i salon stanowiły jedno pomieszczenie. Większość wyposażenia była chyba oryginalna – regały, szafki i kredens wyglądały jak wyjęte wprost z reklam, które w latach pięćdziesiątych kształtowały amerykańskie marzenie o idealnym domu.**

Reszta umeblowania pochodziła z późniejszych dziesięcioleci. Zaŗrdzewiała lodówka mruczała głoŗno w kuchni; nad podrapanym stoŗem w jadalni wisiał imitujący antyk żyrandol ze ŗwiecowymi żarówkami. Na ŗrodku salonu stał gŗboki skórzany fotel, a jego popękane poduszki ktoŗ posklejał taŗmą izolacyjną. Przed fotelem znajdował się wielki telewizor z płaskim ekranem – jedyny nowy element wyposażenia.

Krzątało się tu jeszcze więcej techników. W całym domu panował chaos, ale trudno było stwierdzić, na ile to efekt przeszukania, a na ile bałagan zostaŗwiony przez Yorka. Na podłodze leżały rozrzucone ubrania, stały wyciągnięte z szaf pudła z rupieciami i starymi czasopismami. Zlew i blat zawały sterty brudnych talerzy i zaskorupiałych pudełek po daniach na wynos.

Kilku techników przerwało swoje zajęcia i patrzyło, jak Gardner proŗwodzi mnie przez pokój. Poznałem potężną postać Jerry'ego, który na klęczkach przeglądał zawartość poobijanego kredensu. Pozdrowił mnie, unosząc dłoń w rękawiczce.

–Cześć, doktoru. – Jego obwisłe policzki poruszały się pod maską w rytm energicznego żucia gumy. – Miło tu, co? I powinien pan zobaczyć kolekcję filmów tego facia. Raj pornosów, wszystkie w porządku alfabetycznym. Nieźle można się napatrzeć.

Gardner podszei uo wnęki koło zlewu.

–Byle wszystkie były na miejscu, kiedy skończysz. – Rozległy się chichoty, ale wcale nie wiem, czy żartował. – Tędy.

We wnęce znajdowała się szafa. Drzwi podparto, żeby się nie zamykały. Zawartość została wyjęta i leżała naokoło – pudła z wyszczerbioną zaŗstawą, plastikowy kubel z pękniętym bokiem, zepsuty odkurzacz. Technik grzebał w kartonowym pudle ze starym sprzętem fotograficznym – znalazł tam sfatygowaną lustrzanke jednoobiektywową, staroŗwiecką lampę błyskową i ŗwiatłomierz, stare czasopisma fotograficzne z wyblakłymi, pozwijanymi stronami.

Dalej, na kawałku zakurzonego linoleum stała poobijana walizka, odsunięta od pozostałych rupieci.

Wiek było opuszczone, ale nie domknięte, jakby coŗ w ŗrodku nie pozwalało mu opaść do końca. Gardner spojrział na walizke z daleka.

–Znaleźliśmy ją w szafie. Kiedy zorientowaliśmy się, co tam jest, zaŗstawiliśmy, aż ktoŗ to obejrzy.

Walizka wyglądała na zbyt małą, żeby zmieściły się w niej ludzkie szczątki. W każdym razie nie dorosłego człowieka, ale wiedziałem, że pozory mylą. Kilka lat

wcześniej wezwano mnie, żebym zbadał zwłoki mężczyzny wepchnięte do torby nawet mniejszej od tej walizki. Kończyny były połamane i ułożone tak, jak żaden żywy człowiek-guma nie zdołałby się wygiąć.

Kucnąłem przy walizce. Brązowa skóra, choć podrapana i wytarta, nie miała na sobie ani pleśni, ani plam, jakich można by oczekiwać, gdyby w środku rozkładało się ciało. Pasowało to do opinii Jacobsen, że szczątki nie są stare.

–Mogę obejrzeć? – zapytałem Gardnera.

–Po to pan tu jest.

Nie zareagowałem na jego sarkazm, uniosłem wieko, czując na sobie spojrzenie wszystkich obecnych.

Walizka była pełna kości. Na pierwszy rzut oka rozpoznałem, że są ludzkie. Chyba cała klatka piersiowa i wciśnięta w nią czaszka z umocowaną żuchwą, wyszczerzoną w charakterystycznym uśmiechu. Przypomniałem sobie słowa Jacobsen: „Nie znaleźliśmy żadnego szkieletu w szafie”.

Ajednak...

Kości miały to samo brązowe, tytoniowe zabarwienie co ściany, ale nie sądziłem, by tym razem od dymu papierosowego. Czyste, bez najmniejszego śladu tkanek miękkich. Pochyliłem się i powąchałem, ale nie poczułem nic poza zapachem stęchłej skory walizki.

Podniosłem z wierzchu żebro wygięte jak miniaturowy łuk. W jednym czy dwóch miejscach zobaczyłem łuszczące się przezroczyste płatki; przypominały miniaturowe rybie łuski.

–Żadnych wiadomości o Yorku? – zapytałem.

–Wciąż go szukamy.

–Sądzi pan, że wyszedł stąd z własnej woli?

–Raczej nie został porwany jak Irving. Profesor przed zniknięciem nie zabrał samochodu ani nie spakował walizki – odparł Gardner. – A co pan powie o tym?

Odłożyłem żebro i wziąłem czaszkę. Poruszone kości zagrzechotały.

–To szkielet kobiety – oznajmiłem, przyglądając się czaszce. – Struktura kostna jest zbyt delikatna jak na mężczyznę. Śmierć nastąpiła dość dawno.

–Tego akurat się domyślałem.

**–Dobra. Przede wszystkim nie została zamordowana. Zareagował, jakbym oświadczył, że ziemia jest płaska.**

**–Co takiego?**

**–Nie padła ofiarą morderstwa – powtórzyłem. – Proszę spojrzeć, jak pożółkły kości. Są stare. Mają przynajmniej czterdzieści, pięćdziesiąt lat. A nawet więcej. Pokryto je jakimś środkiem konserwującym, który zaczyna się łuszczyć. Przypuszczam, że to szelak. Nie stosuje się go już od lat. I jeszcze to... – Pokazałem małą, zgrabną dziurkę wywierconą na czubku.**

**–Użyto tu jakiegoś mocowania, które pozwalało powiesić szkielet. Może pochodzi z laboratorium albo należał do studenta medycyny. Teraz używa się raczej plastikowych modeli, a nie prawdziwych szkieletów, ale od czasu do czasu trafiają się i takie.**

**–Eksponat? – Gardner spojrział wściekle na kości. – Co, u diabła, tu robisz?**

**Odłożyłem czaszkę do walizki.**

**–York powiedział, że jego ojciec założył Steeple Hill w latach pięćdziesiątych. Może szkielet należał do niego. Z całą pewnością jest wystarczająco stary.**

**–Jasna cholera – parsknął głośno. – Mimo wszystko chcę, żeby to obejrzał Paul Avery.**

**–Jak pan sobie życzy.**

**Nie przypuszczam, że Gardner w ogóle uświadomił sobie, że mnie obraził. Po raz ostatni spojrział z niesmakiem na walizkę i ruszył w stronę schodów. Zamknąłem wieko i poszedłem za agentem.**

**–Do widzenia, doktorku – odezwał się Jerry, wciąż żując gumę. – Kolejny niepotrzebny wyjazd, co?**

**Kiedy przechodziłem obok kredensu, zatrzymałem się, żeby spojrzeć na zbiorek oprawionych fotografii rodzinnych, ilustrowaną historię życia Yorka. Trochę fotografii studyjnych i zdjęć z wakacji – kiedyś jaskrawe, letnie barwy wypływały i rozmyły się. Prawie na wszystkich był York**

**–uśmiechnięty chłopak w szortach na żaglówce albo zażenowany nastolatek. Na większości towarzyszyła mu starsza, miła kobieta, chyba matka. Czasami dołączał do nich wysoki, opalony mężczyzna z profesjonalnym uśmiechem biznesmena. Pojawiał się rzadko, więc uznałem, że to głównie on robił zdjęcia.**



**Ale późniejsze fotografie przedstawiały wyłącznie matkę Yorka – coraz bardziej przygarbioną i pomarszczoną. Na ostatniej pozowała nad jeziorem w towarzystwie chyba drugiego, młodszego syna – krucha i siwa, ale wciąż uśmiechnięta.**

**Dogoniłem Gardnera na dole schodów. Jak dotąd nie wspomniał o telefonie odebranych przez Toma ubiegłej nocy. Czy dlatego, że nie uważał tego za istotne, czy też po prostu nie chciał przyznać, że ja też mogłem zrobić coś pożytecznego. Ale ja zamierzałem poruszyć tę kwestię.**

**–Czy Jacobsen powiedziała panu o automacie telefonicznym? – zapytałem, kiedy szliśmy korytarzem.**

**–Tak. Sprawdzamy go.**

**–A co z Tomem? Jeżeli telefon miał go wywabić na zewnątrz, może nadal być w niebezpieczeństwie.**

**–Dziękuję za odpowiedź – rzucił z lodowatym sarkazmem. – Zapamiętam to sobie.**

**Miałem tego dość. Zrobiło się późno i byłem już zmęczony. Zatrzymałem się.**

**–Słuchaj pan. Nie wiem, w czym problem, ale to pan poprosił, żebym tu przyjechał. Umrze pan, jeżeli spróbuje być choć trochę uprzejmy?**

**Gardner odwrócił się do mnie z pociemniałą twarzą.**

**–Poprosiłem, bo nie miałem żadnego wyboru. Do śledztwa wciągnął pana Tom, nie ja. I błagam o wybaczenie, jeżeli moje maniery się panu nie podobają, ale nie wiem, czy pan zauważył, że próbuję złapać seryjnego zabójcę.**

**–Cóż, to nie ja! – odpałem.**

**Patrzyliśmy na siebie wściekle. Staliśmy przy drzwiach wejściowych. Technicy na zewnątrz przerwali pracę, przysłuchując się naszej kłótni. Po chwili Gardner wziął głęboki oddech i wbił wzrok w podłogę. Z wyraźnym wysiłkiem starał się wziąć w garść.**

**–Mogę pana poinformować, że od razu zapewniłem Tomowi dodatkową ochronę – oznajmił bardzo opanowanym tonem. – Na wszelki wypadek. Nawet jeżeli ma pan rację w sprawie telefonu, nie sądzę, żeby Tomowi groziło niebezpieczeństwo w szpitalu. Ale nie zamierzam ryzykować.**

**Nie brzmiało to jak przeprosiny, ale mogłem się bez nich obejść. Najważniejsze, że Tom był bezpieczny.**

–Dziękuję – powiedziałem.

–Proszę uprzejmie. A teraz, jeżeli to już wszystko, doktorze Hunter, każę pana odwieźć do hotelu.

Zacząłem wychodzić, ale nie dotarłem nawet do schodów, kiedy z wnętrza domu ktoś zawołał Gardnera.

–Proszę pana? Powinien pan to zobaczyć.

Technik w poplamionym smarami i zakurzonym kombinezonie wyszedł z drzwi w głębi korytarza. Gardner zerknął na mnie i wiedziałem,

o czym myśli.

–Niech pan jeszcze poczeka.

Ruszył korytarzem i zniknął w drzwiach. Zawahałem się, potem poszedłem za nim. Ani mi się śniło stać jak uczeń przed gabinetem dyrektora i czekać, aż Gardner zadecyduje, czy jestem mu potrzebny.

Drzwi prowadziły z domu do garażu. Pachniało tu smarami i wilgocią. Pod sufitem paliła się naga żarówka, której słabe światło niknęło w ostrym blasku reflektorów. Pomieszczenie było zagracone jak cała reszta domu – wokół pustego kawałka betonu, gdzie wcześniej stał samochód Yorka, piętrzyły się spalone kartonowe pudła, zapleśniały sprzęt kempingowy

1 zardzewiałe narzędzia ogrodnicze.

Gardner i technik stali przy starej, stalowej szafce na dokumenty. Jedna z szuflad była wyciągnięta.

–...na dnie, pod czasopismami – mówił drugi technik. – Początkowo myślałem, że to zwykłe fotografie, ale potem przyjrzałem się im dokładniej.

Gardner wpatrywał się w nie przez chwilę.

–Jezu Chryste – wymamrotał zaszokowany.

Drugi technik dodał coś jeszcze, ale nie zwracałem na to uwagi. Teraz już sam widziałem, co znaleźli.

Na dnie leżało cienkie pudełko, jakiego używa się do papieru fotograficznego, a technik trzymał w ręku wachlarzyk zdjęć. Sześć czarno-białych portretów mężczyzn i kobiet, dużych zbliżeń twarzy od podbródka do czoła, powiększonych do niemal naturalnego rozmiaru. Idealnie ostre, precyzyjnie pokazywały każdy szczegół,

**wszystkie rysy, pory i skazy na skórze – ułamek sekundy zarejestrowany z nieskażoną wyrazistością. Twarze były wykrzywione i ciemne. W pierwszej chwili sprawiały niemal komiczne wrażenie, jakby każdą z osób sfotografowano w momencie kichnięcia. Ale tylko do czasu, kiedy zobaczyło się oczy.**

**Wytrzeszczone, przerażone.**

**Przez cały czas podejrzewaliśmy, że może być więcej ofiar. Zdjęcia to potwierdzały. Ale Yorkowi nie wystarczyło zamęczenie ludzi na śmierć. Fotografował ich, kiedy umierali.**

**Dopiero teraz Gardner zauważył moją obecność. Popatrzył na mnie ostro, ale nie zaczął wrzeszczeć, jak się spodziewałem. Chyba nadal był zbyt oszołomiony.**

**–Może pan już jechać, doktorze Hunter.**

**Kiedy się przebrałem, milczący agent TBI odwiózł mnie do hotelu, ale w czasie jazdy po ciemnych ulicach te wykrzywione twarze wciąż mnie prześladowały. Wzbudzały niepokój. W swoim życiu widziałem wiele przypadków śmierci. Pracowałem przy sprawach, w których mordercy zabierali ofiarom coś, co traktowali jako trofea – kosmyk włosów, kawałek odzieży – makabryczne pamiątki przerwanych istnień.**

**Ale York nie był szalonym zabójcą, który zatracił się w patologicznej namiętności. Przez cały czas robił z nas durniów, od samego początku manipulował śledztwem. Idealnie zaplanował swoje zniknięcie. A fotografie wykonał z dużą starannością i umiejętnościami świadczącymi o przemyślanym, klinicznie chłodnym podejściu. O opanowaniu.**

**Dlatego były jeszcze bardziej przerażające.**

**Kiedy wróciłem do pokoju, natychmiast wziąłem prysznic. Po pobyciu w domu Yorka czułem się brudny; może bardziej symbolicznie niż fizycznie, ale gorąca woda pomogła. Do tego stopnia, że zasnąłem, kiedy tylko wyłączyłem światło.**

**Tuż przed szóstą obudził mnie natrętny dzwonek. Wciąż na wpół śpiący namacałem budzik i dopiero potem uświadomiłem sobie, że to sygnał mojego telefonu.**

**–Halo? – wymamrotałem.**

**Resztki senności zniknęły, kiedy usłyszałem głos Paula.**

**–Mam złą wiadomość, Davidzie. Tom nie żyje.**

**Rozegrałeś to idealnie. Wiedziałeś, że agenci TBI wkrótce zjawią się w domu, ale**

wyszedłeś w ostatniej chwili. Za szybko i duża część wrażenia by przepadła. Za późno i... Cóż, to popsułoby wszystko.

Szkoda, że nie miałeś więcej czasu. Nie cierpisz działać w pośpiechu, trudno tego uniknąć. Wiedziałeś, co nastąpi. Dom pogrzebowy spełnił swoje zadanie. Wszystko zaplanowałeś – co musisz wziąć, a co zostawić. To wymagało doskonałej oceny sytuacji i samodyscypliny. Ale się udało.

Pewne poświęcenia są konieczne.

Jesteś już niemal gotów do następnego etapu. Musisz być cierpliwy. To nie potrwa długo. Jeszcze tylko jedno – wstawić ostatnie fragmenty na miejsce, a wtedy oczekiwanie dobiegnie końca.

Trochę się denerwujesz, to dobrze. Nie możesz pozwolić sobie na samozadowolenie. Kiedy pojawi się szansa, musisz być gotów ją wykorzystać. Nie wolno ci marnować okazji. Wiesz o tym lepiej od innych.

Życie jest za krótkie.

## Rozdział 17

Tak więc ostatecznie wszystkie starania, by zapewnić Tomowi bezpieczeństwo, okazały się zbędne. Lekarzy i cały personel OIOM-u uprzedzono, że mają zachować zwiększoną czujność, choć nie wyjaśniono dlaczego, a na korytarzu przed pokojem postawiono agenta TBL. Nikt nie mógł samowolnie dotrzeć do Toma, a nawet gdy ktoś został wpuszczony, Mary była cały czas u jego boku.

Ale żadne zabezpieczenie nie mogło ochronić Toma przed kolejnym atakiem serca, który nastąpił tuż przed czwartą w nocy.

Lekarze podjęli reanimację, ale serce zdecydowanie odmówiło współpracy. Uparty do końca. Ta myśl bezustannie obijała mi się w głowie.

Czułem się jak odrętwiały, niezdolny pogodzić się z tym, co się stało. Po rozmowie z Paulem zadzwoniłem do Mary i wypowiadałem wytarte, bezużyteczne słowa. Potem usiadłem na łóżku, nie wiedząc, co robić dalej. Próbowałem sobie wytłumaczyć, że Tom przynajmniej zmarł spokojnie w łóżku, z żoną u boku, że oszczędzone mu zostały cierpienia, których zapewne doznał Irving. Ale to kiepska pociecha. York nie zabił Toma fizycznie, ale mimo wszystko ten stał się jego ofiarą. Miał prawo szczęśliwie przeżyć resztę życia, nieważne, jak długo by to trwało.

York odebrał mu jednak tę szansę.

Przypomniałem sobie jego twarz, rozpromienioną w fałszywym, służalczym

uśmiechu, kiedy tamtego ranka na Steeple Hill z entuzjazmem ścisnął Tomowi dłoń. „Doktorze Lieberman to zaszczyt, szanowny panie... Wiele słyszałem o pańskiej pracy. I oczywiście o ośrodku. Chłuba Tennessee”. Już wtedy śmiał się z nas w duchu. Wiedząc o swoich planach, ukrywał większą winę pod drobnymi wykroczeniami ujawnionymi na cmentarzu.

– Nie pamiętam, żebym nienawidził kogoś tak, jak w tej chwili Yorka.

Siedzenie w hotelowym pokoju nie zwróciłoby Tomowi życia ani nie pomogłoby złapać człowieka, który ponosił odpowiedzialność za jego śmierć. Wziąłem prysznic, ubrałem się i pojechałem do prosektorium. Było jeszcze wcześnie. Moje kroki odbijały się echem, gdy szedłem korytarzem. Chłodne, wyłożone kafelkami pomieszczenia wydawały się jeszcze bardziej puste niż zwykle. Chętnie zobaczyłbym jakąś znajomą twarz, ale Paul powiedział, że najpierw musi odbyć kilka zebrań, a wątpiłem, czy Summer zdoła mi pomóc po otrzymaniu tragicznej wiadomości.

Przynajmniej Kyle był na miejscu. Kiedy wychodziłem z przebieralni, pchał wózek po korytarzu i jak zawsze powitał mnie z entuzjazmem.

– Dzień dobry, doktorze Hunter. Mam dziś rano pomagać przy autopopsji, ale jeżeli potem przydam się panu, proszę dać znać.

– Dziękuję, chętnie skorzystam. Wciąż stał w miejscu.

– Eee, czy Summer przyjdzie później?

– Nie wiem, Kyle.

– Och. No tak. – Skinął głową, starając się ukryć rozczarowanie. – Jak się czuje doktor Lieberman?

– Zmarł tej nocy. Wyraźnie się zmartwił.

– Nie żyje? Bardzo mi przykro, nie wiedziałem...

– Oczywiście.

Chłopak zastanawiał się, co powiedzieć.

– Był miłym człowiekiem.

– Owszem – przytaknąłem. Słyszałem gorsze epitafia.

Idąc do swojej sali, starałem się o niczym nie myśleć. Chciałem skupić się wyłącznie na pracy. Ale to było niemożliwe w otoczeniu, które tak bardzo kojarzyło

mi się z Tomem. Kiedy mijalem jego sale prosektoryjną, zatrzymałem się, potem wszedłem do środka.

Wyglądała identycznie jak wczoraj. Prawie całkowicie złożony szkielet lerry'ego Loomisa na aluminiowym stole. Żadnych śladów obecności Toma. Już odwracałem się do wyjścia, kiedy zobaczyłem na półce odtwarzacz CD, a obok niego równy stosik albumów jazzowych. Wtedy naprawdę mnie walnęło.

Tom nie żyje.

Stałem jakiś czas, a moja świadomość wciąż rejestrowała ten ostateczny fakt. Puściłem wahadłowe drzwi i poszedłem korytarzem do sali, gdzie czekały na mnie kości drobnego złodzieja.

Rekonstrukcja i badanie szkieletu Noaha Harpera powinny być już zakończone. Opóźnienie nie wynikało z niczyjej winy, ale zadanie powierzono mnie i czułem się za nie odpowiedzialny. Teraz postanowiłem zakończyć rekonstrukcję, choćbym miał pracować całą noc.

Poza tym byłem zadowolony, że mogłem się czymś zająć i nie myśleć o Tomie.

Czaszka i większe kości rąk i nóg leżały na stole mniej więcej zgodnie z ich anatomiczną pozycją, ale cała reszta została jedynie pobieżnie posegregowana. Zamierzałem w następnej kolejności odtworzyć kręgosłup. To chyba najbardziej skomplikowana część rekonstrukcji. Stos pacierzowy jest elastyczną osłoną rdzenia nerwowego. Idealny przykład pomysłowości natury, cud inżynierii biologicznej.

Ale nie miałem nastroju, żeby się nim zachwycić. Zająłem się częścią szyjną i zacząłem starannie dopasowywać nieregularne elementy kostne.

Nie dotarłem daleko.

Kręgi szyjne są mniejsze niż piersiowe i lędźwiowe. Jest ich ogółem siedem, a numerowanie zaczyna się od czaszki. Każdy z nich precyzyjnie pasuje do sąsiedniego powyżej i poniżej. Bez większych problemów połączyłem pięć pierwszych, ale nie mogłem znaleźć szóstego.

No, dalej Hunter, skup się. Poirytowany, zacząłem znów przeglądać pozostałe kręgi. Ale jedyna kość odcinka szyjnego, jaka została, miała niewłaściwe wymiary i kształt. To był najwyraźniej kręgi siódmy, nie szósty.

Jednego brakowało.

Nieemożliwe. Owszem, zwłoki Noaha Harpera znajdowały się w stanie daleko posuniętego rozkładu, ale przecież po ekshumowaniu szkielet był w całości. Gdyby

**brakowało któregoś kręgu szyjnego, na pewno byśmy to zauważyli.**

**A więc gdzie przepadł?**

**Nagle coś mi zaświtało. Podeszedłem do mikroskopu na bocznym stole. Nie zdziwiłem się, widząc kree na stoliku od obiektywem. No tak. Teraz już wiedziałem, co Tom robił w tej sali, zanim dostał zawału.**

**Spojrzałem przez okular i regulowałem ostrość, aż pojawił się kręg -z delikatnymi żłobkowaniami i wypustkami niczym koral. W powiększeniu porowata powierzchnia wydawała się pokryta otworkami.**

**Cienkie jak włos pęknięcia sprawiały wrażenie głębokich jak przełpaście.**

**Wyprostowałem się i zdjąłem ze stolika mikroskopu kawałek białej kości. Gołym okiem pęknięcia były prawie niewidoczne. Znalazłem dwa, po obu stronach blaszek – cieniutkich mostków kostnych łączących główną część kręgu z delikatniejszym łukiem kręgowym.**

**Czując dziwny spokój, odłożyłem kręg i ruszyłem korytarzem do sali Toma. Podeszedłem od razu do szkieletu Terry'ego Loomisa, wziąłem ze stołu szósty kręg i podniosłem go do światła. Tu pęknięcia były jeszcze słabiej widoczne. Ale były.**

**A więc to tak. Nie czułem satysfakcji, tylko nagły smutek. To Tom dokonał odkrycia, nie ja. Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do Paula.**

**Już znałem przyczynę zgonu.**

**–Z całą pewnością to uduszenie.**

**Paul beznamiętnie patrzył na trzymany w rękę kręg. Najpierw pokażałem mu pęknięcia na szóstym kręgu szyjnym Noaha Harpera, potem przywodziłem go do sali Toma, żeby zbadał podobne ślady na kręgu Terry'ego Loomisa.**

**–Nie widzę innej możliwości powstania tak precyzyjnych pęknięć**

**–powiedziałem. Uderzenie w kark mogłoby złamać kręg, ale wtedy powstałyby rozległe uszkodzenia. A prawdopodobieństwo przypadkowego urazu, który spowodował niemal identyczne obrażenia u dwóch różnych ofiar, było zbyt małe, by je w ogóle brać pod uwagę. Nie, kości pękły na skutek ukierunkowanego działania. Bardziej kontrolowanego.**

**Kontrola. To słowo miało dla Yorka chyba szczególne znaczenie.**

**–Przynajmniej teraz wiemy, skąd u Loomisa i Harpera różowe zęby.**

–Paul pokiwał głową. – I to wyjaśnia też, co Tom robił w drugiej sali. Znalazł pęknięcia na kręgu Loomisa i poszedł sprawdzić, czy są również u Harpera. Też tak uważasz?

Przytaknąłem. A York zadzwonił, kiedy Tom oglądał kości pod mikroskopem. Była w tym pewnie jakaś ironia losu, ale nie bardzo wiedziałem, na czym polegała.

Paul przyglądał się kawałkowi kości.

–Jezu, człowiekowi aż chce się płakać.

Wyglądał na potwornie zmęczonego. Śmierć Toma bardzo go dotknęła, a związany z Sam fałszywy alarm ubiegłej nocy też zrobił swoje. Kiedy do niego zadzwoniłem, szybko skończył posiedzenie rady wydziału, a gdy wszedł, od razu zobaczyłem ślady napięcia, w jakim żył przez kilka ostatnich dni. Zmarszczki wokół oczu wydawały się narysowane, a na tle bladej skóry wyraźnie widniał ciemny cień niedogolonego zarostu.

Próbował powstrzymać ziewnięcie.

–Przepraszam.

–Chcesz kawy? – zapytałem.

–Może później. – Z wysiłkiem brał się w garść. – A co z kręgami szyjnymi denata z lasu? Też je sprawdziłeś?

–Czekając na twój przyjazd. Dwóch brakuje, ale reszta jest cała i nieuszkodzona. Łącznie z szóstym – dodałem. Nic dziwnego, Willis Dexter zginął w wypadku samochodowym, a nie został zamordowany jak Noah Harper czy Terry Loomis.

–A więc zabójca ścisnął szyje obu ofiar. Wystarczająco mocno, by spowodować pęknięcia blaszek, ale bez uszkodzenia kości gnykowej. – Paul popatrzył na swoje dłonie. – Pamiętasz, czy York ma duże ręce?

–Niezbyt duże. – Szczerze mówiąc, najbardziej zapamiętałem po-brudzone nikotyną palce. Ale dłonie musiałyby być ogromne, żeby zacisnęły się na szyi tak, by uszkodzić kręg. I zapewne przy okazji złamać kość gnykową.

–Najprawdopodobniej mamy do czynienia z zadzierzgnięciem za pomocą sznura albo garoty, a nie zadławieniem rękami – stwierdził Paul.

–Czegokolwiek użył, musiał umocować to wokół szyj ofiar dokładnie w tym samym miejscu, powodując za każdym razem identyczne uszkodzenia tego samego kręgu. Ale trudno dokładnie ustalić, czym się posłużył



–oznajmił zamysłony.

–Tom ustalił.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

–Tak?

–Pamiętasz, co powiedział Mary, kiedy zabrano go do szpitala? Hiszpański. Wtedy nie wiedzieliśmy, o co mu chodzi.

Fakt, że Paul i teraz nie zrozumiał od razu, dodatkowo świadczył o jego zmęczeniu.

–Hiszpański kołowrót! Chryste, powinienem się domyślić.

Ja leż. Trzeba owinąć krwawiącą kończynę bandażem lub kawałkiem materiału, potem wsunąć pod to patyk i obracać. Tak właśnie działa hiszpański kołowrót. W swojej podstawowej postaci to zaimprovizowana opaska uciskowa, którą można dowolnie zaciskać lub rozluźniać. Proste rozwiązanie, które ocaliło wielu ludzi.

Ale nie stosowane w taki sposób, jak to robił York.

Pomyślałem o zdjęciach, które TBI znalazło w garażu. Pełen cierpienia grymas ofiar, ich ciemne opuchnięte twarze. Nabiegłe krwią, gdy York stopniowo przekręcał kołowrót, powoli wyciskając życie.

I fotografując to.

Odpędziłem od siebie ten obraz.

York może nawet nie zdawał sobie sprawy, że zostawia ślady. Nie przypuszczał, że pękły blaszki. A jeżeli nawet zauważył różowe zęby, to pewnie nie rozumiał znaczenia mało znanego zjawiska.

–Wciąż jeszcze pozostaje kwestia krwi w chacie – zauważył Paul. – Loomis został uduszony, a więc skąd, u diabła, wzięło się tam tyle krwi?

–Może to kolejna gierka Yorka? – zasugerowałem. Badanie DNA powinno rozwiązać zagadkę, ale może nie będziemy musieli tak długo czekać.

Jeżeli miałem rację, przekonamy się o rym niedługo. Paul odłożył kręg.

–Rozmawiałem wcześniej z Gardnerem. Nie przyznał tego wprost, ale najwyraźniej poważnie traktują twoją teorię w sprawie Toma. Nie wykluczają, że York będzie próbował dopaść inną osobę związaną ze śledztwem.

**–Co więc Gardner zamierza zrobić? Paul wzruszył ramionami.**

**–Niewiele może, poza udzieleniem przestrogi, żebyśmy zachowali szczególną ostrożność. Przecież nie weźmie wszystkich pod swoje skrzydła; zresztą nie ma dość ludzi.**

**–Dobrze, uważam się za ostrzeżonego. Uśmiechnął się, ale bez cienia wesołości.**

**–Robi się coraz ciekawiej, co? Masz cholernie atrakcyjną podróż badawczą.**

**Owszem, ale mimo wszystko byłem zadowolony, że przyjechałem. Nie chciałbym stracić szansy pracy z Tomem, bez względu na to, jak się skończyła.**

**–Boisz się? – zapytałem.**

**Szczecina Paula zachręściła, gdy przesunął dłonią po twarzy.**

**–Właściwie nie. Przedtem York działał z zaskoczenia, ale teraz stracił tę możliwość. Nie twierdzą, że nie będę ostrożny, ale nie zamierzam całe życie spoglądać przez ramię tylko dlatego, że jakiś psychol postanowił mnie sprzątnąć.**

**–Po jakimś czasie człowiek się do tego przyzwyczaja – powiedziałem.**

**Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, potem wybuchnął śmiechem.**

**–No tak, ty chyba się przyzwyczaiłeś. – Spoważniał nagle. – Posłuchaj, Davidzie, jeżeli zdecydujesz się wycofać, nikt nie będzie miał do ciebie pretensji. To nie jest twój problem.**

**Wiedziałem, że ma dobre intencje, ale to przypomnienie zabolalo jak wymierzony policzek.**

**–Może nie. Ale mimo wszystko czuję, że jest.**

**Paul kiwnął głową, spojrzał na zegarek i się skrzywił.**

**–Przepraszam, muszę iść. Kolejne cholerne zebranie rady wydziału. Za dzień lub dwa trochę się uspokoi, ale na razie muszę być w dwóch miejscach na raz.**

**Kiedy zniknął za drzwiami, wokół mnie zamknęła się cisza sali pro-sektoryjnej. Patrzyłem na częściowo zrekonstruowany szkielet i myślałem o Tomie.**

**Potem znów wziąłem się do roboty.**

**Pracowałem dłużej, niż zamierzałem. Chciałem przede wszystkim nadrobić stracony czas, ale również dlatego, że perspektywa spędzenia samotnego wieczoru w pokoju**

hotelowym była niezbyt zachęcająca. Praca pozwalała mi nie myśleć o tym, że Tom nie żyje.

Po wyjściu Paula czułem przygnębienie i niepokój. Moje zmysły stały się dziwnie wyostrzone. W chemicznym smrodzie prosektorium wy-czuwałem domieszkę nieokreślonego biologicznego odoru, jakieś słabe przypomnienie stołu rzeźnika. Białe kafelki i metalowe powierzchnie po-łyskiwały zimno w jaskrawym świetle. Ale najgorsza była cisza. Bardziej odczuwałem, niż słyszałem odległy pomruk generatora, gdzieś kapłała woda z niedokręconego kranu. Ale poza tym nic. W normalnej sytuacji nawet nie zwracałem uwagi na ciszę.

Teraz przenikała mnie aż do szpiku kości.

Oczywiście, domyślałem się, o co chodzi: York może wziąć na cel jakiegoś innego uczestnika śledztwa. Do tej pory martwiłem się tylko

o Toma, ale naiwnością było przypuszczać, że jego śmierć powstrzyma zabójcę.

York po prostu zmieni priorytety i znów ruszy do ataku.

Do tego momentu Paul właściwie nie brał udziału w dochodzeniu, ale wiele innych osób mogło zaspokoić ewidentne pragnienie Yorka zdobycia słynnych ofiar. Nie byłem aż tak zarozumiały, aby uważać się za potencjalny cel. Mimo to po raz pierwszy od wielu dni przyłapałem się, że do-tykam blizny pod chirurgicznymi spodniami.

Skończyłem po dziesiątej. Kości Noaha Harpera nie ujawniły już nic istotnego, ale wcale tego nie oczekiwałem. Pęknięty kręg szyjny wystar-czał. Przebrałem się i poszedłem głównym korytarzem prosektorium.

Miałem wrażenie, że cały budynek należy do mnie. A nawet Kyle pewnie już dawno wrócił do domu. Jeden z pasów świetlówek nie działał i na ko-rytarzu panował półmrok. Przed sobą zobaczyłem pod drzwiami jednego z gabinetów cieniutki pasek słabego światła. Przechodziłem obok, kiedy z wnętrza pokoju rozległ się głos:

–Kto tam?

Natychmiast poznałem to poirytowane warknięcie. Wiedziałem, że rozsądnie byłoby po prostu nie reagować. Nic już nie przywróci Toma do życia. Daj spokój. Nie warto.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

Hicks siedział za biurkiem i właśnie zamykał szufladę. Widziałem go po raz pierwszy od tamtej sceny na cmentarzu. Przez chwilę żaden z nas się nie odzywał. Lampa rzucała na biurko krąg światła, pogrążając resztę niedużego gabinetu w mroku.

**Anatomopatolog patrzył na mnie ponuro.**

**–Myślałem, że to jakiś pracownik prosektorium – wymamrotał. Zobaczyłem stojącą przed nim szklaneczkę do połowy wypełnioną**

**ciemnym płynem i domyśliłem się, że kiedy wszedłem, właśnie chował butelkę.**

**Najpierw zamierzałem wygarnąć Hicksowi, ale kiedy zobaczyłem go zgarbionego za biurkiem, zrezygnowałem z robienia mu awantury. Odwróciłem się do wyjścia.**

**–Poczekaj pan. – Przez chwilę poruszał ustami, jakby próbował przypomnieć sobie jakieś nieznane słowa, zanim je wypowie. – Bardzo mi przykro. Z powodu Liebermana. – Wpatrywał się w podkładkę na biurku, bazgrząc na niej abstrakcyjne wzory. Miał na sobie kremowy garnitur, wygnieciony i brudny; uświadomiłem sobie, że za każdym razem widziałem go w tym ubraniu. – Był dobrym człowiekiem, choć... nie zawsze się zgadzaliśmy.**

**Milczałem. Jeżeli usiłował uspokoić swoje sumienie, nie miałem zamiaru mu w tym pomagać.**

**Ale najwyraźniej nie oczekiwał tego ode mnie. Podniósł szklaneczkę i wpatrywał się w nią posępnie.**

**–Wykonuję tę pracę od ponad trzydziestu lat i wie pan, co jest w tym najgorsze? Kiedy umiera ktoś, kogo się zna, mimo wszystko to cholernie zaskakuje.**

**Wydał wargi, jakby zastanawiał się nad tym faktem. Wypił zawartość szklaneczki do dna. Z cichym stęknieniem pochylił się, otworzył szufladę i wyjął prawie pełną butelkę burbona. Przez jedną koszmarzną chwilę myślałem, że zaproponuje mi drinka, wygłosi ckliwy toast za Toma. Ale nalał tylko sobie i włożył butelkę z powrotem do szuflady.**

**Czekałem czy jeszcze coś powie, ale patrzył w przestrzeń, jakby zapomniiał albo żałował, że tu jestem. To, co skłoniło go do rozpoczęcia monologu, zniknęło.**

**Zostawiłem go samego.**

**Spotkanie z anatomopatologiem poruszyło mnie. Wygodne czarno-białe kryteria, według których oceniałem Hicksa, zostały podane w wątpliwość. Zastanawiałem się, jak wiele nocy siedział samotny w małym gabinecie – poza pracą nie miał nic.**

**To były niewygodne myśli.**

**Wszedłem z prosektorium i ruszyłem do samochodu, wciąż czując, że strata Toma tkwi we mnie jak ćmiący ból pod mostkiem. Noc była chłodniejsza niż zazwyczaj, co**

przypominało, że dopiero niedawno skończyła się zima. Moje kroki odbijały się echem od ciemnych budynków. Szpitale nigdy nie są całkowicie puste, ale po godzinach odwiedzin wydają się bardzo odludne. A prosektorium zawsze znajdowało się na uboczu.

Do parkingu było niedaleko, a ja przezornie zostawiłem samochód na dobrze oświetlonym miejscu, na samym środku. Ale kiedy szedłem w jego stronę, wciąż przypominało mi się ostrzeżenie Gardnera. Coś, co za dnia wydawało się całkowicie bezpieczne, teraz wyglądało zupełnie inaczej. Wejścia stały się mrocznymi dziurami, trawniki, które podziwiałem w słońcu, przypominały czarne dywany.

Starłem się iść spokojnie i miarowo, nie pozwalając, aby oładnęło mną instynktowne pragnienie przyspieszenia kroku, ale odetchnąłem z ulgą, kiedy już zbliżałem się do auta. Wyjąłem kluczyki i otworzyłem centralny zamek jeszcze kilka metrów przed samochodem. Nagle zobaczyłem, że coś leży na przedniej szybie.

Pod wycieraczkę wsunięto skórzaną rękawiczkę; jej palce rozczapierały się na szkle. Ktoś pewnie znalazł ją na ziemi i położył w widocznym miejscu. Głos w podświadomości próbował mnie ostrzec, podpowiadając, że to nie jest odpowiednia pora roku na rękawiczki, ale już jej dotknąłem.

Była zimna, tłusta i zdecydowanie za cienka na wyprawioną skórę.

Gwałtownie cofnąłem rękę i spojrzałem za siebie. Zdawało się, jakby pogrążony w mroku pusty parking ze mnie szydził. Serce zaczęło mi łomotać. Znowu popatrzyłem na przedmiot na przedniej szybie. Już go nie dotykałem. Teraz wiedziałem, że to nie skórzana rękawiczka.

To ludzka skóra.

Łozdział 18

Gardner przyglądał się, jak technik unosi wycieraczkę i pincetą ostrożnie chwytą kawałek skóry. Przyjechał razem z Jacobsen dwadzieścia minut temu. Towarzyszyła im wielka furgonetka – polowe laboratorium kryminalistyczne TBI. Wokół samochodu ustawiono reflektory i rozciągnięto taśmę policyjną.

–Nie powinien pan tego dotykać – powiedział Gardner, zresztą nie po raz pierwszy.

–Gdybym wiedział, co to takiego, na pewno bym nie dotknął.

W moim głosie musiało zabrzmieć trochę irytacji. Stojąca obok Gardnerem Jacobsen przestała przyglądać się zespołowi techników sprawdzających, czy na moim samochodzie są jakieś odciski palców. Spojrzała na mnie z niepokojem – pomiędzy jej brwiami znowu pojawiła się ta mała fałdka – ale się nie odezwała.

Gardner też umilkł. Od samego początku trzymał w ręku dużą, brązową kopertę, ale jak dotąd nie wspomniał, co tam jest. Z kamiennym wyrazem twarzy patrzył, jak technik ostrożnie wkłada skórę do torebki na dowody rzeczowe. Tym razem pracował inny zespół niż poprzednio. Zastanawiałem się, czy specjalnie zostali wybrani do tego zadania, czy po prostu akurat byli wolni. Nie miało to większego znaczenia, ale lepiej myśleć o tym niż zastanawiać się, co znaczy ten nowy zwrot wydarzeń.

Technik podszedł do nas, ostrożnie trzymając torebkę. Podniósł ją, żeby Gardner mógł się lepiej przyjrzeć.

–Rzeczywiście ludzka.

Nie musiał mi tego mówić. Skóra była ciemnobrązowa, niemal przezroczysta. Teraz wyraźnie widziałem – jak na rękawiczkę miała zbyt nieregularny kształt, ale nic dziwnego, że się pomyliłem. Owszem, widywałem już takie rzeczy, nigdy jednak na przedniej szybie swojego samochodu.

–Czy to znaczy, że York obdziera swoje ofiary ze skóry? – zapytała Jacobsen. Bardzo starała się zachowywać spokój, ale nawet nią wstrząsnął ten widok.

–Nie sądzę – odpowiedziałem. – Czy mogę?

Wyciągnąłem rękę po torebkę. Technik poczekał, aż Gardner wyrazi zgodę, dopiero potem mi ją podał.

Podniosłem torebkę pod światło. W kilku miejscach, zwłaszcza na grzbiecie, skóra była pęknięta i rozerwana, ale mimo wszystko w przybliżeniu zachowywała kształt dłoni. Czułem, że jest miękka i elastyczna. Wydobywająca się z niej oleista ciecz pobrudziła wnętrze plastikowego woreczka.

–Nie została zdarta – stwierdziłem. – Wtedy przypominałaby płaski arkusz. W paru miejscach jest popękana, ale mniej więcej cała. Sądzę, że zeszła z dłoni w jednym kawałku.

Na twarzy Gardniera i technika nie było widać zdziwienia, ale Jacobsen najwyraźniej nic nie rozumiała.

–Zeszła?

–Po kilku dniach skóra sama schodzi ze zwłok. Zwłaszcza z takich części jak głowa i stopy. No i dłonie. Jestem pewien, że tak było w tym przypadku.

Zaintrygowana patrzyła na woreczek.

–Chce pan powiedzieć, że to zsunęło się ze zwłok?

–Mniej więcej. – Odwróciłem się do technika, który przyglądał się nam z kwaśną miną. – Zgadza się pan?

Kiwnął głową.

–Dobrze, że jest taka miękka. Nie będziemy musieli jej moczyć przed pobraniem odcisków palców.

Czułem, że Gardner spogląda na mnie, i wiedziałem, że już rozumie, o co mi chodzi. Ale Jacobsen nie mogła wyjść ze zdziwienia.

–Zdejmiecie z tego odciski palców?

–Oczywiście. Zazwyczaj skóra jest wysuszona i krucha, dlatego trzeba ją zmiękczać w wodzie. Potem zakłada się ją jak rękawiczkę i normalnie odciska linie papilarne.

Pomachał ręką w powietrzu.

–Nie będziemy cię zatrzymywać, Dekę – oznajmił Gardner. Technik z trochę zawstydzoną miną opuścił rękę i wrócił do samochodu. Gardner postukał kopertą o nogę. Patrzył na mnie niemal ze złością. – No i co? Pan to powie czyja?

–Co takiego? – spytała Jacobsen.

Gardner mocno zacisnął usta, aż jego wargi tworzyły tylko cienką linię.

–No mów pan.

–Zastanawialiśmy się, jak York zdołał zostawiać na miejscu zbrodni odciski palców ofiar wiele miesięcy po ich śmierci – zacząłem, kiedy odwróciła się w moją stronę. – Teraz już wiemy.

Zmarszczka na czole Jacobsen zniknęła.

–Sugeruje pan, że używał skóry z ich dłoni? Nosił ją jak rękawiczkę?

–Nigdy dotąd nie słyszałem o takim sposobie podmiany odcisków palców, ale na to wygląda. Pewnie dlatego zwłoki Noaha Harpera były w stanie tak daleko posuniętego rozkładu. York chciał mieć skórę z jego dłoni, zanim zamienił go miejscami z Willisem Dexterem.

A potem poczekał jeszcze kilka dni, wrócił do lasu i zabrał także skórę z dłoni Dextera. Padlinożercy nie interesowali się skrawkami wyschniętej tkanki, skoro mieli

do zjedzenia całej zwłoki. A gdyby stało się inaczej...

Musiałby po prostu wykorzystać kogoś innego.

Byłem zły na siebie, że nie domyśliłem się tego wcześniej. Niestety zignorowałem wysiłki mojej podświadomości, która wywoływała déjŗ vu na widok pomarszczonych dłoni po zdjęciu lateksowych rękawic. Tom miał rację, powinienem bardziej polegać na swojej intuicji.

Jego też powinienem uważniej słuchać.

Jacobsen wzięła ode mnie torebkę. Oglądała jej zawartość z obrzydzeniem, a jednocześnie fascynacją.

–Dekę powiedział, że nie jest wysuszona. Czyli że... odpadła od ciała niedawno?

Domyśliłem się, że chodzi jej o Irvinga. Chociaż nikt nie powiedział tego na głos, wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że psycholog na pewno nie żyje. Ale nawet gdyby został zabity natychmiast po porwaniu, skóra nie zeszlaby tak szybko. Nie wiadomo, czyja była, ale na pewno nie jego.

–Wątpię – odparłem. – Raczej została specjalnie naoliwiona, aby się zakonserwowała i zachowała elastyczność... – Przerwałem, bo coś przytrafiło mi do głowy. Spojrzałem na przednią szybę auta i tłuste plamy na szkle. – Oliwka dziecięca.

Gardner i Jacobsen popatrzyli na mnie ze zdziwieniem.

–Odcisk palca w chacie był zostawiony na oliwce dziecięcej – wyjaśniłem. – Irving uznał to za dowód, że zabójstwo popełniono na tle seksualnym, ale się mylił. York używał oliwki, aby zachować elastyczność skóry. Zawarte w niej naturalne tłuszcze wyschłyby, a jemu zależało, żeby odcisk był czytelny. Dlatego natłuszczał ją jak stary rzemień.

Pamiętałem szyderczy żarcik Irvinga. „Chyba że zabójca upodobał sobie nawilżanie...” Był bliżej prawdy, niż sądził.

–Skoro York zbierał odciski palców ofiar, dlaczego nie wziął też skóry z dłoni Terry'ego Loomisa? – dopytywała się Jacobsen.

–Wtedy szybko byśmy się zorientowali, o co chodzi – stwierdził Gardner. Złość na samego siebie nadała jego głosowi ostrych tonów. –

York chciał sam decydować, kiedy pozwoli nam się w tym wszystkim połapać.

Patrzyłem, jak technicy starannie obsypują proszkiem daktyloskopii-nym kolejną



część samochodu. Pracowali bardzo dokładnie, choć nie wiadomo było, czy ich wysiłki nie pójdą na marne.

–Dlaczego więc zrobił to teraz? – zapytałem. Gardner spojrzął na Jacobsen. Wzruszyła ramionami.

–Znowu się przechwala, daje znać, że się nas nie boi. Najwyraźniej sądzi albo wie, że nic nam to nie da. Wcześniej czy później domyślilibyśmy się, jak pozostawia te odciski palców. A tak nadal kontroluje sytuację.

Drugie pytanie nie padło. Dlaczego ja? Ale obawiałem się, że znam już odpowiedź.

Gardner spojrzął na trzymaną w ręku kopertę. Najwyraźniej podjął decyzję.

–Dianę odwiezie pana do hotelu. Proszę się stamtąd nie ruszać, dopóki nie zadzwonię. Niech pan nie wpuszcza nikogo do pokoju. Jeżeli ktoś powie, że to służba hotelowa, proszę najpierw porządnie się upewnić.

–A co z samochodem?

–Kiedy skończymy, damy znać. – Odwrócił się do Jacobsen. – Dianę, na słówko.

Odeszli poza zasięg głosu. Mówił tylko Gardner. Jacobsen skinęła głową, kiedy podał jej kopertę. Zastanawiałem się, co tam jest, ale bez większego zainteresowania.

Spojrzałem na pracujące przy moim aucie postaci w białych kombinezonach. Drobnutki proszek, który wydobywał odciski palców, zmatowił lakier. Teraz i samochód wyglądał jak martwy wrak.

Poczułem gorzki smak w ustach. Przesunąłem kciukiem po szramie na dłoni. Przyznaj. Boisz się.

Już kiedyś tropiła mnie morderczyni. Przyjechałem tutaj w nadziei, że

o tym zapomnę.

A teraz wszystko zaczyna się na nowo.

Kiedy Jacobsen wiozła mnie do hotelu, zaczęło padać. Grube krople spływały po szybach nierównymi strużkami, były usuwane przez wycieraczkę, ale po chwili pojawiały się z powrotem. Poza terenem szpitala na jezdniach i w barach wciąż panował tłok. Widok jaskrawych świateł

1 ulic pełnych ludzi przynosił ulgę, ale jakoś nie mogłem włączyć się do

tej normalności. Czułem się oddzielony od niej czymś więcej niż szybą samochodu.

**Zdawałem sobie sprawę, że poczucie bezpieczeństwa, które oferuje, jest iluzoryczne.**

**Na jakiś czas nawet zapomniałem, że Jacobsen siedzi tuż obok mnie. Dopiero kiedy się odezwała, zmusiłem się, żeby znów myśleć o tym, co tu i teraz.**

**–Dan powiedział, że Loomis i Harper zostali uduszeni czymś w rodzaju opaski.**

**Drgnąłem trochę zaskoczony sposobem rozpoczęcia rozmowy.**

**–Uhm, hiszpański kołowrót. Taka opaska uciskowa. – Wyjaśniłem, jak to działa.**

**–To by się zgadzało. York lubi mieć władzę. Możliwość panowania nad życiem i śmiercią sprawia mu o wiele więcej satysfakcji niż zamordowanie kogoś od razu. Kontroluje cały proces, precyzyjnie decyduje, kiedy mocniej zacisnąć i zabić ofiarę. – Zerknęła na mnie.**

**–Przepraszam, to nie było zbyt taktowne. Wzruszyłem ramionami.**

**–Nie ma sprawy. Widziałem, co robi York. Nie zamierzam zemdleć tylko dlatego, że bawi się w szarady.**

**–Podłożenie panu skóry to też szarada?**

**–Gdyby na serio zamierzał mnie załatwić, to po co by mnie ostrzeżał? – Ledwo skończyłem zdanie, przypomniałem sobie, że miałem do czynienia z morderczynią, która postępowała dokładnie tak samo.**

**Jacobsen też nie przekonałem.**

**–York musi zaznaczać swoją przewagę. To, co stało się z doktorem Liebermanem, uznał za porażkę. W rezultacie nadszarpnął poczucie własnej wartości. Musi więc dokonać jeszcze bardziej spektakularnego wyczynu, aby zatrzeć wrażenie klęski. Czymś takim może być ostrzeżenie przyszłej ofiary.**

**–Wciąż nie rozumiem, dlaczego właśnie mną York miałby zawracać sobie głowę. Tom i Irving byli bardzo znanymi osobistościami. Dlaczego nagle przestałby się interesować prestiżowymi ofiarami, a zaczął zajmować człowiekiem, o którym nikt nie słyszał? To nie ma sensu.**

**–Dla pana, nie dla niego. – Jej twarz była bardzo poważna. – Proszę pamiętać, widział, że współpracuje pan z doktorem Liebermanem. Poza tym jest pan Brytyjczykiem. York może uważać, że zabicie obcokrajowca, gościa ośrodka, narobi więcej szumu niż zamordowanie kogoś stąd.**

**O tym nie pomyślałem.**

–Chyba powinno mi to pochlebiać – powiedziałem, usiłując zamieć naszą rozmowę w żart.

Moje wysiłki nie zostały nagrodzone uśmiechem.

–Proszę nie traktować tego tak lekko. Wierz mi, że nie traktuję.

–Mogę o coś zapytać? – Zmieniłem temat. – Czy ma pani jakieś wiadomości z laboratorium o próbkach krwi z chaty?

Odpowiedziała po króciutkiej pauzie.

–Całkowita analiza DNA trwa tygodniami.

Nie o to pytałem, ale jej unik upewnił mnie, że jestem na właściwym tropie.

–Tak, ale powinni już określić, czy to ludzka krew.

W innej sytuacji jej zdziwienie sprawiłoby mi przyjemność.

–Skąd pan o tym wie?

–Nazwijmy to uzasadnionym domysłem. A więc zwierzęca, zgadza się?

Jej ciemny profil poruszył się z góry na dół.

–Dostaliśmy wyniki dopiero dzisiaj po południu, ale już wcześniej zorientowaliśmy się, że coś nie pasuje. Techników nie przekonały ślady krwi w chacie, mimo że York bardzo starannie je przygotował. Dla tego laboratorium wykonało wstępny test. No i okazało się, że to nie jest krew człowieka. Mimo to dla pewności trzeba poczekać, aż wyodrębnią DNA.

–Co to było? Krew świni?

Uśmiechnęła się i w ciemności dostrzegłem biel jej zębów.

–Teraz się pan popisuje. Cóż, może trochę.

–To nie takie skomplikowane, jak się wydaje – przyznałem. – Kiedy potwierdziliśmy, że Terry Loomis został uduszony, stało się oczywiste, że krew nie mogła być jego. W takim razie rany na ciele zostały zadane już po śmierci, co z kolei wskazuje, że większość krwi w chacie pochodziła z innego źródła.

–Wciąż nie rozumiem, skąd pan wiedział, że to była krew świni... – zaczęła, a potem sama odpowiedziała na swoje pytanie. – Och, wiem. Zęby, które znalazł pan przy zwłokach Willisa Dextera.

–Już wcześniej podejrzewałem, że to krew zwierzęca. A kiedy zobaczyłem zęby, domyśliłem się, że może też pochodzić od świni – wyjaśniłem. – To wygląda na ulubiony rodzaj gierki Yorka.

Jacobsen milczała. Deszcz spływający po szybie malował jej twarz marmurkowym wzorem. W ukośnych smugach żółtego światła latarni jej profil przypominał grecką rzeźbę.

–Właściwie nie powinnam panu tego mówić – zaczęła wolno. – Z laboratorium dostaliśmy nie tylko wyniki badań krwi z chaty. U Noaha Harpera wyszedł pozytywnie test na zapalenie wątroby typu C.

O Boże. Biedny Kyle. W przeciwieństwie do A i B na zapalenie wątroby typu C nie ma szczepionki. Zараżenie wirusem nie musi prowadzić do śmierci, ale leczenie jest długotrwałe i nieprzyjemne. A nawet wtedy nie ma gwarancji.

–Czy Kyle wie? – zapytałem, uświadamiając sobie, że zamiast niego ja mogłem się zarazić.

–Jeszcze nie. Minie trochę czasu, zanim dostanie wyniki ze szpitala, a Dan uważa, że nie ma sensu na razie go niepokoić. – Zerknęła na mnie. – To absolutnie poufna informacja.

–Oczywiście. – Tym razem zgadzałem się z Gardnerem. Wciąż istniała szansa, że Kyle uniknął zarażenia, ale nie dałbym za to głowy.

Niemal to zrobiłeś.

Przyjechaliśmy do hotelu. Jacobsen znalazła wolne miejsce blisko wejścia. Kiedy parkowała, zauważyłem, że ciągle zerka w lusterko wsteczne.

–Odprowadzę pana do pokoju – oświadczyła, sięgając na tylne siedzenie po kopertę od Gardnera.

–Nie ma potrzeby.

Ale już wysiadała z samochodu. Kiedy wchodziliśmy do hotelu, wyczułem w niej wzmożoną czujność. Nieustannie zerkała na prawo i lewo. Przyglądała się twarzom wokół nas, wyszukując potencjalne zagrożenia, i widziałem, że trzyma prawą rękę blisko pistoletu ukrytego pod żakietem. Nie potrafiłem jednak traktować tego zbyt poważnie.

Dopiero chwilę potem przypomniałem sobie, co znalazłem na przedniej szybie samochodu.

Wychodząca z windy starsza kobieta uśmiechnęła się do nas promiennie i mogłem sobie wyobrazić, co pomyślała. Kolejna młoda para, która wybiera się do łóżka po dniu spędzonym w mieście. Było to tak dalekie od prawdy, że niemal śmieszne.

Windą jechaliśmy tylko we dwoje i z każdym mijanym piętrem napięcie rosło. W pewnym momencie nasze ramiona zetknęły się lekko, powodując ostry trzask wyładowania statycznego. Szybko się odsunęła. Z windy wyszła pierwsza. Wsunęła dłoń pod żakiet, położyła na kolbie broni i sprawdziła, czy korytarz jest pusty. Mój pokój znajdował się na drugim końcu. Przesunąłem kartę magnetyczną przez czytnik i otworzyłem drzwi.

–Dziękuję za eskortę.

Uśmiechałem się, ale Jacobsen była teraz zimną profesjonalistką. Bariery między nami, które na krótko zniknęły w czasie jazdy samochodem, znowu się pojawiły.

–Mogę sprawdzić pański pokój?

Już chciałem powiedzieć, że nie trzeba, ale uznałem, że to strata czasu. Przepuściłem ją w progę.

–Bardzo proszę.

W czasie przeprowadzanej kontroli stałem przy łóżku. Pokój nie był duży, więc szybko się upewniła, że York się tu nie ukrył. Wciąż trzymała kopertę od Gardnera i kiedy skończyła sprawdzanie, podeszła z nią do mnie. Zatrzymała się w odległości kilkunastu centymetrów. Jej twarz znowu przypominała maskę.

–Jeszcze jedno. Dan chciał, żebym panu to pokazała. – Otworzyła kopertę. – Nad drogą do szpitalnego automatu telefonicznego jest kamera systemu ochrony. Zrobiliśmy kopie ujęć, które wykonała w czasie, kiedy dzwoniło do doktora Liebermana.

Podawała mi cienki plik fotografii – poszczególne kadry z kamery telewizji przemysłowej: niskiej jakości, ziarniste, z wydrukowaną u dołu datą i godziną. Poznałem okolice automatu. W głębi widniały nieostre zarysy dwóch samochodów i pudełkowaty kształt ambulansu.

Ale bardziej zainteresowała mnie ciemna postać, zarejestrowana w chwili, gdy odchodziła od telefonu. Kiepska jakość obrazu nie pozwalała rozróżnić rysów. Pochylona głowa, twarz prawie całkowicie zasłonięta dużą czapką z daszkiem.

Na innych fotografiach – chyba jeszcze mniej wyraźnych – postać wyglądała podobnie.

–Laboratorium próbuje podciągnąć jakość – wyjaśniła Jacobsen. – Nie możemy stwierdzić na pewno, że to York, ale wzrost i budowa ciała wydają się odpowiednie.

–Nie pokazuje mi pani tych zdjęć tylko z grzeczności, prawda?

–Nie. – Popatrzyła mi prosto w oczy. – Niewykluczone że York spróbuje się do pana zbliżyć. Ciemne ubranie i czapka mogą być jakimś mundurem. A jeżeli spojrzysz pan na jego biodro, widać tam coś, co przypomina latarkę. Pewnie udaje policjanta albo... doktorze Hunter? O co chodzi?

Wpatrywałem się w zdjęcie, a pamięć przywoływała obraz. Latarka.

–Ochroniarz – powiedziałem.

–Słucham?

Opowiedziałem jej o spotkaniu na parkingu kilka nocy wcześniej.

–To raczej nic ważnego. Po prostu sprawdzałem, co tam robię. Jacobsen zmarszczyła brwi.

–Kiedy to było? Musiałem sobie przypomnieć.

–W noc przed porwaniem Irvinga.

–Dobrze mu się pan przyjrzał?

–Świecił mi latarką prosto w twarz. W ogóle go nie widziałem.

–Zapamiętał pan coś jeszcze? Głos, coś charakterystycznego? Pokręciłem głową, wciąż intensywnie myśląc.

–Nie. Może tylko... hm, jego głos brzmiał... jakoś dziwnie. Szorstko.

–Jakby chciał go zmienić?

–Możliwe.

–I nie poinformował nas pan o tym? W ogóle o tym wtedy nie myślałem.

–Proszę posłuchać, to tylko ochroniarz. Gdyby to był York, dlaczego dałby mi odejść?

–Sam pan powiedział, że to wydarzyło się w nocy przed zniknięciem profesora Irvinga. Może miał inne plany.

Umilkłem. Jacobsen schowała zdjęcia do koperty.

–Przesłuchamy ochronę szpitala. A tymczasem po moim wyjściu proszę nie otwierać drzwi. Jutro rano ktoś się z panem skontaktuje.

–A więc mam tu po prostu czekać, aż dacie mi znać? Znowu była jak z kamienia.

–We własnym, dobrze pojętym interesie. Dopóki nie obmyślimy planu działania.

Zastanawiałem się, co właściwe miała na myśli, ale odpuściłem sobie. Wszelkie decyzje i tak podejmuje Gardner albo ktoś wyżej, nie ona.

–Może napiłaby się pani czegoś przed wyjściem? Nie wiem, jak do dobrze jest zaopatrzone minibar, ale zamówię kawę albo...

–Nie. – Gwałtowność jej reakcji zaskoczyła chyba nas oboje. – Dziękuję, muszę wracać do Dana – dodała już spokojniej. Ale rumieniec, który pojawił się na jej twarzy, świadczył o silnych emocjach.

Ruszyła w stronę drzwi. Przypomniała mi jeszcze, żebym je zamknął, i wyszła. O co tu chodzi? Czy doszukała się jakichś dodatkowych znaczeń w mojej propozycji wypicia drinka? Cóż, byłem zbyt zmęczony, żeby przejmować się tym dłużej.

Usiadłem ciężko na krawędzi łóżka. Wydawało mi się niemożliwe, że dopiero dziś rano dowiedziałem się o śmierci Toma. Zamierzałem zadzwonić do Mary, ale zrobiło się już zbyt późno. Oparłem głowę na dłoniach. Chryste, co za historia. Czasami wydawało mi się, że prześladuje mnie pech, że ściągam nieszczęścia. Zastanawiałem się, czy wydarzenia potoczyłyby się tym samym torem, gdybym tu nie przyjechał. Ale prawie usłyszałem, co powiedziałaby Tom. Przestań się zadręczać, Davidzie. To zdarzyłoby się tak czy owak. Jeżeli chcesz kogoś obwiniać, to tylko Yorka. Ale Tom nie żył. A York wciąż był na wolności. Podeszedłem do okna. Oddech osiadł parą na zimnym szkłe, zmieniając świat za szybą w niewyraźne, żółte plamy w ciemności. Pojawił się z powrotem przy akompaniamencie pisku skóry trącej o szkło, kiedy dłonią przecierałem szybę. Ulica w dole była pasmem jaskrawych neonów, reflektory samochodów tańczyły po niej bezgłośnie. Wszyscy ci ludzie, zajęci własnymi sprawami, obojętni na siebie nawzajem. Kiedy patrzyłem na nich, niemal boleśnie uświadomiłem sobie, jak daleko znajduję się od domu, jak bardzo jestem tu obcy.

Obcy czy nie, ale jesteś tutaj. Pogódź się z tym. Przypomniałem sobie, że jeszcze nic nie jadłem. Odwróciłem się od okna i sięgnąłem po menu obsługi pokoi, ale tylko zerknąłem na poetyckie opisy szybkich dań i odłożyłem kartę. Nagle poczułem się jak w klatce. Nie będę się chować do momentu, kiedy Gardner wymyśli, co ze mną zrobić. Wziąłem marynarkę i zjechałem do holu. Chciałem wstąpić do hotelowego nocnego baru, żeby zobaczyć, czy jeszcze dają tam coś do zjedzenia, ale

ostatecznie poszedłem dalej. Nie wiedziałem, dokąd ide. chciałem po prostu być gdzieś indziej.

Na dworze przestało padać, ale powietrze zachowało wilgotną świeżość. Chodnik był lśniący i śliski. Kiedy maszerowałem ulicą, spod moich butów bryzgała woda. Swędziała mnie skóra między łopatkami, ale opanowałem chęć spojrzenia za siebie. No dalej, York. Chcesz mnie? Jestem tutaj!

Ale moja brawura szybko zniknęła. Wszedłem do pobliskiego baru. Serwowali tylko burgery i pieczone kurczaki, trudno. Zamówiłem na chybił trafił i oddałem menu kelnerce.

–Coś do picia?

–Piwo. Albo nie, chwileczkę. Macie burbona? Blanton?

–Tylko jima albo jacka.

Zamówiłem jim beam z lodem. Wolno wypilem łyk. Whisky paliła delikatnie w przełyku, rozpuszczając tkwiącą w nim kulę. Za ciebie, Tom. Obiecuję, wkrótce dopadniemy sukinsyna.

Przez jakiś czas niemal sam w to wierzyłem.

Pasy i tryby lśnią w świetle lampy. Polerujesz je po każdym razie i precyzyjnie obrobiona stal lśni, woskujesz skórę, aż jest miękka i elastyczna. Właściwie nie ma takiej potrzeby. Wiesz dobrze, że to pretensjonalne. Ale rytuał sprawia ci przyjemność. Czasem masz wrażenie, że czujesz zapach ciepłego wosku pasty; to tylko jakieś słabe wspomnienie, ale i tak cię uspokaja. Poza tym jest coś pociągającego w samych przygotowaniach, w ceremonii. Przypomina ci, że wszystkie twoje działania mają cel, że następny raz może być tym właściwym. I będzie.

Wiesz to.

Z miłością pucując do połysku skórę, powtarzasz sobie, że nie powinieneś robić sobie złudnych nadziei, ale nie możesz odpędzić dreszczyku oczekiwania. Zawsze go czujesz, wtedy kiedy wszystko jeszcze jest możliwe, a rozczarowanie to kwestia przyszłości. Ale tym razem wrażenie jest inne. Bardziej znaczące.

Specjalne.

Zostawienie skóry na przedniej szybie samochodu było dobrze przemyślaną zagrywką, wartą podjętego ryzyka. I tak by się zorientowali, co robisz, więc lepiej, że to się stało na twoich warunkach. Wciąż panujesz nad sytuacją, to najważniejsze.



**Kiedy uświadomią sobie, co się dzieje, będzie już za późno, a wtedy...**

**A wtedy...**

**Ale jest to coś, przed czym się cofasz. Nie możesz zajrzeć tak daleko w przyszłość. Lepiej skupić się na bezpośrednim zadaniu. Już niedługo.**

**Delikatnie obracasz mechanizm naciągowy. Patrzysz, jak tryby obracają się gładko z łagodnym terkotem zębów, napinając skórzany pasek. Zadowolony chuchasz na nie i pocierasz po raz ostatni. Twoje odbicie spogląda na ciebie, zniekształcone nie do poznania. Obserwujesz je dziwnie zaniepokojony myślami, które nigdy nie wydostają się na powierzchnię. A potem przecierasz je szmatką.**

**Już niedługo, powtarzasz sobie. Wszystko jest gotowe. Aparat ustawiony w odpowiednim miejscu czeka na swój obiekt. Mundur wyszczotkowany i wyczyszczony. No cóż, właściwie po prostu na tyle czysty, by nie zwracać uwagi. A tylko tyle ci trzeba. Wszystko jest sprawą wyczucia czasu.**

## **Rozdział 19**

**Gardner zadzwonił, kiedy siedziałam w hotelowej restauracji nad drugą kawą.**

**–Musimy porozmawiać.**

**Z poczuciem winy zerknąłem na zajęte stoliki wokół mnie. Przecież kazał mi zostać w pokoju. Zastanawiałem się, czy nie zamówić śniadania na górę, ale był jasny ranek, więc nie wydawało się to konieczne.**

**–Jestem w restauracji – powiedziałem.**

**Potępienie ze strony Gardnera mogłem wyczuć nawet przez telefon.**

**–Proszę tam zostać. Jadę – polecił i się rozłączył.**

**Popijałem stygnącą kawę, zastanawiając się, czy to moje ostatnie śniadanie w Tennessee. Całe rano czułem się nieswojo. Spałem źle i obudziłem się przygnębiony. Najpierw śmierć Toma, potem skóra za wycieraczką.**

**Nie najlepszy początek dnia.**

**Gardner musiał dzwonić gdzieś z bliska, bo pojawił się po niecałych dwudziestu minutach. Była z nim Jacobsen, jak zwykle obojętna i zdystansowana. Wydarzenia minionej nocy najwyraźniej nie pozostawiły na niej śladu, ale jeżeli miała coś w sobie z Dorianą Grayą, to Gardner przypominał portret na strychu. Wyglądał na zmęczonego, z siatką delikatnych linii i bruzd na twarzy. Stwierdziłem, że nie jest to**

**jednak wyłącznie wynik presji związanej z poszukiwaniami Yorka. Tom też był jego przyjacielem.**

**Ale idąc do mojego stolika z Jacobsen, która podążała krok za nim, trzymał się prosto jak zawsze.**

**–Mogę zamówić dla państwa kawę? – zaproponowałem, kiedy usiedli.**

**Oboje odmówili. Gardner rozejrzał się wokoło, czy nikt nas nie usłyszy.**

**–Kamery ochrony uchwyciły kogoś przy pańskim samochodzie wczoraj wieczorem o ósmej czterdzieści pięć – zaczął bez żadnego wstępu.**

**–Był zbyt daleko, żeby zarejestrować jakieś szczegóły, ale ciemne ubranie i czapka wyglądają tak samo jak na ujęciach przy automacie telefonicznym. Przepytaliśmy też ochronę szpitala. Człowiek, którego spotkał pan na parkingu, nie jest ich pracownikiem.**

**–York. – Gorycz w moich ustach nie miała nic wspólnego ze smakiem kawy.**

**–Nie zdołalibyśmy udowodnić tego w sądzie, ale tak uważamy. Nadal staramy się zidentyfikować odciski palców, które zdjęliśmy z pańskiego samochodu, ale jest ich bardzo dużo. A York i tak najprawdopodobniej nosił rękawiczki. – Gardner wzruszył ramionami. – Ze skórą też nie mieliśmy szczęścia. Odciski nie zgadzają się ani z odciskami Willisa Dextera, ani Noaha Harpera. Ręka była mała, więc mogła należeć do kobiety albo dziecka, ale nic poza tym nie dało się ustalić.**

**Dziecko. Chryste. Na mojej kawie utworzyła się warstwa ściętego mleka. Odsunąłem filiżankę od siebie.**

**–A co z fotografiami znalezionymi w domu Yorka? Macie jakieś przypuszczenia, kim są ci ludzie?**

**Gardner popatrzył na swoje dłonie.**

**–Szukamy w bazie danych osób zaginionych i nierozwiązanych przypadków zabójstw, ale to cholernie dużo do sprawdzenia. Poza tym i tak trudno będzie porównywać.**

**Racja. Przypomniałem sobie wykrzywione twarze.**

**–A przyszedł wam do głowy jakiś pomysł, gdzie może być York?**

**–Po przekazaniu prasie jego rysopisu odebraliśmy kilka niepotwierdzonych zgłoszeń, ale nic konkretnego – odpowiedział Gardner. – Najwiśdoczniej ma gdzieś**

kryjówkę. Nie sądzę, żeby zabijał swoje ofiary u siebie w domu albo na Steeple Hill. Musiał jć gdzieś zabierać. Pewnie w takie miejsce, gdzie mógłby łatwo pozbywać się zwłok, bo w przeciwnym razie poza Loomisem i Harperem znaleźlibyśmy również inne.

Mając Smoky Mountains tuż za progiem, usuwanie ciał ofiar nie powinno być trudne.

–Według Josha Talbota zwłoki Harpera leżały niedaleko stawu albo wolno płynącego strumienia, bo tylko w takich rejonach występuje swamp darner.

–Czyli mowa o niemal całym wschodnim Tennessee. – Gardner z irytacją machnął ręką. – Sprawdzamy zarejestrowane obserwacje swamp darnerów, ale musimy mieć coś więcej za ten temat. Dianę, powiedz doktorowi Hunterowi, co wymyśliłaś.

Jacobsen bezskutecznie próbowała ukryć napięcie. Z boku jej szyi mocno pulsowała aorta. Kiedy agentka zaczęła mówić, odwróciłem spojrzenie.

–Przyjrzałam się jeszcze raz fotografiom z domu Yorka – zaczęła.

–Wydaje się, że ofiary były bardzo bliskie śmierci, a może nawet w trakcie agonii. Założyłam, że to tylko trofea Yorka. Ale skoro tak, znając jego technikę mordowania, można by się spodziewać, że w kadrze znajdzie się także gardło ofiary. Jednak nie ma żadnego takiego ujęcia. A jeżeli York chciał zyskać materiały do wspomnień o swoich zabójstwach, to dlaczego nie nagrywał filmu. Po co robił takie wyjątkowe zbliżenia twarzy ofiar i to na czarno-białych zdjęciach.

–Może jest maniakiem fotografii? – zasugerowałem.

–Otóż to! – Jacobsen pochyliła się do przodu. – Zostawiając odcisk Willisa Dextera na kasetce zdradził więcej, niż zamierzał. To nie są szybkie fotki. Według laboratorium zdjęcia wykonano przy słabym oświetleniu, bez lampy błyskowej, na bardzo czułej kliszy. Aby w takich warunkach uzyskać odbitki dobrej jakości, potrzebne są duża wiedza fotograficzna i specjalistyczny sprzęt.

–Czy w domu nie znaleziono przypadkiem małoobrazkowej lustrzanki? – zapytałem, przypominając sobie pudło ze starym sprzętem fotograficznym.

–Ale to nie tym aparatem zrobiono zdjęcia. – Gardner pokręcił głową.

–Ten sprzęt nie był używany od lat, a więc pewnie należał do jego ojca. Zdjęcia rodzinne wskazują, że York senior też pasjonował się fotografią.

Pomyślałem o wyblakłych odbitkach na kredensie. Coś w nich mnie niepokoiło, ale nie mogłem się zorientować co takiego.

**–Wciąż nie rozumiem, dlaczego len walek jesi laki ważny – przyznałem.**

**–Ponieważ zdjęcia są dla Yorka nie tylko pamiątką. Przypuszczam, że mogą być najważniejsze w tym, co robi – odparła Jacobsen. – On najwyraźniej ma obsesję na punkcie śmierci. Weźmy pod uwagę jego pochodzenie, sposób traktowania ciał, fascynację antropologami sądowymi, takimi jak doktor Lieberman, zdjęcia ofiar in extremis. Wszystko świadczy o jednym: York jest nekrofilem.**

**Ta konkluzja mnie zszokowała.**

**–Ale mówiła pani, że nie ma tu motywacji seksualnej.**

**–Bo nie ma. Większość nekrofilów to mężczyźni o niskiej samoocenie. Pociąga ich myśl o partnerze niestawiającym oporu, ponieważ boją**

**się odtrącenia. Ale to nie dotyczy Yorka. On raczej sądzi, że społeczeństwo go nie docenia. I bardzo wątpię, czy uważa swoje ofiary za pociągające. Nie sądzę, że jego przypadek to forma tanatofilii. Nienaturalnej fascynacji samą śmiercią.**

**Wkraczaliśmy na trudny teren. Czulem w skroniach pierwsze ukłucia bólu.**

**–W takim razie, dlaczego nie robił zdjęć martwym ludziom? Po co zabijał?**

**–Same fotografie by mu nie wystarczały. Proszę pamiętać, że York jest też patologicznym narcyzem. Ma obsesję na własnym punkcie. Większość ludzi boi się śmierci, ale dla niego myśl o własnym zgonie musi być nie do zniesienia. Przez całe życie otaczali go zmarli. A teraz kieruje nim potrzeba zrozumienia śmierci. – Jacobsen poprawiła się w krześle. Miała poważny wyraz twarzy. – Sądzę, że dlatego zabija i robi zdjęcia ofiarom. Nie może pogodzić się z myślą, że pewnego dnia sam umrze. Szuka więc odpowiedzi. Jeżeli pan woli, na swój sposób usiłuje rozwikłać tajemnicę życia i śmierci. I jest przekonany, że jeżeli zdoła zrobić to konkretne zdjęcie, zarejestrować na nim sam moment zgonu, wszystko stanie się jasne.**

**–Zupełne szaleństwo – zaprotestowałem.**

**–Nie sądzę, by w przypadku seryjnego zabójcy zdrowie psychiczne było warunkiem koniecznym – zauważył Gardner.**

**Miał rację, ale nie o to mi chodziło. Wciąż nie ustalono jednolitego stanowiska w kwestii, kiedy kończy się życie. Można przywrócić pracę serca, nawet śmierć mózgu nie zawsze jest ostateczna. Pomysł Yorka, że zdoła zarejestrować na zdjęciu sam moment śmierci ofiar, a tym bardziej że na jego podstawie czegoś się dowie, wstrząsnął mną w sposób nie do opisanania.**

**–Gdyby nawet mu się udało, co by osiągnął? – zapytałem. – Zdjęcie nic mu nie**

powie.

Jacobsen wzruszyła ramionami.

–Bez znaczenia. Dopóki w to wierzy, dopóty będzie próbował. Pro-wadzi poszukiwania i nie jest dla niego istotne, ilu ludzi zabije. W jego ro-zumieniu to tylko szczury laboratoryjne. – Na jej twarzy pojawił się rumie-niec, kiedy uświadomiła sobie swój błąd. – Przepraszam, nie chciałam...

–Mniejsza z tym. – Mogło mi się to nie podobać, ale nic nie szko-dziło, że wiedziałem, jaka jest sytuacja. – A więc z tego wynika, że York zabija od jakiegoś czasu. Może od wielu lat. Bóg jeden raczy wiedzieć, ilu ludzi już wykończył, a nikt nie miał o tym pojęcia. Mógłby tak działać w nieskończoność, skąd więc ta zmiana? Dlaczego nagle postanowił ujaw-nić światu, czym się zajmuje? Jacobsen rozłożyła ręce.

–Trudno powiedzieć. Przypuszczam, że chodzi właśnie o to, że zaj-muje się tym tak długo. Sam pan powiedział, że York nigdy nie osiągnie celu, i może on też zaczął to sobie uświadamiać. A więc rekompensuje niepowodzenie, starając się inaczej podbudować własne ego. Dlatego za-jął się doktorem Liebermanem, uznanym ekspertem w dziedzinie, którą York uważa za własną. Nastąpiło klasyczne przeniesienie: nie chce po-godzić się z niepowodzeniem i przekonuje sam siebie, że mimo wszystko jest geniuszem.

Ból głowy przekształcił się w dziką migrenę. Masowałem skronie, za-łując, że nie wzięłem z pokoju aspiryny.

–Po co mi to pani mówi? Oczywiście jestem wdzięczny, ale dotych-czas nie byliście państwo tak chętni do dzielenia się informacjami.

Jacobsen zerknęła na Gardnera. Do tej pory pozwolił jej mówić, ale teraz włączył się niemal niepostrzeżenie.

–W zaistniałych okolicznościach uznano, że ma pan prawo wiedzieć. – Spoglądał na mnie zimno, jakby wciąż jeszcze mnie oceniał. – Sprawił nam pan kłopot, doktorze Hunter. York przesłał panu komunikat, zosta-wiając skórę na pańskim samochodzie. Nie możemy tego zignorować. Już porwał i najprawdopodobniej zamordował Aleksa Irvinga i gdyby nie za-wał Toma, zapewne zrobiłby z nim to samo. Nie zamierzam pozwolić, by dołączył do spisu jeszcze kogoś związanego ze śledztwem.

Spojrzałem na zimną kawę, starając się opanować.

–Jeżeli pan sobie życzy, proszę wyłączyć mnie ze śledztwa. – Zno-wu. – Ale nie wróć do Wielkiej Brytanii, jeżeli o tym pan myślał.

To nie była brawura. Chciałem zostać przynajmniej do pogrzebu Toma. Bez względu na wszystko nie zamierzałem wyjechać bez pożegnania przyjaciela.

Gardner wojowniczo wysunął podbródek.

–Tylko się tak panu zdaje. Jeżeli powiemy, że pan wyjeżdża, to pan wyjedzie. Nawet jeżeli oznaczałoby to doprowadzenie pana do samolotu pod eskortą.

–W takim razie będziecie musieli to zrobić – warknąłem, czując, jak pali mnie twarz.

Spojrzenie agenta mówiło wyraźnie, że niczego nie pragnąłby bardziej, niż osobiście zawlec mnie na lotnisko. Ale potem odetchnął głęboko.

–Szczерze mówiąc, może byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby pan wrócił do domu – stwierdził kwaśno. – Ale nie to miałem na myśli, bo nie-wykluczone że pański dalszy pobyt przyniesie jednak pewne... korzyści.

Znaczenie jego słów dotarło do mnie dopiero po chwili. Byłem zbyt zaskoczony, by cokolwiek powiedzieć.

–Znajdzie się pan pod stałą obserwacją – ciągnął Gardner, już całkiem rzeczowo. – Nie narazimy pana na żadne ryzyko. Nie musi pan robić niczego, co wzbudzi pańskie wątpliwości.

–A jeżeli mam wątpliwości w związku z tym wszystkim?

–W takim razie dziękujemy panu za pomoc i odprowadzimy do samolotu.

Czułem absurdalną ochotę, żeby się roześmiać.

–A więc taki mam wybór? Mogę zostać, ale tylko jeżeli zgodzę się być przynętą, która wywabi Yorka?

–Dokładnie – oświadczył stanowczo. – Dlatego będzie pan potrzebował całodobowej ochrony. Ale to pańska decyzja. Nikt pana do niczego nie zmusza.

Krótkotrwałe uczucie ulgi zniknęło. Gardner mylił się, tu nie było żadnego wyboru. Gdybym wyjechał, York po prostu zainteresowałby się inną ofiarą.

Nie mogłem do tego dopuścić.

–Co mam robić?

Zupełnie jakby ktoś przekłuł balon pełen napięcia. Przez twarz Gardnerem przemknął błysk zadowolenia, ale mina Jacobsen pozostała nieodgadniona. Przez chwilę miałem wrażenie, że w jej oczach pojawiło się poczucie winy, ale zniknęło tak szybko,

że mogłem się mylić.

–Na razie nic. Proszę się zachowywać jak zawsze – odparł Gardner. – Jeżeli York pana obserwuje, nie chcę, żeby się zorientował, że coś jest nie tak. Będzie się spodziewał, że podejmiemy środki ostrożności, więc go nie rozczarujemy. Przed prosektorium i hotelem postawimy naszych ludzi tak, żeby ich zauważył. Ale zorganizujemy też skrytą obserwację, której nie będzie widział. Pan też.

Kiwnąłem głową, jakbym usłyszał coś zupełnie zwyczajnego.

–Co z moim samochodem?

–Technicy już skończyli. Każę go przyprowadzić pod hotel. Od jutra będzie pan wszędzie jeździł sam, zachowywał się jak turysta, spacerował nad rzeką albo leśnymi ścieżkami. Chcemy sprowokować Yorka.

–I nie domyśli się, że to pułapka, jeśli zacznę wólczyć się sam?

Spojrzał na mnie chłodno.

–Tak jak minionej nocy?

Dopiero po chwili dotarł do mnie sens jego słów. Kiedy wbrew poleceniom wyszedłem z hotelu, nie zauważyłem, żeby ktoś mnie obserwował, ale chyba powinienem się tego spodziewać.

–Początkowo może być podejrzliwy, ale potrafimy cierpliwie czekać – mówił dalej, kiedy dał mi już po nosie. – Musi tylko wyjść z ukrycia i zacząć węszyć, a wtedy go zgarniemy.

Jasne, nic prostszego. Podświadomie pocierałem kciukiem bliznę na dłoni. Kiedy zdałem sobie sprawę, że Jacobsen mnie obserwuje, położyłem dłonie płasko na stole.

–Musi pan z nami współpracować, doktorze Hunter – oznajmił Gardner. – Ale może pan jeszcze zmienić zdanie i dziś po południu być w samolocie do domu.

Nie, nie mogę. Czując na sobie spojrzenie Jacobsen, odsunąłem krzesło i wstałem.

–Jeżeli to już wszystko, chciałbym pojechać do prosektorium.

Przez resztę dnia byłem dziwnie niespokojny. Za dużo się zdarzyło. Śmierć Toma, York deptający mi po piętach, perspektywa odgrywania roli przynęty!... Myśli kłębiły mi się w głowie. Za każdym razem kiedy przyzwyczailem się do jednej, pojawiała się następna i od nowa przeżywałem emocjonalny szok.

Dobrze, że przynajmniej w prosektorium nie miałem niczego skomplikowanego do zrobienia. Prace wymagające większego skupienia już skończyłem. Pozostało tylko posortować i złożyć to, co znaleziono w leżnicy ze szkieletu Willisa Dextera. Same rutynowe działania, niezbyt czasochłonne. Zresztą ścierwojady pozabierały większość kości.

Nic więc nie przeszkadzało moim myślom poruszać się w swoim zaklętym kręgu. Nie było też nikogo, z kim mógłbym porozmawiać. Summer nie pojawiła się rano, chociaż po śmierci Toma właściwie jej nie oczekiwałem. Zresztą i tak miała tu niewiele do roboty. Ale chociaż z przyjemnością przyjąłbym czyjeś towarzystwo, z tchórzostwa poczułem ulgę, gdy jeden z pomocników prosektoryjnych powiedział mi, że Kyle dziś nie pracuje. Cieszyłem się, że nie muszę spojrzeć chłopakowi w oczy, chociaż jeszcze nie wiedział, że Noah Harper chorował na zapalenie wątroby typu C.

Paul utknął na kolejnych zebraniach. Zobaczyłem go dopiero w porze lunchu. Wciąż wyglądał na zmęczonego, chociaż nie tak bardzo jak wczoraj.

–Jak czuje się Sam? – zapytałem, kiedy zajrzał do sali.

–Doskonale. W każdym razie nie było już fałszywych alarmów. Zamierzała odwiedzić dziś rano Mary. Aha i jeżeli nie jesteś zajęty wieczorem, zapraszamy na kolację.

W każdych innych okolicznościach z przyjemnością przyjąłbym propozycję. Mój kalendarz towarzyski świecił pustkami, a perspektywa kolejnej nocy spędzonej samotnie w hotelu była przygnębiająca. Ale jeżeli York mnie obserwował, nie chciałem wplątywać w to wszystko Paula i Sam.

–Dzięki, ale dzisiejszy wieczór nie jest dobrym momentem.

–Hm. – Podniósł paskudnie obgryziony krąg piersiowy i obracał go w palcach. – Rozmawiałem z Danem Gardnerem. Mówił, że wczoraj w nocy znalazłeś skórę za wycieraczką swojego samochodu. I że zgłosiłeś się na ochotnika, żeby pomóc złapać Yorka.

Nie nazwałbym tego „zgłoszeniem się na ochotnika”, ale mimo wszystko byłem zadowolony, że Paul o tym wie. Zastanawiałem się, ile mogę mu powiedzieć.

–Miałem wybór albo to zrobić, albo odlecieć najbliższym samolotem do domu.

Starłem się, żeby to zabrzmiało żartobliwie. Nie udało się. Odłożył krąg na stół.

–Jesteś pewien, że wiesz, w co się pakujesz? Przecież nie musisz. Owszem, muszę.

–Wszystko będzie w porządku. Ale już widzisz, dlaczego wspólna kolacja nie jest



**dobrym pomysłem.**

**–Nie powinieneś być sam. Zresztą Samantha chciałaby cię zobaczyć. – Uśmiechnął się ponuro. – Wierz mi, gdybym pomyślał, że to może ja-koś jej zagrozić, na pewno bym cię nie zapraszał. Nie twierdzą, że York nie jest niebezpieczny, ale musiałby być totalnym idiotą, żeby teraz zaatakować. Zostawienie skóry na twoim samochodzie było pewnie częścią po-ogrózki. Miał swoją wielką szansę w przypadku Toma i ją spaprał.**

**–Obyś się nie mylił. Ale nadal sądzę, że powinniśmy przełożyć spotkanie.**

**Westchnął.**

**–Cóż. Ty decydujesz.**

**Po jego wyjściu ogarnęła mnie fala przygnębienia. Miałem wielką ochotę zadzwonić i powiedzieć, że zmieniłem zdanie, ale nie chciałem przysparzać Paulowi i Sam więcej kłopotów.**

**Powinienem jednak wiedzieć, że Sam nie da się zbyć tak łatwo.**

**Byłem w barze szpitalnym, apatycznie grzebałem w sałatce z tuńczyka i markotnie zastanawiałem się, co począć z resztą dnia, kiedy zadzwoniła. Od razu przystąpiła do rzeczy.**

**–Co ci się nie podoba w moim gotowaniu? Uśmiechnąłem się.**

**–Zapewniam, że gotujesz wspaniale.**

**–Aha, więc chodzi o towarzystwo?**

**–Też nie. Naprawdę, jestem wdzięczny za zaproszenie. Ale dziś wieczorem nie mogę. – Nie cierpiałem się wykręcać, ale nie miałem pojęcia, jak dużo Sam wie.**

**–Posłuchaj, Davidzie, Paul mi powiedział, co się stało. I mimo wszystko chcielibyśmy cię zobaczyć. To miłe z twojej strony, że się o nas troszczysz, ale nie możesz skazywać się na kwarantannę, dopóki nie zła-pią tego świra.**

**Patrzyłem przez okno. Ludzie szli obok pochłonięci swoimi sprawa-ami. Zastanawiałem się, czy gdzieś wśród nich jest York. I obserwuje ranie.**

**–To tylko na kilka dni – odezwałem się po chwili.**

**–A jeżeli to my stalibyśmy się celem zabójcy? Odwróciłbyś się od nas?**

**Nie wiedziałem, co powiedzieć.**

**–Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Davidzie – ciągnęła. – To koszmarny okres, ale nie musisz być sam, dobrze wiesz.**

**Musiałem odchrząknąć, zanim zdołałem coś z siebie wykrztusić.**

**–Dzięki. Ale nadal nie uważam, żeby to był dobry pomysł. Nie teraz.**

**–W takim razie zawrzyjmy umowę. Niech zadecyduje ten facet z TBI. Jeżeli przyzna ci rację, będziesz siedział w pokoju i oglądał kabłówkę. Jeżeli nie, przyjeżdżasz dziś wieczorem na kolację. Zgoda?**

**Zawahałem się.**

**–Zgoda. Zadzwońię do niego i zapytam. Niemal słyszałem, jak się uśmiecha.**

**–Oszczędzę ci zachodu. Paul już się z nim kontaktował. Gardner nie ma nic przeciwko temu.**

**Przerwała, dając mi czas na zrozumienie, że wpadłem w jej sidła.**

**–Aha, i powiedz Paulowi, żeby po drodze kupił mi sok winogronowy, dobrze? Skończył nam się – dodała słodko.**

**Wciąż się uśmiechałem, chowając telefon.**

**Na drogach wyjazdowych z Knoxville było tłoczno, ale w miarę jak oddalaliśmy się od miasta, robiło się coraz luźniej. Jechałem za Paulem, starając się mieć jego samochód w zasięgu wzroku na ruchliwych pasmach autostrady. Włączyłem radio, płynęła spokojna muzyka. Mimo wszystko byłem podenerwowany, spięty i rozglądałem się co kilka minut, czy jestem śledzony.**

**Przed wyjazdem zadzwoniłem do Gardnera. Nie o to chodzi, że nie wierzyłem Sam, ale mimo wszystko wolałem porozmawiać z nim osobiście.**

**–Pod warunkiem że weźmie pan swój samochód i nie wyruszy gdzieś na samotny spacer, nie widzę problemu – powiedział.**

**–A więc nie sądzi pan, że narażam ich na niebezpieczeństwo? Westchnął wyraźnie poirytowany.**

**–Proszę posłuchać, doktorze Hunter. Nie chcemy wzbudzać podejrzeń Yorka. A to nie znaczy, że będzie pan każdej nocy zamykał się w pokoju hotelowym.**

**–Ale wyślecie kogoś za mną?**

**–To już nasze zmartwienie. Pan natomiast, jak ustaliliśmy, musi jedynie**

**zachowywać się normalnie.**

**Normalnie. W całej tej sytuacji było cholernie mało normalności. Po mimo zapewnień Gardnera wyszedłem z prosektorium tylnymi drzwiami, nie głównymi. Potem objechałem szpitalny kampus i spotkałem się z Paułem przy bocznej bramie, z której nigdy nie korzystałem. Nie mogłem jednak pozbyć się wrażenia, że coś jest nie tak. Kiedy ruszyłem za Paułem, raz za razem spoglądałem w lusterko. Nie widziałem nikogo.**

**Ale dopiero kiedy włączyłem się do wyjeżdżającego z miasta wieczornego korowodu i stałem się częścią metalowej rzeki, zacząłem przyjmować do wiadomości, że nie jestem śledzony.**

**Na przedmieściach Knoxville Paul zjechał na parking przydrożnego sklepu, żeby kupić sok winogronowy dla Sam. Zasugerował, żebym poczekał w samochodzie, ale ani mi się śniło. Poszedłem razem z nim, kupiłem butelkę Napa Valley Syrah, który – miałem nadzieję – będzie pasował do wszystkiego, co przygotowała Sam. Gdy wracaliśmy do samochodów, powietrze śmierdziało benzyną i spalinami, ale wieczór był piękny. Słońce zaczęło zachodzić, obejmując horyzont złotymi ramionami, a w zapadającym zmierzchu gęsto zadrzewione zbocza Smoky Mountains stawały się coraz bardziej fioletowe.**

**Wzdrygnąłem się, gdy Paul zaklął i trzepnął się po karku.**

**–Cholerne robale.**

**Paul i Sam mieszkali w nowym osiedlu nad jeziorem, na południe od Knoxville, nie dojeżdżając do Rockford. Częściowo było jeszcze w budowie, ale im dalej jechaliśmy, tym mniej było stert ziemi i drewna budowlanego, a więcej zadbanych trawników i klombów. Ich dom stał przy wijącej się bocznej drodze, okrążającej jezioro i biegnącej łukiem wokół każdej nieruchomości. Dzięki temu miało się przyjemne wrażenie przestrzeni i prywatności. Osiedle dobrze zaplanowano – mnóstwo drzew, trawy i wody. Dobre miejsce do mieszkania i założenia rodziny.**

**Paul skręcił na podjazd i zatrzymał się za sfatygowaną toyotą Sam. Ja zaparkowałem na drodze.**

**–Wciąż urządzamy pokój dziecienny, więc nie zwracaj uwagi na bałagan – uprzedził mnie, gdy szliśmy ścieżką.**

**Nie miałem takiego zamiaru. Po raz pierwszy czułem się zadowolony, że przyjechałem, byłem w lepszym nastroju niż przez wiele minionych dni. Ich dom stał bardziej w głębi niż pozostałe, dzięki czemu miał większy ogród. Demonstrując rzadko spotykaną troskę o przyrodę i wykazując się zdrowym rozsądkiem, budowniczowie zostawili na środku trawnika dorodny klon – najpiękniejszy element**

otoczenia. Kiedy go mijaliśmy, pomyślałem, że to idealne miejsce na dziecięcą huśtawkę.

–Paul? Poczekaj chwilkę! – zawołał ktoś od strony sąsiedniego domu. Przez trawnik szybko szła do nas kobieta. Opalona, szczupła, z nieco

zbyt jaskrawoblond włosami, upiętymi w skomplikowany kok, na pierwszy rzut oka dobrze po pięćdziesiątce. Ale kiedy się zbliżała, zmieniałem ocenę. Najpierw na sześćdziesiąt, potem siedemdziesiąt lat, zupełnie jakby starzała się z każdym krokiem.

–No, wspaniale – mruknął pod nosem Paul. Zmusił się do uprzejmej uśmiechu. – Cześć, Candy.

Imię było zbyt urocze i dziewczęce, ale jakoś do niej pasowało. Podejść do Paula blisko, zachowując się trochę jak podstarzała modelka, która jeszcze nie zauważyła, że jej czas minął.

–Tak bardzo się cieszę, że cię widzę. – Nieskazitelnie biała proteza nadawała jej wymowie lekko syczące brzmienie. Kobieta położyła upstrzoną plamami wątrobowymi dłoń na jego ramieniu. Skóra z widocznymi

pod nią żyłami była brązowa jak w starych mokasynach. – Nie spodziewałam się, że tak szybko wrócisz. Jak się czuje Sam?

–Dziękuję, doskonale. Tylko fałszywy alarm. – Paul zaczął mnie przedstawiać. – Candy, to jest...

–Fałszywy alarm? – powtórzyła wyraźnie zdziwiona. – O mój Boże, znowu? Kiedy zobaczyłam ambulans, byłam pewna, że tym razem to już naprawdę!

Czas jakby się zatrzymał. Czułem świeży zapach trawy i kwiatów, pierwszy nocny chłód po wiosennym cieple. Gładki ciężar butelki w mojej dłoni wciąż krył w sobie obietnicę normalności.

A potem rzeczywistość wróciła.

–Jaki ambulans? – Paul robił wrażenie bardziej zdezorientowanego niż zaniepokojonego.

–No, ten który przyjeżdżał wcześniej. Chyba około czwartej trzydzięci... – Malowany uśmiech kobiety zaczął znikać. Uniosła dłoń do szyi. – Przecież na pewno ktoś ci powiedział? Myślałam...

Ale Paul już biegł w stronę domu.

–Sam? Sam!

Patrzyła, jak Paul znika za drzwiami i poruszała ustami.

–Ja... Ja nie zapytałam. Sanitariusz wywiózł ją na wózku, z tą tlenową rzeczą na twarzy. Nie chciałam przeszkadzać...

Zostawiłem ją na ścieżce i pobiegłem za Paulem. Dom pachniał świeżą farbą i tynkiem, nowymi dywanami i meblami. Paul stał pośrodku kuchni, w otoczeniu lśniącego wyposażenia.

–Nie ma jej tu – wymamrotał oszołomiony. – Jezu Chryste, czemu nikt do mnie nie zadzwonił?

–Sprawdziłeś pocztę głosową?

Czekałem, aż to zrobi. Ręka mu się trzęsła, gdy wybierał numer. Słuchał przez

chwile, potem pokręcił głową.

–Nic.

–Zadzwoń do szpitala. Do którego miała iść?

–Do Centrum Medycznego UT, ale... – Patrzył na telefon, mrugając jak ktoś, kto usiłuje się obudzić. – Nie znam numeru. Chryste, powinienem go znać!

–Dzwoń do biura numerów.

Powoli odzyskiwał równowagę po początkowym szoku. Chodził tam i z powrotem i cierpiał w każdej chwili oczekiwania na połączenie ze szpitalem. Kiedy po raz trzeci lub czwarty przeliterował nazwisko Sam, złe przecucie, które prześladowało mnie przez cały dzień, stało się niemal namacalne.

Paul się rozłączył.

–Niczego nie wiedzą. – Głos miał opanowany, ale tylko włos dzielił go od paniki. – Dzwoniłem też do pogotowia. Nie zarejestrowano żadnego przyjęcia.

Znowu zaczął gwałtownie wciskać klawisze.

–Paul... – odezwałem się.

–To jakaś pomyłka – wymamrotał, jakby w ogóle mnie nie słyszał. – Musieli ją zabrać do innego szpitala.

–Paul!

Przerwał. Nasze oczy się spotkały i dostrzegłem w jego wzroku przeświadczenie, świadomość, której rozpaczliwie usiłowałem zaprzeczyć. Ale żaden z nas nie mógł już sobie pozwolić na ten luksus.

To nie ja stanowiłem cel Yorka. Nigdy nim nie byłem.

Posłużył się mną, żeby odwrócić uwagę.

## Rozdział 20

To była najdłuższa noc w moim życiu. Zatelefonowałem do Gardne-ra, gdy tymczasem Paul obdzwaniał wszystkie szpitale w okolicy. Musiał już zdawać sobie sprawę, że w żadnym z nich nie ma Sam, ale alternatywa była zbyt straszna, by się z nią pogodzić. Dopóki istniała szansa, bez względu na to jak mała, wciąż mógł wierzyć, że to tylko pomyłka, a jego świat znów stanie się normalny. Ale to było już niemożliwe.

Dojazd zajął Gardnerowi niecałe trzy kwadranse. Wcześniej dotarli dwaj agenci TBI. Pojawili się w domu po paru minutach od wezwania ubrani w brudne kombinezony robocze, zupełnie jakby przyszli z budowy. Musieli znajdować się bardzo blisko, niewątpliwie uczestnicząc w obiecującym tajnym ubezpieczeniu, które ostatecznie niewiele dało.

Gardner i Jacobsen weszli do środka bez pukania. Ona w pełni kontrolowała wyraz twarzy, on był wyraźnie spięty i ponury. Przez chwilę rozmawiał przyciszonym głosem z jednym z agentów, potem zwrócił się do Paula.

–Proszę powiedzieć, co się stało.

Paul drżącym głosem po raz kolejny powtórzył relację.

–Żadnych śladów wtargnięcia? Walki? Paul tylko pokręcił głową.

Gardner spojrzał na filiżanki z kawą na stole.

–Czy któryś z was czegoś dotykał?

–Zaparzyłem kawę – odparłem.

Jego oskarżycielski wzrok wskazywał, że w ogóle nie powinienem niczego dotykać, ale nie miał najmniejszej szansy powiedzieć tego na głos.

–Do diabła z tą cholerną kawą. Co dalej? – eksplodował Paul. – Ten skurwysyn porwał mi żonę, a my tylko siedzimy i gadamy.

–Robimy wszystko, co w naszej mocy – wyjaśnił Gardner z zaskakującą cierpliwością. – Powiadomiliśmy wszystkie komendy policji i szeryfów we wschodnim Tennessee.

–Powiadomiliście?! A co z blokadą dróg, na litość boską?

–Nie możemy zatrzymywać każdej karetki. Zresztą blokady nic nie dadzą, jeżeli York ma kilka godzin przewagi. Do tej pory mógł już przekroczyć granicę stanu i znaleźć się w Karolinie Północnej.

Z twarzą szarą jak popiół Paul osunął się w krzesło. Gniew raptownie go opuścił.

–Może to nic ważnego, ale coś sobie przypomniałem – odezwałem się, starannie dobierając słowa. – Czy przypadkiem nie było jakiegoś ambulansu na zdjęciach z kamery ochrony? Zdawało mi się, że stał koło automatu telefonicznego.

Właściwie widziałem jedynie biały kształt na pierwszym planie. Nie uznałbym go za coś ważnego, a nawet teraz nie byłem pewien, czy ma jakieś znaczenie. Ale wolałem

się odezwać nie w porę, niż siedzieć cicho i potem tego żałować.

Gardner najwyraźniej uważał inaczej.

–To szpital, więc mają ambulanse.

–Ale stoją przed pogotowiem, ale nie przed prosektorium. W każdym razie nie przed głównym wejściem. Zwłoki nie są dostarczane tą drogą.

Przez chwilę milczał, potem zwrócił się do Jacobsen.

–Kaź Megsonowi to sprawdzić. I niech przyślą zdjęcia. – Kiedy wyszła pośpiesznie, powiedział: – No dobrze, muszę porozmawiać z sąsiadką.

–Pójdę z panem. – Paul podniósł się z krzesła.

–Nie ma potrzeby.

–Chcę iść.

Widziałem, że Gardner jest temu przeciwny, ale skinął głową. Moja opinia o nim wyraźnie się poprawiła.

Zostałem w domu sam. Świadomość, jak wielkich zrobiliśmy z siebie durniów, smakowała jak popiół. Mój szlachetny gest wobec Gardniera, zgoda, by występować w roli przynęty, wydawała się teraz tylko przejawem pychy. Dobry Boże, czy rzeczywiście mam o sobie tak wysokie mniemanie? Powinienem zdawać sobie sprawę, że York nie zawracałby sobie mną głowy, skoro ma o wiele atrakcyjniejsze cele.

Na przykład Sam.

Kuchnia była pogrążona w mroku, dzienne światło niemal całkowicie już zniknęło. Włączyłem lampę. Optymizm, jakim tchnęły nowe sprzęty i świeżo odmalowane ściany, wydawał się niemal szyderczy. Jakiś czas temu sam byłem w sytuacji Paula, ale zjedną istotną różnicą. Kiedy porwano Jenny, wiedzieliśmy, że człowiek, który ją więzi, do trzech dni zachowuje swoje ofiary przy życiu. Nic jednak nie wskazywało, że podobnie postępuje York.

Sam mogła już nie żyć.

Nie potrafiłem usiedzieć w miejscu i wyszedłem z kuchni. Zespół techniczny już tu jechał, ale nikt na serio nie oczekiwał, że znajdzie coś istotnego. Mimo to, kiedy przeszedłem do salonu, nadal uważałem, żeby niczego nie dotknąć. Wygodny, radosny pokój – miękka sofa i fotele, niżski stolik z blatem zarzuconym



czasopismami. Nosił cechy osobowości Sam w o wiele większym stopniu niż Paula. Starannie zaprojektowany pozostał pomieszczeniem funkcjonalnym, do mieszkania, a nie tylko do podziwiania.

Odwróciłem się, żeby wyjść, i moje spojrzenie padło na małą ramkę z fotografią stojącą na serwantce z przydymionego szkła. Zdjęcie przypominało niemal abstrakcyjny, biało-czarny wzór, ale jego widok był dla mnie jak uderzenie w żołądek.

Prenatalne zdjęcie USG dziecka Sam.

Zamknąłem drzwi do salonu i przeszedłem do korytarza. Zatrzymałem się przy drzwiach wyjściowych, usiłując wyobrazić sobie tę dramatyczną scenę. Pukanie. Sam widzi sanitariusza i otwiera drzwi. Jest zdezorientowana, przekonana, że to jakieś nieporozumienie. Pewnie z uśmiechem usiłuje wytłumaczyć pomyłkę. I nagle... Właśnie, co? Krzaki zasłaniają drzwi wejściowe, wielki klon w ogrodzie dodatkowo ogranicza widok. Ale York nie mógłby ryzykować, że ktoś go zobaczy. A więc wszedł podstępem lub siłą do domu, szybko obezwładnił Sam i usadowił na wózku.

Potem bezczelnie pojechał z nią ścieżką do czekającego ambulansu.

Przy szerokiej listwie podłogowej zauważyłem białe plamki na beżowym dywanie. Pochyliłem się, żeby dokładniej je obejrzeć, i podskoczyłem, gdy drzwi wejściowe nagle się otworzyły.

Jacobsen zatrzymała się, widząc mnie przykucniętego w korytarzu. Wstałem i wskazałem białe plamki.

–Wygląda na to, że York się spieszył. I nie, niczego nie dotykałem. Obejrzała dywan, potem listwę. Na drewnie widniały ślady zadrapań.

–Farba. Musiał zawadzić wózkiem o listwę – stwierdziła. – Zastanawialiśmy się, jak York wy dostał z lasu profesora Irvinga. Do najbliższego parkingu jest stamtąd około kilometra. Daleko, żeby przetransportować dorosłego mężczyznę, zwłaszcza nieprzytomnego.

–Myśli pani, że też użył wózka?

–To wiele by wyjaśniało. – Pokręciła głową poirytowana swoim przeoczeniem. – Na ścieżce, koło miejsca, w którym zniknął Irving, znaleźliśmy ślady przypominające odciski opon rowerowych. Często tam jeżdżą rowerzyści, dlatego nie przywiązywaliśmy do tego znaczenia. Ale wózki inwalidzkie mają podobne opony.

I nawet gdyby, wioząc ścieżką nieprzytomnego Irvinga, York kogoś spotkał, kto by pomyślał o tym coś złego? Po prostu opiekun wziął inwalidę na spacer.

Wróciłem do kuchni. Jacobsen spojrzała na wypełniony do połowy ekspres do kawy. Bez pytania nalałem jej filiżankę i dopełniłem swoją.

–Co pani o tym wszystkim sądzi? – zapytałem cicho, podając jej kawę.

–Jeszcze za wcześnie, by... – zaczęła i nagle przerwała. – Mam mówić szczerze?

Nie. Skinąłem głową.

–Cały czas byliśmy dwa kroki za Yorkiem. Wyprowadził nas w pole, sugerując, że to pan jest jego celem, i zjawiał się tutaj, kiedy patrzyliśmy w drugą stronę. A teraz Samantha Avery płaci za nasze błędy.

–Mamy jakąś szansę znaleźć ją na czas?

Wpatrywała się w kawę, jakby mogła wywróżyć z niej odpowiedź.

–York będzie działał szybko. Wie, że go szukamy, jest podniecony i pełen zapału. Jeżeli już jej nie zabił, zrobi to, zanim skończy się noc.

Odstawiłem filiżankę, czując przyływ mdłości.

–Dlaczego Sam? – zapytałem, chociaż mogłem się domyślić.

–York musiał podbudować swoje ego po niepowodzeniu z doktorem Liebermanem. Przynajmniej w tym mieliśmy rację. – W głosie Jacobsen brzmiała gorycz. – Samantha Avery spełniała wszystkie kryteria: jest żoną następcy doktora Liebermana i w dziewiątym miesiącu ciąży. Dlatego uważa ją za podwójnie atrakcyjną. To zapewni mu nagłówki w gazetach, a także prawdopodobnie podsyci jego psychozę. Ma obsesję na punkcie utrwalenia na zdjęciach momentu śmierci, wierząc, że znajdzie w nich odpowiedź na swoje pytania. A więc, z jego punktu widzenia, któż mógłby być lepszą ofiarą niż ciężarna kobieta, dosłownie pełna życia?

Chryste. To obłąd, ale co najgorsze, była w tym jakaś pokrętna logika. Okrutna i jałowa, ale jednak logika.

–A co potem? Przecież nie znajdzie odpowiedzi, zabijając Sam? Twarz Jacobsen była ponura jak nigdy dotąd.

–Wtedy wytłumaczy sobie, że jednak nie była właściwym obiektem, i znów ruszy na łowy. Wie, że czas działa na jego niekorzyść, chociaż duma każe mu desperacko poszukiwać dalej. Może następnym razem jego ofiarą znów będzie ciężarna kobieta albo nawet dziecko. W każdym razie nie przestanie.

Pomyślałem o umęczonych twarzach na zdjęciach i wyobraziłem sobie

torturowaną Sam. Przetarłem oczy.

–I co teraz?

Jacobsen patrzyła na zapadającą noc.

–Mamy nadzieję, że znajdziemy ich przed świtem.

Zanim minęła kolejna godzina, z wieczornego spokoju nie pozostało ani śladu. Agenci TBI wyroili się w statecznym osiedlu i teraz pukali do wszystkich drzwi, szukając świadków. Uwszem, wiecie osób pizypuiuiunu sobie, że widziało po południu ambulans, ale co z tego? Przyjazd karetki mógł wywołać chorobliwą ciekawość, niewielu jednak zapytałoby, kto i po co ją wezwał.

A na pewno żaden z sąsiadów Sam i Paula.

Gardnerowi nie udało się dowiedzieć niczego więcej od Candy. Pamiętała tylko, że Sam wiozł mężczyzna w nieokreślonym wieku, ubrany w strój sanitariusza. A właściwie coś, co jej zdaniem wyglądało jak taki strój – ciemne spodnie i niebieska koszula z odznakami. I czapka. Duży facet, dodała z pewnym wahaniem. Biały. A może Latynos. W każdym razie nie czarny. Chyba nie.

Nie zdziwiło jej nawet, że kierowca ambulansu był sam. O samochodzie mogła powiedzieć jeszcze mniej. Nie, oczywiście, że nie zapisała numerów rejestracyjnych. Dlaczego miałyby to zrobić? Karetka to karetka.

–Samantha Avery była ogłuszona albo nieprzytomna, na pewno niczym nie skrępowana – oświadczył Gardner, w czasie gdy Paul dzwonił do matki Sam. – Może użył jakiegoś gazu, ale przypuszczam, że maska tlenowa stanowiła jedynie rekwizyt. Gaz jest zbyt niepewny, zwłaszcza jeżeli ktoś stawia opór, a York niewątpliwie chciał jak najszybciej ją stąd wywieźć.

–Nie mógł jej ogłuszyć silnym ciosem – wtrąciła się Jacobsen. – Wtedy istniałoby niebezpieczeństwo wstrząśnienia albo nawet uszkodzenia mózgu, a tego York by nie chciał. Jego ofiary muszą być w pełni przytomne, kiedy je zabija. Nie zaryzykowałby uderzenia jej w głowę.

–Zrobił to w przypadku psa Irvinga – przypomniał Gardner.

–Pies nie miał znaczenia. Chodziło o właściciela. Gardner ścisnął nasadę nosa. Był wyraźnie zmęczony.

–Tak czy inaczej pozbawił Samanthę Avery przytomności, więc jeśli musi czekać, żeby się ocknęła, zyskujemy trochę czasu.

**Nienawidziłem się za to, że muszę rozwiać choć tak niewielki cień nadziei.**

**–Niekoniecznie. Chce, żeby ofiary były nieprzytomne tylko na czas przejazdu do ambulansu. Więc pewnie dość szybko dochodzą do siebie.**

**–Nie wiedziałem, że jest pan ekspertem – oznajmił zgryźliwie Gardner.**

**Mogłem mu wyjaśnić, że byłem internistą albo że pewnego razu sam się uśpiłem. Ale po co? Wszyscy czuli napięcie, a Gardner chyba najbarǳiej. Nikt nie miał tu powodu do chluby, ale ostateczna odpowiedzialność spoczywała na nim jako na kierującym dochodzeniem. Nie chciałem jeszcze bardziej go obciążać.**

**Zwłaszcza w momencie, kiedy chodziło o życie Sam.**

**Miałem wrażenie, że u Paula przerażenie i panika ustąpiły miejsca otępieniu. Kiedy wrócił po skończeniu rozmowy z rodzicami Sam, siedział w milczeniu i przeżywał niewyobrażalny koszmar, w jaki zmieniło się jego życie. Teściowie mieli przylecieć z Memphis następnego dnia. Nie dzwonił już do nikogo innego. Zależało mu tylko na Sam, cała reszta się nie liczyła.**

**Czułem się rozdarty i nie wiedziałem, co robić. Nie byłem tu potrzebny, ale nie mogłem tak po prostu zostawić Paula i wrócić do hotelu. Siedziałem więc razem z nim w salonie. Pachnący kawą funkcjonariusze TBI kręcili się zajęci swoimi sprawami, a ostatnie godziny i minuty tego dnia mijały, nieubłaganie przybliżając początek następnego.**

**Tuż po dziesiątej do salonu weszła Jacobsen. Paul szybko podniósł wzrok, ale kiedy pokręciła głową, nadzieja zgasła w jego oczach.**

**–Żadnych wiadomości. Chciałam tylko zadać doktorowi Hunterowi kilka pytań związanych z jego zeznaniami.**

**Wyszedłem z nią, a Paul znowu pogrążył się w letargu. Jacobsen trzymała w ręku tekturową teczkę, ale otworzyła ją dopiero, kiedy znaleźliśmy się w kuchni.**

**–Nie chciałam denerwować tym doktora Avery'ego, ale uważam, że powinien pan to wiedzieć. Ponownie sprawdziliśmy nagrania kamer ochrony szpitala sporządzone mniej więcej w czasie, kiedy York dzwonił z automatu do doktora Liebermana. Miał pan rację z tym ambulansem.**

**Podawała mi wyjęte z teczki czarno-białe fotografie. Zobaczyłem wśród nich to ujęcie, na którym ciemna postać idzie przez drogę do automatu telefonicznego. Z lewej strony kadru widać było tył zaparkowanego ambulansu. Mężczyzna mógł kierować się w jego stronę.**

–Ambulans przyjechał dziesięć minut przed tym, jak York skorzystał z automatu, i odjechał siedem minut później – wyjaśniła Jacobsen. – Nie możemy stwierdzić, kto prowadził, ale czas się zgadza.

–Czemu zwlekał aż dziesięć minut i dopiero wtedy zatelefonował?

–Może musiał poczekać, aż nikogo nie będzie w pobliżu, lub chciał napawać się tą chwilą. Albo zbierał odwagę. W każdym razie o dziesiątej piętnaście zadzwonił, a potem wrócił i czekał. Doktor Lieberman spieszyłby się, więc wyszedłby szybko. Kiedy się nie pojawił, York tkwił tam jeszcze jakiś czas, aż wreszcie się zorientował, że coś się nie udało, i odjechał.

Wyobraziłem to sobie – York nerwowo zerka na zegarek, a jego pewność siebie ulatnia się z każdą minutą, gdy ofiara się nie pojawia. Potem odjeżdża wściekły, żeby zaplanować następne posunięcie.

Jacobsen wyjęła z teczki kolejną fotografię. Tym razem zrobiono ją w nieznannej mi części terenu szpitala. Ambulans znajdował się w środku kadru rozmazany ruchem.

–To zdjęcie wykonano kilka minut przed tym, jak ambulans zatrzymał się przed prosektorium – wyjaśniła. – Prześledziliśmy jego trasę na innych kamerach ochrony. Nie ulega wątpliwości, że to ten sam pojazd. Najlepsze ujęcie, jakie udało nam się znaleźć.

Niewiele mi mówiło. Zdjęcie zostało maksymalnie powiększone; jakość była fatalna. Kąt ujęcia uniemożliwił sprawdzenie, kto jest w szoferce. W samym ambulansie nie dostrzegłem nic niezwykłego – typowa pudełkowata, biała furgonetka z czerwonym oznakowaniem pogotowia Tennessee.

–Skąd pewność, że to ta sama, którą jeździł York? – zapytałem.

–Bo to nie jest prawdziwy ambulans. Oznakowania tylko sprawiają wrażenie autentycznych. Poza tym ten typ samochodu ma przynajmniej piętnaście lat. Zdecydowanie za stary, żeby mógł być jeszcze używany przez pogotowie.

Dokładniej przyjrzałem się fotografii. Teraz rzeczywiście zauważyłem, że ambulans jest dość stary, ale na tyle dobrze utrzymany, aby większość ludzi się oszukała. Nawet w szpitalu. Kto poświęcałby mu więcej uwagi?

Oddałem zdjęcie.

–Wygląda zupełnie przekonująco.

–Są firmy specjalizujące się w sprzedaży używanych ambulansów. York prawdopodobnie kupił taki stary model za bezcen, a potem odpowiednio go

pomalował.

–Możecie więc ustalić, skąd pochodzi?

–Po jakimś czasie. Ale co nam to da? York przy zakupie zapewne po prostu użył się kartami kredytowymi jednej ze swoich ofiar. A nawet jeśli nie, wątpię, czy to nam pomoże go znaleźć. Jest za sprytny.

–A co z rejestracją? – zapytałem.

–Wciąż nad tym pracujemy. Na niektórych ujęciach widać tablice, ale są tak brudne, że trudno cokolwiek odczytać. Może umazał je celowo, ale na bokach pojazdu też jest błoto, co najprawdopodobniej oznacza, że stosunkowo niedawno przejeżdżał przez jakiś błotnisty teren.

Pomyślałem o tym, co powiedział Josh Talbot, identyfikując znalezioną w trumnie larwę ważki. „Zwłoki musiały leżeć w pobliżu stawu. Zapewne na samej linii wody... Nie przypadkiem nazywa się je swamp damper”.

–Przynajmniej lepiej wiemy, czego szukać – oznajmiła Jacobsen, chowając zdjęcia do teczki. – Możemy rozpowszechnić opis ambulansu, nawet nie podając numerów rejestracyjnych. To przynajmniej zawęzi poszukiwania.

Ale w niewystarczającym stopniu. York miał mnóstwo czasu, by dotrzeć tam, dokąd zamierzał. Nawet jeżeli nie przekroczył granicy stanu, były tu setki kilometrów kwadratowych gór i lasów, wśród których mógł się ukryć.

Razem z Sam.

Spojrzałem na Jacobsen. Z wyrazu jej twarzy zorientowałem się, że myśli o tym samym. Za późno. Choć było to niestosowne, nagle uświadomiłem sobie jak blisko siebie stoimy. Pod delikatnym aromatem perfum poczułem zapach jej ciała kojący po długim, trudnym dniu. Nagłe obopólne zakłopotanie zdradziło mi, że ona też zdaje sobie z tego sprawę.

–Lepiej wróć do Paula. – Zrobiłem krok do tyłu.

Skinęła głową, ale zanim któreś z nas zdołało jeszcze coś powiedzieć, do kuchni wszedł Gardner. Wyraz jego pobrużdżonej twarzy świadczył, że coś się zdarzyło.

–Gdzie doktor Avery? – zapytał Jacobsen, jakby mnie tu w ogóle nie było.

–W salonie.

Bez słowa zniknął za drzwiami. Jacobsen ruszyła za nim, znowu starannie unikając

okazywania jakichkolwiek emocji. Poszedłem za nimi i wydawało mi się, że nagle bardzo się ochłodziło.

Paul chyba nie poruszył się od chwili, kiedy zostawiłem go samego. Wciąż siedział przygarbiony w fotelu, kubek z zimną, nietkniętą kawą stał obok niego na niskim stoliku. Kiedy zobaczył Gardnera, zeszywniał jak człowiek, który się spodziewa, że za chwilę spadnie na niego cios.

–Znaleźliście ją?

Gardner szybko pokręcił głową.

–Jeszcze nie. Ale dostaliśmy meldunek o wypadku z udziałem ambulansu na autostradzie 321, kilkanaście kilometrów na wschód od Town-send. – Znałem ze słyszenia to małe, ładne miasteczko u stóp gór. Gardner się zawahał. – Nie mam jeszcze potwierdzenia, ale sądzimy, że to York.

–Wypadek? Jaki wypadek?

–Zderzenie. Kierowca tego drugiego samochodu mówi, że ambulans za szybko wszedł w zakręt i uderzył w niego bokiem. Oba pojazdy obróciło, a karetka wpadła na drzewo.

–O Chryste!...

–Ruszyła znowu, ale według tamtego kierowcy miała rozbity zdeńrzak i przynajmniej jeden reflektor. Poza tym coś zaczęło jej buczeć i chrzęścić.

–Zapisał numer? – zapytałem.

–Nie, ale poobijany ambulans o wiele bardziej rzuca się w oczy. I wiemy przynajmniej, w jakim kierunku York jechał.

Paul zerwał się z fotela.

–A więc teraz możecie zorganizować blokady? Gardner wyglądał na zakłopotanego.

–To nie takie proste.

–Dlaczego, do diabła?

–Ponieważ wypadek zdarzył się siedem godzin temu. Zapadła cisza.

–Kierowca nie od razu o nim zameldował – wyjaśnił Gardner. – Uważał, że to był prawdziwy ambulans, i obawiał się, że może mieć kłopoty. Zadzwoił na policję dopiero, kiedy żona przekonała go, że powinien stać się o odszkodowanie.

**Paul patrzył na niego oszołomiony.**

**–Siedem godzin? – Usiadł, jakby nagle nie mógł utrzymać się na nogach.**

**–Mimo wszystko mamy cenny trop – tłumaczył Gardner, ale Paul go nie słuchał.**

**–Zniknął, prawda? – odezwał się bezbarwnym, martwym głosem. – A Sam może już nie żyć.**

**Nikt nie zaprzeczył. Paul spojrział na Gardnera z taką siłą, że agent TBI aż się wzdrygnął.**

**–Obiecacie mi, że go złapiecie. Nie pozwólcie, żeby ten skurwysyn się z tego wywinął. Obiecacie mi przynajmniej tyle.**

**Gardner wyglądał jak złapany w potrzask.**

**–Zrobię wszystko, co będę mógł. Ale nie spojrział Paulowi w oczy.**

## **Rozdział 21**

**Znaleźli ambulans rano. Większość nocy spędziłem w fotelu, drzemiąc niespokojnie. Ciągnęła się w nieskończoność. Za każdym razem kiedy się budziłem, patrzyłem na zegarek i przekonywałem się, że minęło zaledwie kilka minut. Gdy wreszcie zobaczyłem za oknem złocistą poświatę na niebie, odniosłem wrażenie, że czas znowu ruszył.**

**Spojrzałem na drugi fotel. Paul nie spał. Chyba w ogóle nie poruszył się przez całą noc. Wstałem cały zeszywniały. – Chcesz kawę?**

**Pokręcił głową. Próbując rozprostować kark i ramiona, poszedłem do kuchni. Nikt nie wyłączył ekspresu i kawa ciągle się podgrzewała, wypełniając pomieszczenie odorem stęchłej spalenizny. Wylałem ją do zlewu i zaparzyłem dzbanek nowej. Stałem przy oknie. Na zewnątrz świat zaczął nabierać kształtów w brzasku wczesnego poranka. Za domami na przeciwko widziałem już jezioro; na jego ciemnej tafli błąkały się pasma mgły. Mógłby to być obraz porannego spokoju, gdyby nie zaparkowany w pobliżu policyjny radiowóz – jaskrawa plama realności w łagodnym świcie.**

**Popijałem kawę, nadal stojąc przy oknie. Na zewnątrz zaczął śpiewać ptak. Do jego samotnych treli wkrótce przyłączyły się inne, tworząc coraz głośniejszy chór. Przypomniałem sobie ponurą przepowiednię Jacobsen. „Jeżeli już jej nie zabił, zrobi to, zanim skończy się noc”. Jak na dany znak na powierzchnię jeziora padły pierwsze promienie słoneczne.**



**Zapowiadał się przepiękny ranek.**

**O ósmej zaczęły przyjeżdżać pierwsze ekipy telewizyjne. Dziennikarzom nie ujawniono nazwiska Sam, ale przeciek zawsze był tylko kweśnią czasu. Umundurowani funkcjonariusze pilnowali, żeby reporterzy nie wchodzili na teren posesji, ale wkrótce cała droga była już pełna sprzętu i pojazdów.**

**Paul właściwie tego nie dostrzegał. W dziennym świetle wyglądał koszmarnie, twarz miał szarą i pobrużdżoną. Coraz bardziej zamykał się w sobie, zatracił w cierpieniu. Ożywał się tylko wtedy, gdy dzwonił telefon. Za każdym razem gwałtownie chwycił słuchawkę, pełen napięcia i nerwowego oczekiwania, i chwilę później znowu jakby tracił siły, kiedy okazywało się, że dzwoni kolejny przyjaciel albo natrętny reporter. Mówił kilka słów, rozłączał się i znów chował w swojej skorupie. Bardzo mu współczułem. Aż za dobrze wiedziałem, przez co teraz przechodzi.**

**Ale nie byłem w stanie pomóc.**

**Dopiero tuż przed południem coś się zmieniło. Resztki kanapek usychały na talerzach. Moja była zjedzona do połowy, Paula nietknięta. Zaczynałem dochodzić do wniosku, że pora wrócić do hotelu. Nie byłem tu do niczego potrzebny, a za kilka godzin mieli przyjechać rodzice Sam. Kiedy zadzwonił telefon, Paul znowu szybko złapał słuchawkę. Widząc, jak opadły mu ramiona, zorientowałem się, że to nie Gardner.**

**–Witaj, Mary. Nie, nie włączyłem... – Przerwał, ożywiając się wyraźnie. – Który kanał?**

**Schwycił pilota do telewizora.**

**–Co się stało? – zapytałem.**

**Chyba w ogóle mnie nie usłyszał. Gdy tylko ekran ożył, Paul zaczął pospiesznie przerzucać kanały, przebijając się przez mieszaninę dźwięków i obrazów, aż nagle przestał. Młoda kobieta z wy lakierowanym i włosami i zbyt czerwoną szminką mówiła z zapalem do kamery.**

**–...najnowsze wiadomości. Nadeszła informacja, że w rejonie Gatlin-burga w Parku Narodowym Great Smoky Mountains znaleziono porzucony ambulans...**

**Twarz Paula zmartwiała, gdy dotarło do niego znaczenie tych słów.**

**–...nie ujawniono dokładnej lokalizacji, a TBI odmawia potwierdzenia, że jest to pojazd użyty w czasie wczorajszego porwania Samantha Avery, ciężarnej trzydziestodwuletniej kobiety z hrabstwa Blount. Jak do tego nic nie wiadomo, gdzie znajduje się zaginiona, ale według niepotwierdzonych informacji ambulans został**

**uszkodzony w wypadku...**

**Na ekranie pojawiła się fotografia Yorka i dziennikarka nadal mówiła lekko ochrypłym z podniecenia głosem, ale Paul już chwycił za telefon. Aparat zadzwonił, zanim Paul zdążył wybrać numer. Gardner, pomyślałem, i wyraz twarzy przyjaciela potwierdził moje przypuszczenie.**

**–Znaleźliście ją? – zapytał.**

**Widziałem, jak odpowiedź Gardnem sprawia, że z Paula jakby powoli uchodziło powietrze. W otaczającej nas ciszy docierał do mnie niewyraźny głos agenta TBI. Paul słuchał ze spiętą, umęczoną twarzą.**

**–I pozwolił pan, żebym się tego dowiedział z telewizji? Jezu Chryste, obiecał pan przekazywać mi wszystkie informacje! Nic mnie to nie obchodzi, niech pan po prostu dzwoni, dobra?**

**Rozłączył się. Stał odwrócony do mnie tyłem i starał się opanować, zanim zaczął mówić.**

**–Znaleźli ambulans pół godziny temu na polu piknikowym niedaleko drogi 1-40 – oznajmił martwym głosem. – Uważają, że York porzucił go, ukradł inny samochód i ruszył dalej między stanową. Już pewnie dotarł do połowy Karoliny Północnej. Chyba że skierował się na zachód. Wtedy może być w drodze do Nowego Meksyku. Może być wszędzie!**

**Cisnięty o ścianę telefon rozpadł się w drzazgi, zasypując pokój odłamkami plastiku.**

**–Jezu Chryste! Nie zniosę tego! Co mam robić? Tylko tu siedzieć?**

**–Paul...**

**Już zmierzał do drzwi. Wybiegłem za nim na korytarz.**

**–Dokąd idziesz?**

**–Zobaczyć ambulans.**

**–Zaczekaj. Gardner...**

**–Pieprzę Gardnera! – Zaczął otwierać drzwi wejściowe, przytrzymałem je ręką. – Zejdź mi z drogi, Davidzie!**

**–Może byś chwilę posłuchał? Jeżeli teraz wyjdiesz, reporterzy będą całą drogę deptali ci po piętach. Tego właśnie chcesz?**

**To go powstrzymało.**

**–Czy z tyłu jest droga? – mówiłem dalej szybko, dopóki mnie słuchał.**

**–Tak. Za domami, ale nie mogę...**

**–Wezmę swój samochód. Za mną nie pojedą. Wyjdź tyłem i przejdź ogrodami.**

**Nie miał na to ochoty, ale czuł, że moja propozycja ma sens. Niechętnie skinął głową.**

**–Spotkamy się za kilka minut. – Wyszedłem, zanim zdążył zmienić zdanie.**

**Kiedy znalazłem się na dworze, słońce uderzyło mnie w twarz, zupełnie oślepiając. Ruszyłem prosto do samochodu, starając się nie zwracać uwagi na nagły gwar, jaki wywołało moje pojawienie się. Dziennikarze runęli do przodu – jednolita ściana kamer i mikrofonów – ale ich podniecenie trwało krótko. Padło hasło: „To nie Avery”, i zupełnie jakby ktoś przekręcił wyłącznik. Rzucono w moją stronę kilka pytań, ale nic odpowiedziałem, więc przestano się mną interesować. Gdy wsiadałem do samochodu i odjeżdżałem, uwaga ekip telewizyjnych i reporterów znowu skupiona była na domu.**

**Droga biegła łagodnymi łukami na tyły domu Averych. Był na niej tylko Paul. Podbiegł i otworzył drzwi, zanim samochód się zatrzymał.**

**–Na główną autostradę, w stronę gór – poleciał, dysząc ciężko.**

**Kiedy wyjeżdżaliśmy z osiedla, naszym śladem nie ruszył żaden samochód z dziennikarzami. Po dotarciu do autostrady mieliśmy oznakowaną trasę. Jechaliśmy w milczeniu przerywanym jedynie od czasu do czasu krótkimi wskazówkami Paula. Mgła spowijała Smoky Mountains piętrzące się przed nami na horyzoncie. Ich widok przywoływał do rzeczywistości, uświadamiając nam nieprawdopodobną skalę poszukiwań.**

**Słońce stało wysoko, gorące jak w letni dzień. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów musiałem włączyć spryskiwacze, żeby oczyścić szybę z martwych owadów. Kiedy dotarliśmy do podnóża gór i jechaliśmy przez Townsend, napięcie w samochodzie rosło. Gdzieś niedaleko stąd York potrącił samochód i uderzył w drzewo. Niedaleko za miastem zobaczyliśmy wysoki dąb otoczony taśmą policyjną. Na korze wyraźnie było widać białe szramy. Paul przyglądał mu się z ponurą twarzą.**

**Żaden z nas się nie odezwał.**

**Potem skierował mnie na zjazd z autostrady i zaczęliśmy się wspinać między górami. Piętrzyły się wokół nas, kładąc plamy cienia na krętej szosie. Zobaczyliśmy**

zaledwie kilka innych samochodów, ale w tych okolicach zrobi się tłoczno dopiero latem. Teraz wszędzie panowała wiosna. Ziemia w lesie pokryta była dywanem dzikich kwiatów. Niebieskie, żółte i białe plamki przetykały intensywną zieleń młodej trawy. Kiedy indziej piękno Appalachów zapierałoby mi dech w piersi, teraz odbierałem je jak okrutny żart.

–W prawo-poleciał Paul.

Zjechaliśmy na boczną drogę, jak większość w tym rejonie wysypaną tłuczniem. Była dość stroma, co zmuszało automatyczną skrzynię biegów do większego wysiłku. Niecały kilometr dalej zrobiło się płasko. Za zakrętem drogę blokował samochód patrolowy. W głębi dostrzegłem drewniane stoły piknikowe i zaparkowane radiowozy. Gdy podjechaliśmy bliżej, zasłoniły je drzewa.

Umundurowany zastępca szeryfa podszedł do naszego samochodu; opuściłem szybę. Chyba miał niewiele więcej niż dwadzieścia lat, ale kroczył z pewnością o wiele starszego mężczyzny. Patrzył na mnie twardo spod szerokiego randa kapelusza, trzymając dłoń na kolbie rewolweru.

–Cofnąć się. Nie ma przejazdu.

–Może pan powiedzieć Danowi Gardnerowi, że doktor Hunter i... -zaczęłam i w tym momencie usłyszałam, jak otwierają się drzwi po stronie pasażera. Odwróciłem głowę. Paul wysiadał z samochodu. O Chryste, pomyślałem, gdy młody funkcjonariusz ruszył biegiem, żeby go zatrzymać.

–Stać! Stać, do cholery!

Wyskoczyłem z samochodu i chwyciłem Paula, a zastępca szeryfa stał przed nami i wyciągnął rewolwer. Aż do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo nie lubię broni.

–W porządku, wszystko w porządku – powtarzałem, ciągnąc Paula z powrotem. – Nie ma sprawy, proszę się uspokoić.

–Do samochodu! Już! – wrzasnął zastępca szeryfa. Trzymał rewolwer oburącz i celował w ziemię między nami.

Paul nie zamierzał się ruszyć. Sprawiał wrażenie, że w jaskrawym słońcu nie może skupić wzroku. Nie był w stanie dopaść Yorka, ale koniecznie chciał fizycznej konfrontacji. Nie wiem, czym by się to skończyło, gdyby nagle nie rozległ się znajomy głos.

–Co, u diabła, tu się dzieje?

**Nigdy nie przypuszczałem, że ucieszę się na widok Gardnera. Agent TBI szedł szybko ścieżką, z mocno zaciśniętymi ustami. Zastępca szeryfa nadal trzymał rewolwer w wyciągniętych rękach i patrzył wściekłym wzrokiem na Paula.**

**–Powiedziałem im, że nie mogą tam jechać, ale nie chcieli...**

**–Wszystko w porządku – oznajmił bez entuzjazmu Gardner. Garnitur miał chyba bardziej pognieciony niż zwykle. Obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem, potem zwrócił się do Paula: – Co pan tu robi?**

**–Chcę zobaczyć ambulans – powiedział tonem człowieka, który już podjął decyzję.**

**Gardner przyglądał mu się przez chwilę i westchnął.**

**–Tędy.**

**Ruszyliśmy za nim ścieżką. Pole piknikowe urządzono na trawiastej polanie z widokiem na pogórze. Kilometry zadrzewionych szczytów i wąwozów – zastygły ocean zieleni. Tutaj, na większej wysokości, powietrze było chłodniejsze, ale nadal ciepłe, przepojone aromatem żywicy i sosen. Z jednej strony polany, przed kilkoma nieoznakowanymi samochodami stała eruna radiowozów.**

**Trochę z boku znajdował się ambulans odgradzony taśmą policyjną.**

**Nawet z tej odległości widziałem uszkodzenia spowodowane zderzeniem. Wzdłuż karoserii biegły równoległe bruzdy, a lewy błotnik, którym pojazd zapewne uderzył w drzewo, był zgnieciony jak cynfolia. Nic dziwnego, że York porzucił samochód. Miał szczęście, że udało mu się dotrzeć aż tutaj.**

**Paul zatrzymał się przy taśmie policyjnej i patrzył na tył karetki. Szeroko otwarte drzwi odsłaniały sfatygowane leżanki i szafki. W środku pracował technik kryminalistyczny. Z jednej leżanki zwisały pasy. Najwyraźniej były rozpinane w pośpiechu.**

**Poczułem obok siebie czyjąś obecność, odwróciłem się i zobaczyłem Jacobsen. Patrzyła na mnie z powagą. Pod oczami miała ciemne cienie. Najwyraźniej też nie spała tej nocy.**

**Twarz Paula przypominała maskę.**

**–Co znaleźliście?**

**Chyba nie zwrócił uwagi na krótką chwilę wahania Gardnera.**

**–Blond włosy na leżance. Musimy je porównać z próbkami włosów pana żony, ale**

raczej nie mamy wątpliwości. Poza tym ślady wskazują, że w wypadku York doznał poważnych obrażeń.

Poprowadził nas do przedniej części ambulansu. Przez otwarte drzwi kierowcy widzieliśmy brudne wnętrze. Kierownica była wygięta i lekko przekrzywiona na bok.

–Przy tak solidnym uderzeniu w kierownicę York na pewno mocno się pokierszował – stwierdził Gardner. – Musiał przynajmniej złamać sobie żebro.

Po raz pierwszy na twarzy Paula pojawił się słaby cień nadziei.

–A więc jest ranny? To dobrze, prawda?

–Może – odparł wymijająco Gardner.

W jego tonie zabrzmiało coś dziwnego, ale Paul był zbyt przejęty, by zwrócić na to uwagę.

–Chciałbym pobyć tu przez chwilę.

–Pięć minut. Potem musi pan pojechać do domu.

Zostawiłem Paula przy ambulansie i odszedłem na bok z Gardnerem i Jacobsen.

–O czym mu nie powiedzieliście?

Agent zacisnął wargi, ale zanim się odezwał, ktoś zawołał go sprzed ciężarówki techników kryminalistycznych.

–Możesz mu wyjaśnić – oznajmił Jacobsen, odchodząc sztywno wyprostowany.

Cienie pod oczami agentki jeszcze bardziej podkreślały jej skupienie.

–W ambulansie są ślady krwi. Na leżance i podłodze. Wyobraziłem sobie Sam – taką, jaką widziałem po raz ostatni. Dobry

Boże.

–Nie sądzi pani, że Paul ma prawo wiedzieć?

–Cóż, nie wszystkie plamy są świeże i nie mamy pewności, czy któreś z nich należą do jego żony. – Zerknęła w stronę Paula. – A Dan uważa, że teraz informacja ta nic panu Avery'emu nie pomoże.

Niechętnie przyjąłem to do wiadomości. Nie podobało mi się robienie sekretów przed Paulem, ale wyobrażnia i bez tego bardzo go dręczyła.

–Jak znaleźliście ambulans? – spytałem. Odrzuciła kosmyk włosów z twarzy.

–Dostaliśmy meldunek o skradzionym samochodzie, błękitnym chryslerze SUV. Jakieś pół kilometra dalej są chaty do wynajęcia, ale nie ma do nich drogi. Podnajemcy zostawiają tu pojazdy i dalej idą pieszo. Pewnie dlatego York wybrał to miejsce. Nawet o tak wczesnej porze roku zawsze jedna albo dwie chaty są wynajęte. Każdy, kto zna tę okolicę, wie, że ludzie tu parkują samochody.

Popatrzyłem na uszkodzony ambulans. Został porzucony na widoku, kilka metrów od gęstej kępy wawrzynów.

–York nie zadał sobie wiele trudu, by ukryć ślady.

–Nie musiał. Samochody stoją tu wiele dni, kiedy ich właściciele bawią się w pionierów. York mógł założyć, że nikt nie zauważy kradzieży przynajmniej do rana albo i dłużej. Po prostu mieliśmy szczęście, że właściciel tak szybko się zorientował.

Szczęście. Jak dotąd nam nie sprzyjało.

–Dziwne, że nie zaparkował tak, by uszkodzenia mniej rzucały się w oczy.

Jacobsen ze znużeniem wzruszyła ramionami.

–Przypuszczam, że miał na głowie ważniejsze sprawy. Musiał przenieść Samanthę Avery do samochodu, a jeżeli jest ranny, nie przyszło mu to łatwo. Ukrycie ambulansu było dla niego najmniej istotnym problemem.

Sensowne wyjaśnienie. Yorkowi wystarczyło, by nie wykryto go do chwili, kiedy dotrze na wybrane przez siebie miejsce.

–Myśli pani, że noiechał do międzystanowej? – zapytałem.

–Na to wygląda. Autostrada jest zaledwie kilkanaście kilometrów stąd. Może nią wjechać głębiej w góry, zawrócić na zachód albo przedostać się do innego stanu.

–A więc może być wszędzie.

–Właśnie. – Uniosła głowę i znów spojrzała w stronę Paula. – Proszę zabrać przyjaciela do domu. Lepiej, żeby go tu nie było.

–Nie powinien dowiedzieć się tego z telewizji. Kiwnęła głową, godząc się z ukrytą krytyką.

–Dan zamierzał do niego zadzwonić w wolnej chwili. Ale jeżeli będą jakieś nowe wiadomości, natychmiast poinformujemy doktora Avery'ego.

Zwróciłem uwagę, że powiedziała „jeśli”, a nie „kiedy”. Im dłużej wszystko trwało, tym bardziej malały szanse znalezienia Sam. Chyba że York będzie tego chciał.

Jacobsen przyłączyła się do Gardnera stojącego przy ciężarówce techników, a ja podszedłem do Paula. Wyglądał żałośnie, kiedy tak wpatrywał się w ambulans, jakby tam kryła się jakaś wskazówka.

–Jedźmy stąd – powiedziałem łagodnie.

Wcześniejszy bojowy nastrój całkiem się wypalił. Paul jeszcze wpatrywał się w ambulans przez parę sekund, potem odwrócił się do niego plecami i poszedł ze mną do samochodu.

Młody zastępca szeryfa zaczepnie spojrzał na Paula, kiedy mijaliśmy go na ścieżce, ale mógł się nie wysilać. Paul nie zwracał na nic uwagi, kiedy odjeżdżaliśmy z polany. Odezwał się dopiero po kilkunastu kilometrach.

–Straciłem ją, prawda? Zastanawiałem się, co odpowiedzieć.

–Jeszcze tego nie wiesz.

–Owszem, wiem. Ty też. I wszyscy inni. – Teraz słowa płynęły z jego ust jak woda z przepelnionego kubka. – Usiłuję sobie przypomnieć, co jej ostatnim razem powiedziałem. Ale nie mogę. Wciąż grzebię w pamięci, a tam pustka. Tak, nie powinienem tego rozpamiętywać, ale muszę. Po prostu nie wierzę, że kiedy widziałem ją po raz ostatni, wszystko było tak zwyczajne. Jak mogłem niczego nie przeczuwać?

Bo nigdy się tego nie przeczuwa, pomyślałem.

Znowu zamilkł. Tępo patrzyłem na drogę. Dobry Boże, nie pozwól, żeby to się stało. Ale już się stało, a milczący las nie przynosił żadnej ulgi. Owady wirowały w przełamanych kolumnach słonecznego światła, nic nieznaczące plamki wśród gigantycznych dębów i sosen, które stały tu na długo, zanim się urodziłem. Smukły wodospad spadał przez szczelinę w urwisku, ciskając białą pianę na ciemne skały. Mijaliśmy powalone pnie porośnięte mchem; drzewa powoli duszone przez pnącza. Pomimo całego piękna wszystko, co tu się znajdowało, toczyło nieustanną walkę o przeżycie.

Nie zawsze zwycięską.

Nie jestem pewien, kiedy uświadomiłem sobie swój niepokój. Pojawił się jakby znikąd, sygnalizując obecność drobnymi ukłuciami w przedramionach. Włoski na rękach stanęły mi dęba, na karku też, bo czułem tam specyficzne swędzenie.



Niepokój nagle eksplodował dojmującym wrażeniem, że muszę się spieszyć. Mocno chwyciłem kierownicę. Co to? Co się stało? Nie wiedziałem. Paul siedział obok mnie, wciąż pogrążony w pełnym udręki milczeniu. Droga przed nami była pusta, pokryta plamami światła i cieni rzucanych przez drzewa. Popatrzyłem we wsteczne lusterko. Las za nami ciągnął się z obojętną monotonią. Ale niepokój nie zniknął. Znowu zerknąłem w lusterka i podskoczyłem, gdy z głuchym plaśnięciem coś uderzyło w przednią szybę.

Na szkle leżał rozgnieciony duży owad, tworząc plątaninę nóg i skrzydeł. Patrzyłem na niego, czując, jak nagła konieczność pośpiechu zaczyna nabierać konkretnych kształtów. Bez namysłu gwałtownie wdepnąłem hamulec.

Paul oparł się o deskę rozdzielczą przytrzymany pasami. Patrzył na mnie z oszołomieniem, gdy samochód zatrzymywał się z piskiem opon.

–Jezu, Davidzie! – Rozejrzał się, próbując zrozumieć, dlaczego stailiśmy. – Co się stało?

Nie odpowiedziałem. Siedziałem, ściskając kierownicę, serce z łomotem tłukło o moje żebra. Wciąż patrzyłem na przednią szybę. Ogromna wałka, długa niemal jak mój palec, była zmasakrowana, ale wciąż mogłem dostrzec tygrysie pręgi na tułowiu. Jak powiedział Josh Talbot, jej oczu nie można było z niczym pomylić.

Elektryczny błękit *Epiaschna heros*.

Swamp darner.

Rozdział 22.

Wrzuciłem wsteczny bieg, a Paul patrzył na mnie, jakbym zwariował. – O co chodzi? Co zobaczyłeś? – Nie jestem pewien.

Cofając, patrzyłem przez tylną szybę. Obserwowałem las. Talbot mówił, że swamp darnery lubią wilgotne, zalesione środowisko. A wśród krążących między drzewami owadów śmigały błękitne iskierki. Przedtem byłem zbyt przygnębiony, by zwrócić na nie uwagę. „Proszę tylko popatrzeć na te oczy! Niesamowite, prawda? W słoneczny dzień widać je z odległości kilometra”.

Miał rację.

Zjechałem na pobocze. Nie wyłączając silnika, wysiadłem i poszedłem na skraj lasu. Ogarnęła mnie wielka, zielona cisza. Snopy promieni przenikały między drzewami i gałęziami, oświetlając rosnące wśród trawy łany dzikich kwiatów.

I nic.

**–Davidzie, na litość boską, powiesz mi wreszcie, o co chodzi? Paul stał przy otwartych drzwiach. W ustach czułem kwaśny smak**

**rozczarowania.**

**–Na przedniej szybie jest swamp darner. Larwę takiej ważki znaleźliśmy w trumnie Harpera. Myślałem...**

**Umilkłem zakłopotany. Sądziłem, że zobaczę ich więcej.**

**–Przepraszam. – Zacząłem wracać do auta. I nagle zobaczyłem błękitny rozbłysk wśród zieleni. – Tam. – Wskazałem dłonią, czując łomot serca. – Przy powalonej sośnie.**

**Ważka przemykała zygzakiem wśród słonecznych plam, a jej błękitne oczy świeciły jak neon. Teraz dostrzegałem kolejne okazy, zupełnie jakby wybrały właśnie ten moment, by się pojawić.**

**–No, widzę. – Paul wpatrywał się w las, mrugając, jakby dopiero co się obudził. – Uważasz, że to ważne?**

**W jego głosie brzmiała nieśmiała, niemal błagalna nuta i znienawidziłem się za to, że znowu wskrzesiłem w nim nadzieję. Mniejsza o ważki, przecież York nie położyłby zwłok Noaha Harpera tak blisko drogi. A nawet gdyby, jak mogłoby nam to pomóc w znalezieniu Sam. Ale wiedzieliśmy, że York jechał ambulansem właśnie w tym kierunku, a teraz znaleźliśmy także ważki. Nie, to nie zbieg okoliczności.**

**Doprawdy?**

**–Talbot powiedział, że lubią stojącą wodę, prawda? – odezwał się Paul z podnieceniem zrodzonym z desperacji. – Musi być gdzieś w pobliżu staw albo jezioro. Masz mapę w samochodzie?**

**–Ale nie gór. Wczepił palce we włosy.**

**–Może wolno płynący strumień...**

**Zacząłem żałować, że dałem się ponieść wyobraźni. Góry to ponad dwieście tysięcy hektarów dziczy. Z tego co się orientowałem, ważki migrują, więc teraz mogły znajdować się wiele kilometrów od miejsca wyłęgu.**

**Ale jednak...**

**Trochę dalej dostrzegłem coś, co wyglądało jak zjazd na gruntową drogę.**

**–Rozejrzyjmy się, co? – zaproponowałem.**

Paul skinął głową. Chciał podtrzymać choćby najmniejszy cień nadziei. Znowu poczułem wyrzuty sumienia, wiedząc, że pewnie czepiamy się złudzeń. Wróciłem do samochodu i zdjąłem z szyby martwego owada. Kiedy włączyłem wycieraczki i spryskiwacze, woda zmyła ze szkła ostatnie ślady. Jakby wielkiej wagi nigdy tu nie było.

Droga, a właściwie gruntowa ścieżka biegła między drzewami. Nie zasłużyła sobie nawet na szutrową nawierzchnię i musiałem zwolnić tak, że ledwie się toczyłem po koleinach i błocie. Gałęzie uderzały w szyby. Z każdym metrem chaszczce stawały się coraz gęstsze. W końcu stanąłem. Przestrzeń przed nami była całkowicie zarośnięta – klony i brzozy walczyły tu o miejsce z rozrośniętymi krzewami wawrzynu. Ta droga nie prowadziła już nigdzie dalej.

Paul z wściekłością uderzył w deskę rozdzielczą.

–Niech to diabli!

Wysiadł z samochodu. Zrobiłem to samo, wciskając drzwi w sprężynujące gałęzie. Rozejrzałem się, usiłując dostrzec kolejnego swamp dar-nera albo cokolwiek, co potwierdzi, że nie zapuściliśmy się w tę dzicz zupełnie niepotrzebnie. Ale las szydził z nas swoją pustką.

Paul patrzył na splątane drzewa i zgarbił się, jakby przytłoczony poczuciem klęski. Nadzieja, która ożywiła go na krótko, zgasła.

–To bez sensu – oświadczył z rozpaczą. – Jesteśmy wiele kilometrów od polany, na której York porzucił ambulans. Do diabła, prawie wróciliśmy do miejsca, gdzie miał wypadek. Marnujemy czas

Niemal się poddałem. Właściwie byłem gotów wrócić do samochodu, pogodzony z myślą, że zareagowałem zbyt gwałtownie. Ale nagle przypomniałem sobie słowa Toma: „Masz dobry instynkt, Davidzie. Twój problem polega na tym, że mu nie ufasz”.

A mimo wszystkich wątpliwości instynkt podpowiadał mi, że tu jest coś ważnego.

–Daj mi jeszcze chwilę.

Gałęzie nad nami zaszeleściły poruszone wiatrem, potem znowu uciuchły. Podeszedłem do butwiejącego pnia, obrośniętego bladymi, talerzowa-tymi grzybami, i wspiąłem się na niego. Znalazłem się wyżej, ale niewiele to zmieniło. Poza zarośniętym szlakiem, którym przyjechaliśmy, widziałem tylko drzewa. Już miałem zejść, gdy znów powiał wiatr i gałęzie poruszyły się, szeleszcząc. I wtedy poczułem.

Słaby, słodkawy odór rozkładającego się mięsa. Skierowałem twarz pod wiatr.

**–Czujesz?...**

**–Tak.**

**W jego głosie brzmiało napięcie. Zbyt dobrze znaleźliśmy ten zapach, by się pomylić. Potem wiatr ucichł i powietrze znów zapachniało tylko lasem. Paul rozglądał się gorączkowo.**

**–Skąd to dolatywało? Wskazałem na zbocze wzgórza.**

**–Chyba stamtąd.**

**Bez słowa zagłębił się przez las. Po raz ostatni spojrzałem na samochód, potem szybko ruszyłem za Paulem. Droga była trudna. Żadnej ścieżki ani szlaku, a my nie mieliśmy odpowiedniego ubrania na taką wycieczkę. Gałęzie szarpały nas, kiedy przedzieraliśmy się po nierównym terenie, gęste kępy krzewów uniemożliwiały marsz w prostej linii. Przez jakiś czas samochód służył nam jako punkt orientacyjny, ale kiedy straciliśmy go z oczu, mogliśmy się opierać jedynie na przypuszczeniach.**

**–Jeżeli pójdziemy dalej, zgubimy się – wysapałem, gdy Paul przystanął, by odczepić marynarkę od niskiej gałęzi. – Nie ma sensu tak się wałęsać.**

**Przygryzając wargę, popatrzył na otaczające nas drzewa. Jego pierś ciężko unosiła się i opadała. Wprawdzie rozpaczliwie chciał, żeby coś doprowadziło nas do Yorka i Sam, ale wiedział równie dobrze jak ja, że źródłem odoru może być martwe zwierzę.**

**Jednak zanim którykolwiek z nas zdążył coś powiedzieć, gałęzie zaдрżały, gdy znów dmuchnął wiatr. Popatrzyliśmy na siebie. Poczuliśmy ten sam smród. Był silniejszy niż przedtem.**

**Jeżeli to martwe zwierzę, musiało być naprawdę wielkie.**

**Paul podniósł garść sosnowych igieł i podrzucił, sprawdzając, w którą stronę polecą.**

**–Tędy.**

**Ruszyliśmy, tym razem bardziej pewni siebie. Teraz odór rozkładu roznosił się nawet, kiedy wiatr ucichł. Jakby na potwierdzenie, że idziemy we właściwym kierunku, metalicznie błysnęła przelatująca ważka.**

**A potem zobaczyliśmy ogrodzenie.**

**Częściowo zasłaniały je choinki i krzaki. Drewniany płot miał dwa i pół metra wysokości i na szczycie drut brzytwowy. Deski były zbutwiałe, a przed płotem stało**

jeszcze starsze ogrodzenie z siatki, teraz zardzewiałej i obwisłej.

Zaczęliśmy iść wzdłuż ogrodzenia i miałem wrażenie, że Paula wypełniła jakaś nadzwyczajna energia. Trochę dalej trafiliśmy na dwa wysłużone kamienne słupy od bramy. Przejście zagrodzono deskami. Grunt przed słupami był zarośnięty, mimo to dostrzegliśmy głębokie, równoległe bruzdy.

–Koleiny – powiedział Paul. – Jeżeli tu znajdowała się brama, musiała prowadzić do niej droga. Może to szlak, którym jechaliśmy.

Jeżeli tak, bardzo dawno z niego nie korzystano.

Smród rozkładu stawał się coraz silniejszy, ale żaden z nas nic nie powiedział. Nie było potrzeby. Paul przeszedł przez obwisłą siatkę i chwycił jedną z desek. Rozległ się przeraźliwy trzask, zbutwiałe drewno zostało mu w rękach.

–Poczekaj, musimy powiadomić Gardnem... – Sięgnąłem po telefon.

–I co mu powiemy? – Siłował się z płotem, pomrukując z wysiłku.

–Uważasz, że rzuci wszystko i przybiegnie, bo poczuliśmy padlinę?

Kopał w deskę, aż pękła. Potem zaczął gorączkowo szarpać drwią. Wreszcie z głośnym trzaskiem oderwała się od upartego gwoźdź. W dziurze pojawiły się krzaki, zasłaniając wszystko po drugiej stronie. Odrywając ostatnie kawałki drewna, spojrzał na mnie krótko.

–Nie musisz ze mną iść.

Zaczął przełazić przez dziurę. Po kilku sekundach tylko kołyszące się gałęzie pokazywały, gdzie jest.

Zawahałem się. Nikomu nie powiedzieliśmy, dokąd poszliśmy i Bóg jeden wiedział, co nas czeka za ogrodzeniem. Ale nie mogłem zostawić Paula samego.

Przecisnąłem się przez dziurę.

Serce podskoczyło mi do gardła, kiedy coś szarpnęło mnie za marynarkę. Ogarnięty paniką ciągnąłem ją, aż wreszcie zobaczyłem, że zaczęłam o gwóźdź. Uwolniłem się i poszedłem dalej. Po tej stronie krzaki rościły gęsto przy samym ogrodzeniu. Przed sobą słyszałem trzaski i szelesty

–to Paul przedzierał się przez gąszcz. Podążałem za nim najszybciej, jak mogłem, osłaniając ręką oczy przed drapieżnymi gałęziami.

Potem wyszedłem na wolną przestrzeń i niemal na niego wpadłem.

Znaleźliśmy się w wielkim ogrodzie. A raczej: byłym ogrodzie. Ozdobne drzewa i krzewy rozrosły się dziko. Staliśmy w cieniu wielkiej magnolii, której woskowane białe kwiaty rozstaczały mdląco słodki zapach. Bezpośrednio przed nami rósł stary złotokap; ciężkie gałęzie miał oblepione żółtymi gronami.

W dole znajdował się staw. Kiedyś pewnie centralny element ogrodu, teraz paskudny i cuchnący. Trzciny zarastały wysychające brzegi, a gęstą, zieloną wodę pokrywała rześsa. Małe owady tańczyły chmarami nad mętną powierzchnią, jak pyłki kurzu w słońcu.

Polowały na nie ważki.

Były ich dziesiątki. Setki. Powietrze brzęczało trzepotem ich skrzydeł. Tu i ówdzie widziałem tęcze barwy innych, mniejszych gatunków, ale niepodzielnie panowały ozdobione tygrysimi paskami swamp darnery. Kiedy fruwały nad wodą w skomplikowanym balecie, ich oczy błyszczały jak szafiry.

Przesunąłem się w prawo, żeby mieć lepszy widok, i coś trzasnęło mi pod butem. Spojrzałem w dół – w trawie leżał blady, biało-zielony patyk. Nie, dwa patyki. I nagle uświadomiłem sobie, że to kości ludzkiego przedramienia.

Cofnąłem się powoli. Szkielet był częściowo ukryty w poszyciu koło moich stóp. Między omszałymi kośćmi rosły już źdźbła wiosennej trawy.

Czarna kobieta, nastolatka – zidentyfikowałem odruchowo. Dokładnie w tym momencie smród rozkładu przebił się przez intensywny zapach magnolii.

–O mój Boże... – szepnął Paul.

Powoli podniosłem wzrok. Ogród był pełen trupów.

Leżały na uawie, pod drzewami, w poszyciu. Stare, już zszkicowane, ale też stosunkowo nowe. Skórzaste jelita i chrząstki wciąż stanowiły pożywienie dla much i robaków. Nic dziwnego, że nie znaleziono żadnej z wcześniejszych ofiar Yorka.

Stworzył własną trupa farmę.

Głos Paula drżał.

–Popatrz. Tam jest dom.

Za stawem znajdowało się zadrzewione zbocze wzgórza. W pobliżu szczytu przebijały przez gałęzie kanciaste linie dachu. Paul ruszył w tę stronę, a ja złapałem go za ramię.

**–Co robisz? Wyszarpnął się.**

**–Tam może być Sam.**

**–Wiem, ale musimy powiedzieć Gardnerowi...**

**–To mu powiedz – zawołał, zrywając się biegiem.**

**Zakląłem. Oczywiście, powiadomię Gardnera, ale najpierw musiałem powstrzymać Paula przed zrobieniem jakiegoś głupstwa. Pobiegłem za nim.**

**Zwłoki były wszędzie. Ot tak, rozrzucone i rozstawione, żeby gnily. Obojętne na wszechobecną śmierć ważki śmigają i wisiały w powietrzu, gdy pędziłem przez ogród. Widziałem, jak swamp darner łagodnie porusza skrzydłami, siedząc na palcu szkieletu, piękny, ale obcy. Gdy jakiś za-brzęczał koło mojej głowy, odegnałem go z obrzydzeniem.**

**Paul wciąż mnie wyprzedzał. Gnał do widocznego wśród gałęzi domu. Trzypiętrowy rozległy budynek zbudowany na pochyłym zboczach wznosił się jak urwisko. Zorientowałem się, że to raczej jakiś stary hotel. Kiedyś musiał wyglądać imponująco, ale teraz sprawiał wrażenie, że rozkłada się jak zwłoki w jego otoczeniu. Fundamenty przesunęły się, nadając mu zwi-chrowany skręcony wygląd.**

**W krytym gontem dachu ziały dziury, a zasnute pajęczyną okna pa-trzyły niczym ślepe oczy w zniszczonej, szarej twarzy. O jeden narożnik opierała się jak pijana stara wierzba płacząca. Jej gałęzie otulały ściany, jakby chcąc okryć ich rozkład.**

**Paul dotarł do zarośniętego zielonym tarasu, który ciągnął się wzdłuż całego boku budynku. Byłem tuż za nim, ale nie dość blisko, żeby go za-trzymać. Podbiegł do zabitych deskami drzwi balkonowych i szarpnął za klamkę. Nie otworzyły się, ale grzechot zakłócił ciszę ogrodu.**

**Odciągnąłem go na bok.**

**–Co ty wyprawiasz? Jezu. chcesz się dać zabić?**

**Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło za odpowiedź. Nie spo-dziewał się, że znajdzie Sam żywą. A jeżeli nie żyła, nie obchodziło go, co się z nim stanie.**

**Odepchnął mnie i pobiegł do starej wierzby. Nie mogłem pozwolić, żeby zbyt szybko się oddalił, ale też nie zamierzałem już dłużej zwlekać z te-telefonem do Gardnera. Biegając, wybrałem numer i z ulgą przekonałem się, że nawet tu jest słaby zasięg. Było to więcej, niż odważyłem się mieć nadzieję, ale zakląłem, kiedy w komórce agenta TBI włączyła się poczta głosowa. Nie miałem czasu dzwonić do Jacobsen, Paul już zniknął pod gałęziami wierzby. Krztusząc się słowami, opisałem najlepiej, jak**

potrafiłem, gdzie jesteśmy, a potem zatrzasnąłem telefon i przyspieszyłem.

Z bliska ruina budynku była jeszcze bardziej widoczna. Małe otworki dziurawiły drewniane listwy, miękkie jak balsa. Pomyślałem o chmurze owadów, którymi karmiły się ważki, i przypomniałem sobie słowa Josha Talbota: „Swamp darnery uwielbiają skrzydlate termity”.

Miały ich tu pod dostatkim.

Paul biegł zarośniętą ścieżką wzdłuż ściany budynku. Chociaż rozsaǳało mi płuca, przyspieszyłem jeszcze bardziej i szarpnąłem go do tyłu, zanim znalazł się przy winklu.

–Odwal się!

Od uderzenia łokciem zobaczyłem gwiazdy przed oczami, ale nie puściłem Paula.

–Tylko pomyśl, dobrze? A jeżeli facet ma pistolet? Próbował mnie odepchnąć.

–I co z tego?

Nadal trzymałem go mocno.

–Jeżeli Sam żyje, jesteśmy jej jedyną szansą! Chcesz to zmarnować? Ten argument do niego dotarł. Szaleństwo zniknęło z oczu, opór zełżał. Puściłem Paula, ale wciąż byłem czujny.

–Nie zamierzam czekać, aż Gardner tu dotrze – wysapał.

–Wiem, ale nie możemy tak pędzić na złamanie karku. Nie ułatwiajmy sprawy Yorkowi.

Widziałem, że chce jedynie rozbijać ściany do chwili, kiedy znajdzie Sam, ale zdawał sobie też sprawę, że mam rację. Nawet jeżeli York już usłyszał głosy, szelesty i trzaski, mógł się nie zorientować, że jest nas tylko dwóch. Ogłaszając swoje przybycie, stracilibyśmy tę małą przewagę.

Ostrożnie podeszliśmy do końca ścieżki.

Okazało się, że najpierw byliśmy na tyłach domu, a teraz dotarliśmy do frontowej części. Wiosenne słońce nie wzniosło się jeszcze nad wysoki dach. Zagłębialiśmy się więc w głębokie cienie, jak w zimną wodę. Po tej stronie nawet drzewa – wysokie sosny i klony – wydawały się ciemniejsze. Las znów objął w posiadanie dawny ogród, gałęzie spletały się nad błotnistym podjazdem, tworząc mroczny, ciasny tunel bez końca.



Z jednej strony podjazdu tkwiła wykrzywiona drewniana tablica. Lińtery, które wyblakły, nabierając upiornej, niebieskiej barwy, obwieszczały z optymizmem: „Odetchnij głęboko! Jesteś w spa Cedrowe Wzgórza!” Obiekt powstał najprawdopodobniej w latach pięćdziesiątych i, sądząc po stopniu zniszczenia, był zapomniany od tamtej pory.

Przez wszystkich, ale nie przez Yorka.

Na podjeździe stało kilka byle jak zaparkowanych samochodów, ukradzionych razem z życiem ich właścicieli. Większość z nich najwyraźniej nie ruszała się stąd od lat; dachy i przednie szyby pokrywała warstwa butwiejących liści i ptasich odchodów. Ale dwa były czystsze od pozostałych – wielki, czarny pikap z przyciemnionymi szybami i niebieski chrysler SUV.

Świadomość, że York tak nas wyprowadził w pole, była gorzka jak popiół. Wrócił niemal w to samo miejsce, gdzie miał wypadek. I zamiast ryzykować, że zaczniemy węszyć zbyt blisko Cedrowych Wzgórz, pojechał wiele kilometrów dalej, tam porzucił ambulans i ukradł samochód.

SUV był zaparkowany przed wykrzywionymi kamiennymi schodami na zadaszoną werandę. Na ich szczycie widniała para wysokich, podwójnych drzwi – kiedyś na pewno wspaniałych, teraz zniszczonych jak wszystko pozostałe.

Paul podniósł kawał drewna, który odpadł od werandy, i ruszył po schodach. Przez nachylone jedno skrzydło drzwi widziałem wielkie, zacienione foyer i dolne stopnie szerokich schodów. Paul wyciągnął rękę, żeby otworzyć drzwi na całą szerokość.

W tym momencie zadzwonił mój telefon.

Dzwonek wydawał się straszliwie głośny. Wyszarpnąłem aparat z kieszeni i zobaczyłem na ekranie numer Gardnera. Jezu, nie teraz! Szybko starałem się odebrać połączenie, ale zdołałem uciszyć przeszywające brzęczenie dopiero po potwornie długich sekundach.

Usłyszałem trzeszczący, zanikający głos agenta.

–Hunter? Gdzie, u diabła, jesteście?

Ale nie miałem czasu odpowiedzieć. Czas się skończył, bo nagle w głębi domu rozległ się krzyk. Szybko umilkł, ale całe opanowanie Paula zniknęło.

–Sam! Trzymaj się! Już idę! – wrzasnął i wpadł pędem przez otwarte drzwi.

O Chryste! Ale nie miałem już wyboru. Nie zwracając uwagi na gniewne pytania Gardnera, pognałem za Paulem do ośrodka spa.

Przechyłasz głowę i nasłuchujesz. Wkrótce tu będą, zostało ci za ledwie parę minut. W żyłach pulsuje ci adrenalina, ale najgorszy szok już minął, znów jesteś w stanie działać. Kiedy usłyszałeś ich przy drzwiach balkonowych, sparaliżowało cię zaskoczenie. Myślałeś, że jeśli porzucisz ambulans w odległości wielu kilometrów stąd, zgubią trop i zdołasz się zrelaksować.

Powinieneś lepiej to zaplanować.

W pierwszym odruchu chcesz uciekać, ale to nie jest wyjście z sytuacji. Zmuszasz się do spokoju, do myślenia! I stopniowo panika mija na tyle, abyś mógł się zastanowić, co zrobić. Pamiętaj, jesteś od nich lepszy. Lepszy od wszystkich.

Wciąż możesz wygrać tę rundę.

Ale musisz się spieszyć. Oczy związanej postaci, szeroko otwarte i przerażone, wpatrują się w ciebie, kiedy upewniasz się, że knebel znów się nie rozluźni. Nie chcesz, żeby kolejne wrzaski zdradziły, gdzie jesteś, jeszcze nie teraz. Kiedy zaczynasz, czujesz, że to marnotrawstwo. Nie tak miało być, nie w momencie, kiedy dotarłeś już tak blisko... Ale nie ma czasu na żal.

Musisz zrobić, co trzeba.

Potem przyglądasz się swojemu dziełu z niesmakiem. Oczy już nie patrzą na ciebie, nie patrzą na nic. Oddychasz nierówno, spazmatycznie, słysząc, jak intruzi zbliżają się coraz bardziej. Niech się zbliżają. Już prawie skończyłeś. Została ci tylko jedna rzecz do zrobienia i twoja niespodzianka będzie gotowa.

Ocierając pot z twarzy, sięgasz po nóż.

## Rozdział 23

–Paul przebiegł przez foyer.

–Sam? Sam!

Jego krzyki odbijały się echem od nagich ścian. Wnętrze ośrodka było mroczne i całkiem puste. Przez zamknięte okiennice wpadały do środka jedynie smugi światła. Kiedy biegłem za Paulem z telefonem przyciśniętym do ucha, widziałem wokół siebie przestrzeń, ruinę i kurz.

–Mów do mnie, Hunter! Co się dzieje! – Gardner domagał się wyjaśnień. Jego głos pojawiał się i ginął.

–Znaleźliśmy Yorka – wysapałem. – To stary ośrodek spa na pogórzcu, z dwadzieścia kilometrów od miejsca, gdzie porzucił ambulans. Tu jest... – Nie

wiedziałem, jak opisać koszmar w ogrodzie. Zacząłem tłumaczyć, gdzie zostawiliśmy samochód, gdy cisza w słuchawce odebrała mi głos. – Gardner? Gardner!

Połączenie zostało przerwane. Nie miałem pojęcia, ile usłyszał i czy w ogóle coś do niego dotarło, ale nie było czasu, żeby próbować się znów dodzwonić. Paul zatrzymał się pośrodku foyer.

–Sam! Gdzie jesteś? Sam!

–Paul! – złapałem go za ramię. Strząsnąłem moją dłoń.

–Już wie, że tu jesteśmy! Wiesz, sukinsynu, co? – ryknął. – Słyszysz mnie? Idę do ciebie, York!

Jego wyzwanie pozostało bez odpowiedzi. Nasze ciężkie oddechy rozlegały się głuchym echem w ogromnym pomieszczeniu. Termity albo osiadanie gruntu naruszyło fundamenty i cała podłoga była pochylona jak w jarmarcznej beczce śmiechu. Kurz pokrywał każdą powierzchnię. Wyblakłe tapety zwisały płatami. Na niegdyś wspaniałych schodach zerwano poręcze i tralki sterczały niczym obluzowane zęby. Obok była staroświecka winda. Teraz zardzewiała i zaśmiecona kabina zrobiła swój ostatni kurs wiele dziesięcioleci temu. W powietrzu unosił się odór starzyzny, wilgoci, pleśni i butwiejącego drewna. I czegoś jeszcze.

Rozkładu. Obrzydliwie słodkawy smród.

Paul podbiegł do schodów. Jego kroki dudniły na drewnianej podłodze. Zaczął wchodzić na górę, ale zatrzymałem go i pokazałem coś. Jedna strona budynku wyglądała, jakby miała się zaraz zawalić, ale z drugiej znajdowały się drzwi z tabliczką „Prywatne”. Na zakurzonych klepkach parkietu, między nimi a wejściem, widniało mnóstwo śladów i odcisków opon roweru.

A może wózka inwalidzkiego.

Zaciskając w pięści kawał drewna, Paul podbiegł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Przed nami ciągnął się mroczny, służbowy korytarz; tylko przez małe okienko na drugim końcu wpadało trochę światła.

–Sam! – krzyknął.

Jego głos ucichł w ciemności. Po obu stronach korytarza było kilkoro drzwi. Paul zaczął biec, otwierając je po kolei. Uderzały o ścianę z hukiem przypominającym wystrzał, odsłaniając puste szafy i składziki, pełne tylko pajęczyn. Spieszyłem za nim, aż wreszcie dotarliśmy do ostatnich drzwi. Szarpnąłem je i zamrugłem oślepiony nagłą jasnością.

**Znaleźliśmy się w pustej kuchni.**

**Popołudniowe słońce wpadało ukośnymi snopami przez brudne okna i nadawało wnętrzu mroczny, zielony koloryt akwarium. W jednym rogu stało łóżko polowe ze skotłowanym śpiworem. Półki przy wezgłowie, wykonane z betonowych pustaków i nieheblowanych desek, uginały się pod ciężarem starych książek. Na wielkim, opalonym drewnem piecu zobaczyłem zaskorupiałe rondle, a w dwóch dużych zlewach pełno brudnych naczyń. Pośrodku znajdował się sosnowy stół z obdrapanym blatem. Talerze odsunięto na bok, żeby zrobić miejsce na apteczkę pierwszej pomocy, z której nadal zwisał kawałek bandaża. Przypomniałem sobie wygiętą kierownicę w ambulansie i poczułem dziką satysfakcję.**

**Dopiero kiedy podniosłem wzrok, zorientowałem się, że jedna ściana cała jest pokryta fotografiami.**

**Kolaż czarno-białych zdjęć wykrzywionych cierpieniem twarzy, takich samych, jak te w domu Yorka. Było ich zbyt wiele, by ogarnąć wszystkie od razu – podobizny mężczyzn i kobiet w każdym wieku i każdej rasy, przypięte do ściany jak w jakiejś upiornej galerii. Niektóre odbitki pod wpływem czasu zaczęły się zwijać i żółknąć. Portfele, torebki, biżuteria tworzyły nieporządną stos na dolnej półce, odrzucone równie niedbale, jak istnienia ich właścicieli.**

**Coś lepkiego otarło się o moją twarz i poczułem nagle, delikatne wibracje. Odskokczyłem, niemal przewracając krzesło, i dopiero wtedy zorientowałem się, że to lep na muchy. Tkwił na nim swamp darner, jeszcze żywy, ale beznadziejnie uwięziony, a chaotyczne ruchy przylepiały go jeszcze bardziej. W całej kuchni wisiało mnóstwo lepów pokrytych warstwą martwych much i innych owadów. York nie zawracał sobie głowy ich zdejmowaniem, po prostu wieszał nowe, gdy na tamtych brakowało już miejsca.**

**Paul podszedł do pieca, przy którym leżał nóż z długą klingą. Wziął go i bez słowa podał mi trzymany kawałek drewna – cienki i spróchniały, ale lepsze to niż nic.**

**Z kuchni prowadziło dwoje drzwi. Paul usiłował otworzyć pierw-z nich, ale wypaczyły się i zaklinowały we framudze. Uderzył w nie barćkiem i ustąpiły z przeraźliwym trzaskiem. Stracił równowagę, wpadł do środka i zderzył się z bladym ciałem podwieszonym pod sufitem.**

**–Jezu!**

**Zatoczył się do tyłu. Ale to był tylko korpus świni, rozplątany wzdłuż na pół i umocowany za tylne nogi do rzeźnickiego haka. Mały pokóik**

**o rozmiarach szafy okazał się staroświecką chłodnią, ale obrzydliwy odór**

1 brzęczące muchy świadczyły, że nie było w nim dość zimno. Podzielone na porcje i zapakowane kawałki mięsa zapełniały półki, a świńska głowa leżała na zakrwawionym talerzu niczym rytualna ofiara.

Świńskie zęby i krew. York nie lubił niczego marnować.

Paul nie ruszał się przez chwilę, tylko ciężko dyszał. Potem podszedł do drugich drzwi. Te otworzyły się gładko. Zrobiłem głęboki wydech, kiedy zobaczyłem, że jest za nimi tylko mała klatka schodowa prowadząca w ciemność.

Z boku górnego podestu stał wózek inwalidzki.

Obdrapany i poobijany, z wilgotnymi smugami na siedzeniu. Przypomniałem sobie, co Jacobsen powiedziała o krwi w ambulansie, i zerknąłem na Paula w nadziei, że nie zauważy tych śladów.

Zauważył.

Zaczął zbiegać po schodach, przeskakując po trzy stopnie.

Ruszyłem za nim; zdezelowane schody chwiały się i skrzypiały. Na dole był ciemny, wąski korytarz. Smugi światła sączyły się przez zabite deskami okna i drzwi balkonowe – te, które usiłowaliśmy otworzyć od zewnątrz. Ośrodek został wbudowany w zbocze i teraz znajdowaliśmy się na parterze. Intensywny odór rozkładu drażnił nozdrza. Ale korytarz był pusty i miał tylko jedne drzwi na drugim końcu.

Na mosiężnej tabliczce widział napis „Pokoje spa”.

Paul pobiegł tam, kiedy ciszę przeszył nagły hałas. Przypominał głośny syk powietrza uciekającego przez zawór – wysokie, zawodzące wycie, nie ludzkie i pełne cierpienia. Odgłos ucichł gwałtownie, ale nie było wątpliwości, skąd dochodzi.

Ze spa.

–Sam! – ryknął Paul i runął do drzwi.

Nie mogłbym go zatrzymać, nawet gdybym chciał. Ściskając kawał drewna tak mocno, że bolała mnie dłoń, znalazłem się tuż za nim, gdy wpadał do środka. Ledwo zdążyłem uświadomić sobie, że to duża sala

o ścianach wyłożonych białymi kafelkami, kiedy z drzwi naprzeciwko mnie wyskoczyła jakaś postać.

Serce prawie mi zamarło, zanim zrozumiałem, że to moje odbicie. Na przeciwległej

ścianie wisało wielkie, poplamione lustro. Pod nim znajdował się rząd wodotrysków z wodą do picia. Krany były suche

1 zakurzone. Przez szereg wysoko umieszczonych, pokrytych pajęczynami okien sączyło się słabe światło. Od podłogi po sufit ciągnęły się białe kafelki. Tabliczki z napisami „Sale zabiegowe”, „Sauna” i „Łaźnia turecka” przymocowano na drzwiach do pomieszczeń pogrążonych w mroku.

Tu też York porzucił swoje ofiary.

W rogu, koło ciemnego łuku przejścia znajdował się wpuszczony w podłogę basen o powierzchni jakichś sześciu metrów kwadratowych.

York zamienił go w zbiorową mogiłę. O ile mogłem się zorientować, były w różnym stadium rozkładu, ale nie tak daleko posuniętym, jak leżące na zewnątrz.

Smród był nie do opisanania.

Paul zatrzymał się na ten widok, ale tylko przez moment. Szybko podszedł do szeregu drzwi z napisem „Sale zabiegowe” i otworzył najbliższe. Zobaczyliśmy za nimi małe pomieszczenie – dawny gabinet do masażu teraz służył Yorkowi za ciemnię. Uderzył nas odór chemikaliów. Białe starego biurka zapełniały kuwety i pojemniki z wywoływaczami i utrwalaczami, a na rozciągniętym nad nim sznurze wisały kolejne zdjęcia.

Paul precyzyjnie przeszedł obok mnie i wbiegł do następnego pokoju. Smród przebijający nawet odór chemikaliów podpowiadał nam, co znajdziemy w środku. Nagle poczułem, że nie chcę tam zaglądać, ogarnął mnie nagły strach przed tym. Paul chyba też przeżył moment wahania. Stał blady jak śmierć.

W końcu pchnął drzwi.

Na wyłożonej kafelkami podłodze leżały kolejne ofiary Yorka, rzucone jedne na drugie jak drewno na opał. Całkowicie ubrane, najwyraźniej wciągnięte tu i tak zostawione. Nagle po prostu przestał się nimi interesować.

Martwa kobieta na samej górze sprawiała wrażenie, jakby spała. W mdłym świetle sączącym się przez otwarte drzwi wyglądała żałośnie bezbronnie – odrzucona na bok ręka, rozsypane blond włosy.

Usłyszałem, pełen bólu krzyk Paula.

Znaleźliśmy Sam.

Rozdział 24

e nie miałem czym oddychać. Chociaż tłumaczyłem sobie, że Sam pewnie nie żyje, że York nie miał powodu jej ocalić, to jednak nie wierzyłem w to do końca.

Chwyciłem Paula, gdy ten rzucił się do przodu.

–Nie...

Widziałem zdjęcia ofiar Yorka. Paul nie powinien zobaczyć żony w takim stanie. Wrywał mi się, aż w końcu nogi się pod nim ugięły. Cofnął się niepewnie o krok i osunął po ścianie na podłogę.

–Sam... O, Chryste!

Rusz się, rozkazałem sobie. Zabierz go stąd. Na wpół leżał na podłodze, niczym popsuta zabawka. Spróbowałem go podnieść.

–Chodź. Musimy wyjść.

–Była w ciąży. Chciała mieć chłopca... O Jezu, Boże... W gardle mnie piekło. Ale nie mogliśmy tu zostać.

–Wstań, Paul. Już jej nie pomożemy.

Nie słyszał niczego. Chciałem spróbować jeszcze raz, ale w małym pomieszczeniu nagle zrobiło się ciemno. Odwróciłem się gwałtownie – to tylko drzwi zamknęły się za nami. Szybko otworzyłem je znowu, niemal spodziewając się, że zobaczą za nimi Yorka. Nikogo tam nie było, ale gdy szare światło od wejścia padło na Sam, dostrzegłem coś jeszcze.

Błysk srebra pod splątanymi, jasnymi włosami.

Czułem ucisk w piersi, kiedy podszedłem do sterty zwłok. Stawał się coraz silniejszy, gdy delikatnie odgarnąłem włosy na bok. Zachwiałem się, widząc znajomą twarz. O Boże.

Usłyszałem, jak za moimi plecami Paul zaczyna łkać.

–Paul...

–Zawiodłem ją. Powinienem... Złapałem go za ramiona.

–Posłuchaj, to nie Sam! Podniósł zalaną łzami twarz.

–To nie jest Sam – powtórzyłem i dodałem z trudem: – To Summer.

–Summer?

**Cofnąłem się, żeby mógł wstać. Podszedł do zwłok z obawą, jakby nie do końca mi wierzył.**

**Ale widok stalowych kołków w uchu i nosie wystarczył, by go przekonać, że to nie jego żona. Stał z nożem opuszczonym luźno wzdłuż ciała, wpatrując się w tlenione blond włosy, które nas zmyliły. Studentka leżała na brzuchu, z głową lekko obróconą na bok. Twarz miała straszliwie wykrzywioną, widoczne jedno oko było przekrwione, matowe i wytrzeszczone.**

**Uznałem, że Summer nie przyszła do prosektorium, ponieważ przeżywa śmierć Toma. A tymczasem stała się kolejną ofiarą Yorka. Paul zadygotał.**

**–O Jezu...**

**Łzy nadal spływały mu po policzkach. Domyślałem się, jak sprzeczne emocje nim targają – poczucie ulgi, ale i winy. Sam to czułem.**

**Przecisnął się obok mnie, wybiegając z pokoju.**

**–Sam! Sam! Gdzie jesteś?**

**Jego krzyk odbijał się echem od wykafelkowanych ścian spa. Poszedłem za nim.**

**–Paul...**

**Stał pośrodku pomieszczenia z nożem zaciśniętym w pięści.**

**–Co z nią zrobiłeś, York? – wrzeszczał z wykrzywioną twarzą. – Wyłaż, pieprzony tchórze!**

**Nie było odpowiedzi. Kiedy ucichły echa, wokół nas znów zamknęła się cisza. Wolne kapanie z jakiegoś niewidocznego kranu odliczało chwile jak dalekie tętno.**

**I nagle coś usłyszeliśmy. Stłumiony jęk, właściwie znikomy pogłos, ale nie pozostawiał żadnej wątpliwości.**

**Dobiegał z innego pokoju zabiegowego. Paul ruszył tam i wdarł się do pomieszczenia. Naokoło na ścianach wisiały akumulatorewe lampy sztorimowe, ale żadna z nich nie świeciła. Jednak przez otwarte drzwi wpadało dość światła, żebyśmy mogli zobaczyć w środku nieruchomą postać.**

**Nóż Paula z brzękiem upadł na podłogę.**

**–Sam!**

**Namacalem najbliższą lampę, włączyłem ją i zamrugalem oślepiony jaskrawym**



światłem. Sam leżała przywiązana do starego stołu do masażu. Przy jej głowie stał na trójnogu aparat fotograficzny z obiektywem wycelowanym prosto w jej twarz. Obok niego znajdowało się drewniane krzesło, dokładnie tak samo jak w chacie. Przeguby i kostki miała przywiązane szerokimi, skózanymi pasami. Cieńszy pasek otaczał jej szyję. Mocno zaciśnięty wpijał się w miękkie ciało. Połączony był ze skomplikowanym układem stalowych trybów, pomiędzy których sterczało drewniane pokrętło.

Hiszpański kołowrót Yorka.

Wszystko to dostrzegłem w ciągu kilku sekund od wejścia do małego pokoiku. Spóźniłem się, pomyślałem, widząc napięty pasek na szyi. Potem Paul odsunął się trochę na bok i zobaczyłem oczy Sam – szeroko otwarte, przerażone, ale żywe.

Kiedy tak leżała przywiązana do stołu, jej brzuch wydawał się nieprawdopodobnie wielki. Twarz miała czerwoną, ze śladami łez, a w jej ustach tkwił gruby, gumowy knebel. Gdy Paul go wyciągnął, starała się głęboko nabrać powietrza, ale pasek na szyi utrudniał oddychanie. Pierś unosiła się i opadała, gdy Sam walczyła o każdy łyk tlenu.

–Już dobrze. Jestem przy tobie. Nie ruszaj się – mówił do mej Paul.

Zacząłem rozpinąć paski na kostkach Sam i nagle na czymś się poślizgnąłem. Spojrzałem w dół, zobaczyłem ciemną kałużę na białych kafelkach podłogi. Przypomniałem sobie plamy krwi w ambulansie i zrobiło mi się zimno, ale szybko zrozumiałem, że to nie krew.

Odeszły wody płodowe.

Gorączkowo szarpałem paski. Stojący obok mnie Paul wyciągnął rękę w stronę pokrętła.

–Nie dotykaj! – krzyknąłem. – Nie wiemy, w którą stronę obracać. Bardzo chcieliśmy uwolnić Sam, ale pasek kołowrotu wciąż wpijał jej

się w gardło. Jeżeli przez pomyłkę go dociśniemy, możemy ją zabić. Paul zaczął rozglądać się po podłodze.

–Gdzie ten nóż? Mogę przeciąć...

Zagłuszył go przeraźliwy wrzask. Dobiał z zą naszych pleców, spod pogrążonego w ciemności łuku przy basenie. Narastał, odbijając się echem od ścian i ginąc gdzieś w oddali. Brzmiał nieludzko.

A potem w przejściu pojawił się York.

Był prawie nie do rozpoznania. Włosy rozczochrane, ciemny garnitur brudny i poplamiony. Żył na szyi napęczniały mu jak postronki, gdy wrzeszczał, wymachując trzymany oburącz nożem z długim ostrzem. Nawet z miejsca, w którym stałem, widziałem krew na jego dłoniach - prawie czarną w słabym świetle.

Pochyliłem się po upuszczony kawał drewna, czując, że ręce i nogi mam straszliwie ciężkie.

–Zabierz ją stąd! – rozkazałem Paulowi drżącym głosem i zrobiłem

krok w stronę Yorka.

Biegł chwiejnie, rycząc na całe gardło i ując powietrze ostrym nożem. Kawałek drewna w moim ręku wydawał się żałośnie lekki. Musisz dać im czas. Zapomnij o wszystkim innym.

–Stój! – wrzasnąłem. Albo tak mi się tylko zdawało.

–Rzuć nóż!

Okrzyk rozległ się z korytarza prowadzącego do schodów. Z ogromną ulgą zobaczyłem w drzwiach Gardnera i tuż za nim Jacobsen. Oboje trzymali pistolety wycelowane w Yorka. Dzięki ci, Chryste.

York odwrócił się w ich stronę. Dyszał szeroko otwartymi ustami.

A potem z nieartykułowanym odgłosem ruszył w stronę Jacobsen.

–Cofnąć się! – zawołał Gardner.

York wrzasnął coś niezrozumiałego, ale się nie zatrzymał. Jacobsen sparaliżowało. Widziałem, jak blednie na widok nadciągającego Yorka, ale ani drgnęła.

Rozległy się dwie głośnie eksplozje.

W małym, wyłożonym kafelkami pomieszczeniu huk był ogłuszający. York jakby się potknął, zatoczył w bok i uderzył o wielkie lustro na ścianie. Zerwał je, przewrócił się na zdrój z wodą do picia i runął na ziemię w kaskadzie tynku i srebrzystych odłamków.

Echo wystrzałów i tłukącego się szkła powoli cichło w oddali.

W uszach mi dzwoniło. W powietrzu unosiła się błękitna mgiełka, kwaśny odór kordytu na moment przytłumił smród rozkładu. York się nie ruszał. Gardner podszedł do niego szybko. Wciąż celując, kopnięciem odrzucił na bok rękę z nożem, potem ukląkł i dotknął gardła Yorka.

**Bez pośpiechu wstał i włożył pistolet do kabury.**

**Jacobsen wciąż trzymała broń, ale z lufą skierowaną do podłogi.**

**–Prze... przepraszam – wyjąkała i jej twarz znowu zaczęła nabierać kolorów. – Nie mogłam...**

**–Nie teraz – burknął Gardner.**

**W sali zabiegowej rozległo się nagle łkanie. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Paul pomaga Sam usiąść i uspokajają, kaszlącą i usiłującą złapać oddech. Przeciął pasek kołowrotu, ale wyraźna, czerwona linia na jej szyi wyglądała jak ślad po oparzeniu.**

**–O B... Boże, my... m... myślałam...**

**–Cśś, już po wszystkim, już w porządku.**

**–Nie m... mogłam go powstrzymać. Mówiłam, że jestem w c... ciąży, a on powiedział... powiedział, że to dobrze, że chce poczekać aż... poczekać aż... O Boże!**

**Zgięła się wpół.**

**–Co z nią? – spytał Gardner.**

**–Zaczęła rodzić – rzuciłem. – Wezwijcie ambulans...**

**–Jest w drodze. Wracaliśmy do Knoxville, kiedy dostałem pańską wiadomość. Natychmiast wezwałem wsparcie i pomoc medyczną. Chryście, coście, u diabła, nawyprawiali?**

**Ale nie było czasu przejmować się oburzeniem Gardnera ani pytać, jak zdołali znaleźć nas tak szybko, korzystając z moich mglistych wyjaśnień. Podeszedłem do skrzywionej z bólu Sam.**

**–Ambulans jest już w drodze. Odeślemy cię do szpitala. Czy poza gardłem masz jakieś rany lub obrażenia?**

**–N... nie, chyba n... nie. Po prostu przywiązał mnie tu i zostawił. O Boże, te zwłoki za ścianą, wszyscy martwi!**

**–Nie myśl o tym. Kiedy zaczęły się skurcze? Dyszała ciężko, próbując się skupić.**

**–Nie... chyba w ambulansie. Kiedy przyszedł, myślałam, że to poomyłka. Powiedział, żebym zadzwoniła do Paula, a kiedy się odwróciłam... chwycił mnie za szyję i... nacisnął!**

Opisywała chwyt duszący. Odpowiednio wykonany, w kilka sekund odbierał przytomność, bez trwałych późniejszych skutków. Jednak nawet przy małej pomyłce mógł zabić.

Ale York raczej się tym nie przejmował.

–Nie mogłam oddychać! – łkała Sam. – Wszystko zrobiło się czarne, a potem ocknęłam się w ambulansie i poczułam ból... O Boże, jak boli! Stracę dziecko, prawda?

–Ależ skąd! – odpowiedziałem z pewnością siebie, której wcale nie czułem. – Zaraz cię zabierzemy, dobrze? Wytrzymaj jeszcze dwie minuty.

Wyszedłem do spa, zamykając za sobą drzwi.

–Kiedy przyjedzie ambulans? – zapytałem Gardnera.

–Tutaj? Może za pół godziny.

–Za długo.

–Gdzie jest pański samochód?

–Przed budynkiem.

Był to nieoczekiwany atut. Obawiałem się, że dotarli tu zboczem wzgórza jak Paul i ja, ale zbyt martwiłem się Sam, żeby zastanawiać się nad tym dłużej.

–Im prędyj ją stąd zabierzemy, tym lepiej – oświadczyłem. – Jeżeli weźmiemy pański samochód, złapiemy ambulans po drodze.

–Przyprowadzę wózek inwalidzki – zaproponowała Jacobsen. Gardner kiwnął głową i wyszła pospiesznie. Z ponurą miną patrzył na

zwłoki w basenie.

–Powiedział pan, że na zewnątrz jest ich więcej?

–I tutaj. – Pokazałem drugi pokój zabiegowy i z bólem poinformowałem, że są tam też zwłoki Summer.

–Boże wszechmogący. – Gardner, wyraźnie zszokowany, przesunął dłonią po twarzy. – Byłbym wdzięczny, gdyby pan został. Muszę się dowiedzieć, co zaszło.

–A kto ich zawiezie? – Paul zupełnie nie nadawał się do prowadzenia auta.

**–Dianę. Zna drogę lepiej niż pan.**

**Spojrzałem na zwłoki na podłodze spa. Nie miałem ochoty przebywać tu ani sekundy dłużej. Ale byłem internistą, nie położnikiem. Wiedziałem, że Sam bardziej przyda się ktoś, kto jak najszybciej zdołają dowieźć do ambulansu.**

**Jeżeli gdzieś powinienem być, to właśnie tutaj.**

**–Dobrze – powiedziałem.**

**Gdy Jacobsen odjeżdżała z Sam i Paulem, staliśmy z Gardnerem przy otwartych drzwiach balkonowych. Doszliśmy do wniosku, że lepiej wywieźć ją tędy niż ryzykować wnoszenie po spróchniałych schodach. Gardner zadzwonił, żeby zlokalizować wsparcie i ambulans, potem poszedł sprawdzić, czy jest jeszcze jakieś inne wyjście ze spa. Powiedział, że pokoje za łukiem są niedostępne.**

**–To tłumaczy, dlaczego York po prostu nie zwiął – oświadczył, otrzepując dłonie. – Nie mógł się wydostać tak, żeby się na was nie natknąć. Połowa górnego piętra zapadła się aż tutaj. Całe to przeklęte miejsce jest stoczone przez korniki.**

**Które zwabiły swamp darnery. Ostatecznie Yorka zdradziła jego własna kryjówka. Co za ironia.**

**Jacobsen do odjazdu prawie się nie odzywała. Domyślałem się, że nadal robiła sobie wyrzuty, że nie mogła zdobyć się, by zastrzelić Yorka. I chociaż na pewno to musiało być bardzo trudne, w przypadku agenta operacyjnego takie wahanie często okazuje się katastrofalne w skutkach. W najlepszym wypadku wpiszą jej to do akt.**

**Gdyby nie Gardner...**

**Po ich odjeździe, żaden z nas nie zdradzał ochoty, żeby wrócić do środka. Po koszmarze w mrocznym spa wyjście na słońce było jak urodzenie się na nowo. Wiatr odpędził smród, powietrze pachniało trawą i kwiatami. Ode-tchnąłem głęboko, starając się usunąć paskudztwo z płuc. Drzewa zasłaniały przed nami to, co leżało w ogrodzie. Widząc falujące aż po horyzont zielone góry, niemal można by pomyśleć, że to normalny, wiosenny dzień.**

**–Chce pan obejrzeć tamte miejsca? – Wskazałem głową połyskujący staw.**

**Gardner zastanawiał się bez zbytniego entuzjazmu.**

**–Jeszcze nie. Poczekajmy na techników.**

**Wciąż nie przejawiał ochoty, by wrócić do środka. Patrzył w dół zbo-cza, w kierunku stawu, trzymając ręce wciśnięte głęboko do kieszeni. Czy dlatego, żeby**

przestały się trząść? Właśnie zabił człowieka. Owszem, w przymusowej sytuacji, ale niełatwo się z czymś takim uporać.

–Dobrze się pan czuje? – zapytałem.

Miałem wrażenie, że na jego twarzy pojawiła się maska.

–Doskonale. – Wyjął ręce z kieszeni. – Wciąż mi pan nie odpowiedział, po cholere sami tu przyszliście. Ma pan pojęcie, jakie to było nieodpowiedzialne?

–Gdybyśmy tego nie zrobili, Sam już by nie żyła. To go trochę uspokoiło.

–Diane uważa, że York chciał czekać do ostatniej chwili, do momentu, aż pani Avery urodzi. Chciał w pełni wykorzystać szansę. Dwa życia w jednym.

Chryste. Patrzyłem na góry, starając się odpędzić przywołane przez

Gardnera obrazy.

–Myśli pan, że z nią wszystko będzie dobrze? – spytał.

–Mam nadzieję. – Pod warunkiem że dowiozą ją na czas do szpitala i dziecko urodzi się zdrowe. Potrzeba było bardzo dużo nadziei, ale przy najmniej miała szansę. – Jak wam się udało dotrzeć tu tak szybko. Nie wiedziałem, czy słyszał pan moje wskazówki.

–Nie usłyszałem. Przynajmniej żadnych sensownych – odezwał się z nutką dawnej zgryźliwości w głosie. – Ale nie były konieczne. Po tym jak York zostawił na szybie skórę, umieściliśmy w pańskim samochodzie bird dog.

–Co takiego?

–Urządzenie śledzące GPS. Namierzyliśmy miejsce, gdzie zostawił pan samochód, ale tej starej drogi nie było na żadnej mapie. Wybraliśmy więc tę, która wydawała się najbliższą, i znaleźliśmy się pod główną bramą.

–Założyliście w moim samochodzie pluskwę? I nie zadał pan sobie trudu, by mnie o tym poinformować?

–Nie musiałem.

To tłumaczyło, dlaczego poprzedniej nocy nie widziałem nikogo jadącego za mną i jakim cudem agenci TBI tak szybko dotarli do domu Paula i Sam. Trochę mnie to zirykowało, ale w zaistniałej sytuacji nie myślałem składać zażalenia.

Po prostu byłem zadowolony, że się tu znaleźli.

–A skąd pan wiedział, że dostaliście się we właściwe miejsce? – zainteresowałem się.

Wzruszył ramionami.

–Nie wiedziałem. Ale na starej bramie wisiała nowa kłódka, więc ktoś najwyraźniej nie życzył sobie odwiedzin. Mieliśmy w bagażniku szczypce do cięcia stali, obcieliśmy więc kłódkę i weszliśmy się rozejrzeć.

Uniosłem brwi. Włamanie i wejście na teren prywatnej posiadłości bez nakazu to grzech główny, a przecież Gardner zawsze ściśle trzymał się protokołu. Twarz agenta pociemniała.

–Uznałem, że pański telefon sygnalizuje możliwość popełnienia przestępstwa. – Zaczepnie wysunął podbródek. – No dobrze, wracajmy do środka.

W korytarzu znów otoczył nas lepki odór rozkładu. Światło z drzwi balkonowych nie docierało w głąb spa i po jaskrawym świetle słonecznym mroczne pomieszczenia wydawały się bardziej posępne niż przedtem. Chociaż wiedziałem, czego się spodziewać, w żaden sposób nie osłabiło to wrażenia wywołanego widokiem zwłok powrzucanych do basenu niczym śmiecie.

Ciało Yorka leżało tam, gdzie je zostawiliśmy, nieruchome jak zwłoki jego ofiar.

–Boże, jak on mógł wytrzymać ten smród! – mruknął Gardner.

Weszliśmy do małej salki, gdzie znaleźliśmy Sam. Kawałki skórzanego paska, który Paul odciął z jej szyi, wyglądały jak węże na starym stole do masażu. Przyśrubowany do krawędzi blatu kołowrót zrobiono z zadziwiającą starannością. Końce paska łączyły się ze skomplikowanym układem precyzyjnie wykonanych trybów, poruszanych wypolerowanym drewnianym pokrętłem. Każdy obrót zaciskał pasek, a zębátka zapobiegała obluzowaniu w chwili, gdy pokrętło zostało puszczone.

O wiele prostsze urządzenie działałoby równie skutecznie, ale nie zadowoliliby Yorka. Narcystyczna natura nie pozwalała mu posłużyć się sznurem i kawałkiem drewna.

–Dzieło jego życia.

–Piekielna machina. – W głosie Gardnera brzmiał niemal podziw. Nagle zeszytniał.  
– Co to?

Zacząłem nasłuchiwać, ale dobiegał do mnie jedynie odgłos kapiących kropeł. Gardner wyszedł już z pokoju zabiegowego, z ręką na kolbie pistoletu. Ruszyłem za nim.

W spa nic się nie zmieniło. York nadal leżał w kałuży krwi, czarnej jak smoła. Gardner szybko zajrzał przez łuk prowadzący do zasypanych pokoi. Rozluźnił się, poła marynarki opadła na kaburę.

–Chyba nic...

Robił wrażenie zakłopotanego, ale nic dziwnego, że zachowywał się nerwowo. Wiedziałem, że sam poczuję ulgę, kiedy pojawią się inni agenci.

–Lepiej zobaczę tamte zwłoki – powiedział znowu rzeczowo.

Nie poszedłem z nim do małego pomieszczenia, gdzie razem z Paułem znaleźliśmy Summer. Już i tak widziałem więcej, niżbym chciał. Czekalem w spa, stojąc przy Yorku. Leżał na boku wśród kawałków rozbitego lustra. Ostre odłamki lśniły w kałuży krwi jak srebrne wysepki.

Patrzyłem na nieruchomą postać, porażony jak nigdy przepaścią między całkowitym bezruchem a wściekłą energią, jaka kipiała przed chwilą. Czułem w sobie zbyt wielką pustkę, by przeżywać nienawiść lub współczucie. Tyle istnień York poświęcił na daremne próby odpowiedzenia na proste pytanie: „Czy to wszystko?”

Teraz znał odpowiedź.

Już miałem się odwrócić, ale coś mnie powstrzymało. Znow spojrzełem na Yorka, nie mając pewności, czy sobie tego nie wyobraziłem. Jednak nie.

Z jego oczami coś było nie tak.

Ostrożnie, by nie wdepnąć w krew, przykucnąłem koło zwłok. Niewidzące oczy były tak bardzo przekrwione, że sprawiały wrażenie poparzonych. Zacerwienioną skórę wokół nich pokrywały pęcherze. Podobnie usta. Pochyliłem się i odsunąłem gwałtownie, gdy piekące opary wycisnęły mi łzy z oczu.

Chemikalia z ciemni.

Serce mi łomotało, gdy przewracałem zwłoki Yorka na plecy. Zakrwawiona ręka z nożem opadła bezwładnie na bok. Przypomniałem sobie, jak Gardner odrzucił ją kopnięciem, zanim zbadał puls, a mimo to nóż nadal tkwił w zaciśniętej pięści. Teraz zobaczyłem dlaczego.

Palce ubrudzone zaschniętą krwią były przybite gwoździami do rękojeści.

Natychmiast wszystko zaczęło do siebie pasować. Żałosny skowyt i niezrozumiałe wrzaski Yorka, szaleńcze wymachiwanie nożem. Straszliwie cierpiał, usiłował wyciągnąć gwoździe, ale był prawie oślepiiony i miał poparzone usta. Widzieliśmy



tylko to, co mieliśmy zobaczyć – fu-riacki atak szaleńca – ale York wcale nas nie atakował.

Błagał o pomoc.

Boże miłosierny.

–Gardner! – krzyknąłem, wstając.

Usłyszałem, jak wychodzi z pomieszczenia za moimi plecami.

–Na rany boskie, co pan wyprawia?

To co zdarzyło się potem, przypominało wolny, ciągnący się jak mę-lasa, epizod sennego koszmaru.

Wciąż miałem przed sobą resztki wiszącego na ścianie lustra. W po-robijanej tafli widziałem Gardnera idącego obok basenu. Nagle jedno z leżących w nim ciał poruszyło się. Głos zamarł mi w gardle, kiedy od-dzieliło się od pozostałych i podniosło za plecami agenta.

Czas ruszył znowu.

Krzyknąłem, żeby ostrzec Gardnera, ale za późno. Rozległ się zdła-wiony krzyk i kiedy stanąłem, zobaczyłem, jak agent stara się uwolnić od przedramienia zaciśniętego na jego gardle.

Duszący chwyt, pomyślałem w osłupieniu. Potem postać stojąca za Gardnerem, zmieniła pozycję i doznałem szoku, kiedy mętne światło z za-słoniętego okna pozwoliło mi rozpoznać twarz.

Kyle dyszał spazmatycznie przez szeroko otwarte usta. Właściwie się nie zmienił, ale nie był to już sympatyczny, młody pomocnik z prosekto-rium, jakiego znałem. Jego ubranie i włosy lepiły się od płynu wydzielają-cego się z gnijących zwłok. Twarz miał upiornie bladą. Ale najgorsze były oczy. Nie dostrzegłem w nich uśmiechu zazwyczaj maskującego prawdzi-wą osobowość. Widziałem wyprane z wszelkich uczuć, puste spojrzenie kogoś, kto już jest martwy.

–Ruszysz się i go zabiję! – wysapał, zaciskając uchwyt.

Gardner z wykrzywioną twarzą bezskutecznie szarpał dławiącą go rękę. Poczułem przypływ nadziei, kiedy sięgnął do kabury przy pasie. Ale już tracił przytomność, koordynacja zawodziła, ponieważ mózg nie dosta-wał niezbędnej ilości krwi i tlenu. Dłoń zaczęła opadać bezwładnie. Gar-biąc się pod ciężarem swojej ofiary, Kyle skinął głową w Stronę pokoju zabiegowego, gdzie znaleźliśmy Sam.

**–Tam!**

**Wciąż usiłowałem zmusić umysł do pracy. Kiedy, według Gardnera, mieli pojawić się tu agenci TBI? Za piętnaście, dwadzieścia minut? Jak dawno temu to powiedział? Nie mogłem sobie przypomnieć. Roztrzaskane kawałki lustra zachrzęściły mi pod nogami, gdy odruchowo zrobiłem krok w stronę pokoju zabiegowego. I wtedy zobaczyłem stół do masażu. Skórzane pasy czekały rozpięte.**

**Zatrzymałem się.**

**–Do środka! Już! – ryknął Kyle. – Zabiję go!**

**Musiałem oblizać wargi, zanim zdołałem odpowiedzieć.**

**–I tak chcesz go zabić.**

**Gapił się na mnie, jakbym odezwał się w nieznanym języku. Teraz jego bladość była jeszcze bardziej widoczna i ta biel szokująco kontrastowała z czernią zarostu i siniaków pod oczami. Tłusta warstewka potu lśniła na jego twarzy jak wazelina. Miał na sobie ubranie, przypominające mundur sanitariusza, ale tak brudne, że ostatecznie trudno było zgadnąć.**

**Równie dobrze mógł w nim uchodzić za ochroniarza.**

**–Zrób to! – Kyle szarpnął przedramieniem zaciśniętym na szyi Gardnera, miotając nim jak lalką.**

**Nie mogłem się zorientować, czy agent nadal oddycha. Wiedziałem jednak, że nawet jeśli przeżyje, po dłuższym nacisku dozna uszkodzenia mózgu.**

**Podniosłem kawałek stłuczonego lustra. Długi i wąski jak nóż. Ostre krawędzie wbiły mi się w dłoń, kiedy schwyciłem go mocno, modląc się, by chłopak nie zobaczył, jak trzęsą mi się ręce.**

**Kyle obserwował mnie z niepokojem.**

**–Co robisz?**

**–Daj mu oddychać.**

**Próbował uśmiechnąć się szyderczo, ale wyglądało to równie nieprzekonująco jak moja broń.**

**–Myślisz, że mnie tym zranisz?**

**–Nie wiem – przyznałem. – Chcesz się przekonać?**

Przesunął językiem po wargach. Był wielkim, tęgim, ale solidnie zbudowanym mężczyzną. Zupełnie jak York. Gdyby puścił Gardnera i rzucił się na mnie, wątpię, żebym miał jakąś szansę. Ale wciąż spoglądał na szklany odłamek i widziałem w jego oczach niepewność.

Osłabił chwyt, pozwalając Gardnerowi zaczerpnąć kilka świszczących oddechów, a potem znowu zacisnął rękę. Zobaczyłem, jak zerka w stronę drzwi.

–Puść go, a obiecuję, że nie będę próbował cię zatrzymać.

–Mnie? Dajesz mi swoje pozwolenie?

–Wsparcie zjawi się tu lada chwila. Jeżeli teraz odejdziesz, będziesz mógł...

–A ty im powiesz, kim jestem? Uważasz mnie za durnia?

Można było powiedzieć o nim wiele rzeczy, ale nie to, że jest głupi. I co teraz? Nie miałem pojęcia. Przypuszczałem jednak, że on też nie wie. Oddychał ciężko, przygarbiony i zaczerwieniony z wysiłku, z jakim podtrzymywał bezwładnego Gardnera. Kątem oka widziałem pistolet przy pasie. Najwidoczniej Kyle jeszcze o nim nie pomyślał. Jeżeli sobie przypomni...

Zmuś go do mówienia. Wskazałem zwłoki Yorka.

–Było ci przyjemnie, kiedy go tak masakrowałeś?

–Nie zostawiliście mi wyboru.

–A więc tylko miał odwrócić uwagę? Okaleczyłeś go, żeby uciec? – Staralem się, aby w moim głosie nie zabrzmiała pogarda. – I nawet to nie podziałało, prawda? Wszystko na nic.

–Myślisz, że o tym nie wiem? – Krzyknął i skrzywił się, jak z bólu. Spojrzał wściekle na ciało przedsiębiorcy pogrzebowego. – Jezu Chryste, zdajesz sobie sprawę, ile czasu mi to zajęło? Ile planowania? York był moją drogą ucieczki, moim szczęśliwym pieprzonym zakończeniem! Mieliście go znaleźć z żoną Avery'ego. Ofiara losu, która wolała popełnić samobójstwo, zamiast dać się złapać. Koniec historii! Potem wyjechałbym z Knoxville, zaczął gdzieś od nowa, a teraz popatrz! Cholera jasna, co za marnotrawstwo!

–Nikt by w to nie uwierzył.

–Nie? – parsknął. – Uwierzyli w fotografie, które zostawiłem w jego domu! Wierzyli we wszystko, w co chciałem!

**Kiedy wspomniał o Sam, w skroniach zaczęło mi pulsować.**

**–Dobra, i co dalej? Zamordowałbyś więcej ciężarnych kobiet?**

**–Nie musiałbym! Żona Avery'ego miała w sobie tyle życia! To była ona, czułem to!**

**–Tak jak czułeś przy wszystkich innych? Jak wtedy, kiedy zabijałeś Summer? – wrzasnąłem, zapominając o ostrożności.**

**–Była pupilką Liebermana!**

**–Lubiła cię!**

**–Ale bardziej Irvinga!**

**Wstrząs mnie uciszył. Wszyscy uznaliśmy, że Irving stał się ofiarą z powodu wywiadu w telewizji. A przecież Kyle był w prosektorium, kiedy psycholog flirtował z Summer. Następnego dnia profesor zniknął.**

**A teraz Summer też leżała w ciemnościach.**

**Przecież tylko uśmiechnęła się do Irvinga. Nic więcej. Ale Kyle'owi wystarczyło.**

**Zrobiło mi się niedobrze. Zdołałem jednak odwrócić uwagę Kyle'a na tyle, że rozluźnił chwyt na gardle Gardnera. Zobaczyłem, że powieki agenta zaczynają się unosić, i powiedziałem pierwszą rzecz, która mi przyszła do głowy.**

**–A co miałeś przeciwko Tomowi? Aż tak bardzo ci zagrażał?**

**–Był oszustem! – Twarz Kyle'a wykrzywiła się w grymasie. – Wielki antropolog sądowy, ekspert! Pławił się w chwale, słuchał jazzu przy pracy, zupełnie jak w jakiejś pizzerii! Hicks to zwykły dupek, ale Lieber-man uważał się za kogoś szczególnego. Miał przed samym nosem największą tajemnicę wszechświata, a brakowało mu wyobraźni, by dostrzec coś więcej poza zgnilizną!**

**–Tom wiedział, że nie warto tracić czasu na szukanie odpowiedzi, których nie można znaleźć. – Słyszałem świszczący oddech Gardnera, ale nie odważyłem się spojrzeć w jego stronę. – Nawet nie wiesz, czego szukałeś, prawda? Zabijałeś ludzi, gromadziłeś zwłoki... i po co? Wszystko bez sensu. Jesteś jak dzieciak szturchający patykiem coś martwego...**

**–Zamknij się! – Ślina bryzgała mu z ust.**

**–Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, ile istnień ludzkich zmarnowałeś? – krzyknąłem. – I po co? Żebyś mógł robić zdjęcia? Myślisz, że coś na nich zobaczysz?**

–Tak! Na tym właściwym zobaczę. – Wydał wargi. – Przypominasz Liebermana. Widzisz tylko martwe mięso! Ale istnieje coś więcej! A ja wybijam się ponad wszystkich! Życie to zero-jedynkowy układ, jest i już go nie ma! Patrzyłem ludziom w oczy i widziałem, jak znika, jakby ktoś przekręcił wyłącznik. I dokąd znikalo? Coś się działo dokładnie wtedy, w tym momencie! Dostrzegłem to – zawołał rozpaczliwie.

I nagle dokładnie zrozumiałem, o co chodzi. Myliliśmy się w sprawie tożsamości zabójcy, ale Jacobsen trafnie określiła jego profil osobowościowy. Kyle'a ogarniała obsesja na punkcie własnej śmiertelności. Nie, właściwie nie obsesja, uświadomiłem sobie, patrząc na niego.

Przerażenie.

–A jak twoja ręka, Kyle? – zapytałem. – Pewnie tylko udawałeś, że skaleczyłeś się igłą. Tom myślał, że wyświadcza ci przysługę, prosząc, żebyś pomógł Summer. Ale ty kręciłeś się tam tylko po to, żeby zobaczyć, jak któryś z nas sobie wbije tę igłą? Co się stało, straciłeś zimną krew?

–Zamknij się!

–Bo jeżeli tylko udawałeś, to czemu tak zbladłeś? Wtedy, kiedy zapytałem cię o szczepienia, pamiętasz? Nie pomyślałeś, że może zainfekować cię ktoś, kogo zabiłeś, prawda?

–Powiedziałem, żebyś się zamknął!

–U Noaha Harpera wykryto zapalenie wątroby typu C. Wiedziałeś o tym, Kyle?

–Łżesz!

–Nie, to prawda. Powinieneś skorzystać z propozycji szpitala i poddać się profilaktycznej kuracji. Nawet gdybyś nie skaleczył się igłą, miałeś otwartą ranę. Stąd ta krew na twojej rękawiczce. Ale nie zamierzałeś się leczyć. O wiele łatwiej schować głowę w piasek, niż pogodzić się z faktem, że twoja ofiara mogła cię zarazić.

Zbladł jeszcze bardziej. Kiwnął głową w kierunku sali zabiegowej.

–Mówię ostami raz! Do środka, ale już!

Nie zamierzałem tego zrobić. Każda minuta, w której zmuszałem go do mówienia, przybliżała moment nadejścia pomocy. Poza tym, widząc bladość chłopaka, słysząc, jak nierówno oddycha, zacząłem myśleć o czymś jeszcze. Dlaczego postanowił się ukryć, licząc, że zdoła się wykazać, gdy York odwróci naszą uwagę, a nie uciekł wcześniej, kiedy miał jeszcze szansę? Być może z tego samego powodu,

**dlaczego nie zabił Sam, nie wycisnął życia z Gardnera i nie wykończył mnie.**

**Bo nie mógł.**

**–Solidnie oberwałeś w zderzeniu, co? – Staralem się mówić swobodnym tonem. Patrzył na mnie z zaszczutym wyrazem twarzy, jego pierś nierówno unosiła się i opadała. – Widziałem kierownicę w ambulansie. Musiała potężnie walnąć cię w żebra. Wiesz, jaka jest najczęstsza przyczyna zgonów w wypadkach samochodowych? Złamane żebra. Przebijają płuca. Albo serce. Ile razy widziałeś takie obrażenia w prosektorium?**

**–Zamknij się.**

**–A ten ostry, przeszywający ból, który czujesz przy każdym wdechu? To odłamek kości rozdziera tkankę płuc. Trudno ci oddychać, prawda? I będzie coraz trudniej, bo twoje płuca wypełniają się krwią. Umierasz, Kyle.**

**–Zamknij się, kurwa mać! – wrzasnął.**

**Jeżeli mi nie wierzysz, lo am na siebie popatrz. – Wskazałem rozbite lustro na ścianie. – Widzisz, jaki jesteś blady? To dlatego, że masz wewnętrzny krwotok. Jeżeli szybko nie dostaniesz pomocy medycznej, wykrwawisz się na śmierć albo udusisz własną krwią.**

**Jego wargi poruszały się, kiedy patrzył na swoje pokawałkowane odbicie. Nie miałem pojęcia, jak poważnie jest ranny, ale po prostu podsycałem jego wyobraźnię. W przypadku kogoś tak zapatrzonego w siebie to mogło wystarczyć.**

**Zupełnie zapomniał o Gardnerze. Widziałem, że agent mruga, odzyskując przytomność. Chyba poruszył się lekko, jakby sprawdzał siłę chwytu. Nie, jeszcze nie. Proszę, nie ruszaj się jeszcze.**

**–Poddaj się – powiedziałem szybko.**

**–Ostrzegam cię...**

**–Ratuj się, Kyle. Jeżeli poddasz się teraz, udzielę ci pomocy.**

**Nie odzywał się przez chwilę. Z zaskoczeniem zobaczyłem, że płacze.**

**–I tak mnie zabijają.**

**–Nie. Zajmą się tobą prawnicy. A procesy zwykle ciągną się latami.**

**–Nie mogę iść do więzienia!**

**–Wolisz umrzeć?**

**Przelykał łzy. Staralem się nie okazywać ogarniającej mnie nadziei na widok, że znika w nim napięcie.**

**W tym momencie dłoń Gardnera zaczęła przesuwać się w stronę pistoletu.**

**Kyle to zauważył.**

**–Kurwa! – Zacisnął mocno przedramię na gardle ofiary.**

**Agent jęknął cicho i po omacku szukał broni, ale Kyle wolną ręką pierwszy chwycił pistolet. Rzuciłem się w jego stronę, wiedząc, że nie dotrę do nich na czas.**

**Od strony drzwi doleciał jakiś dźwięk.**

**Stała w nich Jacobsen z twarzą znieruchomiałą od szoku. Nagle odgarnęła połę żakietu, sięgając po broń.**

**–Zostaw to! – wrzasnął Kyle i osłonił się Gardnerem. Znieruchomiała z dłonią na kolbie pistolem. Kyle do połowy wydostał**

**broń Gardnera, ale pod tym kątem nie mógł wyciągnąć jej dalej z kabury. Ciszę przerywał tylko jego urywany oddech. Gardner już się nie ruszał. Zwisiał na przedramieniu Kyle'a jak worek, a twarz miał ciemniejszą niż zwykle.**

**Kyle oblizwał wargi, spoglądając na pistolet Jacobsen.**

**–Odłóż broń i puść go! – rozkazała, ale mimo wszystko w jej głosie brzmiało lekkie drżenie.**

**Kyle je dosłyszał. Adrenalina dodała mu sił. Jego okrągła twarz odwracała się to w moją, to w jej stronę. Uśmiechał się. Znowu panował nad sytuacją. Cieszył się nią.**

**–Och, to chyba ty musisz odłożyć broń.**

**–Nic z tego. Masz ostatnią szansę...**

**–Ćśś... – Pochylił głowę nad Gardnerem, jakby nasłuchując. – Prawie nie czuję bicia serca twojego partnera. Robi się słabsze. Zwalnia... zwalnia...**

**–Zabijesz go, a ja cię zastrzelę. Nic mnie nie powstrzyma. Samozadowolenie Kyle'a zniknęło. Różowy język znowu szybko**

**zwilżył wargi.**

**–Dogadajmy się... – zaczął i w tym momencie piętro wyżej rozległo się dudnienie kroków. Oczy chłopaka się rozszerzyły. Korzystając z tego, że przez ułamek sekundy uwaga Jacobsen była odwrócona, wyrwał pistolet z kabury Gardnera i strzelił.**

**Jacobsen zachwiała się, ale już miała broń w ręku. Kyle puścił Gardnera, rozległy się dwa wystrzały i kawałek lustra przy mojej głowie eksplodował, zasypując mnie odłamkami. Potem pistolet Gardnera z trzaskiem uderzył o podłogę, a Kyle upadł jak kukielka z przeciętymi sznurkami.**

**Po raz drugi tego popołudnia dzwoniło mi w uszach, gdy zacząłem biec w stronę Jacobsen. Stała z trudem, oparta o framugę, ale wycelowany w leżącego Kyle'a pistolet ani drgnął. Kredowa biel jej twarzy kontrastowała z ciemną plamą rozlewającą się na żakiecie. Lśniąca wilgocią szeroka smuga po lewej stronie, między szyją a obojczykiem rozszerzała się szybko.**

**Jacobsen zamrugła.**

**–Ja... chyba...**

**–Usiądź. Nic nie mów.**

**Rozpinając jej żakiet, zerknąłem w stronę nieruchomego Gardnera. Nie widziałem, czy oddycha, ale rana Jacobsen wymagała większego pośpiechu. Jeżeli pocisk trafił w tętnicę, mogła wykrwawić się w kilka sekund. Na schodach i w korytarzu łomotały kroki, ale prawie ich nie słyszałem. Zsunąłem żakiet z rannego barku i wstrzymałem oddech na widok białej bluzki przesiąkniętej krwią. Przez drzwi wpadli ludzie. Nagle całe pomieszczenie wypełniło się krzykami.**

**–Szybko, potrzebujemy... – zacząłem, ale nagle odciągnięto mnie i rzucono twarzą na podłogę. Na litość boską! Spróbowałem się unieść, ale coś wbiło mi się mocno między łopatki.**

**–Leżeć! – wrzasnął głos.**

**Krzyczałem, że nie ma czasu, ale nikt mnie nie słuchał. Widziałem tylko poruszające się stopy.**

**Zanim mnie rozpoznano i pozwolono wstać, minęły chyba wieki. Wściekły otrząsnąłem się z pomagających mi dłoni. Ludzie klęczeli przy Gardnerze ułożonym w pozycji ratunkowej. Wciąż był nieprzytomny, ale oddychał. Odwróciłem się do Jacobsen. Dwóch agentów zdjęło z rannego ramienia bluzkę. Białe, sportowe staniki pokrywały szkarłatne plamy. Krwi było tyle, że nie widziałem rany.**

**–Zajmę się tym, jestem lekarzem. – Ukłęknałem przy Jacobsen. Pod wpływem szoku miała rozszerzone źrenice. Jej szare oczy były**



teraz mocno przerażone.

–Myślałam, że rozmawia pan z Danem...

–W porządku, spokojnie.

–Ambulans spotkaliśmy kilometr stąd, dlatego wróciłam. Wiedziałam, że coś jest nie tak... – Ból sprawiał, że mówiła niewyraźnie. – York nie zabrał z domu żadnych fotografii. Zdjęć rodziców, całej swojej przeszłości. Nie mógłby ich tak sobie zostawić...

–Nic nie mów.

Z ulgą zobaczyłem zakrwawioną bruzdę w dużym mięśniu czworobocznym między szyją a obojczykiem. Pocisk rozerwał jego górną część, ale mimo obfitego krwawienia, sama rana nie była poważna. Dwa centymetry niżej albo w lewo i Jacobsen już by nie żyła.

Ale wciąż krwawiła. Zwinąłem jej koszulę i zacząłem uciskać ranę, kiedy jakiś agent nadbiegł z apteczką.

–Odsuń się – polecił.

Cofnąłem się, robiąc mu miejsce. Rozerwał sterylny opatrunek, przycisnął go do rany tak mocno, że Jacobsen jęknęła, i zaczął sprawnie mocować go bandażem. Najwyraźniej wiedział, co robi, przeszedłem więc do Gardnera. Wciąż nie odzyskał przytomności. Zły znak.

–Jaki jest stan? – zapytałem klęczącego przy nim agenta.

–Trudno powiedzieć – odparł. – Sanitariusze są w drodze, ale nie spodziewaliśmy się, że będziemy ich potrzebować. Co u diabła, tu się stało?

Nie miałem siły tłumaczyć. Odwróciłem się do leżącego na wznak Kyle'a. Piers i brzuch miał zakrwawione, martwe oczy wbite w sufit.

–Nie zwracaj sobie nim głowy, nie żyje – powiedział agent, kiedy wyciągnąłem rękę, by dotknąć szyi chłopaka.

Pod skórą wyczuwałem jednak słabiutki puls. Trzymałem na nim palce; serce odmierzało ostatnie uderzenia. Stawały się coraz słabsze, przerwy między nimi coraz dłuższe, aż w końcu ustały.

Patrzyłem mu w oczy. Ale jeżeli coś w nich było, ja tego nie dostrzegłem.

–Jesteś ranny – zauważył agent, spoglądając na moją rękę. Kapała z niej krew.

**Musiłem się skaleczyć odłamkiem rozbitego lustra, ale**

**zupełnie nie mogłem sobie tego przypomnieć. Rana przecinała pod kątem bliznę po nożu.**

**Do tej pory niczego nie czułem, ale teraz zaczął mnie palić czysty zimny ból.**

**Zacisnąłem dłoń.**

**–Przeżyję.**

# Epilog

Londynie padało. Po ostrym słońcu i bujnej zieleni gór Tennessee Anglia wydawała się szara i nijaka. Była końcówka wieczornych godzin szczytu i w metrze tłoczyli się ci sami co zawsze wracający z pracy, zmęczeni dniem pasażerowie. Przerzucałem gazetę kupioną na lotniŕsku. Czytając o wydarzeniach, które zaszły podczas mojej nieobecności, czułem się jak po nieoczekiwanej zmianie miejsca. Powrót do domu po długiej podróży zawsze wywołuje wrażenie, jakby człowiek został przeniesiony kilka tygodni w przyszłość. Taka mało fascynująca wyprawa w czasie. \*

Beze mnie świat także szedł do przodu.

Taksówkarz był uprzejmym Sikhem, zadowolonym, że może prowadzić w milczeniu. Patrzyłem na rozświetlone ulice. Po długim locie czułem się nieświeży i lekko oszołomiony. Kiedy skręciliśmy w moją ulicę, wyglądała trochę inaczej. Dopiero po chwili zorientowałem się dlaczego. Kiedy wyjeżdżałem, gałęzie lip nosiły zaledwie ślad zieleni, teraz były pokryte nowymi liśćmi.

Wysiadłem z taksówki i zapłaciłem kierowcy. Deszcz przeszedł w drobny kapuśniaczek, pokrywając chodnik ciemnym, lśniącym werniksem. Zaniósłem torbę podróżną i walizkę pod drzwi wejściowe. Postawiłem je i przez kilka sekund otwierałem i zamykałem dłoń. Zdjąłem opatrunek kilka dni temu, ale wewnętrzna część dłoni wciąż trochę mnie bolała.

Dźwięk obracanego w zamku klucza odbił się echem w małym korytarzyku. Przed wyjazdem poleciłem, by nie przynoszono poczty, ale mimo wszystko na białych i czarnych kafelkach podłogi leżała kupka ulotek i broszurek reklamowych. Stopą odsunąłem je na bok, wniósłem bagaże i zamknąłem za sobą drzwi.

Mieszkanie wyglądałoby dokładnie tak samo, jak w dniu wyjazdu, gdyby nie matowa warstwa kilkutygodniowego kurzu. Stałem przez chwilę w drzwiach, czując znajome wrażenie pustki. Ale nie tak silne, jak się spodziewałem.

Postawiłem walizkę na podłodze, a torbę na stole i zakląłem, kiedy głośny brzęk przypomniał mi, co jest w środku. Otworzyłem zamek błyskawiczny torby, spodziewając się, że poczuję ostry zapach rozlanego alkoholu, ale nic się nie stłukło. Wyjąłem butelkę o dziwnym kształcie; na zakrętce maleńki koń z dosiadającym go dżokejem zastygli w galopie. Miałem ochotę otworzyć ją od razu, ale było na to jeszcze za wcześnie. Musiała poczekać na później.

Poszedłem do kuchni. W mieszkaniu panował lekki chłód, przypominający, że chociaż to już wiosna, to jednak jestem w Anglii. Włączyłem centralne ogrzewanie, a po namyśle napełniłem czajnik. Minęło wiele tygodni od czasu, kiedy piłem herbatę. W moim telefonie błyskał sygnał automatycznej sekretarki. Odruchowo

wyciągnąłem rękę, żeby odtworzyć wiadomości, ale zmieniłem zdanie. Każdy, kto miał do mnie jakąś ważną sprawę, zadzwoniłby na komórkę. Poza tym żaden telefon na pewno nie był od Jenny. Zrobiłem sobie kubek herbaty i zaniósłem na stół. Pośrodku blatu stała misa na owoce, a w niej leżał tylko kawałek papieru. Notatka, którą zrobiłem przed wyjazdem. „Potwierdź godzinę przylotu. Tom”. Zwinąłem kartkę w kulkę i wrzuciłem z powrotem do misy. Czułem, jak moje dawne życie znowu bierze mnie w posiadanie. Tennessee zdawało się oddalone o całe wieki – wspomnienie zalanego słoncem ogrodu z ważkami i trupami, koszmarne sceny w spa, wszystko stało się odrealnione jak sen. Ale było aż za bardzo prawdziwe.

W Cedrowych Wzgórzach odnaleziono czterdzieści jeden zwłok – dwadzieścia siedem na terenie ośrodka, pozostałe w samym budynku. Kyle nie przebierał. Jego ofiary stanowiły przypadkową mieszanię ludzi w różnym wieku, różnej płci i rasy. Niektóre zginęły ponad dziesięć lat temu i nadal trwały prace nad ich identyfikacją. Zachowane portfele i karty kredytowe przyspieszały proces, ale wkrótce stało się jasne, że zwłok jest więcej niż dowodów tożsamości. Wiele ofiar okazało się włóczęgami i prostytutkami. Ich zniknięcie nie zawsze zauważano, a tym bardziej nie zgłaszano.

Gdyby Kyle nie chciał się wykazać, mógłby prowadzić swój proceder w nieskończoność.

Ale nie wszystkie ofiary były anonimowe. Zwłoki Irvinga znaleziono w tym samym pomieszczeniu co ciało Summer, a wśród innych zidentyfikowanych osób trzy zwracały szczególną uwagę. Dwight Chambers -jego prawo jazdy leżało w stercie dokumentów w kuchni ośrodka, a ciało w spa. Tak więc potwierdziły się zeznania Yorka o pracowniku sezonowym, którego zatrudnił w Steeple Hill.

Druga ważna ofiara to Carl Philips, czterdziestosześcioletni schizo-frenik paranoidalny, który przed dziesięcioma laty zniknął ze stanowego zakładu psychiatrycznego. Szczątki tego mężczyzny nie tylko były najstarszymi, jakie znaleziono w ośrodku, ale okazało się również, że to jego dziadek założył Cedrowe Wzgórze. Philips odziedziczył nieruchomość, ale w ogóle się nianie zajmował. Popadała więc w ruinę zamieszkaną jedynie przez termity i ważki.

Do momentu, kiedy Kyle znalazł dla niej zastosowanie.

Ale najwięcej konsternacji wywołał trzeci dowód tożsamości. Należał do dwudziestodwuletniego pomocnika prosektoryjnego z Memphis. Wyblakłe prawo jazdy leżało na szafce pod zdjęciami ofiar. Szczątki znaleziono w zaroślach koło stawu i zidentyfikowano dzięki dokumentacji stomatologicznej.

Nazywał się Kyle Webster.

–Zginął półtora roku temu – powiedziała Jacobsen, kiedy zadzwoniłem do niej po obejrzeniu wiadomości. – Ciekawe, jak oszust mógł dostać pracę w prosektorium, ale jego dokumenty i referencje były autentyczne. A podobieństwo do prawdziwego Webstera zmyliłoby każdego, kto porównywał wygląd tego mężczyzny ze starą fotografią z prawa jazdy.

To pasowało do wszystkiego, co zrobił. Człowiek, którego znaleźliśmy jako Kyle'a Webstera, rozkoszował się takimi sztuczkami. Nie powinno nikogo dziwić, że wszedł w życie jednej ze swoich ofiar równie łatwo jak zdejmował skórę z ich rąk.

–Ale kim był, skoro nie Kyle'em Websterem? – zapytałem.

–Wayne Peters. Trzydzieści jeden lat. Pochodził z Knoxville, ale pracował jako pomocnik prosektoryjny w Nashville i Sevierville, co tłumaczy, dlaczego bez problemu przystąpił do pracy. Zniknął dwa lata temu i nikt go nie widział aż do tej pory. Ale jego przeszłość jest niezwykle interesująca. Ojciec nieznany, matka zmarła, kiedy był jeszcze niemowlęciem. Wychowywała go ciotka i wuj. Pod każdym względem wyjątkowo inteligentny, świetnie uczył się w liceum i nawet zamierzał iść na medycynę. A potem coś się zmieniło. Z akt szkolnych wynika, że mniej więcej w wieku siedemnastu lat nagle jakby stracił zainteresowanie nauką. Nie uzyskał kwalifikujących ocen i w rezultacie pracował w rodzinnej firmie, dopóki nie zbankrutowała po śmierci wuja.

–Rodzinnej firmie?

–Jego wuj miał małą rzeźnię. Specjalizowali się w wieprzowinie. Zamknąłem oczy. Stąd te świnie.

–Ciotka była jego ostatnią krewną i zmarła wiele lat temu – wyjaśniała dalej Jacobsen. – Na ile zdołaliśmy ustalić, z przyczyn naturalnych. Ale pewnie się pan domyśla, gdzie zostali pochowani ona i wuj.

Tylko jedno miejsce wchodziło w grę. Steeple Hill.

Jacobsen przekazała mi jeszcze jedną informację. Kiedy zbadano dokumentację medyczną Wayne'a Petersa, okazało się, że w młodości przeszedł kilka operacji usunięcia polipów w nosie. Udały się, ale kolejne kauteryzacje spowodowały przypadłość znaną jako anosmia. Sama w sobie mało istotna, stanowiła odpowiedź na pytanie, które Gardner postawił w spa w Cedrowych Wzgórzach.

Wayne Peters nie miał zmysłu węchu.

Prace w ośrodku trwały nadal, przekopywano teren, w poszukiwaniu szczątków innych ofiar. Ale moja rola w tej sprawie dobiegła końca już pierwszego dnia. Teraz włączyli się w nią nie tylko wszyscy specjaliści z Centrum Antropologii Sądowej, ale

**także zaangażowano Prosektoryjny Zespół Operacyjny Reagowania w sprawie Katastrof. Przyjechali z profesjonalnie wyposażonym mobilnym zespołem prosektoryjnym i niecałą dobę po tym, jak z Paulem przeszliśmy przez płot, na terenie Cedrowych Wzgórz wrzała intensywne praca.**

**Podziękowano mi uprzejmie za pomoc i poinformowano, że skontaktują się ze mną, jeżeli poza złożonymi zeznaniami moja obecność będzie do czegoś potrzebna. Kiedy wieziono mnie przez zwarte szeregi samochodów stacji telewizyjnych i prasy stojące przed bramą ośrodka, czułem zarówno ulgę, jak i żal. Byłem w kiepskim nastroju, opuszczając takie dochodzenie, ale wtedy przypomniałem sobie, że właściwie to nie moje śledztwo.**

**I nigdy nim nie było.**

**Myślałem, czy nie przedłużyć swojego pobytu w Tennessee do nabożeństwa poświęconego pamięci Toma, ale ostatecznie zrezygnowałem. Bez względu na to, co przyczyniło się do śmierci Toma, nastąpiła ona z naturalnych przyczyn, więc odstąpiono od urzędowego dochodzenia.**

**Byłem zadowolony ze względu na Mary, chociaż odnosiłem wrażenie, że pewne sprawy zostały niezakończone. Ale czy nie jest tak w przypadku każdej sprawy?**

**Pogrzebu nie było. Tom przekazał swoje ciało na badania medyczne, ale nie w ośrodku, ze względu na pracujących tam kolegów. Mary w czasie nabożeństwa nie płakała. Godnie stała obok pulchnego mężczyzny w średnim wieku, ubranego w nienagannie skrojony garnitur. Nie od razu skojarzyłem, że to ich syn. Miał lekko poirytowaną minę człowieka, któremu przerwano ważne sprawy. A kiedy później zostaliśmy sobie przedstawieni, uścisnął mi dłoń niechętnie i słabo.**

**–Pracuje pan w ubezpieczeniach, prawda? – zapytałem.**

**–Właściwie jestem ubezpieczycielem.**

**Nie wiedziałem, na czym polega różnica, ale uznałem, że nie warto pytać. Spróbowałem zacząć jeszcze raz.**

**–Długo zostanie pan w mieście?**

**Spojrzał na zegarek i zmarszczył się, jakby już był spóźniony.**

**–Nie. Wracam po południu do Nowego Jorku. Musiałem przełożyć spotkanie. To naprawdę wypadło nie w porę.**

**Powstrzymałem się od komentarza, że mimo wszystko to syn Toma i Mary. Kiedy odchodziłem, znowu spoglądał na zegarek.**

Gardner i Jacobsen również wzięli udział w ceremonii. Jacobsen już wróciła do pracy; żakiet niemal całkowicie przesłaniał opatrunek. Gardner wciąż jeszcze był na zwolnieniu. Długie oddziaływanie chwytu duszącego spowodowało niedotlenienie mózgu – miniudar. W konsekwencji wystąpiła lekka afazja i utrata czucia po jednej stronie ciała, ale zaburzenia okazały się przejściowe. Kiedy go zobaczyłem, jedynymi widocznymi objawami niedawnych przejść były jeszcze głębsze bruzdy na twarzy, przypominające wzór sztruku.

–Czuję się świetnie – powiedział trochę sztywno, kiedy go o to zapytałem. – Mogłbym od razu wrócić do pracy. Cholerni lekarze.

Jacobsen wyglądała jak zwykle nieskazitelnie i nieprzystępnie. Gdyby nie wyraźnie oszczędne ruchy lewą ręką nikt nawet by się nie domyślił, że została ranna.

–Słyszałem, że ma być przedstawiona do wyróżnienia – odezwałem się do Gardnera, kiedy składała kondolencje Mary.

–Sprawa jest rozpatrywana.

–Moim zdaniem zasługuje na to. Rozluźnił się nieco.

–Moim też, jeśli coś warte.

Patrzyłem, jak Jacobsen rozmawia z Mary. Linia jej szyi była urocza. Gardner odchrząknął.

–Diane wciąż przeżywa trudny okres. W ubiegłym roku rozstała się z bliską osobą.

To pierwsza wzmianka na temat jej życia osobistego, jaką usłyszałem. Dziwne, że przekazał mi tę informację.

–Też był agentem TBI?

Gardner strzepywał coś z klapy wygniecionej marynarki.

–Nie. Była prawnikiem.

Zanim odjechali, Jacobsen podeszła się pożegnać. Uścisk dłoni miała mocny, skórę suchą i ciepłą. Szare oczy trochę złagodniały, ale może działała moja wyobraźnia. Po raz ostatni widziałem ją, jak wracała z Gardnerem do samochodu, wysportowana i pełna wdzięku w porównaniu z przygarbionym starszym agentem.

Sama uroczystość była prosta i wzruszająca. Bez hymnów i psalmów. Tylko na rozpoczęcie i zakończenie odegrano dwie jazzowe melodie, które Tom lubił najbardziej – Cheta Bakera My Funny Valentine i Brubecka Take Five. Słuchałem ich

z uśmiechem. Między utworami przyjaciele odczytywali fragmenty z Biblii, ale w pewnym momencie poważny nastrój został zakłócony płaczem niemowlaka. Thomas Paul Avery ryczał na całe gardło, nie zważając na wysiłki matki, która usiłowała go uspokoić.

Nikt się tym nie przejmował.

Dziecko urodziło się wkrótce po przewiezieniu Sam do szpitala, zdrowe i ogłaszające całemu światu swoją irytację. Początkowo lekarzy niepokoiło wysokie ciśnienie tętnicze Sam, jednak po porodzie szybko się ustabilizowało. Po dwóch dniach wróciła do domu, ale kiedy ich odwiedziłem, nada! była blada i miała podkrążone oczy. Nie dostrzegłem żadnych innych skutków jej dramatycznych przejść.

– Bardziej przypomina mi to zły sen – przyznała, kiedy Thomas zasnął po karmieniu. – Zupełnie jakby zapadła nad tym jakaś zasłona. Paul obawia się, że nastąpił u mnie proces wyparcia, ale chyba się myli. Bardziej prawdopodobne, że ważniejsze jest to, co zdarzyło się później. – Patrzyła na pomarszczoną, różową twarzyczkę syna, a potem spojrzała na mnie z uśmiechem tak szczerym, że aż zakłuło mnie w sercu. – Spowodowało, że wszystko co złe nie miało znaczenia. Zatarło je całkowicie.

Paulowi trudniej było uporać się z tym, co zaszło. W kolejnych dniach bezpośrednio po wstrząsających wydarzeniach często widziałem cień na jego twarzy. Wciąż na nowo przeżywał tamten koszmar. Ale za każdym razem, kiedy był z żoną i synem, cień znikał. W sumie minęło zaledwie kilka dni, ale patrząc na ich trójkę, wiedziałem, że rany na pewno się zagoją-

Jak zwykle, to kwestia czasu.

Herbata wystygła. Wstałem z westchnieniem i poszedłem do telefonu, żeby odtworzyć wiadomości.

– Doktorze Hunter, nie zna mnie pan, ale dostałem pański numer od starszego detektywa Wallace'a. Nazywam się...

Dzwonek do drzwi zagłuszył resztę. Zatrzymałem taśmę i poszedłem otworzyć. Resztki światła słonecznego wypełniały mały korytarz złocistą poświatą jakby zapowiedzią lata. Wyciągnąłem rękę do klamki i nagle ogarnęło mnie przemożne wrażenie *déjà vu*. Słoneczny wieczór. Młoda kobieta w ciemnych okularach stoi przed drzwiami. Jej uśmiech zmienia się w grymas, gdy sięga do torebki i wyciąga nóż...

Potrząsnąłem głową odpędzając ten obraz. Wyprostowałem się, odblokowałem zamek i otworzyłem drzwi na oścież.



**Starsza kobieta uśmiechnęła się do mnie promiennie.**

**–Ach, doktorze Hunter, to pan! Usłyszałam, że ktoś tu chodzi, i postanowiłam sprawdzić, czy wszystko w porządku.**

**–W idealnym, dziękuję, pani Katsoulis. – Sąsiadka mieszkała piętro wyżej. Przed ubiegłorocznym atakiem na mnie prawie z nią nie rozmawiałem, ale od tej pory stała się czujnym strażnikiem. Przy całym swoim imponującym wzroście metr pięćdziesiąt.**

**Ale jeszcze ze mną nie skończyła. Zerknęła do saloniku, gdzie bagaże wciąż czekały na rozpakowanie.**

**–Od dłuższego czasu pana nie widziałam. Był pan w jakimś miłym miejscu?**

**Patrzyła na mnie wyczekująco. Wargi zaczęły mi drżeć. Z trudem się powstrzymywałem, żeby nie wybuchnąć śmiechem.**

**–Zwykła podróż służbowa – odparłem. – Ale już wróciłem.**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2010-11-26**

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*